

VERA EIKON

MIĘDZY PRAWAMI

PRZEDPIEKŁE



Historia, w której POLICJA, MAFIA i POLITYKA spotykają się na jednej drodze.

**MIĘDZY PRAWAMI.
PRZEDPIEKLE**

VERA EIKON

Hologram

Copyright © by Katarzyna Woźniak

Redakcja i korekta:
Andrzej Zyszczyk

Wydanie I,
Warszawa 2017

Zdjęcie na okładce: igorstevanovic/Shutterstock

Wydawnictwo HOLOGRAM
hologrampublishing@gmail.com

Strona autorska:
www.veraeikon.com.pl

Historia dedykowana tym,
którzy odkrywają prawdę i prawdzie służą.

„Proszę o pełną współpracę”

– mł. insp. Olga Tyrman

Pokój przesłuchań tonął w półmroku. Siedzący w nim komisarz Wydziału Zabójstw Centralnego Biura Śledczego Policji, Kamil Feliński, czuł się wyjątkowo niezręcznie w roli, którą przyszło mu teraz odgrywać. Zajął miejsce nieco oddalone od centralnego punktu niewielkiego pomieszczenia. Bardziej w cieniu. Może dzięki temu ukryje nerwowy tik mrugania prawym okiem i nachalne dłubanie przy paznokciach. Nieco ulgi przynosiła mu obecność technika siedzącego przy wariografie i młodszej inspektor Olgi Tyrman, która zobowiązała się do przeprowadzenia przesłuchania. Tych dwoje zachowywało pełen profesjonalizm. Zero stresu. Zero nerwowości. Co w zaistniałej sytuacji było oczywiście godne pochwały. Komisarz pomyślał, że zdecydowanie wolałby zajmować się teraz jakimś niezidentyfikowanym zgniłkiem niż mieć do czynienia z napięciem i poczuciem wstydu, swoistymi dla ludzi żywych. Potem przypomniał sobie, że to właśnie jeden z przydzielonych mu denatów postawił go w tej niewygodnej sytuacji. Należało odkryć prawdę o okolicznościach zgonu. Okolicznościach morderstwa. I zdemaskować winnego. Przebywał w tym pokoju jeszcze ktoś, kto wydawał się podzielać odczucia Felińskiego. Na miejscu przesłuchiwanego siedział czterdziestoletni mężczyzna. Ubrany był w garniturowe spodnie koloru czarnego i ciemną koszulę, której dwa górne guziki pozostawały rozpięte. Za plecy przerzucił marynarkę i czarny krawat.

Nie ubrał się elegancko z okazji przesłuchania. Gdyby jego dzień potoczył się zgodnie z planem, byłby teraz w zupełnie innym miejscu. Choć, bez wątpienia, równie przytłaczającym. Jego ciało zostało przed chwilą okablowane czujnikami wykrywacza. Kazano mu się nie ruszać, co jeszcze zwiększało dawkę dyskomfortu, która i tak

wydawała się już zabójcza. Nigdy, przenigdy nie spodziewałby się, że przyjdzie mu siedzieć na tym miejscu. Stojąca naprzeciw niego inspektor Tyrman sprawnie związała długie blond włosy w koński ogon i zajęła swoje miejsce. Z służbowej teczki wyjęła kilka zadrukowanych kartek, po czym spojrzała na technika.

– Możemy zaczynać? Wszystko gotowe? – Otrzymałszy twierdzącą odpowiedź, zwróciła się do przesłuchiwanego: – Muszę pana pouczyć, że przeprowadzamy tę rozmowę na wniosek prokuratora, więc proszę o pełną współpracę. Zadam panu zaraz szereg pytań. Musi pan odpowiedzieć na wszystkie. Wolno panu odpowiadać tylko „tak” lub „nie”. Czy rozumie pan?

– Wiem, jak działa wariograf... Tak – odparł ciszej, niż zamierzał.

Odchrząknął więc, żeby odblokować ściśnięte nerwami gardło i uwolnić swój naturalny, mocny głos. Wykres wariografu podskoczył kopnięty dawką adrenaliny. Za chwilę nakreśli na kartce linię prawdy i kłamstwa, zapisze specjalny kod, będący odzwierciedleniem wewnętrznego stanu człowieka. Człowiek zareaguje na wszystkie postawione mu pytania. Testowe i właściwe. Niezwiązane ze sprawą i te dla niej kluczowe. Każde wypowiedziane w tym pokoju słowo zamieni się w uczucie, zostawi po sobie ślad i konkretną impresję.

– Czy nazywa się pan Alan Berg?

– Tak.

– Czy zamierza pan odpowiadać szczerze na wszystkie postawione mu pytania?

– Tak.

– Czy ma pan stopień komisarza?

– Tak.

– Czy pracuje pan w szpitalu?

– Nie.

– Czy pracuje pan w Centralnym Biurze Śledczym Policji?

– Tak.

– Czy jest pan żonaty?

– Tak.

– Czy pańską żoną jest Angelina Jolie?

– Nie.

– Czy pańską żoną jest Ewa Berg?

- Tak.
- Czy mamy rok dwa tysiące dwunasty?
- Nie.
- Czy studiował pan w Anglii?
- Nie.
- Czy mamy rok dwa tysiące szesnasty?
- Tak.
- Czy urodził się pan w Pradze?
- Tak.
- Czy kiedykolwiek spotkał się pan z Zuzanną Ostrowską?
- Tak.
- Czy spotykał się pan z nią wielokrotnie?
- Tak.
- Czy prezydentem Polski jest Barack Obama?
- Nie.
- Czy kiedykolwiek pozostawał pan w kontaktach intymnych z Zuzanną Ostrowską?
 - Tak – odparł po chwili wahania. Wiedział, że właśnie teraz jest oceniany.

Technik patrzył na wykres, coś notował. Tyrman miała wzrok pozbawiony emocji. Feliński zerkał poniekąd współczująco. A jednak Berg podejrzewał, czuł w powietrzu nutę osądzenia, potępienia. A może to tylko jego własne emocje? Nerwy? Żal? Dlaczego to zrobił? Dlaczego się nie wycofał? Wszystko mogło być teraz inaczej.

– Czy zamordował pan Zuzannę Ostrowską?

Pytanie jakby do niego nie dotarło. Był teraz gdzieś indziej. Był przy niej. Obejmował ją i przysięgał, że nic jej się nie stanie. Nie dotrzymał słowa. Był winny.

Dwa tygodnie wcześniej...

Wisła płynęła spokojnie. Wyraźnie, niczym lustro, odbijała otaczającą ją dziką przestrzeń i wiszący na nieboskłonie księżyc błyszczący złotym sierpem. Czarny mercedes stał zaparkowany na brzegu. Jego kierowca czekał już od pół godziny na umówione spotkanie i zaczął

się niecierpliwić. Wokół jedynie cykały świerszcze, a pobliskie pola przynosiły jednostajny szum nadciągający z autostrady. Sięgnął po trzeciego papierosa, kiedy usłyszał nadjeżdżający szosą samochód. Światła reflektorów precyzyjnie się pomiędzy pniami drzew, rzucając na ziemię wydłużone smugi światła. Wóz stanął obok.

– Czekam już od pół godziny! – zrugął przybysza właściciel mercedesa.

– I co? – odparł nowo przybyły, wychodząc z wozu. Jego szerokie ramiona okrywała czarna skórzana kurtka.

– Gównu! Piździ jak cholera.

– To nie pierdol, tylko do roboty.

Mężczyźni podeszli do bagażnika mercedesa. Gdy uniosła się pokrywa, spojrzało na nich dwoje przerażonych oczu. Młoda, skąpo ubrana kobieta wydawała z siebie głuche piski i chrząknięcia. Usta zaklejone taśmą. Nie mogła się bronić, bo jej dłonie i stopy skrępowano mocno zaciśniętymi więzami.

– Jezu, szkoda takiej fajnej dupy – powiedział ze szczerością w głosie mężczyzna w skórze.

– Nie byłoby sprawy, gdyby trzymała język za zębami.

– No, po chuj ci to było? – Chwycił ją za ramię i brutalnie wyciągnął z bagażnika. – Możesz już jechać. Zajmę się tym.

– Chcę to zobaczyć.

– Kurwa, nie ufasz mi?

Właściciel mercedesa wzruszył ramionami. Drugi przycisnął dziewczynę ku ziemi. Uklękła plecami do nich. Próbowwała się obrócić, spojrzeć na nich jeszcze raz. Ostatni raz błagać o życie. Chociażby wzrokiem. Nie interesowała ich jej panika. Mieli swoje sprawy, swoje interesy, które musieli załatwić. Ją – wyeliminować, a potem przedyskutować to i owo. W jej głowie milion myśli. Wspomnienia, ludzie, błędy. Tyle błędów. Trzeba było żyć inaczej. Prośba o wybaczenie. „Mamo, wybacz! Tato, wybacz! Boże, jeśli tam jesteś, przepraszam...”

– Ja pierdolę! – zaklął mężczyzna w skórze. Zaczynało padać. – Nie dość, że mam po tobie sprzątać, to jeszcze mi nie ufasz. – To powiedziawszy, wyciągnął zza kurtki broń i oddał jeden strzał w kierunku dziewczyny. Kula spenetrowała jej czaszkę i ciało

bezwładnie opadło na ziemię.

– Teraz mogę już jechać.

– Teraz, kurwa? Czyli dalej sprzątam sam?

– Każdy ma swoją rolę do odegrania.

– Dobra. Mam nadzieję, że dobrze odegrasz swoją rolę przy najbliższym przetargu.

– O to się nie martw. Mamy go jak w banku – odparł z uśmiechem.

Był z siebie szczerze zadowolony. Nie musiał już martwić się o niewygodnego świadka. Wierzył, że ciało kobiety zniknie bez śladu. Nie ma problemu. Żadnych pytań, żadnych podejrzeń. Można kontynuować interesy. Żyć spokojnie. Jak dobrze to wszystko rozegrał! Miał wszystko. Pieniądze, wpływy, człowieka od brudnej roboty. Czasami przyplącał to momentami stresu. Ale dla chwil takich jak ta, kiedy wydawało mu się, że jest panem życia i śmierci, warto było się trudzić, warto było żyć. Towarzysz spojrzał na niego z nie mniejszą satysfakcją. Włożył pistolet do kabury i powiedział:

– Miło się z panem robi interesy, panie pośle.

– Wzajemnie, komisarzu.

„Bez bata nad głową, to jakoś ciężiej idzie”

– st. asp. Kacper Chaberski (ps. Chaber)

Niedziela.

Samolot powoli obniżał pułap lotu. Pasażerowie odczuwali to dość mocno z powodu złej pogody panującej na zewnątrz. Wiatr uderzył o skrzydła, które lekko zadygotały. Kiedy maszyna przebiła się przez chmury, słońce zniknęło z pola widzenia, a w zamian pojawiły się mrok i strugi deszczu. Kroplami namalowały na oknach wydłużone smagnięcia. „Kiepski dzień na powrót do domu” – pomyślał komisarz Alan Berg, dość intensywnie przeżywając każde kolejne wstrząśnięcie samolotem. Nie dawał tego po sobie poznać, ale czuł się tak samo rozdygotany, jak sama maszyna. Nie lubił latać ani w dobrych, ani tym bardziej w niesprzyjających warunkach. Powód tego był dość prosty – jako pasażer, nie kontrolował toczących się wokół niego wydarzeń. Z trudem przychodziło mu powierzanie własnego losu w ręce innych ludzi, szczególnie całkiem obcych, nieważne, jak dobrze wyszkolonych. Pozostawało mu jedynie zaufać ich umiejętnościom, wypić setkę whisky przed startem i rozpraszać się różnymi zajęciami podczas lotu. Otworzył zakupioną na lotnisku gazetę „Daily Herald” i zaczął ją bezmyślnie kartkować. Nic nie było w stanie odwrócić jego uwagi od turbulencji, aż w końcu natrafił na stronę czternastą, poświęconą zagranicznym wydarzeniom, na której umieszczono wzmiankę o skazanym Rodionie Vlacicu. Berg znał bardzo dobrze wynik tej rozprawy. Ba! Znał cały jej przebieg i to ze szczegółami. Śledził postępowanie wnikliwie, ponieważ własnoręcznie postawił Vlacica przed sądem. Rosyjskim sądem, który, jak wierzył komisarz, miał wyznaczyć o wiele wyższą karę, niż byłby w stanie uczynić to sąd polski. Po wielu latach poszukiwań, po miesiącach uciążliwego

dochodzenia dorwał wreszcie tego psychopatę i mordercę. A teraz cały świat dowiedział się o jego zbrodniach i zaplanowanej dla niego karze.

Life sentence – przeczytał Berg z satysfakcją, która jeszcze bardziej wzrosła na widok dalszych słów – jailed on Ognenny Ostrov island in high security prison called Pyatak. Zanim biuro CBŚP wydało Vlacica rosyjskiej policji, komisarz upewnił się, że zawiązano z nimi pewną niepisaną umowę, która zakładała, że jeśli zapadnie wyrok skazujący na dożywocie (w co wszyscy szczerze wierzyli), Vlacic zostanie osadzony w najgorszym z możliwych rosyjskich więzień. I tak właśnie się stało. Koła samolotu uderzyły o ziemię. Maszyna szarpnęła pasażerami i rozpoczęła hamowanie. Z głośników popłynął głos pilota:

– Szanowni państwo, wylądowaliśmy na Lotnisku Chopina w Warszawie.

Temperatura na zewnątrz wynosi dziesięć stopni Celsjusza. Mam nadzieję, że zaopatrzyli się państwo w parasole, bo wita nas dość mocny jesienny deszcz.

Przepraszamy za turbulencje i życzymy miłego dnia.

Maszyna zakołowała do bramki. Komisarz opuszczał pokład z poczuciem ulgi. Zarzucił na ramię plecak i podążył za strzałkami po odbiór bagażu. Nie miał go za wiele. Tylko tyle, ile potrzebował na trzymiesięczny pobyt w Holandii. Po kilku minutach doczekał się przyjazdu na bagażowym pasku swojej granatowej sportowej torby. Odszedł z nią na bok, w ustronne miejsce. Odpiął niewielką kłódkę spinającą ze sobą jej dwa ekspresy i upewnił się, że umieszczony w środku służbowy glock pozostał nietknięty i zabezpieczony w skrzynce. Dopiero kiedy wyszedł z hali przylotów na zewnątrz, dotarło do niego, że stąpa po polskiej ziemi. Powietrze wydawało się inne, pełniejsze od holenderskiego. Wyraziste, ostre – swoiste tylko dla krajów, w których istnieje jeszcze prawdziwa zima. Dominował w nim zapach nasączonej deszczem gleby. Policjant stanął przed zadaszonym wyjściem oznaczonym szyldem „Przyloty/Arrivals” i zapalił papierosa. Ludzie biegiem łapali taksówki. Niedbale wrzucali torby i walizki do bagażników i z piskiem dziecięcej radości szukali schronienia przed deszczem. Berg cieszył się z powrotu do domu, choć wiedział, że ten „dom” będzie nieco inny od tego, który opuszczał

kilka miesięcy wcześniej. Przed jego wyjazdem zdecydowali się z żoną na separację. Ona uznała, że są to ku temu „sprzyjające warunki”, przyzwyczajają się do bycia osobno. On nie protestował. Wiedział, że bezowocnie próbowali poskładać swoje małżeństwo po stracie nienarodzonego dziecka. Przez miesiące udawali, że nic takiego nie miało miejsca, starali się żyć normalnie. Spędzali wspólnie każdy wolny dzień. Spotykali się z przyjaciółmi, nadal ze sobą sypiali. Jednak coś było nie tak. Kiedy nastawała między nimi chwila ciszy, która przez czternaście lat związku nigdy dotąd nie stanowiła problemu, nagle wywoływała w nich ona poczucie dyskomfortu, a nawet chęć ucieczki. Przestali umieć ze sobą rozmawiać. Owszem, dyskutowali o pracy i sprawach praktycznych, o rzeczach do załatwienia, jednak nie potrafili już rozmawiać o sobie nawzajem, o uczuciach, przemyśleniach czy obawach. Z czasem zaczęła irytować ich wzajemna obecność. Woleli być razem w towarzystwie osób trzecich niż sam na sam. Na osobności chcieli być tylko wtedy, gdy mieli ochotę na seks. Zaraz po nim ponownie następowała niewygodna cisza. Powietrze przeciął radosny dźwięk klaksonu. Srebrne volvo V40 zaparkowało przed szklanymi drzwiami hali przylotów. Kierowca wyszedł, aby otworzyć bagażnik, i w geście powitania uniósł do góry rękę. Berg wyrzucił papierosa do śmieci i podszedł do samochodu. Wyciągnął ku przybyłemu dłoń, ten jednak przyciągnął go do siebie i obdarował przyjacielskim uściskiem.

– Proca, dobrze cię widzieć!

– Opanuj się, Chaber, bo zawrócę do samolotu – odparł komisarz z mimowolnym uśmiechem, choć postarał się, by w jego głosie nie zabrakło ziarna oschłości.

Wsiedli do volvo. Kilka minut na deszczu wystarczyło, by obydwaj ociekali wodą.

– Jak Amsterdam?

– Dobrze. Niewiele do opowiedzenia. – Chaber odpalił silnik. – Faktycznie okazało się, że Vlacic eksperymentował tam ze swoją herą. Gotował z ekspertami, więc jak ich zgarnęliśmy, Holendrzy byli przeszczęśliwi.

– Odpalili ci jakąś premię?

– Żartujesz? Z całym szacunkiem dla ich pracy, ale mają żydowskie

podejście do biznesu.

- No, to przynajmniej zmieniłeś scenerię na kilka miesięcy.
- A co u nas?
- Powoli. Głównie obserwowaliśmy Żoliborz...
- I tyle? Przez trzy miechy obserwowaliście Żoliborz?
- Wiesz, bez bata nad głową to jakoś trudniej idzie.
- Nie interesują mnie twoje fantazje erotyczne, Chaber.
- Proca... Dobrze, że jesteś!

Jeszcze rok temu komisarz przyłożyłby mu za takie spoufalanie i zwracanie się do niego pseudonimem. Jednak kiedy czternaście miesięcy temu zamknęli sprawę Rodiona Vlacica aka Wilka, ich relacje uległy zmianie, znacznie się zacieśniły. Podobnie zresztą jak relacje z innymi współpracownikami, z których składała się dowodzona przez Berga grupa operacyjna „Szakał”. Komisarz zdobył się na większą otwartość wobec nich i zauważył, z niemałym nawet zdziwieniem, że czasami przynosiło to zadowalające efekty w pracy. Na czas pobytu za granicą powierzył starszemu aspirantowi Kacprowi Chaberskiemu swoją rolę szefa. Po cichu liczył, że podczas jego nieobecności chłopaki pchną nieco do przodu rozpracowywanie narkotykowej mafii żoliborskiej. Zdawał sobie jednak sprawę, że tego typu działania mogą trwać miesiącami.

- Dzięki, że po mnie przyjechałeś.
 - Nie ma sprawy.
 - Próbowałem wrobić w to Młodego, ale nie mogłem się dodzwonić.
 - Trudno z tym ostatnio. Nie odpowiada na telefony.
 - Taki zapracowany?
 - Chyba tak.
 - Nie byliście w kontakcie?
 - Ucichł może miesiąc temu. Ciągle wałkował tę swoją tajemniczą sprawę.
 - „Tę” sprawę?
 - „Tę” sprawę! Naprawdę nie kumam, co mogło być tak fascynującego w dochodzeniu CBA, żeby aż wycofał się ze współpracy z nami. Taka szansa!
- Mógł pracować z elitą elit, a wybrał ich! – Chaber nie mówił tego do końca poważnie. Uśmiechał się półgębkiem, nieco sarkastycznie.

Wśród policjantów cebosiu krążyła bowiem opinia, że praca w antykorupcyjnym jest dobra na zakończenie kariery. Więcej spokoju. Wyższa pensja. Dodatkowo zarówno on, jak i Berg uważali, że Młody ze swoją charyzmą i duszą lidera o wiele lepiej sprawdzałby się w grupie „Szakal” niż jako popychadło swoich przełożonych w CBA.

Berg, choć się nie odezwał, podzielał zdanie Chabra. Z radością przyjął deklarację podkomisarza Sikorskiego (Młodego) o przeniesienie z Centralnego Biura Antykorupcyjnego do Biura Śledczego, jednak zaraz po niej pojawiła się „ta sprawa”, o której podkomisarz ani nie chciał, ani nie mógł z nikim rozmawiać. To z jednej strony zrozumiałe – tajemnica zawodowa. Jednak dla Berga, jako dla oficera policji, człowieka rozpracowującego problemy, rozwiązującego zagadki, była to sytuacja niezmiernie niepokojąca. Niepokojące było również to, że Młody nie odpowiadał na telefony. „To nie w jego stylu. Jest za bardzo socjalny na takie milczenie” – pomyślał komisarz.

Chaber zaparkował pod apartamentowcem przy ulicy Pejzażowej.

– To widzimy się jutro?

– Tak, do jutra – odparł Berg z uśmiechem i chwilę później przekroczył próg mieszkania na dwunastym piętrze. Wynajmował je od ponad trzech miesięcy, od kiedy jego żona, Ewa, zasugerowała okres separacji.

Komisarz rzucił torbę i plecak na podłogę. Mieszkanie nie sprawiało wrażenia domu. Niezagospodarowane kąty. Rzeczy w tekturowych pudłach. Puste szafki. Niewiele przedmiotów należało tu do Berga. Meble pozostawił po sobie właściciel. Na brzegu kuchennego blatu stała niewielka porcelanowa miska wypełniona drobiazgami – monety, klucze do forda taurusa, kilka karabińczyków. Berg opróżnił kieszenie spodni. Parę eurocentów, zużyty bilet autobusowy oraz drobny drewniany różaniec dołączyły do reszty przedmiotów w misce. Z kuchennej szafki wydobył szklankę, wypełnił ją do połowy whisky i wyszedł z nią na balkon. Tam rozsiadł się wygodnie, zapalił papierosa i rozejrzał po rozciągającym się przed nim widokiem na miasto. Jego miasto. Jego dom. Wydało mu się, że przez ostatnie lata zapominał o tym. Traktował Warszawę w sposób oczywisty, jak coś, co po prostu jest; do czego nie przywiązuje się zbyt wielkiej wagi. Miesiące rozłąki

wyleczyły go z apatii. Wrócił. I był na swój sposób szczęśliwy. Alkohol rozgrzał słodko jego podniebienie. Przestało padać, a powietrze pachniało przyjemną wilgocia. Naszła go ochota na marihuanę. Podczas pobytu w Amsterdamie oczywiście korzystał z bezkarnego przyzwolenia na tę używkę. Palił jednak po swojemu, niewiele – jedno zaciągnięcie wystarczyło, żeby się odprężyć, nie tracąc przy tym jasności umysłu. Jednak teraz nie miał dostępu do towaru. Jego ostatni polski dostarczyciel trafił za kratki cztery miesiące temu, ponieważ złamał zawartą z komisarzem umowę – zaczął handlować twardymi narkotykami. Berg osobiście go zapuszkował. Rozczarowany, lecz wiedziony poczuciem obowiązku, odwiózł delikwenta do aresztu. Wszystkie zarekwirowane narkotyki uwzględnił w raporcie i, zabezpieczone, odstawił do policyjnego magazynu. Zaciągając się ponownie papierosem, pomyślał, że dobrze będzie wrócić do swoich zadań. Nawet się ucieszył, że grupa nie zamknęła jeszcze sprawy Żoliborza. Znał dość dobrze kwestie związane z dochodzeniem. Orientował się również w profilach członków mafijnej grupy. Musiał jeszcze uzupełnić niektóre informacje, ale miał wystarczające obeznanie w temacie, żeby móc od razu wrócić do pracy na pełnych obrotach. Wybiła dziewiąta rano. Czarny ford taurus zjechał z ulicy Puławskiej, skręcając ku bramie wjazdowej do CBŚP. Dyżurujący w budce policjant od razu rozpoznał samochód i jego kierowcę. Nie uniósł jednak szlabanu, lecz wyszedł na zewnątrz i podszedł do wozu. Szyba od strony kierowcy zsunęła się. Dyżurny zajrzał do wnętrza i z uśmiechem zagadał:

– Zachodziłem w głowę, co się z tobą stało, a chłopaki powiedzieli, że do Amsterdamu cię wydelegowano!

– Tylko tymczasowo – odparł komisarz równie życzliwym tonem.

– Nie lepiej byłoby tam zostać? Warunki pracy pewnie lepsze?

– Może i lepsze, ale obce. A tutaj jestem u siebie.

Za taurusem stanął kolejny samochód, więc dyżurny pożegnał się, życząc „powodzenia”, i uniósł szlaban. Berg wykręcił w kierunku swojego ulubionego miejsca parkingowego, które w upalne dni chroniło wóz od słońca, a w każde inne od ptasich odchodów. Rozczarowany odkrył, że miejsce było zajęte przez bordowego hyundaia. Czemu się dziwić? Nie było go przez trzy miesiące. To

jednak dużo czasu. Może wystarczająco, żeby stracić wyrobioną pozycję w Biurze, a na pewno dostatecznie długo, żeby stracić ulubione miejsce parkingowe. Cóż, będzie musiał wypracować uznanie od nowa. Znajomy widok murów, chłód metalowej klamki i charakterystyczne skrzypnięcie drzwi wprawiły go w dobry nastrój. Poczuł, jakby po wielu tygodniach chodzenia w cudzych błyszczących lakierkach w końcu wsunął obie stopy we własne, wygodne, biegowe asicsy. Spokojnym krokiem przemierzył korytarz, pokonał dwa piętra schodów i znalazł się w wydziale narkotykowym. W drodze do swojego pokoju uściśnął kilka dłoni i wymienił parę uśmiechów. Szyby okalające niewielkie pomieszczenie, w którym pracował, zaślepione były żaluzjami. Nie tak je zostawił. Włożył kluczyk do zamka, lecz ten okazał się otwarty. Wszedł do środka, gdzie czekali na niego członkowie grupy operacyjnej „Szakal”. Oprócz Chabra, który poprzedniego popołudnia odebrał go z lotniska, siedzieli tu także Mazur (specjalizujący się w technologiach) i Impuls (wykonujący rozkazy bez szemrania aspirant, który był najlepszym obserwatorem, jakiego znał komisarz). Mazur podniósł się z krzesła, poprawił zsuwające się z wąskiego nosa okulary i uściśnął komisarzowi dłoń. Impuls z kolei przywitał go mocnym, niedźwiedzim uściskiem. W pokoju znajdowały się dwa biurka. Jedno z nich służyło Bergowi do pracy. Było czyste. Prawie puste. Drugie, będące niegdyś miejscem pracy Młodego, stanowiło teraz przechowalnię dla wszystkiego, co miało być pod ręką. Leżały na nim cztery stosy dokumentów. Akta, profile, raporty pieczołowicie zbierane w ciągu ostatnich miesięcy przez grupę. Wszystkie związane w mniejszym lub większym stopniu z grupą żoliborską. Stosy przesunięto na jeden koniec biurka, aby w drugim zrobić miejsce na niewielkie powitalne ciasto. Berg wolałby wrócić do pracy po cichu, bez zbędnego szumu, ceregieli; przemknąć niepostrzeżenie do swojego pokoju i zatopić się w czekającej na niego sprawie. Jego chłopcy wybrali nieco inną drogę i komisarz, nie chcąc robić im przykrości (w końcu pracowali ciężko przez cały czas jego nieobecności), przystawał na wszystkie ich ceremoniały. Dostrzegli jednak jego zmieszanie.

Impuls obszedł biurko ze stosem papierów.

– Nie martw się, Proca, mamy jeszcze popitkę do tego ciasta. –

Wydobył z za stosu cztery kieliszki i pół litra wódki. Nie mieli w zwyczaju pić o tak wczesnej porze, ale okazja wydawała się wyjątkowa. Polał każdemu. Wznieśli toast. Gdy tylko unieśli kieliszki do ust, ktoś zapukał do drzwi i zaraz potem je otworzył.

Policjanci szybko odstawili trunki na biurko i zasłonili je własnymi ciałami. Do pokoju wszedł inspektor Filip Tyszka, przełożony i zarazem przyjaciel Berga, który nigdy nie szczędził mu ojcowskich rad. Na jego poszarpaną czasem i stresem twarz wstąpił szeroki uśmiech. Inspektor uścisnął Berga i kładąc dłoń na jego ramieniu, powiedział:

– Dobrze cię widzieć, Alan! Mamy dużo do obgadania... – zawiesił nagle głos i wciągnął więcej powietrza do płuc. – Czy ja czuję tu alkohol?

Chłopaki posłali wzrok w podłogę, jednak Berg uśmiechnął się lekko i zwrócił do Impulsa:

– Masz jeszcze jeden kieliszek? Polej panu inspektorowi.

– Jasne! Nie mam, ale ja nie muszę w sumie...

Wręczył inspektorowi własny kieliszek. Ponownie wzniesiono toast powitalny i cztery szkła zostały opróżnione. Impuls odkroił z ciasta dwa kawałki i ułożył je na papierowych talerzach. Resztę spakował i wepchnął razem z kieliszkami oraz wódką do leżącego na boku plecaka, po czym wszyscy aspiranci opuścili pokój, zostawiając Berga sam na sam z inspektorem.

– Miłe powitanie – przyznał Tyszka. Berg przytaknął, rozsuwając równomiernie stosy akt na biurku. Zdał inspektorowi dokładną relację z pobytu za granicą, podzielił się opinią o pracy holenderskiej policji i opowiedział o ostatecznej realizacji, którą przeprowadzono dwa tygodnie temu. Tamtego dnia lało jak z cebra. Typowy holenderski dzień. Deszcz non stop. Czasem rzadszy, czasem gęstszy, ale nieustanny. O pierwszej w nocy trzy grupy do zadań specjalnych podjęły się realizacji w trzech różnych lokalizacjach w Amsterdamie. Jedna z nich wchodziła do mieszkania na wschodzie miasta, na terenie arabskiej dzielnicy Indische Buurt. Druga do znajdującej się w zachodnim Westpoortcie agencji towarzyskiej. Trzecia, w której składzie był Berg, zobligowała się do zatrzymania osób przebywających na trzecim piętrze mieszkania w sercu miasta. Samo

dotarcie do mieszkania nie było łatwym zadaniem. Szturmowo wyposażeni oficerowie wkroczyli do starej kamienicy i po cichu rozpoczęli wspinaczkę na trzecie piętro budynku. „Wspinaczkę” jest w tym przypadku określeniem dosłownym, ponieważ typowe schody w klasycznej holenderskiej kamienicy są wąskie na szerokość stopy i tak strome, że przywodzą na myśl raczej szczeble drabiny niż stopnie. Każdy z oficerów stąpał ostrożnie, starając się niwelować skrzywienie wiekowego drewna do minimum. Wprawieni, bez problemu zachowywali równowagę, w jednej dłoni trzymając broń, a drugą zabezpieczając się przed niekontrolowanym upadkiem. Gdy dotarli pod drzwi, z impetem wybili je z zawiasów, rozwalając przy tym część zabytkowej futryny. Do środka wleciał granat hukowy. Grupa ubranych na czarno oficerów wpadła do mieszkania, rzucając na przemian holenderskie i arabskie komendy. Wiedzieli bowiem, że gang składał się z niderlandzkich i marokańskich członków. Wiedzieli również, że jeden z delikwentów jest gejem. Do aresztowania go wyznaczono więc oficera homoseksualistę, by przestępca nie miał podstaw do posądzenia policji o dyskryminację na tle orientacji seksualnej. Ot, poprawność polityczna. Berg trzymał się z tyłu, pozwalając holenderskim kolegom wykonywać ich powinność. Sam był tam bardziej uzbrojonym obserwatorem niż czynnym pracownikiem. Później uczestniczył w kilku przesłuchaniach, lecz zatrzymani, dowiedziawszy się, że jest Polakiem i że to on zapuszkował Wilka (ich drogiego przyjaciela), udawali, że nie znają angielskiego, i komunikowali się jedynie z holenderską policją.

Komisarz był więc skazany na przetłumaczone sprawozdanie po fakcie. Koniec końców otrzymał wszystkie pożądane informacje i był ogólnie zadowolony z zagranicznej współpracy. Inspektor wysłuchał jego opowieści z zainteresowaniem. Zjadł swój kawałek ciasta, po czym zostawił Berga samego. Stosy akt i raportów czekały na przejrzanie. Trzeba było uzupełnić wiedzę o mafii żoliborskiej, nadgonić zgromadzony przez „Szakala” materiał. Nie tracąc czasu, przystąpił do pracy. Informacji było sporo. Nazwiska, zdjęcia, adresy... Jednak brak informacji o tych znajdujących się na najwyższych

szczeblach piramidy. Brak bossa. Policjanci dowiedzieli się, że posługuje się pseudonimem Wujek. Nie wiedzieli, kim jest ani jak wygląda. Grupa żoliborska trudniła się głównie sprzedażą narkotyków: marihuany, kokainy i haszyszu. Pierwszy sprowadzano z Holandii, dwa kolejne z Ameryki, najprawdopodobniej z Meksyku. Jeśli chodzi o legalną stronę ich działalności, parali się rozmaitymi interesami, na przykład prowadzili drukarnię, firmę oferującą transport przy przeprowadzkach i, jak to zwykle bywa w narkotykowym półświatku, bar. Przez pierwsze miesiące dochodzenia policjanci starali się przede wszystkim zdobyć numery telefonów członków gangu. Śledząc ich połączenia i podsłuchując rozmowy, mogliby z łatwością odtworzyć całą przestępczą siatkę, poznać pseudonimy wszystkich członków, dowiadywać się o planowanych przerzutach i transakcjach. Niestety przestępcy bardzo sumiennie dostosowywali się do narzuconych im zasad, wedle których byli zobowiązani do zakupu nowego telefonu na kartę co dwa tygodnie. Kiedy więc „Szakał” namierzył już jakiegoś delikwenta i zaczynał rozpracowywać połączenia wewnątrz gangu, trop urywał się nagle i całą robotę musieli zaczynać niemalże od nowa. Z tego względu uciekali się do innych metod operacyjnych. Przeprowadzali długotrwałe obserwacje.

Podsłuchiwali rozmowy, używając mikrofonów kierunkowych. Wszystko wykonywali jednak z bezpiecznej odległości. Gdyby któryś z nich został zauważony i zdemaskowany jako policjant, byłby spalony, a jego udział w dalszych działaniach rozpoznawczych znacznie by się ograniczył. Im bardziej Berg wczytywał się w otrzymany materiał, tym bardziej był zadowolony z pracy swojej grupy. Pracowali ciężko i żmudnie, a przy tym cierpliwie. Obawiał się przedtem, że kiedy nie będzie go w pobliżu, zapomną o wszelkich jego wytycznych, o wszystkim tym, czego uczył ich przez lata. Okazało się jednak inaczej. Nie ulegli ani presji „góry”, ani własnym ambicjom, które, jak to często bywa u młodych ludzi, pchają do działania ślepego i narwanego. Grupa „Szakał” zawiązała się pięć lat temu. W tamtym czasie, na samym początku jej działalności, młodzi policjanci z trudem znosili rozkazy narzucające czekanie, cierpliwe i długotrwałe obserwacje. Woleli od razu wchodzić do akcji.

Z chęcią aresztowaliby każdego nowo napotkanego przestępcę,

tracąc szeroki ogląd na sprawę; tracąc perspektywę. Lata spędzone pod skrzydłami Berga najwyraźniej utemperowały te nieco narwane charaktery. W ciągu ostatnich miesięcy aresztowali tylko dwóch delikwentów, którzy nie mieli nawet związku z grupą żoliborską. „Z pewnością – pomyślał komisarz – Brocki nie jest tak zadowolony z tego powodu jak ja”. Nadinspektor Waldemar Brocki był zastępcą szefa Biura. Człowiek ambitny, inteligentny, ale, jak to określał Berg, za mało elastyczny. Zdecydowanie zbyt często posługiwał się schematami, za bardzo zapatrywał się w statystyki i przywiązywał zbyt wielką wagę do protokołów. Słowem – był całkiem inny niż Berg. Dlatego dość często dochodziło między nimi do spięć i krążyły w Biurze opinie, że Proca nie stracił jeszcze roboty tylko dzięki wstawiennictwu inspektora Tyszki. Komisarz przetarł zmęczone ciągłym czytaniem oczy. Spojrzał na stojące naprzeciw niego biurko, przy którym niegdyś, przez bardzo krótki okres, pracował Młody. Gdyby tu był, z pewnością wymieniliby teraz kilka błyskotliwych myśli, poszli na strzelnicę albo ponarzekali, jak beznadziejny, bo skazany na niepowodzenie, zawód sobie wybrali. Do tej ostatniej opinii podchodzili obaj pół żartem, pół serio. Nie wyobrażali sobie wykonywania innej pracy. W ich umysłach walka z czynnym złem była jednym z najważniejszych powołań na tej ziemi. Jednocześnie zdawali sobie sprawę z tego, że owa walka nigdy się nie kończy. Nigdy, dopóki człowiek chodzi po ziemi swoimi grzesznymi stopami. Berg wyjął z plecaka telefon i zadzwonił do Młodego. Kilka sygnałów zadźwięczało w słuchawce, po czym uruchomiła się sekretarka. „Cześć, Młody – nagrał się komisarz. – Wróciłem wczoraj do naszej piekielnej Warszawki. Oddzwoń. Umówimy się na piwo czy coś... Nadgonimy ostatnie miesiące”. Miał nadzieję, że Młody oddzwoni za chwilę i może uda się im wspólnie zjeść coś na mieście, jednak telefon milczał. Minęła czternasta, kiedy komisarz wreszcie wyszedł ze swojego pokoju. Zaczynał się w nim czuć klaustrofobicznie i przestawał już przyswajać tekst raportów.

Pomyślał, że zajrzy do „Becketta” – pobliskiej restauracji, której jedzenie uwielbiał. Proste, na polską nutę. Stęsknił się za nim po trzech miesiącach pobytu w Holandii, gdzie żył prawie wyłącznie na kanapkach i smażonych w głębokim tłuszczu przekąskach w typowo

tamtejszym stylu. Przemierzał korytarz Biura, kiedy dostrzegł znajomą twarz komisarza Kamila Felińskiego z Wydziału Zabójstw nadchodzącego z przeciwnego kierunku. Współpracowali ze sobą w przeszłości, lecz nieznacznie i każdy z nich dbał zazwyczaj o własne interesy oraz wyniki własnych śledztw. Szanowali jednak wzajemnie swoją pracę i, w przeciwieństwie do większości otaczających ich oficerów, jeden pod drugim nie kopał dołków.

– Proca! Spadasz mi z nieba. – Feliński przywitał go z nie mniejszym entuzjazmem niż najbliżsi współpracownicy. Odciągnął go jednak szybko na bok i niemalże szeptem zapytał: – Masz kontakt z tym swoim kolegą z korupcyjnego?

– Planuję zobaczyć się z nim dzisiaj, a co?

– Możemy pogadać? Może zjemy coś razem? Znam dobrą pizzerię za rogiem!

I tak rozmyły się marzenia komisarza o polskim obiedzie. Przyjdzie mu zjeść pizzę – nieco inną formę kanapki. Czekając na zamówienie, rozpoczęli rozmowę.

– No, mów, Fela, z czym masz problem.

– Znasz sprawę, nad którą pracuję? – zapytał, lecz ton jego głosu sprawił, że pytanie to zabrzmiało jakby retorycznie.

– Nie. Dopiero wczoraj wróciłem po trzech miesiącach współpracy zagranicznej...

– Szczęściarz! – przerwał Feliński, a na jego twarzy wystąpił grymas rozczarowania. Nie było pewne, czy wynikał on z zazdrości, czy z faktu, że ktoś na tym świecie jeszcze nie wiedział o ważnej sprawie wielkiego Feli. Był dobrym policjantem i człowiekiem tego pokroju, który myśli, że wszyscy wokół żyją wyłącznie jego sprawami. Berg podziękował za otrzymaną od kelnera pizzę i odpowiedział koledze:

– Wolę być u siebie. Na swoich śmieciach. Co to za sprawa?

– Tydzień temu wędkarze znaleźli ciało młodej dziewczyny. Pływało sobie w Wiśle. Zabito ją strzałem w głowę – egzekucja. Biegły ocenił, że musiała jakimś cudem odwiązać się od balastu. Miała zostać na dnie – nieznaleziona. Na razie wiem, że nazywała się Izabela Kolada i kilka miesięcy temu zwolniła się z pracy w klubie „Magnez”.

– Była prostytutką?

– Dlaczego zabijasz prostytutkę i próbujesz ukryć ciało?

– Za dużo wiedziała? Dała dupy nieodpowiedniej osobie? Chciała szantażować kogoś na stołku?

– Właśnie. Cokolwiek to było, znaczy, że nadepnęła na odcisk komuś, komu zależy na byciu czystym.

– Komuś oficjalnemu. Na służbie.

– Widzisz, Berg, dlatego lubię z tobą gadać! Rozumiemy się! – Feliński ugryzł kawałek pizzy, pogryzł go pospiesznie, kiwając przy tym głową, jakby miało to jeszcze przyspieszyć proces jedzenia. – Pomyślałem o twoim znajomym, bo oni w CBA wiedzą takie rzeczy. Może mają już oko na kogoś, kto zabawia się z kurwami. Szczerze, tak między nami – nie wiem już, gdzie palec wsadzić, Proca. Dochodzenie stoi w martwym punkcie, a prokuratura ciągle pyta o postępy.

– Potrafią wkurwić...

– Są jak wrzód na dupie! To co? Zagadasz z nim?

– Izabela Kolada, tak? Zapytam go, jeśli się z nim zobaczę. Ale to chłopak z zasadami, rozumiesz? Jak sprawa będzie utajniona, to nie puści pary z ust.

– Berg, przecież ty wiesz, jak rozwiązać każde usta!

Mimowolnie prawy kącik ust Berga uniósł się ku górze. W końcu był u siebie. Otoczony ludźmi, którzy go znają, rozumieją i doceniają. Nie był egocentrykiem. Nie zwracał też uwagi na awanse czy jakiegokolwiek granty za swoją pracę. Jej wyniki były najlepszą nagrodą. Jednak po kilku miesiącach wyobcowania uświadomił sobie, jak ważna jest dla niego niezależność i renoma. Czuł się dobrze w swojej skórze. Feliński uśmiechnął się szeroko.

– A poza tym, co słyszeć? – zapytał Berg po chwili.

– Po staremu. Ciężko. Na mieście ciekawie. Wczoraj, na przykład, kolejny trup. Ale jaki! Ktoś przywiązał mu nogi sznurem do wozu i przejechał z nim kilometr, potem zostawili go, aż zdechł.

– Jakieś powiązania z dziewczynami?

– Nie, nie. To coś innego i ktoś inny to dostał. Ale wyobraź sobie, co to za metody! Przeciągnąć człowieka kilometr asfaltem... Twarz niemożliwa do identyfikacji!

Feliński opowiadał o tym z nieukrywaną fascynacją, czego Berg nigdy nie potrafił zrozumieć. Widział w tym jedynie okrucieństwo i

porażkę dobra w walce o ludzką duszę. Ktokolwiek dopuścił się czegoś takiego, miał w sercu diabła w czystej postaci. Kiedy skończyli posiłek, Feliński zapłacił za lunch.

Dziewiętnastoletni Marcin Sobiech wyszedł ze swojego pokoju mieszczącego się na piętrze domu, w którym mieszkał z rodzicami. Nie snuł złudnych marzeń o opuszczeniu rodzinnego gniazda. Nie tak został wychowany. Ojciec zawsze powtarzał mu, że rodzina jest najważniejsza i że zawsze musi się trzymać razem. Nie był zresztą pewien, jak poradziłby sobie w pojedynkę. Rodzice zapewniali mu wszystko, czego potrzebował, odkąd tylko pojawił się na świecie. Nie omieszkiwali mu o tym od czasu do czasu przypominać. Oczywiście uwagi typu: „ojcu należy się szacunek” czy: „kochaj matkę, która cię wykarmiła” były całkiem na miejscu i nikt nie ośmieliłby się podważyć ich słuszności. Jednak upominanie młodego chłopaka słowami: „beze mnie to byś na śmietniku mieszkał” czy: „wszystko dobre, co cię w życiu spotkało i spotka, pochodzi ode mnie” było znacznym nadużywaniem rodzicielskiej przewagi. Wiadomo jednak, że często powtarzane prawdy o świecie po pewnym czasie zaczynają nabierać realności, więc w umyśle Marcina świat właśnie tak wyglądał – podlegał jego ojcu. On sam też mu podlegał i za wszelką cenę pragnął sprostać jego wymaganiom. Kiedy wyszedł z pokoju, usłyszał męskie głosy dobiegające z salonu na parterze. Rozpoznawał głos Jarosława Sobiecha – swojego ojca – lecz dwa pozostałe były całkiem nowe. Schodził powoli schodami, stopniowo zyskując widok na salon. Postanowił, że spróbuje przemknąć obok niespostrzeżenie, lecz ojciec jakby wyczuł w powietrzu jego obecność.

– Hej, Marcin! – zawołał, przywołując go żarliwie gestem ręki. – Chodź tu na chwilę.

Chłopak wszedł posłusznie do salonu. Stary Sobiech siedział w towarzystwie dwóch dobrze przypakowanych panów. Byli dość opaleni jak na tę porę roku i nosili drogo wyglądające zegarki, co z pewnością imponowało ojcu.

– To Marcinek, mój pierworodny – wyjaśnił dumnie stary. – Kiedyś przejmie po mnie interesy. Jeszcze się przyucza, ale zdolny z niego

chłopak i pracowity.

Studiuje! Jak to się nazywa, synek?

– Komparatystyka...

– Komparatystyka! A gdzie ty teraz wychodzisz?

– Umówiłem się z dziewczyną.

– A! No, to leć! – ponaglił go, po czym szeptem zwrócił się do mężczyzn. – Jaki obrotny! Z dziewczyną się umówił! Tylko kup kwiaty jakieś! – krzyknął w stronę korytarza. – Dziewczyny lubią kwiaty...

Marcin otworzył swoje czerwone bmw 4 i usadowił się w fotelu, kiedy do środka wskoczył niespodziewany pasażer. Był to Komplet – chłopak od wszystkiego, który pracował dla starego Sobiecha od dwóch lat. Załatwiał telefony, sprzętaczkę, alkohol na imprezy, dziewczyny dla gości z zagranicy i wiele, wiele innych. Bezpretensjonalnie zapiął pasy, mówiąc:

– Podwieziesz mnie pod stadion? Mam spotkanie.

– Ja też... – odparł nieśmiało Marcin. – Jestem umówiony.

– Pięć minut w tę czy w tamtą nie zrobi ci przecież różnicy! No! Odpalaj, bo czas ucieka.

Chłopak westchnął głęboko i przekręcił kluczyk. Zaparkował blisko Stadionu Narodowego, obok kwaciarni. „Widocznie tak miało być!” – pomyślał i idąc za radą ojca, kupił jedną czerwoną różę. Małgorzata czekała na niego pod kinem „Arkadia”. Spóźnił się trochę. Niewiele. I przyniósł różę! Nie mogła mieć pretensji. Wybaczyła. Pocałowała go w policzek i od razu złapała jego rękę. Marcin kupił duży popcorn i dwie coli. Usiedli w ostatnim rzędzie niemalże pustej sali kinowej. Film już niedługo schodził z ekranów. Wszyscy znajomi o nim mówili, więc Gosia nalegała, żeby go obejrzeć. Marcin widział go już wcześniej, jednak nie przyznał się do tego. Chciał, żeby ona sądziła, że doświadczają tego razem po raz pierwszy. Jak przystało na produkcję hollywoodzką, między wybuchem a imprezą na ekranie doszło do sceny erotycznej. Mało błyskotliwe dialogi. Emocjonalna muzyka. Najlepsze sceny z filmu można było zobaczyć wcześniej w trailerze. Dziewczyna na pierwszy rzut oka nie wyglądała na zbyt inteligentną.

Zachowywała się czasami dziwnie, gadała głupoty i żuła gumę w dość pokazowy sposób. To wszystko stanowiło jednak swego rodzaju autokreację mającą na celu utrzymanie pozytywnego nastroju i

przyciąganie do siebie wesołych ludzi.

Małgorzata skrywała w sobie swoistą wrażliwość i błyskotliwość. Właśnie dzięki tym cechom zaskarbiła sobie sympatię Marcina. Pół godziny po rozpoczęciu filmu ziewnęła ostentacyjnie i zsunęła się nieco z fotela. Położyła dłoń na udzie chłopaka i zaczęła masować je delikatnie. Potem nieco mocniej. Gdy chłopak się wyprężył, złapała go za krocze i ofiarowała mu kilka minut przyjemności. Postanowił, że następnym razem zrobią to naprawdę. W łóżku. Żeby i ona doznała nieco rozkoszy.

Po filmie odwiózł ją do domu na Ursynowie. Na zakończenie spotkania dostał jeszcze namiętnego całusa, a wyszeptane przez nią: „do zobaczenia” pozostawiło go w błogostanie wyczekiwania.

„Przynieśli spokój i ciszę tam, gdzie przed sekundą szalało pieprzone tornado”

– kom. Alan Berg (ps. Proca)

Dochodziła osiemnasta. Po kilku miesiącach pracy w systemie, w którym szanuje się prywatny czas pracowników i nie pozostawia zbyt dużego pola dla nadgodzin, Berg intuicyjnie poczuł, że zbliża się pora opuszczenia Biura. Tego dnia próbował dodzwonić się do Młodego wiele razy. Każdy telefon kończył się brzmieniem irytującej poczty głosowej. Zostawił na niej kilka wiadomości. Pierwsza z nich, informowała o jego powrocie i zachęcała do spotkania. Kolejna wpadła w nieco bardziej zdecydowany ton: „weź oddzwon. Mam sprawę do obgadania”. Każda następna brzmiała ostrzej, aż ostatecznie przybrała formę: „Młody, kurwa, lepiej będzie dla ciebie, żebyś leżał w śpiączce, w innym przypadku przypierdolę ci tak, że w nią zapadniesz. Będę za piętnaście minut”. Faktycznie, kilkanaście minut później komisarz znalazł się pod drzwiami mieszkania podkomisarza Juliana Sikorskiego. Mieściło się ono na czwartym piętrze nowoczesnego apartamentowca. Posadzka na korytarzu błyszczała nieskazitelną czystością. Srebrne drzwi windy zostały tak starannie wypolerowane, że odbijały rzeczywistość niczym lustro. W powietrzu unosił się zapach lawendowego płynu do mycia podłóg i przyjemna woń kobiecych perfum, którą pozostawiła za sobą jedna z niedawno opuszczających budynek lokatorek. Berg nacisnął dzwonek. Brak efektu. Zaczął więc pukać, a następnie walić do drzwi. Hałas zwrócił uwagę jedynie sąsiadki, która wyjrzała z mieszkania naprzeciwko. W drzwiach stanęła owinięta w szlafrok kobieta w podeszłym wieku.

– Dobry wieczór – przywitał ją Berg. – Centralne Biuro Śledcze. Proszę się nie przejmować...

– Jest w środku – wyszeptała przejętym głosem. Z jej twarzy wylewał się smutek, jakby mówiła teraz o własnym dziecku. – Wrócił ze sklepu dwadzieścia minut temu. Znowu z torbą pełną szkła. Szkoda chłopaka, bo taki fajny. Może śpi...

Komisarz podziękował za informacje i przeprosił za hałas. Sąsiadka machnęła ręką z dezaprobatą i wsunęła się z powrotem do mieszkania. Berg wyciągnął telefon i po raz kolejny zadzwonił do Młodego. Po drugiej stronie drzwi usłyszał melodię komórki. Zapukał ponownie.

– Młody, otwieraj te jebane drzwi! Jeśli nie otworzysz za pięć sekund, przysięgam, że przestrzelę zamek. – Miał nadzieję, że nie będzie musiał wyegzekwować groźby, jednak w razie potrzeby gotów był to uczynić. Zawsze starał się dotrzymywać danego słowa. Rozpoczął odliczanie pewnym tonem: – Raz, dwa...!

Gdy doliczył do pięciu, sięgnął po broń. Wtem zamek przeskoczył i drzwi zostały lekko uchylone. Jednak nikt w nich nie stanął. Do nozdrzy komisarza doleciał rozpoznawalny zapach przetrawionego alkoholu. Delikatnie pchnął skrzydło i zobaczył plecy lokatora, który szurając stopami po ziemi, podążał w kierunku sypialni. Berg wszedł niespiesznie do środka. Powietrze jakby wisiało w miejscu, przesycone zapachem piwa i wódki. Wokół stały porozstawiane po wszystkich kątach butelki. Podążając za właścicielem, zaglądał do każdego z mijanych pomieszczeń. Wszystkie pozostawione były w ogromnym nieładzie i brudzie. Zdecydowanie, nikt nie sprzątał tutaj od przynajmniej kilku tygodni. Butelki tkwiły na szafce na buty, pod telewizorem, na kuchennym blacie, obok toalety i przy łóżku w sypialni, na które bezwładnie rzucił się Młody. Był znacznie szczuplejszy niż podczas ich ostatniego spotkania, które miało miejsce trzy miesiące temu. W tamtym czasie podkomisarz pracował intensywnie, ale trzymał się dobrze. Palił okazjonalnie, pił bardzo rzadko. Odwiózł Berga na lotnisko jego samochodem (sam bowiem przemieszczał się po mieście głównie kolarzówką lub škodą swojej dziewczyny) i nawet odstawił potem wóz pod mieszkanie komisarza.

Dużo gadał, miał partnerkę – Basię, w której zakochał się po uszy –

wspierał i służył Bergowi radą, kiedy żona zaproponowała separację. Był dobrym przyjacielem i wzorowym agentem CBA. Teraz wydawał się własnym cieniem, wrakiem. Komisarz usiadł obok niego na łóżku i cichym głosem zapytał:

– Co się stało? Co cię tak, kurwa, złamało? – Nie otrzymawszy żadnej odpowiedzi, dodał: – Jak będziesz chciał pogadać, będę w pobliżu... Przyspieszył za to bicie serca, przywołując na myśl własne dzieciństwo. Zdarzało się, że kiedy wracał do domu ze szkoły, witał go od progu właśnie ten charakterystyczny zapach niosący wieść, że ojciec znowu pije. Wargi komisarza zacisnęły się. Robił to zawsze, kiedy myślał intensywnie. Otworzył szeroko kuchenne okno. Owiała go fala chłodnego powietrza i w końcu mógł odetchnąć spokojnie. Podszedł bliżej lodówki, na której drzwiach wisiało zdjęcie.

Chwycił cztery stojące obok łóżka butelki i zamknął za sobą drzwi sypialni. Przeszedł do kuchni, gdzie odstawił szkło na blat tuż obok reszty pozostawionych tam flaszek. Spróbował wziąć głęboki oddech, ale zapach mu na to nie pozwolił. Przedstawiało Młodego w mocnych objęciach Basi oraz Berga tulącego żonę, Ewę. Było to ich ostatnie wspólne zdjęcie. Wykonał je przypadkowy przechodzień latem w Parku Łazienkowskim. Komisarz dotknął palcem policzka żony. Bóg jeden wiedział, jak bardzo za nią tęsknił! Otworzył lodówkę. Światło lampki odbiło się od białych ścian, uwidaczniając każdy pusty narożnik. Jedyne zamrażarka nie była pusta. Znalazły się w niej dwie półlitrowe butelki wódki. Wyjął je i zaczął wylewać zawartość do zlewu. Płyn bulgotał przy szycie, jakby wyrażając protest przeciwko tak brutalnemu traktowaniu, lecz bezwzględny oprawca nie ustępował. Zrobił to samo z odnalezionymi w szafce piwami.

Otworzył drzwiczki pod zlewem w poszukiwaniu torby na śmieci. Kucając obok, pomyślał jeszcze raz o swoim ojcu i przypomniał sobie wszystkie skrytki, które służyły mu do chowania alkoholu przed innymi domownikami. Młody mieszkał teraz sam, nie musiał więc niczego ukrywać. Jeśli jednak zaczął pić, kiedy w jego życiu była jeszcze Basia, sprawa wyglądała inaczej. Komisarz wsunął rękę w dziurę na końcu szafki, przez którą przechodziły rury odpływowe, i wyciągnął stamtąd setkę. Znalazł również torbę na śmieci i zaczął ją wypełniać pustymi butelkami. Pozbierał je z całego mieszkania, łącznie z tymi

schowanymi w kratce wentylacyjnej, spłuczce od toalety czy stosie pustych doniczek stojących na balkonie. Pootwierał wszystkie okna. Zanim w mieszkaniu zrobiło się zimno i powietrze wywiało cały alkoholowy odór, minęła godzina. Komisarz zdążył przez ten czas ogarnąć nieco pokoje, posprzątać kuchnię i wstawić pranie, którego nabierał na dwa bębny. Zamówił jedzenie i wstawił czajnik z wodą na gaz. Iskra wystrzeliła i palnik zapłonął, kiedy w drzwiach kuchni pojawił się Młody.

– Nie musiałeś tego robić...

– Ktoś powinien.

Podkomisarz powłóczył nogami, podchodząc do szafki. Kiedy nie znalazł w niej piwa, otworzył lodówkę.

– Nie znajdziesz w tym mieszkaniu ani kropli alkoholu – poinformował go Berg. Chłopak rzucił mu agresywne spojrzenie i odpychając go na bok, zanurkował pod zlew w poszukiwaniu setki. Gdy tam również nic nie znalazł, podszedł do komisarza i wykonał próbę zadania ciosu. Ten jednak sprawnie chwycił jego kościsty nadgarstek, wywinął mu rękę na plecy i z dużą siłą przycisnął do blatu stołu:

– Nigdy więcej tego nie próbuj! Rozumiesz, kurwa?!

– Tak! Przepraszam... – wydukał Młody ze łzami w oczach. Pokornie usiadł na krześle i schował twarz w dłonie. – Wszystko spierdoliłem. Wszystko!

– Nie dramatyzuj. Teraz nie myślisz jasno, jesteś jeszcze pijany.

– Wiem, co mówię.

– Gdzie Basia?

– No przecież nie tutaj... Nie mogła mnie dłużej znosić. Kto by mógł? To nie jej wina.

– Kiedy zacząłeś pić?

– Dwa tygodnie temu... – odparł po chwili zastanowienia, jakby urywając w połowie zdanie.

– Dlaczego?

– Spierdoliłem robotę.

– Chodzi o to samo dochodzenie? To, przez które nie dołączyłeś do „Szakala”?

– To samo – szepnął prawie niedosłyszalnie. Dłubał przy

paznokciach, trzymając dłonie pod stołem. Wzrok wlepił w blat. Odpłynął gdzieś myślami.

Domofon zadzwonił z nagłą. Wyrwany z letargu Młody podskoczył tak, jak gdyby powietrze przeszył huk wystrzału. Berg rzucił mu podejrzliwe spojrzenie, po czym otworzył drzwi dostarczycielowi jedzenia.

– Kiedy ostatnio jadłeś? – zapytał, przelewając zupę pomidorową ze styropianowego pojemniczka do miski. Sam nie lubił jeść czy pić ani ze styropianu, ani z papieru. Wydawało mu się, że w takim „serwisie” wszystko smakuje gorzej.

Młodemu było to teraz zupełnie obojętne. Zażenowany swoją wcześniejszą reakcją odburknął:

– Nie pamiętam.

– To jedz powoli, bo cię cofnie.

Berg lekko poklepał chłopaka po ramieniu i wyszedł z kuchni. Włożył sobie papierosa do ust i skierował się na balkon. Przechodząc obok otwartych drzwi sypialni, uświadomił sobie, że tego pokoju jeszcze nie przeszukał. Sprawdził pod łóżkiem, za nocną szafką i w szufladzie. Wydobył z niej piersiówkę i wkładając ją sobie do kieszeni bluzy, wyszedł na balkon. Na zewnątrz szarzało. Zaczęło padać. Rzadkie krople deszczu wolno opadały na ziemię. Tu, na czwartym piętrze, pchane wiatrem zataczały koła i spirale. Tańczyły, jak im eter zagrał. Komisarz oparł się o balustradę i zapalił papierosa. Żar syknął, spalając nieco pergaminu i tytoniu. Jeszcze kilka miesięcy temu palił tylko okazjonalnie. Teraz nie wyobrażał sobie dnia bez papierosa. Przyjrzał mu się dokładnie. Wiedział, że nie powinien palić. To złe dla zdrowia. Złe dla kondycji i wydolności fizycznej. Wszystko przez stres. A Młody... Do czego doprowadziła go ta robota? Berg uważał go za silnego i upartego aż do granic przyzwoitości człowieka. Teraz wydawał mu się słaby, a co gorsza – zrezygnowany. Upłynęło kilka minut i Młody dołączył do niego na balkonie. Usiadł pod ścianą na niewielkim drewnianym stołku i wyjął z kieszeni srebrne westy. Berg użyczył mu zapalniczki, pytając:

– Zwolnili cię z roboty?

– Nie... Dostałem miesiąc urlopu. Został mi jeszcze tydzień. Chciałem się ogarnąć w tym tygodniu...

– Tak to sobie obmyśliłeś, co? Kilka dni to za mało, żeby wrócić do formy.

– Dam radę. Pamiętaj, że nie mam skłonności do uzależnień.

Tutaj podkomisarz miał rację. Kiedy rok temu ścigali Wilka, Młody został przez niego porwany i naszprycowany dużą ilością heroiny. Nigdy potem nie sięgnął po dragi i szybko wrócił do zdrowia.

– Chcesz pogadać o tym, co się stało?

– Nie mogę. Nawet nie wiesz, jak bardzo chciałbym to z siebie wyrzucić, ale nie mogę.

– Rozumiem.

– To mnie zżera od środka. Nie masz pojęcia... – Jego wychudzone ciało zaczynało drżeć od chłodu. Wciągał dym głęboko do płuc. Na jego palcach pojawiły się przebarwienia od nikotyny, których kilka miesięcy wcześniej wcale tam nie było. Berg stanął plecami do balustrady i splótł ręce na piersi, zaczynając opowieść:

– Jak byłem dzieciakiem, mój ojciec pił na umór. Miesiącami. Awanturował się wtedy, bił mamę.

Zawsze myślałem, że stawał się innym człowiekiem, jakby coś w niego wchodziło i przejmowało nad nim kontrolę. Normalnie był przyjemnym gościem. Wszyscy go lubili. Kiedy pił – szatan. Zamykałem się w pokoju ze strachu, siadałem przy drzwiach i modliłem się, żeby przestał krzyżeć. Jednocześnie chciałem słyszeć wszystko, co mówił, wiedzieć, co dzieje się po drugiej stronie, ale tego nie widzieć. Raz za razem powtarzałem modlitwę, żeby Bóg to zatrzymał. Żeby go powstrzymał.

– I co?

– Miałem już piętnaście lat i więcej do mnie docierało. Zrozumiałem, że jedyną pomocą, jaką mogę dostać od Boga, będzie odwaga. Wtedy po raz pierwszy zadzwoniłem po policję.

– Wezwałeś psy na własnego ojca?

– Nie miałem wyjścia. Groził mamie, że ją zabije. Przeraziło mnie to wtedy... Kiedy tylko weszli do mieszkania, ojciec się wycofał, usiadł pokornie i udawał baranka. Pomyślałem, że ci policjanci byli jak aniołowie. Przynieśli spokój i ciszę tam, gdzie przed sekundą szalało pieprzone tornado.

– Przejebane dzieciństwo...

– Nie masz pojęcia... Chodzi mi o to, że to, co dzieje się w twojej głowie, to tylko stan. Może przejść, potrzebujesz tylko odpowiedniego bodźca. I musisz dać sobie pomóc.

Komisarz zapalił kolejnego papierosa. Czuł, że jego dłonie zaczynają marznąć. Kontynuował:

– Mam pewną sprawę. Pomyślałem, że może mi pomożesz. Wiesz, czy CBA ma teraz oko na kogoś wysoko postawionego – polityka, służbistę, biznesmena... – zadającego się z prostytutkami?

– A bo mało jest takich? Jakieś konkrety?

– Tydzień temu wyłowiono z Wisły ciało dziewczyny. Izabela Kolada.

Młody drgnął, zaciągnął się nerwowo papierosem i odpowiedział:

– Nie znam.

Jego zachowanie wydało się Bergowi podejrzane. Nie był jednak pewien, czy Młodym zatrząsł schodzący z niego alkohol, czy brzmienie nazwiska dziewczyny. Ciągnął dalej:

– Zginęła od strzału w tył głowy. Prawdopodobnie musiała przy tym klęczeć, bo miała obtarte kolana. Ręce i nogi związali jej tak mocno, że paski werżnęły się do krwi. Przywiązali jej do szyi kamienny blok i wyrzucili pośrodku rzeki. Bestie.

Miała tam zostać, nieodnaleziona, ale widocznie zrobili to niechlujnie, bo ciało się odwiązało. Dryfowało nurtem trzydzieści kilometrów w dół rzeki. Była cała posiniaczona. Młody zaciągał się raz za razem. Wodził spojrzeniem we wszystkich kierunkach, jakby szukał czegoś, na czym mógłby zawiesić wzrok. Było już dla Berga jasne, że to właśnie temat wywoływał w nim niepokój.

– Nie mogę ci pomóc – zapewnił podkomisarz po chwili milczenia. – Zaraz się porzygam... – Pobiegnął szybko w stronę toalety.

– To normalne...

Komisarz dopalił papierosa i sięgnął do kieszeni po piersiówkę. Upił z niej łyk lekko brązowego płynu. Alkohol ogrzał go przyjemnie od środka, pozostawiając w ustach ostry posmak ziół. Wrócił do mieszkania. Założył wiszącą w przedpokoju skórzaną kurtkę, kiedy Młody, opróżniwszy zawartość żołądka, wyszedł z łazienki.

– Pójdę kupić ci coś do jedzenia, bo zostały ci tylko fajki i pieprzony rumianek. Zaparz sobie, dobrze ci zrobi. Zaraz wrócę.

Zabrał ze sobą dużą, czarną torbę na śmieci wypełnioną butelkami i

zamknął mieszkanie na klucz, a kiedy wrócił, Młody siedział w kuchni pochylony nad szklanką herbaty. Przynajmniej współpracował. Komisarz odłożył torbę z zakupami i usiadł naprzeciw kolegi.

– Teraz odpowiedz mi szczerze. Mam cię zawieźć na odwyk czy zrobimy to sami?

– Dam radę, Berg. Serio. Możesz mnie zamknąć w mieszkaniu, jeśli chcesz...

– Tak zrobię. Słuchaj dobrze: dzwoń z czymkolwiek. Pomyślisz o wódce, o czymkolwiek negatywnym, wystraszysz się własnego cienia, dzwoń!

– Jasne...

Komisarz patrzył na Młodego badawczo. Oczywiście nie mógł mieć pewności, że chłopak podoła, co więcej, spodziewał się ewentualnej porażki; postępu, potem znowu kroku w tył. Wyciągnął z kieszeni mały notatnik z długopisem, który zazwyczaj służył mu do pracy, i zapisał w nim numer telefonu.

Wyrwaną kartkę podał przyjacielowi.

– Nowy numer?

– Powiedzmy, że bardziej prywatny. Zachowaj go dla siebie. Przyjadę rano.

Młody przytaknął. Zapewnił, że zamierza wziąć prysznic i położyć się spać. Brzmiał dość przekonująco i komisarz przez moment rozpoznał w nim „swojego” Młodego. Tego zawziętego, który panuje nad sytuacją. Tak, jak ustalili, zamknął go w mieszkaniu i zszedł do samochodu. Była dwudziesta trzydzieści. Pomyślał, że jest jeszcze na tyle wcześnie, że może podjechać do żony. Tylko, żeby się przywitać. Tęsknił za nią. Mógł do niej uprzednio zadzwonić, ale wtenczas umówiliby się na jutro albo na jeszcze inny dzień. A pragnął zobaczyć ją teraz. Choć na chwilę. Jechał wolno przez znajome uliczki dzielnicy, w której niegdyś mieszkał. Kiedy znalazł się przed ich wspólnym domem, serce zabiło mu szybciej. Budynek wyglądał z jednej strony bardzo znajomo, z drugiej – nieco obco, świeżo. Wydał mu się większy, niż go zapamiętał. Ściany były bardziej białe, a ogródek przestronniejszy. Mijał wrzosy rosnące po obu stronach ścieżki. Sadzili je wspólnie dwa lata temu. Dom odziedziczyli po ojcu Ewy. Podobnie jak i kawiarnię, którą prowadziła. Niemalże cały ich wspólny

majątek pochodził właśnie od strony jej rodziny, co zawsze wprawiało Berga w poczucie dyskomfortu. Nigdy nie zapomniał, kiedy kilka miesięcy po poznaniu Ewy przypadkiem zasłyszał jej rozmowę z ojcem, który powiedział: „wiesz, córeczko, że życzę ci jak najlepiej, ale z tym chłopakiem niczego się nie dorobisz”. Komisarz miał mu za złe taką ocenę. Uważał się wtedy bowiem za chłopaka zaradnego i mądrego. Choć pochodził z biednej rodziny, planował szybką, wielką karierę w policji. Czas zweryfikował rzeczywistość. Wprawdzie Berg pracował ciężko, ale nigdy nie był w stanie dorobić się większych pieniędzy. A dokładając do tego ilość stresu i jego ciągłą nieobecność w domu... I jeszcze to, co wydarzyło się ponad rok temu! Cóż, nie dziwił się, że Ewa miała dosyć. Miał jednak nadzieję, że kilka miesięcy separacji zadziałało na nią tak, jak na niego. Wywołały tęsknotę i rozbudziły miłość.

Ciągle miał swój zestaw kluczy do domu. Chcąc uszanować potrzebę Ewy do zwiększenia dystansu między nimi, zdecydował się zadzwonić do drzwi. Jak każdy normalny gość. Kilka sekund później w progu stanęła żona. Była uśmiechnięta i piękna! Piękniejsza niż zwykle. Z wnętrza domu dobiegły do jego uszu obce głosy.

– Alan, wróciłeś!

– Masz gości? Mogę przyjść kiedy indziej.

– Przestań... Wejdz. To Marcin i Klara.

Klara była siostrą Ewy. Kiedy Berg widział się z nią ostatnio, oczekiwała narodzin swojego pierworodnego syna. Odwiesił skórzaną kurtkę na haku i podążając za Ewą, przeszedł do salonu. Goście przywitali go życzliwie. W rogu pokoju stał mały fotelik samochodowy, a w nim spało trzymiesięczne niemowlę – Tymek.

– Gratulacje! – powiedział cichym głosem komisarz, starając się nie obudzić dziecka. Klara zapewniła, że nie musi szeptać, bo maluch, gdy śpi, to jak zabity. – Marcin, wyglądasz jak cień człowieka!

– Daj spokój... Nie śpię od trzech miesięcy! Ocalisz mnie i napijesz się ze mną piwa? Klara karmi, Ewa się solidaryzuje... Czuję, że mój poziom testosteronu niebezpiecznie spada.

– Niestety nie mam żadnego piwa – wtrąciła Ewa, na co Alan

poklepał Marcina po plecach w geście pocieszenia.

– Chodź, w garażu na pewno jakieś zostały.

Wyszli z domu i przeszli do garażu obok. Kiedy Alan otworzył drzwi, jego oczom ukazał się biały chevy, typ SUV.

– To wasze?

– Tak.

– Nieźle, nieźle.

– Większa rodzina, większy samochód.

– Nie tylko większy, ale też szybszy. Dobry wóz.

– Z prędkości to akurat nie bardzo mogę korzystać. Jak tylko dociskam pedał, Klarka krzyczy, że mam zwolnić – przyznał Marcin tonem pełnym rozczarowania, a Alan wydobył z górnej szafki sześciopak piwa. Otworzył dwie butelki i jedną z nich podał szwagrowi.

– Masz, piwo na pocieszenie.

– Dzięki.

– Za nowe pokolenie – wzniósł toast Alan i chwilę potem wrócili do domu.

Gdy przekroczyli próg, komisarz zauważył swoją żonę noszącą na rękach Tymoteusza. Wyglądała pięknie. Zbyt pięknie. W sercu Alana pojawił się cień goryczy, lecz zbył go uśmiechem. Pewnie przeszedł do pokoju i podszedł bliżej.

– Cześć, Tymek. Jestem twoim wujkiem. Uroczy jest! – zwrócił się do Klary z uśmiechem. – Mogę? – Żona ostrożnie podała mu niemowlę, które czule wtuliło się w ciało komisarza.

– Uśmiechnął się – zauważyła Ewa.

– To chyba znaczy, że mnie polubił. – Oczarowany, zapatrzył się na tego małego człowieka. Przyjrzał się miniaturowym paluszkom, rumianym polikom i jakby napuchniętemu noskowi. Delikatnie kołysał kruszynę w ramionach. – I co z ciebie będzie, mały?

– No – uśmiechnęła się szeroko Klara, patrząc kątem na męża – Marcin już ma dla niego cały plan! Będzie fanem piłki nożnej, nie koszykówki, będzie słuchał klasycznego hip-hopu, grał na pianinie i studiował prawo...

– To jesteś już ustawiony! Znowu zasnął.

– Żeby tak dobrze spał w nocy... – wtrącił Marcin.

– Mogę go od ciebie wziąć – zaproponowała Klara Alanowi.

– Nie trzeba. Potrzymam go jeszcze.

Ewa spoglądała na męża z żalem. Nie wobec niego, ale wobec rzeczywistości. Przecież to mógłby być ich syn. Los zarządził inaczej. Piętnaście minut później młodzi rodzice stwierdzili, że na nich już czas. Mama zapięła delikatnie maleństwo w foteliku. Chłopiec przebudził się z płaczem.

– Zaśnie znowu podczas jazdy – zapewniła.

– Gdzieś odłożyłem kluczyki... – rozglądał się wokół Marcin. Jego chaotyczne ruchy i dezorientowanie zdradzały niewystarczającą ilość snu oraz wypoczynku.

– Nie powinieneś prowadzić po tym piwie – rzucił Alan, odnajdując klucze na kuchennym blacie. – Teraz za samo wążanie alkoholu odbierają prawko...

– Ja poprowadzę – odparła Klara i chwilę później wyjechali z garażu. Ewa i Alan zostali sami w domu, niegdyś wypełnionym miłością. Ona zajęła się sprzątaniami stołu po kolacji. Mąż pomógł pozbierać naczynia. Kiedy zaczęła je myć, stanął obok, opierając się o kuchenny kontuar. Sięgnął po jedno z jabłek leżących w wypełnionej owocami misie.

– Mogę? – zapytał. Czuł się dziwnie obco, jakby nie był panem tego domu.

– Pewnie. Były już myte.

– Fajny ten ich mały.

– Jak poszło w Amsterdamie? – zapytała, zmieniając temat.

– Dobrze. Nic ciekawego w sumie. Dużo pracy, ale zamknęliśmy sprawę.

A u ciebie?

– W porządku. Ostatnio małe problemy w kawiarni. Kilka osób z obsługi znowu się zwalnia i muszę szukać nowych... Chyba tak to jest, jak zatrudnia się studentów.

– Tak to jest, jak chce się płacić mniejsze podatki – uśmiechnął się, a ona przytaknęła na zgodę. Zmienił nagle ton na poważny i smutny. – Z Młodym nie jest najlepiej.

– Jeszcze się nie ogarnął?

– Wiedziałaś?

- Próbowałam mu pomóc, ale nie współpracował.
- A Basia? Powiedział, że się rozstali, ale nie wyjaśnił dlaczego...
- Spotykał się z kimś innym.
- Młody?! Przecież on świata poza Basią nie widział.
- Tak podejrzewała, on nigdy nie zaprzeczył. Zresztą, nie szło mu za dobrze z tą sprawą, którą się zajmował. Chyba to go pogrążyło.
- Zawaliło mu się wszystko naraz...
- Zawsze mógł dokonać wyboru.

Alan zbył tę uwagę milczeniem. Wiedział, że wybór nie zawsze jest prosty. Poczucie obowiązku bywa silniejsze niż własna wola. Po chwili zadał pytanie, które wisiało między nimi od chwili, gdy tylko przekroczył próg domu:

- Myślałaś o nas? – Ewa zakręciła wodę.
- Tak. – Wytarła ręce i z szuflady obok wyjęła kopertę. Podała ją mężowi. – To są papiery rozwodowe. Musisz podpisać.

Alan spojrzał na nią z niedowierzaniem. Odłożył na wprost zjedzony owoc i wyjął pismo. Czytając je pobieżnie, pokręcił głową.

- Liczyłem, że pójdzie to w drugą stronę. Nie wiem, co powiedzieć. Ewa... dlaczego? Tak po prostu przestałaś kochać?

- Nie! Przecież ja nigdy nie przestanę cię kochać.
- Chodzi o pracę? Powiedz słowo, a odejdę z Biura.
- O czym ty mówisz, Alan? – Wiele spodziewała się usłyszeć od niego w tym momencie. Prośby, zapewnienia, zarzuty... Ale podobnej deklaracji nie przewidywała. Zawahała się przez moment i odwróciła wzrok. Szukała w głowie odpowiednich słów i po krótkiej chwili dodała:
 - Ta praca to twoje życie. Nie mogłabym cię o to prosić i nawet bym nie chciała. Takiego cię pokochałam – oficera policji, który chce ocalić cały świat...

- Nie chcę takiego życia ani takiego świata. Chcę ratować nas.
- Nie odpowiedziała. Pokręciła tylko przecząco głową na znak, że nie widzi już dla nich nadziei.

- Więc ciągle winisz mnie za to, co się stało.
- Nie.
- Tak. Gdyby nie ja, nasze dziecko byłoby teraz niewiele starsze od Tymka.

Podeszła do niego i chwyciła dłońmi jego twarz, zmuszając go, żeby

spojrzał jej prosto w oczy, żeby dotarło do niego to, co ma mu do powiedzenia.

– Nie waż się obwiniać za to, co nas spotkało; to ogromna tragedia dla nas obojga i nie było tu twojej winy. Byłeś tam, słyszałeś, co powiedział lekarz.

W moim wieku takie rzeczy zdarzają się często. Dziecko nie było nam pisane. Rodzina nie była nam pisana. Mąż nie dowierzał jej słowom. Odkąd się poznali, w to jedno wierzył najpewniej, że są sobie przeznaczeni i że mają być rodziną. Prędzej czy później. Ona teraz wygaduje takie rzeczy! Niemożliwe, żeby tak myślała. Położył ręce na swoich biodrach. Przeszedł nerwowo kilka kroków i wziął głęboki oddech.

– Chcesz, żebym to podpisał?

– Tak.

– To bądź ze mną szczerą i powiedz, kurwa, dlaczego?

Odsunęła się od męża. Poczowała, jak do jej oczu napływają łzy. Próbowwała to powstrzymać. Powinna brzmieć przekonująco i pewnie. Przecież przemyślała to już wcześniej milion razy. Nie ma innego wyjścia. On żąda prawdy. Zastanawiała się, co mu odpowiedzieć. Nie była pewna. Czowała, że muszą się rozstać. Wiedziała, że tak musi być. Do tej pory jednak unikała zadania sobie tego najprostszego pytania: dlaczego. Zapewniła wymijająco:

– Prawda zawsze leży pośrodku...

– Kurwa, Ewa! Powiedz prawdę!

– Bo za każdym razem, kiedy cię widzę, ten ból wraca! To chciałeś usłyszeć? Zadowolony? – Te słowa, jakby same wyrwały się z jej piersi. Poczowała dziwną ulgę. Ulgę, która przerażała. Alan, bez komentarza, założył kurtkę. Chwycił leżące na kontuarze dokumenty i zapewnił cichym głosem:

– Jak podpiszę, to ci je odwiozę.

– Zaczekaj. Możesz zostać na noc, jeśli chcesz. Wypieś. Albo chociaż zamów taksówkę...

– Do zobaczenia.

Zamknął za sobą drzwi, nie czekając na odpowiedź. Ewa uświadomiła sobie, że być może był to ostatni raz, kiedy Alan wyszedł z domu jako jej mąż. Czowała gniew i wyrzuty sumienia jednocześnie.

Przemyślała swoją decyzję już wiele razy. Byli w separacji od ponad trzech miesięcy i dzięki wyjazdowi Alana nabrała nieco dystansu do ich sytuacji. Odkryła jednak z przerażeniem, że kiedy nie ma go w pobliżu, czuje się znacznie lepiej. Stała się spokojniejsza, zapomniała o bólu po utracie ciąży, a gdy zobaczyła go dzisiaj w drzwiach – wszystko do niej wróciło. I to jakby ze zdwojoną siłą. On nie spodziewał się rozwodu. Jest zaskoczony. Zły. Zawiedziony. Potrzebuje czasu, żeby to przemyśleć i przetrwać. Wtedy na pewno zrozumie jej decyzję. Tak będzie najlepiej. Dla nich obojga. Komisarz wrócił do mieszkania po jedenastej. Zanim do niego wszedł, przesiedział w samochodzie kilkanaście minut, wsłuchując się w ciszę i wpatrując się w ciemność. Decyzja Ewy zaskoczyła go jak nagły cios w tył głowy. Nie zgadzał się z nią. Uważał, że popełniają błąd. Gdyby mógł ją jakoś przekonać, może nawet zmusić do zmiany decyzji, zrobiłby to bez wahania. Ale znał swoją żonę za dobrze. Wiedział, że każda podjęta przez nią decyzja jest zawsze uprzednio wnikliwie przemyślana. Zawsze była uparta. Zawsze wiedziała najlepiej. Może jednak miała rację? Może rodzina nie była im pisana? Nie chciał w to wierzyć. To podważyłoby jego intuicję, a nawet wiarę! Przecież przysięgał jej miłość i wierność aż po grób! Każdy przechodzi przez trudy. Doliny cierpienia są wpisane w jestestwo każdego człowieka. Oni oboje są silni. Silniejsi niż przeciętni ludzie. Dlaczego nie mieliby przez to przejść? Rzucił okiem na leżącą na siedzeniu pasażera kopertę. Jeszcze nie jest gotowy na podpisanie dokumentów. Jeszcze nie wierzy, że musi to zrobić.

Wyczerpany wszedł do mieszkania. Marzył o miękkości materaca i ciepłe kołdry. Chwilę po tym, jak położył się do łóżka, na nocnym stoliku zawibrowała stara nokia 3310, do której numer zostawił Młodemu. Kiedy odzywał się ów aparat, oznaczało to, że należy odebrać, bo dzwoniła Ewa albo ktoś inny, niezmiernie ważny, z ważną sprawą. Drugi telefon, iphone, służył do oficjalnej pracy i mniej istotnych prywatnych spraw.

– Co jest, Młody?

– Muszę się napić, Berg... Albo zaraz zwariuję.

– Nie panikuj – odparł, podnosząc się z łóżka, i sięgnął po leżące na ziemi spodnie. – Oddychaj głęboko i czekaj. Będę za dziesięć minut,

słyszysz?

– Dobra.

Ubierał się całkiem nieprzytomny. Tuż przed otrzymanym telefonem zapadł w pierwszy sen. Płytki i niepozorny, jednak taki, który odłącza świadomość od rzeczywistości. Zamykając mieszkanie, miał problem z trafieniem kluczem w zamek. Przetarł palcami oczy. Zmęczenie. Wyszedł z budynku i świeże, nocne, nieco wilgotne od mżawki powietrze rozbudziło jego zmysły. Uchylił okno w samochodzie, żeby nie stracić tego rozbudzającego czynnika. Gdy dojechał do apartamentowca, był już całkiem przytomny. Otworzył drzwi. W mieszkaniu ciemno. Cisza. Zawołał Młodego, ale nie otrzymał odpowiedzi. „Może jednak zasnął” – pomyślał i cicho wszedł głębiej w przedpokój, który w tym rozkładzie przypominał bardziej korytarz. W miarę jak komisarz zbliżał się do jego końca, gdzie znajdowała się sypialnia i drzwi balkonowe, zaczął zauważać stojącą na zewnątrz postać. Młody. Stał w samym podkoszulku i bokserkach oparty o balustradę. To nie wyglądało normalnie. Berga ogarnął nagły niepokój. Tylko jedna myśl przebiegła przez jego głowę, tragiczna i fatalna. Rzucił się w stronę balkonu i raptownym ruchem otworzył drzwi. Młody odstąpił nagle zaskoczony natarciem. Przerazenie w jego oczach rozplynęło się, kiedy zdał sobie sprawę z tożsamości intruza. Jedną ręką podparł się o balustradę, a drugą położył na torsie, na wysokości serca. Musiał tkwić na balkonie od dłuższego czasu, bo jego blond włosy oklapły od deszczu, a skóra pokryła się gęsią skórką.

– Przestraszyłeś mnie... – oznajmił trzęsącym się od zimna głosem.

– Ty mnie też! Czemu tu stoisz?

Podkomisarz spojrział na niego zmieszany, po czym, jakby zawstydzony, spuścił głowę. Zaczął masować zmarznięte ramiona.

– Chodź do środka – zaproponował Berg, wyciągając ku niemu dłoń.

Przepuścił przyjaciela przodem i zamknął za nimi balkonowe drzwi. Młody chodził nerwowo po mieszkaniu. Stwierdził, że nie da rady; potrzebuje wypić choć jedno piwo. „Zero”, usłyszał w odpowiedzi. Wiedział, że nie ma sensu się stawiać. Berg jest uparty jak osioł, a do tego znacznie silniejszy fizycznie. Przynajmniej teraz. Wszedł do jego mieszkania jak do własnego. Rozglądał się po nim badawczo, nabierając pewności, że lokator nie narozrabiał. Ten jedynie wiercił się

niespokojnie. Jego ciało lekko dygotało. Był blady jak kreda. Na czole błyszczały mu krople potu i deszczu.

– Masz lęki? – zapytał komisarz, kończąc oględziny.

– Co?

– Czy masz stany lękowe?

Młody uśmiechnął się spazmatycznie. Był to odruch rozpaczony i bezradności.

– Przejdzie ci. Zrobić ci coś do picia? Jadłeś coś?

– Trochę. Herbata może być... Jak wchodziłeś do budynku, to nie widziałeś nikogo?

– Nikogo. Słuchaj, paranoje i napady strachu są normalne w takim stanie.

I całkiem bezpodstawne.

– Tak sądzisz, co?

– Idź się przebrać. Jesteś cały mokry.

Młody posłuchał i parę minut później wrócił do kuchni w suchym podkoszulku i ciepłych, dresowych spodniach. Usiadł przy stole. Obiema rękami przeczesał wilgotne włosy, co postawiło je na sztorc. Gdyby nie jego zatroskane oczy, wyglądałby teraz jak niesforny dzieciak. Woda w czajniku zaczęła buceć. Komisarz założył ręce na piersi i przyglądając się uważnie temu wymęczonemu chłopakowi, powiedział:

– Boisz się czegoś, Młody? Dlatego zacząłeś pić? Co oni ci zrobili chłopaku...

Odpowiedziało mu głucho milczenie rozmówcy i gwizd czajnika. Pomyślał, że może lęki podkomisarza wynikają nie tylko z zatrucia alkoholem, ale mogą mieć całkiem realne podłoże. Nie da się rozwiązać wszystkiego naraz, nie podczas jednej nocy. Czasami sama obecność może być pomocna. Zalewając dwa kubki herbaty, kontynuował z przekazem:

– Chaber ma do ciebie żal. Nie piszesz, nie dzwonisz. Chyba tęskni...

– Niech sobie znajdzie chłopaka.

– O to niełatwo w naszej robocie.

– Wiem coś o tym. Basia i tak długo ze mną wytrzymała. Ostatecznie podejrzewała, że robiłem ją na boku.

- A robiłeś?
- Nie – odparł po chwili milczenia i objął dłońmi gorący kubek.
- Jeśli chcesz, mogę z tobą zostać. Przekimam na kanapie.
- Zwymiotowałem na nią...
- No, to mam nadzieję, że nie chrapiesz w nocy.

To była trudna noc. Co pół godziny Berg przebudzał się mimowolnie. Za każdym razem odkrywał, że leżący obok niego podkomisarz Sikorski śpi głęboko. Wprawdzie nie chrapał, ale co jakiś czas jego nogi wykonywały impulsywne kopnięcia. Najważniejsze było, że odpoczął, a rano zjedli wspólnie niewielkie śniadanie. Odbyli wtedy niepozorną, codzienną rozmowę. Trochę o pogodzie, trochę o polityce, o jego samopoczuciu... Młody nie dał się wciągnąć w żadne związane z pracą tematy, jednak Berg z ulgą uznał, że stan podkomisarza się polepsza. Chłopak wracał do siebie i nie przejawiał objawów depresji ani niepoczytalności. Był spokojny. Racjonalny. Poprosił komisarza o pomoc, o jeszcze jeden dzień przymusowego detoksu i kurateli. Nie ufał sobie w pełni.

Berg zamknął go w mieszkaniu. Obiecał wrócić po południu. W przerwie podczas pracy. Nie pojechał jednak do biura CBŚP. Miał w planach coś zgoła innego. Zaparkował przy Alejach Ujazdowskich, obok Centralnego Biura Antykorupcyjnego, w którym pracował Sikorski. Sięgnął po telefon i na liście nazwisk odszukał wpis „Głupek Wioskowy”, pod którym skrywała się tożsamość starszego agenta Olafa Borowieckiego – przełożonego Młodego i jednego z niewielu, którzy zaszli komisarzowi za skórę. Zresztą, darzyli się wzajemną niechęcią. Ponad rok temu w Centralnym Biurze Śledczym miała miejsce korupcja. Wykradano narkotyki z policyjnego składu i sprzedawano je ulicznym dilerom. Borowiecki i Sikorski rozpracowywali tę sprawę. Podczas gdy Młody zaprzyjaźnił się z Bergiem, „Głupek Wioskowy” podejrzewał właśnie komisarza o branie udziału w tych przestępczych machlojkach. Doszło wtedy między nimi do spięcia, a później do swoistej rywalizacji o Młodego. Berg traktował chłopaka po partnersku, Borowiecki z kolei jak chłopca na posyłki. Podkomisarz planował opuścić CBA i pod skrzydłami Berga dołączyć do grupy „Szakał”, lecz wtedy pojawiła się „ta” sprawa, którą podsunał

mu Borowiecki. Pochłonęła uwagę Młodego i odroczyła planowany transfer zawodowy. Okazało się, że tamto dochodzenie, o którym Berg wiedział tyle, co nic, nie potoczyło się za dobrze, nie znalazło finału i pozostawiło podkomisarza Sikorskiego w fatalnym stanie psychicznym. Berg uważał, że Borowiecki bezpośrednio czy pośrednio odpowiada za kondycję Młodego. W końcu jest jego przełożonym! Jego niechęć do starszego agenta wzrosła przez to jeszcze bardziej. Teraz chodziło jednak o coś dalece ważniejszego niż prywatne sympatie czy antypatie. Chciał się z nim spotkać, zakopać na chwilę topór wojenny i wyciągnąć od niego informacje.

– Musimy pogadać – oznajmił bez ceregieli do mikrofonu nokii. Nie chciał, by ta rozmowa zarejestrowała się w jego oficjalnym numerze.

– Myślałem, że powiedzieliśmy już sobie wszystko, Berg – odparł Borowiecki, nie ukrywając zdziwienia otrzymanym telefonem.

– Nie przyjeżdżałbym do CBA dla przyjemności.

– Jesteś u nas w Biurze?

– Sterczę przed budynkiem. Nie wpuszczą mnie bez spotkania.

– Poczekaj, wyjdę do ciebie za pięć minut.

Berg zakończył połączenie. Wcześniej liczył, że już nigdy więcej nie będzie musiał spotykać się z tym aroganckim debilem. Nie miał jednak wyboru.

„Trzeba podnieść miecz”

– kom. Alan Berg (ps. Proca)

Podczas gdy Proca czekał na rozmowę ze starszym agentem Borowieckim, w tym samym czasie, w budynku CBS-u, inspektor Tyszka zajrzał przez okno do pokoju Berga i rozczarowany odkrył, że komisarza nie ma w środku. Zapukał więc obok, gdzie urzędowała reszta grupy „Szakal”.

– Gdzie jest Berg? – zapytał chłopaków oschle. Z ust całej trójki wydobyła się masa pochrząkiwań, westchnień, zawodzenia i pojedynczych słów typu „pilnie”, „załatwić”, „musiał” i tym podobnych. Inspektor uniósł gniewnie palec wskazujący i rzekł:

– Jak tylko wróci, ma się do mnie zgłosić. Niewiarygodne, ledwo przyjechał i już problemy!

– Kurwa... – rzucił Impuls rozczarowany tym, jak nieporadnie wyszła im próba krycia szefa.

Nieobecność komisarza w Biurze z niejasnego dla nich powodu była niezwykle okolicznością. Zawsze sumiennie wypracowywał swoje godziny, a często również nadgodziny. Tym razem jednak nikt nie wiedział, co szef robi ani gdzie się podziewa. Chaber do niego zadzwonił. Berg nie odbierał. Komisarz czekał przed bramą wjazdową. Jego ostatnie spotkanie z Borowieckim nie należało do najprzyjemniejszych. W sumie jak żadne z ich spotkań. Poznali się w dość niezręcznych dla Berga okolicznościach, kiedy był obiektem dochodzenia prowadzonego przez CBA i podejrzanym o wyprowadzanie z policyjnego magazynu zarekwirowanych narkotyków. Skakali więc sobie do gardeł, a Młody znajdował się zawsze pośrodku – między przełożonym a przyjacielem.

– Mam nadzieję, że to coś naprawdę ważnego – oznajmił agent, wychodząc przed bramę. Komisarz postanowił, że zaoszczędzi czas

sobie i rozmówcy, szanował zresztą pracę ich obu, przeszedł więc do sedna:

– Potrzebuję akt ostatniej sprawy Młodego.

Borowiecki zawrócił na pięcie, machając ręką rozczarowany.

– Zaczekaj, kurwa... Widziałeś się z nim ostatnio?

– Jest na urlopie.

– Pije od dwóch tygodni. Złamali go, zastraszyli, szantażowali, Bóg jeden wie, co jeszcze.

– To jego prywatna kwestia.

– Prywatna kwestia?! Prokurator ukręcił tej sprawie łeb! I to dlaczego? „Bo jest nierozwojowa...”? Tydzień temu znaleźliśmy ciało, które może mieć z nią związek, więc chyba jednak jest rozwojowa. To dochodzenie powinno zostać wznowione...

– Berg, czyś ty zwariował? Te akta są utajnione. Nic ode mnie nie dostaniesz.

Borowiecki zaczął się oddalać, wtedy Berg wytoczył inne działa:

– Rozpracowujesz teraz Wrońskiego, prawda? Duża sprawa. Wroński, za dnia wzorowy glina, a po godzinach współpracownik Radka Bonosza, ksywa Krótki. Wroński bierze osiem kafla miesięcznie za osłonę działań Krótkiego i inne parszywe usługi...

– Skąd wiesz to wszystko?

Berg miał swoje dojścia i nie zamierzał się nimi chwalić przed agentem. Przez ostatnie miesiące pozostawał w stałym kontakcie ze swoimi współpracownikami i z niektórymi wtyczkami. Był na bieżąco z informacjami kto z kim, co i dlaczego. Przynajmniej częściowo. Wystarczająco, żeby móc te informacje wykorzystywać wedle własnych potrzeb i interesów. Dane o sprawie Wrońskiego otrzymał miesiąc temu. Jako ciekawostkę. Biuro prowadziło bowiem dochodzenie w sprawie grupy przestępczej podejrzewanej o handel bronią i narkotykami. Wiadomym było również, że pomaga im jeden z funkcjonariuszy ze stołecznej. Chciwy, o wątplych moralach – Wroński. Mimochodem Berg usłyszał przy tym nazwisko agenta Borowieckiego jako szczególnie zainteresowanego sprawą skorumpowanego policjanta. Wiedział już wtedy, że ta informacja, kiedyś mu się przysłuży. Teraz pan „Głupek Wioskowy” dawał mu swoją pełną uwagę. Komisarz oparł obie ręce o biodra i pewnym tonem oznajmił:

- Daj mi akta sprawy Młodego, a wystawię ci gościa.
- Niby jak?
- To już moja prywatna kwestia. Zrób to, a dostaniesz Wrońskiego na talerzu.

Borowiecki wsadził dłonie do kieszeni i przestąpił z nogi na nogę. Znajdował się w kiepskim położeniu. Niekomfortowym. Podobnie jak Berg nie znosił sytuacji, gdy ktoś miał nad nim przewagę, gdy wiedział coś więcej. Zamyślił się. Wiedział, że jakkolwiek podejmie teraz decyzję, nie wyjdzie z nią w stu procentach wygrany. Niech to! Gdyby chociaż stał przed nim ktoś inny. Ktokolwiek, tylko nie Berg, który działał na niego wyjątkowo irytująco. Niech będzie... Przynajmniej posunie sprawę do przodu. Od dłuższego czasu nie szło mu za dobrze w zamykaniu dochodzeń. I jeszcze ta ostatnia sprawa Młodego zakończona totalną porażką... Przytaknął nieznacznie i patrząc gdzieś w bok, rzucił niechętnie: „zgoda”, i wrócił do budynku, zostawiając komisarza za sobą. Berg uśmiechnął się do siebie. Nic nie sprawiało mu większej przyjemności niż dobrze użyta przewaga informacyjna. No, może poza strzelaniem. Naszła go ochota na papierosa. Nie chciał jednak palić przed budynkiem CBA. Nastał się tutaj już wystarczająco długo. W samochodzie również nie zapali. Jego taurus miał ponad dwa lata. Przeszedł przez kilka napraw zewnętrznych, wyklepań i odmalowań. Wszystkich uszkodzeń nabawił się w trakcie służby. Wnętrze było jednak w doskonałym stanie. Właściciel dobrze o niego dbał. Dbał tak, że mimo upływającego czasu w środku wciąż dał się wyczuć zapach tapicerki, która jakby niedawno opuściła fabrykę. Kiedy tylko Berg wszedł do wozu, usłyszał dzwoniący w kieszeni spodni telefon. Wyprężył się, żeby wydostać go ze zgięcia przy biodrze.

- Co jest, Chaber?
- No, właśnie nie wiem. Tyszka cię szukał, a my nie mieliśmy dla ciebie dobrego wytłumaczenia.
- A, to już po dziesiątej...
- Nie żebyśmy coś, wiesz... Dla nas jest okej, dajemy radę. Ale on chyba przyzwyczał się, że zawsze byłeś od dziesiątej. I brzmiał, jakby miał jakąś sprawę.
- Niedługo będę – odparł komisarz spokojnym tonem. Nie przejął się

ani spóźnieniem, ani wspomnianą „sprawą” Tyszki. Domyślał się, że jeżeli jest to kwestia nie cierpiąca zwłoki akurat teraz (tuż po jego powrocie), to prawdopodobnie nie wychodzi ona bezpośrednio z biura inspektora, a z biura „wyżej”. A tego typu sprawy wymagają raczej cierpliwości i opanowania, a niżeli przejmowania się nimi.

Jechał przez miasto spokojnie. Odzwyczyił się nieco od chorobliwego ruchu drogowego charakterystycznego dla serca Warszawy. Podczas pracy w Amsterdamie korzystał z samochodu (jako pasażer) tylko jeśli wymagała tego sytuacja operacyjna. Na co dzień przemieszczał się jednak głównie rowerem, o czym postanowił nie rozpowiadać na lewo i prawo. Zgadywał, że stałoby się to obiektem żartów; szczególnie ze strony Młodego, którego pasję i przywiązanie do kolarzówki Berg nieraz traktował z cynizmem i pobłażliwą dezaprobatą. Nie byłoby wytłumaczeniem, że w Holandii jest inaczej, że tam, w przeciwieństwie do Warszawy, rowerem jest lepiej, szybciej i wygodniej. Tam było jakoś spokojniej.

A tutaj? Szybko i nerwowo.

Wjechał na parking i z satysfakcją odkrył, że jego stare miejsce postojowe jest puste. Ktokolwiek je sobie przywłaszczył, niech teraz wie, że komisarz wrócił i upomina się o swoje. Wszedł z samochodu i zbliżając się do budynku, sięgnął po papierosa. Już miał go zapalić, gdy nad głową usłyszał przeciągły, mocny gwizd. Uniósł spojrzenie ku górze. Z okna jego własnego biura wyglądał nadinspektor Brocki. „Co on do cholery tam robi?” – pomyślał Berg zirytowany. I w dodatku ten gwizd. Jak do psa. Komenda „noga” i Berg musi podążyć. Pokornie, schodami na górę. Nie windą. Schody pomogą mu wyzbyć się choć części negatywnej energii, która wezbrała w jego żołądku na widok przełożonego, którego ani nie lubił, ani nie szanował. Brocki miał zwyczaj ignorować Berga, kiedy sprawy toczyły się dobrym rytmem. Odzywał się jedynie z naganą, kiedy coś szło nie tak, i stawał przed obiektywami kamer, gdy trzeba było wziąć kredyt za rozwiązane dochodzenie. O co mogło chodzić tym razem? Może o jeden czy dwa raporty spisane nieco pobieżnie, które przesłał im z Holandii. Ale skąd by wiedzieli?

Przecież nie było ich na miejscu.

Wszedł do swojego pokoju i jego ciśnienie ponownie skoczyło. Brocki siedział za biurkiem. Jego biurkiem! Przy oknie stał inspektor Tyszka, który rzucił Bergowi spojrzenie przesycone współczuciem. Nadinspektor miał poważną minę. Nie przywitał się nawet, tylko kazał komisarzowi usiąść naprzeciw siebie. Ten usiadł i czekał. W milczeniu. Brocki przyglądał mu się przez moment. Nie wyglądał jednak, jakby zastanawiał się, co powiedzieć, wręcz przeciwnie. Patrzył na Berga wyzywająco i arogancko, wystawiając jego nerwy na zaczepną próbę cierpliwości. Po chwili, która zdawała się ciągnąć w nieskończoność, pokiwał głową i powiedział:

– Holendrzy są zadowoleni ze współpracy.

„Oczywiście, że są, bo rozwaliliśmy ten cholerny gang, aż gwizdało – pomyślał komisarz – ale od ciebie nie usłyszę ani słowa pochwały, ty impertynencki chamie...”

– Bardzo mnie to cieszy – odparł po chwili Berg.

– Teraz wakacje się skończyły. Zostawiłeś chłopaków bez opieki i pracowali jak cię mogę, ale bez efektów.

– Nie potrzebują opieki, nadinspektorze, i zebrali bardzo dużą wiedzę na temat gangu żoliborskiego.

Brocki uśmiechnął się ironicznie i nachylając się nad biurkiem, odparł:

– Czy mogę „wiedzę” wsadzić do paki?

– Z całym szacunkiem, nad...

– Czy moogę „wiedzę” wsadzić, Berg? – Brocki zająknął się, co oznaczało, że zaczynał się denerwować. Komisarz wiedział, że opór i dyskusja nie mają racji bytu, odparł więc krótko:

– Nie.

– To zagoń tych swoich poozerów do roboty! Dzisiaj jedziesz do proouratora prosić o kolejne przedłużenie dooochodzenia. Wiesz, że znowu termin upływa?

– Tak, wiem.

– Nie mam pojęcia, jak go uproosisz tym razem, ale to już twoja sprawa.

Chcę widzieć efekty.

– Tak jest.

Nadinspektor wstał i skinął na Tyszkę, który również podszedł do drzwi.

Puścił go przodem i na odchodne dodał:

– Mam nadzieję, że teraz podniesiemy statystyki.

– Statystyki... – burknął Berg pod nosem, co jednak nie umknęło wrażliwemu uchu Brockiego.

– Co powiedziałaś?

– Że z pewnością tak będzie. Weźmiemy się za ten Żoliborz, szefie.

Wyszli. Komisarz wziął kilka głębszych oddechów dla uspokojenia, po czym otworzył okno. Usiadł na parapecie i zapalił długo już wyczekiwanego papierosa. Nagłe pukanie do drzwi przerwało mu kolejną próbę spokojnego wypalenia. Chaber, nie czekając na zaproszenie, szybko wszedł do środka.

– Sorry, że nie wyszło nam z kryciem.

– Nie przejmuj się. Nie chodziło o spóźnienie.

– Oczywiście, że nie... A o co?

– Brocki czeka na efekty z Żoliborza.

– Proca, wiesz, że możemy z marszu zgarnąć kilkunastu miśków.

– Nie. Jest za wcześnie. Jak ściągniemy kilkunastu, to się zdemaskujemy.

Będą wiedzieli, że wężymy, i wtedy co?

– Zmienią taktykę, nawyki. Będą ostrożni.

– Właśnie. Niech na razie robią swoje. Czują się bezpiecznie.

Przyjdzie czas, to uderzymy.

Chaber podszedł do okna i usiadł obok na parapecie. Odmówił zaproponowanego mu przez Berga papierosa i zapytał:

– Wiesz, że kończy się nam termin?

– O tak! Brocki mi przypomniał... Pojadę dzisiaj do prokuratora.

– Jak załatwisz to tym razem? Szantaż czy przysługa?

Proca spojrział na niego rozczarowany. Choć może zasłużył sobie na podobne pytanie. Chaber, najbardziej „protokolarny” glina, jakiego znał, przymykał oko na niektóre niekonwencjonalne metody pracy, bo darzył go szacunkiem i sympatią. Sam jednak nie byłby w stanie postępować podobnie, w związku z czym czasami źle odczytywał intencje i metody przełożonego. Po latach współpracy również Berg nauczył się żyć z jakże innym od siebie starszym aspirantem

Chaberskim. Więcej niż to! Nie wyobrażał sobie lepszego współpracownika. No, może poza Młodym, ale tego nie było w pobliżu.

– Nie, Chaber, nic z tych rzeczy – odpowiedział po chwili. Spokojnie.
– Nie z każdym posuwam się do podobnych metod i nie na każdego takie metody działają.

– Na prokuratora nie działają?

– Zastosowanie takich metod na prokuratora byłoby nierozsądne i świadczyłoby o moim niezrównoważeniu umysłowym...

Aspirant uśmiechnął się lekko, maskując zażenowanie. Nie miał zamiaru urazić komisarza ani tym bardziej posądzić go o niezrównoważenie umysłowe. Raczej starał się nawiązać z nim jakąkolwiek swobodną rozmowę. Po prostu naturalnie, po ludzku, stęsknił się za nim. Proca dopalił papierosa i powiedział:

– Widziałem się z Młodym.

– Co u niego? – Chaber wyprostował się i spoważniał.

– Nie najlepiej, ale trzyma się jakoś. Pił.

– Powinienem był do niego pojechać, ale nasza ostatnia rozmowa nie należała do najprzyjemniejszych.

– Wątpię, czy by cię wpuścił. Był dość niechętnie nastawiony do jakiegokolwiek pomocy. Myślę, że niedługo się ogarnie. Wróci do życia.

– Dobrze by było. Nie będę ci dłużej zawracał głowy – powiedział starszy aspirant, wstając z parapetu, i wolno podszedł do drzwi. – Chciałem przede wszystkim wiedzieć, czego czepiał się Brocki.

– Chaber, zrobisz coś dla mnie?

– Tak, oczywiście – odparł spokojnie, choć w środku ucieszył się jak dziecko. Czekał na to pytanie od miesięcy!

– Pamiętasz Kapsela?

– Rafał Puławski, urodzony dwunastego sierpnia siedemdziesiątego roku.

Matka Barbara, z domu Szafrńska...

– Dobra, dobra... – zatrzymał go Proca. Usiadł za biurkiem i uruchamiając komputer, kontynuował: – O ile dobrze pamiętam, pracuje teraz w jakimś kebabie, namierzysz mi go?

– To kebab przy Grójeckiej, chyba dwadzieścia.

Komisarz spojrział na aspiranta uważnie, splatając dłonie na biurku.

Nie bez powodu uważał Chabra za specjalistę od ludzi. Potrafił z nimi rozmawiać, rozpracowywać i zapamiętywać choćby najdrobniejsze szczegóły. Gdyby padł cały policyjny system kartotek i spłonęłyby wszystkie akta, to z pewnością „Szakal” byłby jedyną grupą, która nie zostałaby sparaliżowana przez brak dokumentacji.

Chaberski nosił wszystko w głowie.

– Ty to jesteś stalker dla połowy warszawiaków – odparł Berg po chwili nieco uszczypliwie.

– Cieszę się, że mogłem pomóc. A to ma związek z żoliborską?

– Nie.

Komisarz odparł pewnie i krótko, co oznaczało, że chce wrócić do pracy i nie poświęci już żadnej uwagi starszemu aspirantowi. Chaber zostawił go więc samego. Ten nie posiedział zbyt długo w Biurze. Przejrzał kilka profili i raportów z działań rozpoznawczych prowadzonych wokół grupy żoliborskiej, jednak ciągle odpływał myślami gdzieś indziej. Uruchomił wyszukiwarkę komputera i wstukał nazwisko: „Izabela Kolada”. Przed jego oczami rozwinęła się długa lista artykułów, wszystkie poświęcone śmierci. Zabójstwu. Same pytania. Kto? Dlaczego? Jak? Żadnych odpowiedzi. Jedna informacja przykuła jego uwagę: „Pogrzeb osiemnastego września. Cmentarz Bródnowski. Żegnają rodzina i przyjaciele”. Młoda zagubiona dziewczyna. Zamordowana tak bestialsko. Dochodziła pierwsza. Pora posiłku. Tym razem Berg postanowił, że nie odpuści sobie długo oczekiwanego obiadu. Dotrze to „Becketta” i weźmie na wynos dwa porządne dania – dla siebie i Młodego. Z chęcią zjadłby na miejscu. Lubił cichy i nieco oniryczny klimat tej restauracji, która wieczorem przeistaczała się w bar.

Wszedł do środka i rozpoznał ją od razu. Basia. Kiedy widzieli się ostatnim razem, była szczęśliwą dziewczyną u boku Młodego. Teraz wydawało się, że przez jej twarz przechodziła ryna bólu i rozczarowania. Mimo tego nadal była piękna – niewysoka, szczupła, a z jej niby kruchej postury biło coś mocnego. Stanowczego. Berg poczuł narastające w sercu wyrzuty sumienia. To przecież on zapoznał ze sobą tych dwoje. To on przyprowadził tu Młodego, który od pierwszego wejrzenia nie mógł oderwać wzroku od skromnej i uroczej kelnerki. Chłopak zawałił sprawę. Skrzywdził Basię. Komisarz

nie był pewien jak i dlaczego, ale efekt był jasny. Rozpad związku. I złamane serce. Dziewczyna podniosła zielone oczy na komisarza. Momentalnie na jej twarzy pojawił się szeroki uśmiech. Wyszła mu naprzeciw i przywitała przyjacielskim uściskiem.

– Kiedy wróciłeś?

– Przedwczoraj. W końcu! Te trzy miesiące ciągnęły się okropnie...

– Nie żartuj! Wiele bym dała za taką chwilową zmianę scenerii.

– Może więc jestem trochę niewdzięczny.

Uśmiechnęła się lekko. Spojrzeli na siebie niemo, choć oboje wiedzieli, że myślą o tym samym. O pozornie idealnym małżeństwie, które zbliżało się do nieuchronnego rozpadu. Basia słyszała już, że Ewa planowała wystąpić o rozwód, ale nie wiedziała, że on ma już w domu papiery. Zasłużył sobie na to. Myślał, że żona zawsze będzie przy nim, na dobre i złe, choćby zniknął dniami i nocami, nie dzwonił, nie tłumaczył, gdzie jest ani co robi. A robił wyłącznie pracę. Tylko tyle. I aż tyle.

– Usiądziesz, gdzie zawsze? – zapytała po chwili, wskazując na pusty stół przy oknie.

– Nie. Właściwie to dzisiaj muszę wziąć na wynos. Dwie porcje – dodał nieco ciszej i przeczesnął dłonią swoje zmierzwiłone, ciemne włosy. – Umówiłem się z Młodym.

Basia spuściła wzrok. Zauważył, że jej broda nieco zadrżała, lecz dziewczyna uniosła głowę i sucho zapytała:

– Jak się trzyma?

– Lepiej. Chociaż wczoraj był w nie najlepszym stanie. Basiu, przykro mi, że tak to się potoczyło.

– Niepotrzebnie. To przecież nie twoja wina.

– Nie wiem tak naprawdę, co się stało... – powiedział niemalże szeptem.

Próbował spojrzeć jej w oczy, ale ona ciągle uciekała wzrokiem. Stąpała z nogi na nogę i pragnęła w duchu, żeby ta rozmowa skończyła się jak najszybciej. Nie wiedziała, jak długo jeszcze będzie w stanie powstrzymać się od łez.

– To nie jest pora ani miejsce na taką rozmowę. Zresztą on jest twoim przyjacielem, jak będzie chciał, to ci opowie. Naszykować to, co zazwyczaj?

– Tak, poproszę. – Berg dał za wygraną. Nie chciał jej męczyć wyraźnie niewygodną rozmową, chociaż chęć poznania szczegółów ich rozstania była wielka.

Basia przekazała zamówienie do kuchni i zniknęła na zapleczu. Postanowiła unikać komisarza w miarę możliwości. Otrzymałszy dwa styropianowe pojemniki wypełnione rumianymi ziemniakami, pieczenią i prażonymi burakami, włożyła je do torebki foliowej. Pomyślała, że za kilka minut jedna z tych porcji trafi w ręce człowieka, który przysporzył jej wiele łez, a którego ciągle kochała. W jej sercu bezustannie walczyły o miejsce współczucie i złość. Wciąż chciała być z Julianem. Blisko. Zwyczajnie. W jednym mieszkaniu; jak niegdyś dzielić przymioty codzienności. Odeszła na własne życzenie, choć uważała, że sytuacja tego wymagała. Jej szacunek do samej siebie tego wymagał. Nie mogła pomóc ukochanemu, nie potrafiła. On nie chciał jej pomocy. Jaki sens miałyby dalsze umartwianie się? Kiedy postanowiła odejść, ulżyło jej nieznacznie, choć do ostatniego momentu liczyła, że coś w nim pęknie, że przejrzy na oczy i opamięta się. On jednak do końca pozostawał zamknięty w swoim świecie, buńczuczny i wulgarny. Obcy. Przemawiał przez niego alkoholowy amok, a jednak każde słowo bolało ją dogłębnie. Nigdy nie zapomni bezdechu, który poczuła, gdy wyzywał ją epitetami. Patrzył wtedy na nią obłądnymi oczami. Nie był sobą, ale to go nie tłumaczy. Nie mogła mu pomóc... Może Alan będzie miał na niego większy, lepszy wpływ.

Przekazała komisarzowi torbę z jedzeniem. Omal nie wyrwało się jej „pozdrów go ode mnie”, lecz opamiętała się. Nie chciała w żaden sposób prowokować dalszej dyskusji. Czuła w sobie burzę złości, która w ogóle do niej nie pasowała. Basia była przecież istotą o łagodnym usposobieniu, troskliwą i wrażliwą. Może właśnie dlatego myśl o wykorzystywaniu przez partnera tych cech tak bardzo ją szargała. Pomyślała nawet, że powinna napluć do tej tacki z jedzeniem! Łagodne spojrzenie Berga odwlokło ją od myśli o prostackiej zemście. Nie знаła drugiego człowieka, który miałby w spojrzeniu taką dobroć. Cieszyła się, że wrócił, jednocześnie żałując, że w ogóle wyjechał. Może gdyby był wtenczas w pobliżu, w porę zauważyłby nadciągające problemy Młodego, może by im zapobiegł. Po twarzy Basi przemknął smutek. Zebrała się w sobie i cicho

poprosiła:

– Opiekuj się nim.

– Doprowadzę go do pionu. Obiecuję – powiedział pewnie Alan i objął ją ramieniem na pożegnanie.

Powoli włączył się do ruchu. Młody nie mieszkał daleko. O tej porze, w dni powszednie, korki były nieodłącznym elementem życia. Jedyną na nie radą wydawała się jazda z kogutem na dachu, jednak dostarczenie pożywienia załamanemu nerwowo funkcjonariuszowi CBA nie należało do spraw niecierpiących zwłoki. Wyjątkowo zator drogowy nie przeszkadzał komisarzowi. Nie spieszył się. Myślał. O Ewie. O Młodym. O Basi. Jeszcze kilka dni temu nie było tego wszystkiego. Pracował w Amsterdamie ciężko, ale w miarę bezstresowo.

Może spowodowała to mniejsza odpowiedzialność. Przebywał tam tylko w formie wsparcia, konsultanta. Holenderski czas płynął wolno. I to nie dlatego, że od czasu do czasu zapalił dobrej jakości zioło, które, nawiasem mówiąc, uwielbiał. Ogólnie miasto nigdy się nie spieszyło, nie spinało. Nikt nie znał tam komisarza i on nie rozpoznawał nikogo. Może poza kilkoma „miškami” będącymi w centrum działań operacyjnych. Tutaj, gdziekolwiek się nie pojawi, nachodzi się z kimś, kto wie, czym się zajmuje, jaki jest i czego można się po nim spodziewać. Ludzie o wątlým kręgosłupie moralnym spuszczają głowę na jego widok bądź skręcają w najbliższą uliczkę, schodząc mu z drogi. Najbliżsi przysparzają samych problemów. Ewa ma dość. Młody i Basia też. Co jest z tym światem? Wszyscy albo się wycofują, albo całkowicie poddają. Tam był spokój. Tutaj – chaos. Może tak powinno być. Rzeczywistość nie jest spokojna. Nigdy nie była. Wszedł do mieszkania Młodego. Podkomisarz siedział zamknięty w łazience, lecz tylko gdy usłyszał wołanie Berga i rozpoznał jego głos, przekręcił zatrask w drzwiach i wyszedł do przedpokoju.

– Akurat zgłodniałem – zapewnił zwyczajnym tonem, jakby akurat skończył załatwiać fizjologiczne potrzeby. Tak naprawdę zamknął się w środku, kiedy usłyszał kroki na klatce schodowej.

– Jak się czujesz?

– W porządku. A ty? Jak w Biurze?

Komisarz przeszedł do kuchni i zaczął przekładać obiad na talerze.

– Dobrze. Brocki ciśnie na aresztowania. Chłopaki robią swoje.

– Czyli nic się nie zmienia.

– Nic. Tak to jest, Młody. Możesz się wycofać z życia, ale życie idzie dalej.

Nie ogląda się na ciebie.

– Nie liczyłbym, że będzie inaczej – zapewnił i spojrzał na talerze. – To z „Becketta”?

– Tak. – Komisarz odparł krótko i obserwował Młodego z wyczekiwaniem.

Ten usiadł przy stole. – Nie zapytasz o Basię?

– O co mogę zapytać? Nie mam nawet prawa pytać.

– Możesz zapytać, czy była, czy pytała o ciebie, czy wyglądała na przygnębioną...

– Berg... – Młody westchnął i zamyślił się. Próbował znaleźć odpowiednie słowa, które trafnie wyraziłyby rzeczywistość. – Nawet jeśli ona czuje się w porządku i pozbierała się, a wierzę, że tak jest, to myśl o tym, co jej zrobiłem, rozwała mnie na kawałki.

Między nimi zapanowała niewygodna cisza. To nie zdarzało się często. Zazwyczaj obaj wiedzieli, co powiedzieć, wiedzieli, co ten drugi chce usłyszeć, a jeśli dochodziło już do ciszy, była to raczej cisza refleksyjna. Młody nienaturalnie poprawił w dłoni widelec i zaczął jeść. Zdenerwowanie podniosło mu poziom kwasu w żołądku, lecz nie odebrało apetytu. Głód był silniejszy. Berg również zajął się jedzeniem. Inaczej wyobrażał sobie ten pierwszy od miesięcy polski posiłek, na który tak długo czekał. Nie mógł się nim w pełni delektować. Za dużo myśli w głowie, za dużo problemów, pytań, które chciał zadać, choć już wiedział, że nie otrzyma odpowiedzi.

– Widzę, że wracasz do siebie – powiedział w końcu, przybierając swobodny ton. – Cieszę się. Wstyd się przyznać, ale tęskniłem za tobą. Wracam, a tu taki wrak.

Młody uśmiechnął się półgębkiem.

– Sorry, że nie przywitałem cię jak należy. Na lotnisku.

– Chaber cię zastąpił.

– Chaber... Zawsze na posterunku.

– Tak powinno być. Wzorowy glina – poważnie odparł komisarz i spojrzał na Młodego, wyczekując reakcji. Dobrze ją przewidział. Młody parsknął śmiechem i posłał Bergowi porozumiewawcze spojrzenie, które wystarczyło za słowa.

Obaj darzyli Chaberskiego sympatią i szacunkiem, jednak doprowadzona do granic możliwości praworządność starszego aspiranta sprawiała, że patrzyli na niego z lekkim pobłażaniem i wraz z innymi oficerami grupy „Szakał” wystawiali Chabra na zaczepne próby. Na przykład podrzucili mu niegdyś do plecaka kilogram mąki opakowany niczym kokaina. Innym razem przekonali zatrzymanego, że może swobodnie zaoferować Chabrowi łapówkę, a ten „załatwi sprawę”. Za każdym razem aspirant reagował po swojemu, jak się spodziewali – praworządnie. Nie mogliby jednak z nim pracować, gdyby zawsze ślepo podążał za protokołem, nie będąc elastycznym. Zatem kiedy sytuacja naprawdę tego wymagała, Chaber potrafił przymknąć oko na protokół. Zawsze niezmiennie wspierał i osłaniał najbliższych współpracowników. Młody pokręcił głową, z sentymentem przypominając sobie dni w składzie „Szakała”. Berg postanowił wykorzystać ów moment odprężenia i zadał nie dające mu spokoju pytanie:

– Zamierzasz wrócić do sprawy?

Uśmiech na twarzy podkomisarza, jak można się było spodziewać, zniknął w okamgnieniu. Popił łykiem wody kęś mięsa i stanowczo odparł:

– Prokuratura ucięła jej łeb. Nawet gdybym chciał, nie ma już do czego wracać.

– A chciałbyś?

Młody wlepił wzrok w talerz. Przestał jeść. Znowu kwas podnosił się w żołądku. Berg nie ustępował.

– Nadal nic nie wiadomo o tej zamordowanej dziewczynie. Pogrzeb jest jutro rano, na Cmentarzu Bródnowskim.

– Po co mi to mówisz?

– Tak po prostu. Bez powodu...

„Jasne” – pomyślał podkomisarz. „U ciebie nic nie jest bez powodu”. Czuł, że komisarz próbuje go wy badać. Jakoś zaangażować. Wywołać reakcję. Ale czego się spodziewał? I dlaczego? Młody

westchnął i zmusił się do kolejnego kęsa, po czym zapytał:

– Ty prowadzisz to dochodzenie?

– Nie. To poza moją działką. Kolega z zabójstw to prowadzi. Feliński.

– To dlaczego cię to interesuje?

– Po pierwsze, gdzie są prostytutki i mafia – tam i narkotyki. Po drugie, kolega prosił o pomoc.

– Zawsze jesteś taki pomocny, co?

– Jeśli mogę, czemu nie.

– A jeśli nie możesz?

– Jeśli nie walczysz, nie wygrywasz. Stojąc z boku i patrząc, jak świat schodzi na psy, dokładasz się do jego gnicia. Trzeba podnosić miecz, Młody.

Dopóki mamy na to siły.

Podkomisarz zawsze traktował Berga jak przyjaciela i autorytet, ale w tym momencie po prostu go nie znosił. Z trudem przełykał gadkę o obowiązkach i walce, bo pewna część jego świadomości wiedziała, że komisarz ma rację. Była to jednak prawda za bardzo niewygodna, wymagająca zbyt wielkiego poświęcenia oraz energii, żeby ją zaakceptować. Dużo prościej było przeciwstawić się jej, a jeszcze prościej – zignorować. Wciąż dręczyły go urojenia o zagrożeniu czyhającym na klatce schodowej, więc obecność komisarza z początku dawała mu poczucie bezpieczeństwa. Jednak później zapragnął zostać sam i uspokoił się dopiero, gdy przyjaciel wyszedł z mieszkania. Ponownie, jak ponad rok temu, poczuł się rozdarty. Wtenczas powinność wobec Centralnego Biura Antykorupcyjnego i starszego agenta Borowieckiego walczyła z chęcią dochowania wierności i uczciwości wobec nowego przyjaciela, którym stał się komisarz Alan Berg. Teraz było inaczej. Gorzej. Nie chodziło już tylko o Berga jako osobę, lecz o to, co sobą reprezentował. Akcję. Odwagę. Prawo. A Młody nie był jeszcze gotowy na podobne cnoty. A może nie był już do nich zdolny. Usiadł w fotelu pośrodku pokoju dziennego. Słońce schowało się za deszczowymi, ciemnymi chmurami, więc w pomieszczeniu zrobiło się szaro. Coraz bardziej docierała do niego myśl, że się pogubił. Stał się niepodobnym do siebie człowiekiem. Jeszcze kilka miesięcy temu nie przypuszczałby, że będzie w stanie wycofać się w taki sposób. Doprowadzić się do podobnego stanu i

odepchnąć tyle pięknych, wartościowych rzeczy ze swojego życia. Odrzucił Basię i ich miłość. Nie uczynił tego w pełni świadomie. To nie było personalne. Kochał Basię ponad wszystko! Problem leżał w nim samym. W strachu, który go opanował.

W bezdennym poczuciu słabości i bezradności. Po raz pierwszy w życiu znalazł się w sytuacji, w której rzeczywistość była ponad jego wpływami. Ludzie, których ścigał, mieli zbyt szerokie wpływy i dużo większą tolerancję brutalności niż on i ktokolwiek inny spośród znanych mu osób. Nie miał wyjścia, musiał się wycofać. I tak poniósł konsekwencje za swoje dochodzenie. Nie tylko on. Kto wie, co jeszcze gorszego mogłoby się stać, gdyby nie wycofał się w porę. Wolał o tym nie myśleć. Przynajmniej teraz Basia była bezpieczna. A on wróci do siebie i do pracy już za kilka dni. Tym razem zajmie się jakąś małą sprawą. Niewielką korupcją jakiegoś łasego na kasę prostaka. Berg zdawał sobie sprawę, że zostawił Młodego z dość niewygodnym samopoczuciem. Uznał jednak, że lepsze to niż całkowita bierność i ucieczka od rzeczywistości. Jego przyjaciel był mądrym chłopakiem; komisarz nie miał co do tego żadnych wątpliwości. Ufał, że z czasem, kiedy przemyśli sobie to i owo, stanie psychicznie na nogi i na powrót będzie tym zadziornym, nieco narwanym agentem CBA. Po obiedzie wrócił na kilka godzin do Biura. Gdy dochodziła siedemnasta, ulotnił się ponownie. Pojechał na ulicę Chocimską, do biura prokuratora okręgowego Zbigniewa Właszczyka. Ten miał w zwyczaju pracować po godzinach, więc Berg spodziewał się, że jeszcze go zastanie. Nawet jeśli by nie zastał, zawsze mógł odwiedzić prokuratora w domu, co nie byłoby ani dziwne, ani nietaktowne. Nie w tym przypadku. Znali się dość dobrze. Łączyła ich przede wszystkim praca. Choć od czasu do czasu zdarzały się im wspólne piwa, podczas nich również rozmawiali o śledztwach. Budynek prokuratury był niemalże pusty. Przy drzwiach wejściowych siedział samotnie ochroniarz. Przywitał komisarza i oświadczył, że prokurator jeszcze jest u siebie. Berg podążył korytarzem. Zapukał żywo do drzwi. Odpowiedział mu równie żywo, donośny głos prokuratora:

– Proszę! – Pakował właśnie do teczki kilka dokumentów. Ucieszył się na widok komisarza i przywitał go mocnym uściskiem dłoni. Gdy zakończyli wstępną, kurtuazyjną wymianę zdań, prokurator powiedział przekornie:

– No i jak, Proca, gdzie są moje aresztowania? – Nie było to poważnie postawione pytanie. Całkiem odmienne w tonie od tego, które zadał wcześniej nadinspektor Borowiecki. Własczyk znał Berga lepiej i bardziej go szanował, tak że mógł pozwolić sobie na zaczepność.

– Ostatnie trzy miesiące to jakby się nie liczą. Wyjazd trafił się nagle, nie przewidziałem go.

– Wiem, wiem. Rozumiem też, że kazałeś swoim chłopakom czekać i zbierać informacje. Rozmawiałem z... jak mu tam – Chaberskim! Słusznie.

Chciałeś o czymś pogadać?

– Tak. Nie masz czasu?

– Jestem umówiony z sędzią Grobeckim. Trudno go złapać, nigdy nie ma czasu. Dziwne, bo zrobił się taki dopiero w tym roku. W ostatnim roku pracy!

– Próbuje uciec starości?

– Raczej bezużyteczności. Ostatnio zaprzyjaźnił się z mediami. Został ich dyżurnym ekspertem od niemalże wszystkiego. Może wpadniesz do nas dzisiaj wieczorem? Obgadamy twoją sprawę i zastanowię się, czy warty jesteś kolejnego przedłużenia.

Umówili się na dwudziestą. Komisarz czuł się dość spięty przed tą wizytą. Jeszcze kilka miesięcy temu, gdyby otrzymał podobne zaproszenie, przyjechałby do Własczyków razem z Ewą. To byłoby bardziej komfortowe. Bardziej naturalne. Jego obawy pozbawione były podstaw. Beata Własczyk była przecież osobą o przyjaznym usposobieniu. Nasłuchiwała się już od męża niejednej historii, w której Berg odgrywał większą lub mniejszą rolę, lecz zawsze pozytywną; a gdy poznali się kilka lat temu, oczarowało ją jego podejście do żony – czułe i pełne szacunku, co nieczęsto spotykała wśród policjantów, raczej oschłych lub wyraźnie dominujących. Przyjęła go więc uprzejmie, nie oceniając, nie zadając niewygodnych pytań. Grzecznościowo spytała jedynie: „jak się miewa Ewa?”, na co odparł,

że wszystko u niej dobrze.

W domu Właszczyków mieszkała jeszcze jedna osoba, Maja, z którą Berg miał już okazję rozmawiać. Po raz pierwszy spotkał ją dwa lata temu, kiedy ojciec przyprowadził dziewczynkę do pracy, bo szkoła była zamknięta i jakimś cudem żaden z członków rodziny nie mógł zająć się dzieckiem. Zadawała wtedy mnóstwo pytań. O policję, o przestępców, policyjne psy i działanie wykrywacza kłamstw, który wydawał się jej urządzeniem magicznym. Zdecydowanie, była dojrzała jak na swój wiek. Może trochę zbyt dojrzała. Ujęła go jej niezwykła przenikliwość i śmiałość – cechy, których czasami nie przejawiają dzieci wpływowych rodziców. Często bywa tak, że potomek wycofuje się wobec silnego charakteru rodzica. Z Majką było inaczej. Cała jak ojciec. Zawsze wiedziała swoje i robiła tak, jak uważała za słuszne. Przejawiała przy tym cechę, którą u dorosłych zwykle się nazywało naiwnością, jednak u dzieci przybiera ona postać niewinności. Swoistej czystości, która w każdym napotkanym człowieku widzi przyjaciela. Stała w progu pokoju i przyglądała się uważnie gościowi. Gdy ich spojrzenia się spotkały, uderzyło go, jak bardzo wyrosła.

– Cześć, Maju! – rzucił przyjacielsko. – Spotkaliśmy się już kiedyś, pamiętasz?

– Oczywiście, że pamiętam! – odparła jakby nieco urażona. – Jesteś Proca z narkotykowego.

Rozbawiła go swoim poważnym tonem, jednak matka nie pochwałała śmiałości córki. Zdawać by się mogło, że walczyła już z tym od dłuższego czasu, próbując uzmysłwić dziecku, że dziewczynki powinny być skromne i nie zanadto śmiałe. Szepnęła jej coś do ucha i wyprowadziła z przedpokoju do kuchni.

– Zostaw to dziecko w spokoju – zwrócił jej uwagę Właszczyk. Ten z kolei był tak dumny z charakteru córki, że wolałby pielęgnować jej śmiałość, zamiast ją ukrać.

– Maja za kilka dni kończy dziesięć lat – wyjaśnił prokurator, zapraszając Berga do salonu. – Czas ucieka... Jeszcze wczoraj zmieniałem jej pieluchy, a dzisiaj chce chodzić na koncerty.

– Chyba dzieci dojrzewają coraz szybciej.

– Żebyś wiedział!

Berg pomyślał, że może nigdy nie przekona się o tym na własnej skórze. Zawsze pragnął być ojcem, szczególnie kiedy poznał Ewę. Teraz wszystko stawało się coraz mniej osiągalne i rzeczywiste. Miał już czterdzieści lat i musiał zaczynać od nowa. Bez dziecka. Bez żony. Choć nie pogodził się jeszcze ani z jednym, ani z drugim. Może jeszcze jest nadzieja. Nie ma przecież rzeczy, której nie można by naprawić. Może istnieje jeszcze szansa dla niego i Ewy. Chociażby jej cień. Nagłe wejście Mai do pokoju wyrwało go z zamyślenia. Była drobna, wątłej budowy. Kiedy przechodziła przez pomieszczenie, jej cienkie, związane w koński ogon włosy podrygiwały wesoło, lecz na twarzy miała powagę. Pewnie usłyszała przed chwilą od mamy coś, co nie do końca przypadło jej do gustu. W dłoniach trzymała ogromną (w zestawieniu z jej małym ciałem) tacę wypełnioną przekąskami.

– Mama zrobiła kanapeczki – oznajmiła rzeczowo, demonstrując nieco ceremonialnie zawartość tacy. – Trochę jej pomagałam przy tych z pomidorem, ale pastę jajeczną robiła sama. – Nachyliła się nieco ku Bergowi i szeptem powiedziała: – Nie polecam. Dodała za mało majonezu.

– Maja! – przeciągle zawołała ją mama, a ona w podskokach pognała z powrotem do kuchni.

Prokurator uśmiechnął się do siebie. Otworzył oszklone drzwiczki szafki wypełnionej różnymi trunkami.

– Przyda się jakaś popitka do tych zagryzek. Czego się napijesz? Głupio pytam! Whisky, tak?

Komisarz przytaknął. Dyskretnie rozejrzał się po pokoju. Zwyczajny rodzinny dom. Trochę pamiątek z wakacji, jakieś muszelki w słoikach, wyrzeźbione w drewnie miniaturowe saboty, zdjęcia. Na półce pod ścianą wieża ze szkolnych podręczników i zeszytów różnej wielkości. Ustawiona dość niedbale, krzywo, jakby mogła w każdej sekundzie runąć. Własczyk postawił na stoliku dwie szklanki, które chwilę później zadźwięczały obite o siebie w geście toastu.

– Oczywiście przedłużymy to dochodzenie – oznajmił prokurator. – Przygotuję papiery na jutro. Przyślij po nie Chaberskiego. Rozumiem, że sam bierzesz się teraz do roboty.

Komisarz przytaknął i upił łyk ze szklanki. Zapatrzył się na gładką ścianę.

– Co ci chodzi po głowie?
– Coś z trochę innego worka.
– Dawaj!
– Mój przyjaciel prowadził niedawno pewne uciążliwe śledztwo. Dotyczyło jakichś... drażliwych tematów.
– Tak? Który to? – zapytał z zainteresowaniem Właszczyk.
– Julian Sikorski.
– CBA?
– Znasz go?
– Nie bardzo – odparł prokurator, odchylając się na oparciu kanapy. Przekręcił w dłoni szklankę, po czym upił porządny łyk i dodał: – Tylko ze słyszenia.
– Wiesz może, kto zamroził jego sprawę?
– Nie mam pojęcia. Ale podobno była utajniona, więc nie kłopotz się. Berg spojrzał na niego podejrzliwie. Obaj dobrze wiedzieli, że nie istnieją informacje, do których nie można w jakiś sposób dotrzeć. Wystarczy jedynie wiedzieć, gdzie i kiedy się znaleźć oraz za jakie sznurki pociągnąć. Mieli w kartotekach ksero paszportu Wołodii Putina, a nie mogliby dowiedzieć się paru szczegółów na temat śledztwa CBA? Właszczyk dopił drinka, oblizał usta i uśmiechając się, powiedział:
– Nie patrz tak na mnie, wiem, o czym myślisz. Ale przyjmij dobrą radę doświadczonego przyjaciela, nie bierz za dużo na swoje barki. Masz już sprawę do rozwiązania, skup się na niej. CBA ma swoje ciemne zakamarki i czasami lepiej tam nie zaglądać. To też profesjoniści, jeśli sprawy nie zamknięto, widocznie nie było dowodów albo coś...
– Nie mów mi takich bzdur...
– No wiesz?! – oburzył się Właszczyk. Chciał jeszcze coś dodać, prawdopodobnie coś agresywnego, ale powstrzymał się i ugryzł w język, bo do pokoju ponownie weszła Maja. Usiadła na kanapie obok Berga, podkuliła nogi i wypaliła:
– Mogę zobaczyć twoją odznakę?
– Jasne – odparł Proca – jest w mojej kurtce, przynieś sobie. Maja pognęła do przedpokoju, a jej ojciec, nachyliwszy się ku Bergowi, dopowiedział ściszym głosem.

– Radzę ci tylko to, co wiem, że najlepiej ci posłuży. Zamknij sprawę Żoliborza, nie rozpraszaaj się rzeczami, z których i tak nic nie wyniknie.

– Wiesz coś więcej niż ja?

Właszczyk zapowietrzył się ponownie. Ostrożnie ważył słowa, co nie spodobało się komisarzowi. Jeśli nie mieli swobodnej, treściwej rozmowy, a na jej miejsce pojawiało się nawet bardziej treściwe milczenie, oznaczać to mogło, że faktycznie jest coś, co Berg przeoczył albo o czym jeszcze nie wie.

Do pokoju wróciła Maja, niosąc ze sobą skórzaną kurtkę komisarza.

– Mama zawsze powtarza, że nie wolno grzebać w cudzych rzeczach. Nawet jeśli nam pozwalają.

– Twoja mama ma rację – przyznał Berg, przejmując od niej odzienie. Podał dziewczynce odznakę z legitymacją i dodał: – Chociaż w policji jest z tym trochę inaczej. Czasami musimy pogrzebać w cudzych rzeczach.

– Żeby udowodnić przestępstwo?

– Też. Albo żeby udowodnić czyjąś niewinność. Zależy od sytuacji.

– Ale generalnie – wtrącił Właszczyk, patrząc na Berga znacząco – nie wolno grzebać w cudzych rzeczach bez pozwolenia. Szczególnie jeśli są to rzeczy ukryte przez właściciela.

– Skoro właściciel ukrywa jakieś rzeczy – odparła porwana rozmową Maja, przez co wybiła ojca z rytmu – to może znaczyć, że one są ważne, a on ma coś na sumieniu i dlatego nie chce, żeby inni je widzieli.

Berg uśmiechnął się na te słowa. Jednocześnie rozbawiła go zamurowana twarz prokuratora, który ani nie odpowiadał, ani nie oddychał. W końcu poruszył się, wziął głęboki oddech i wyjaśnił:

– Prawo jest prawem, kochanie. Każdy ma prawo do prywatności, a niektóre instytucje mają prawo do tajności i trzeba to uszanować. Rozumiesz? – Pytanie to skierował zarówno do córki, jak i do Berga. O ile jednak ona oderwała się na moment od uważnego oglądania odznaki, by przytaknąć ojcu, o tyle komisarz nie poruszył się. Przyjął słowa prokuratora za konieczną do wysłuchania regułę, którą wielu powtarza, a niewielu szanuje. Szczególnie w służbach. Obaj wiedzieli, że prawo nie jest i nigdy nie będzie doskonałe, a pod każdą odznaką bije ludzkie serce, które subiektywnie ocenia daną sytuację. W tej

konkretnej sprawie Berg był gotowy nagiąć niedoskonałe prawo, a nawet pogwałcić klauzulę tajności. Jeden drink wypity w towarzystwie prokuratora nieco rozluźnił nagromadzone przez ostatnie dwa dni nerwy. Jednocześnie widok szczęśliwej, pełnej rodziny zniechęcił do powrotu do pustego mieszkania. Po wizycie u Właszczyków komisarz zaparkował pod przypadkowym barem. Celowo wybrał taki, w którym nigdy dotąd nie był. Miał nadzieję, że nie spotka nikogo znajomego.

Chciał się napić w spokoju. Pomyśleć. Próbował o pracy, ale ciągle stawała mu przed oczami żona i ich niezrealizowane plany. Nie tak to miało wyglądać. Nie tak zaplanował swoje życie. Zastanawiał się, kiedy popełnił pierwszy błąd. Kiedy ona poczuła zawód? Kiedy zaczęła żałować, że wybrała akurat jego? Nie miał pojęcia.

Tyle rzeczy robił źle. Zostawiał ją w niewiedzy, w ciągłej niepewności, gdzie jest, czym się zajmuje i kiedy wróci. Wiecznie zajęty, wiecznie nieobecny. Czasami sfrustrowany problemami w pracy tak bardzo, że przynosił stres do domu i Ewa nieraz odczuła go na własnej skórze. Nigdy nie podniósł na nią ręki, nigdy nie skrzywdził jej fizycznie. Czasami podnosił głos, kiedy miała o coś pretensje, lecz najczęściej, gdy dochodziło między nimi do napięć, zwyczajnie wychodził z domu, by ponownie nie wiedziała, gdzie jest ani kiedy wróci. Bywało, że przychodził nad ranem. Z progu przeproszał. Nigdy nie wracał pijany i nigdy nie nosił na sobie zapachu innej kobiety. Nawet nie podejrzewała go o zdradę. Wierzyła i wiedziała, że jego wielki szacunek do małżeństwa, jako sakramentu, nigdy by mu na to nie pozwolił. Wbrew pozorom był człowiekiem głęboko wierzącym. Niektórzy myśleli nawet, że jedyną rzeczą, jakiej boi się Proca, jest sam Bóg. I tak rzeczywiście było, choć oprócz Boga bał się jeszcze czegoś – samotności.

Po kilku shotach poczuł, że ma dość. Kolejny łyk przyprawi go o porannego kaca, a tego na pewno nie potrzebuje! Wyszedł z baru. Znowu padało. Prawie jak w Amsterdamie. Ciągle deszcz. Tylko rzadszy i nie towarzyszył mu wiatr. Sprint z baru do samochodu nieco go orzeźwił. Gdy zatrzasnął za sobą drzwi, przeszedł go dreszcz. Otrząsnął się i przetarł dłońmi mokrą od deszczu twarz. Wrócił do

domu przed jedenastą wieczorem. Podłączył ipoda do głośnika, z którego popłynął głos Micka Jaggera. Poczuł, że wypity wcześniej alkohol przestaje działać. O wiele swobodniej czuł się z tym błogim stanem umysłu, który z większym dystansem oceniał rzeczywistość. Napełnił sobie szklankę whisky. W tym samym czasie do budynku, w którym mieszkał, weszła piękna kobieta. Minęła się z jednym z sąsiadów, więc nie musiała używać domofonu. Była to smukła brunetka o krągłych piersiach i jędrnych, spiętych przez obcisłe dżinsy pośladkach. Poruszała się lekko, przemierzając korytarz. Obcasy pod jej butami wybijały rytmiczne puknięcia o kamienną podłogę. Kiedy stanęła pod drzwiami, przeczesła włosy dłonią i oparłszy się nonszalancko o futrynę, nacisnęła przycisk dzwonka. Komisarz zasunął łańcuch, otworzył górny zamek i nieznacznie uchylił drzwi.

– Byliśmy na dzisiaj umówieni, Suzzy?

– Jest pierwsza środa miesiąca, a dowiedziałam się, że już wróciłeś.

Zamknął drzwi, by ściągnąć łańcuch, po czym zaprosił kobietę do środka.

– Skąd się dowiedziałas?

– Obsługuję różnych klientów, Alan, i nie jesteś wśród nich jedynym psem.

Za to jedynym tak uroczym.

– Napijesz się czegoś?

– Tego, co ty.

Komisarz podał jej szklankę. Wzdychając ciężko, rozsiadł się w fotelu ze swoją whisky.

– Miałem trudny dzień. Nie wiem, czy to dobry moment na nasze spotkanie, Suz.

Prostytutka upiła łyk ze szklanki i stanęła za plecami Berga. Położyła dłonie na jego ramionach i zaczęła je delikatnie uciskać.

– Nie musimy przecież nadrabiać całych trzech miesięcy. Swoją drogą, to był dość nudny czas. I wiesz co? Stęskniłam się za tobą.

To powiedziawszy, obeszła go i przykucnęła tuż przed nim. Komisarz spojrzał na jej piękną twarz, nieco naznaczoną trudnym życiem i paskudną profesją. Jego wzrok naturalnie przeniósł się poniżej dekoltu, gdzie dwie krągłe piersi lekko wyglądały zza bluzki.

– Nadal nie wróciłeś do żony. Może więc tym razem skorzystasz z

pełnego pakietu moich usług? Wiesz, że zrobiłabym to bez dodatkowych opłat?

Suzzy złożyła dłonie na jego udach i powoli zaczęła przesuwać je w kierunku krocza. Poczł napływające tam ciepło i lekkie mrowienie. Chwycił ją za dłonie i delikatnie odsuwając ją od siebie, powiedział:

– Nasze relacje zostają takie, jakimi były. Informacje, Suzzy. Co słyszeć w dzielnicy?

Dziewczyna usiadła na ziemi po turecku. Złapała odstawioną wcześniej szklankę i, niewzruszona odepchnięciem, zaczęła mówić:

– Szczerze, to nic nowego. Chłopaki z Żoliborza powoli zdobywają miasto.

Zaopatrują kilka naszych dziewczyn, podobno towar przedni, ale ceny wysokie.

– Nic dziwnego. Nie mają teraz dużej konkurencji.

– Przez ten monopol czasami im odwała. Zdarza się, że któryś z gangusów przychodzi do klubu i traktuje nas jak...

– Ktoś zrobił ci krzywdę?

– Mnie nie. Staram się trzymać od nich z daleka. Ale koleżanka wyszła raz z prywatnej sesji z podbitym okiem.

– Co na to szef?

– Ramon niewiele może. Boi się ich. Nałożyli na niego haracz – niewysoki, ale jednak. Poza tym pojawia się też ostatnio dwóch takich, co dużo gadają o kradzionych wozach...

Komisarz machnął na to ręką, dając znak, że ten temat go nie interesuje. Był jednak inny, z którym dziewczyna mogła mu pomóc.

– Suzzy, mam inną sprawę. Chodzi o dziewczynę, która kiedyś pracowała z tobą w „Magnezie”. Znałaś Izę Koladę?

– Tak. Nie byłyśmy blisko, ale pamiętam ją. Kilka miesięcy temu, jakoś zaraz przed twoim wyjazdem, zaczęła obsługiwać jednego gościa; to był ktoś przy kasie, zdaje się, że polityk albo dyrektor... Ktoś z tych urzędowych dupków, wiesz, co srają wyżej, niż mierzą, i myślą, że każdy inny jest gorszy od nich. W każdym razie takie honorarium jej wystawiał, że odeszła z klubu i została jego kochanką.

Chyba myślała, że go w sobie rozkocha... Dlaczego w ogóle o nią pytasz?

– Tydzień temu znaleziono jej ciało.

– Jezu... Głupia dziewczyna! W co się wpakowała? To on ją skrzywdził?

– Suzzy, ty wiesz, kto to był?

– Nie wiem, jak się nazywał. Wyglądał przeciętnie. Średni wzrost, ciemne włosy, około pięćdziesiątki... Sorry, nalejesz mi jeszcze? Trochę mnie to rozbiło.

Komisarz wstał po butelkę. Dziewczyna wypła jeszcze jedną setkę i dodała:

– Izka przyjaźniła się z Kitką, to taka dziewczyna z klubu. Może ona wie coś więcej... Nie wierzę! W takich momentach naprawdę mam ochotę rzucić to wszystko i wracać do domu.

Spojrzał na nią smutno. Troszczył się o nią prywatnie, mimo że była tylko jego informatorem. Zawsze tak miał – w każdym człowieku widział osobę. Córkę, ojca, syna. Nawet kiedy wychodziły z niego najgorsze demony, kiedy tracił cierpliwość wobec zatrzymanych i by otrzymać pożądane informacje posuwał się do użycia siły, zawsze widział osobę. Dziewczyna nie miała więcej informacji, które mogłyby pomóc Bergowi w jakiegokolwiek sprawie. Kiedy się uspokoiła, wypalili jeszcze razem papierosa i komisarz sięgnął do kieszeni kurtki po portfel. Wyciągnął z niego pięć stów.

– Nie byłem przygotowany na to spotkanie, Suzzy, nie mam więcej przy sobie.

– Dopłacisz następnym razem. I bym zapomniała! Mam coś dla ciebie. – Otworzyła torebkę i pogrzebawszy w niej przez moment, wydobyla niewielką saszetkę z zielonkawym suszem. – Sprawdzona, pierwsza klasa.

Komisarz uśmiechnął się życzliwie i obejrzał towar. Jego przyjaciele, żona i niektórzy przedstawiciele świata „po drugiej stronie prawa” znali słabość Berga do marihuany. Podczas pobytu w Amsterdamie udało mu się znaleźć kilka dobrych gatunków, jednak oczywiście nie mógł przywieźć ze sobą ani grama.

– I nawet nie mam ci czym zapłacić.

– To prezent powitalny.

– Dzięki. – Otworzył jej drzwi i dodał: – Widzimy się za miesiąc.

– Jak zawsze – powiedziała i typowo dla siebie złożyła na jego poliku niewinny pocałunek. Gdy poczuł dotyk jej ust i słodki zapach ciała,

jego tętno wzrosło. Nie był tak blisko kobiety już od dłuższego czasu. A ona była taka młoda, taka dla niego wyrozumiała i dobra. Mięka i ciepła.

Objął ją w pasie i przyciągnął do siebie. Z powrotem zamknął drzwi.

– Jesteś pewien? – zapytała, czując, jak jej serce nabiera tempa.

– Jeszcze słowo i się rozmyślę – wyszeptał i pocałował ją namiętnie.

Uniósł ją do góry, jak gdyby ważyła zaledwie parę kilogramów, i gdy owinęła nogi wokół jego bioder, przeniósł ją do sypialni. Położył na łóżku jej rozpalone ciało, lecz gdy spróbował ją rozebrać, zepchnęła go i przejęła inicjatywę. Najpierw zdjęła z siebie całe ubranie, rozpalając zmysły komisarza aż do granic. Pragnął jej i tylko to się teraz liczyło. Zapomniał o wszystkim, co dręczyło go przez ostatnie dni. Stała przed nim bogini rozkoszy i spełnienia. Cała jego. Na jego usługi. Mógł ją mieć, jakkolwiek by zażądał, a w tej chwili wybrał poddaństwo. Kiedy go rozebrała, był już gotowy, żeby w nią wejść. Pożądał jej tak, jak kiedyś pożądał tylko swoją żonę – czystą namiętnością, jeszcze bez zaprawionej miłości, bez żalu i pretensji. Jego pociąg do Sussy nie był ani efektem miłości, ani jej zaczątkiem. Wynikał jedynie z samotności, która dokuczała mu już od dawna. Mimo że pragnął wziąć ją agresywnie, pozostał delikatny i subtelny, chcąc przedłużyć chwilę namiętności. Udać przed samym sobą, że jego życie nie dudni jeszcze głuchą pustką. Kiedy było już po wszystkim, zasnęli głęboko w swoich objęciach. Obudził ich dopiero dźwięk alarmu.

– Nie planowałam zostać tu do rana – zapewniła Suz, uśmiechając się delikatnie. Nie była pewna, jak zachowa się teraz komisarz, nie chciała mu się narzucać ani sprawić, żeby poczuł jakiegokolwiek rozczczenia z jej strony. Była w końcu prostytutką. Przywykła do wychodzenia od klienta w środku nocy, zaraz po stosunku. Jednak on nie był zwykłym klientem. Chyba nawet w ogóle nim nie był.

– Też nie planowałem, że ta noc potoczy się w ten sposób – przyznał, gdy wyłączył budzik.

No i miał kaca. Podwójnego. Fizycznego i moralnego. Jak do tego doszło? Jakim cudem znajdował się w jednym łóżku z Sussy? Jeszcze wczoraj dałby sobie głowę uciąć, że nigdy nikt inny prócz Ewy nie zajmie tego miejsca. Kwestia dochowania wierności była dla

niego niezmiernie ważna. Może i jego żona podjęła już decyzję, może i skazała ich związek na śmierć, ale on nie! Dlaczego więc to zrobił? Wiedział jedno, Sussy nie może zauważyć jego zmieszania. Jeśli wkroczy między nich dziwna relacja roszczeń, a nie daj Boże zawiedzionych uczuć(!), cała ich znajomość zawodowa będzie skończona. A było to dla niego zbyt ważne źródło informacji. Za chwilę odwróci się w jej kierunku i spojrzy na jej poranną twarz. Nigdy dotąd jej takiej nie widział. Zawsze bowiem spotykali się w półmroku. W barze bądź od kilku miesięcy w jego mieszkaniu wieczorną porą. Położył się z powrotem obok niej i obejmując ją czule, dodał:

– Ale dawno nie spałem tak dobrze jak dzisiaj. Zjesz ze mną śniadanie?

– Z przyjemnością.

Usmażył im kilka jajek, posmarował kromki chleba masłem i zaparzył kawę. Uśmiech na twarzy Sussy znacznie go odprężył. Nie było aż tak źle, jak się spodziewał. Nie krępowała się go, a jednocześnie nie była nachalna. Raczej naturalna. Berg wydawał się jej nieco onieśmielony i uważała to za urocze. Zapatrzył się na nią, gdy siedziała przy stole, popijając z kubka. Kim była dla niego ta dziewczyna? Nie wiedział o niej zbyt wiele. To znaczy znał dokładnie jej biografię, losy. Nie miał jednak pojęcia o jej przeżyciach, problemach i osobistych sukcesach. Była dla niego osobą poniekąd obcą, a jednocześnie bardzo bliską. Gdy tak ją obserwował, przypomniał sobie zachowanie Młodego na wieść o śmierci Izy Kolady i coś do niego dotarło. Nagłe zrozumienie.

– Dlaczego się uśmiechasz? – zapytała Sussy.

Berg przysiadł się do stołu i odparł:

– Właśnie pomogłaś mi odpowiedzieć na pewne pytanie.

– Tak? A jakie?

– To jest akurat ściśle tajne...

– A nie mam uprawnień do otrzymania informacji niejawnych?

– Niektóre informacje mają wysoką cenę, Suz.

– A niektóre mogą nam uratować życie, komisarzu. Są ludzie, którzy płacą srogie pieniądze, żeby inni trzymali usta zamknięte.

Przysunął się bliżej. Bardzo blisko. Trzymał twarz tuż naprzeciw niej, a dłonią delikatnie musnął jej aksamitny policzek. Znów zaczęła się rozpyływać. Rozchyliła lekko usta, by przyjąć pocałunek, lecz on

powiedział miękkim głosem:

– A niektórzy nie muszą płacić, żeby pewne usta otworzyć.

– Przecież mi płacisz.

– A jakbym przestał? Przestałabyś przychodzić?

Uśmiechnęła się szczerze. Przejrzał ją. Wiedział, że ona nie współpracuje z nim dla pieniędzy. Dostawała od niego znacznie więcej. Poczucie bezpieczeństwa i okazję, żeby zrobić coś dobrego.

– Muszę się zbierać, Suz. Nie spiesz się. Drzwi są zatraskowe. Możesz wyjść, kiedy zechcesz.

– Zjem spokojnie i pójdę.

Przejechała dłonią potargane włosy, związane w niedbały kok. Komisarz dopił do dna swoją kawę, chwycił leżący na podłodze plecak, z miski na drobiazgi wygrzebał kluczyki do wozu oraz różaniec i wyszedł z mieszkania. Słońce chowało się za ciężkimi chmurami. Już od kilku dni nie ogrzewało Warszawy bezpośrednim światłem. Szarość i wilgoć. Drzwi taurusa zatrzasnęły się z hukiem, płosząc siedzące na dzwonnicy gołębice. Kościół był w typie tych małych, przycementarnych kapliczek, jednak w przeciwieństwie do większości z nich miał swój urok. Był wiekowy, drewniany. Powietrze pachniało mokrym drewnem, świeżo skoszoną trawą i śmiercią. Nie tą gnijącą, śmierdzącą rozkładającym się mięsem, w którym tłą się ostatnie pokłady organicznego życia. Pachniało śmiercią lodowatą, suchą, obojętną. Było po dziesiątej, kiedy podjechał pod Cmentarz Bródnowski. Wkroczył w tę dolinę zmarłych, mijając jeden z pierwszych nagrobków zwieńczonych rzeźbą Jezusa niosącego krzyż. Chrystus wydawał się silny, inaczej niż zazwyczaj bywa przedstawiany w tej scenie. Dźwigał swoje brzemie pewnie, nie uginając kolan. Unosił ku górze prawą rękę, jakby pozdrawiając obserwujących i mówiąc: „nie ma krzyża, którego nie sposób unieść. Kiedy ja będę z wami, wystarczy wam siła”. Kilkanaście minut temu w kaplicy pożegnano Izabelę Koladę – „młodą dziewczynę, która zmarła w tragicznych okolicznościach”, jak to określono podczas nabożeństwa. Prowadzący dochodzenie w sprawie tej śmierci – Feliński powiedziałby wprost, że była to zamordowana prostytutka. Gdyby ją znał, byłoby go stać na większą subtelność. Jednak dla każdej istoty ludzkiej naturalnym jest traktować śmierć obcego jak coś

odległego, poniekąd nierzeczywistego.

Nadeszły czasy, kiedy w porannym wydaniu kawiarniano-herbacianych wiadomości możemy usłyszeć informację o brutalnym morderstwie prostytutki. Gdyby ofiarą padło dziecko, nie wspomniano by o tym w porannym serwisie – to zbyt gorszące, smutne. Nie można przecież z samego rana wprowadzać widza w depresyjny nastrój. Morderstwo prostytutki to całkiem inna sprawa. Jest sensacyjna, elektryzująca swoją makabrycznością! Cóż, trudno się dziwić rozpanoszonej po świecie znieczulicy wobec ludzkiego cierpienia. O tej porze cmentarz był niemal pusty. Nieliczne staruszki sprzątały nagrobki mężów, nieliczni staruszkowie siedzieli na ławkach przed grobami żon, prowadząc z nimi kolejne, tęskne rozmowy. Berg zbliżał się powoli do miejsca przygotowanego pod pochówek Izy. Od razu rozpoznał Młodego stojącego pod drzewem, znacznie oddalonego od grupy żałobników. Na głowie zaciągnięty miał kaptur od bluzy, na którą założył czarny, wełniany płaszcz. Kiedy dostrzegł zbliżającego się doń przyjaciela, uniósł wzrok ku niebu, jakby przepraszając Najwyższego za to, że dał się tu ściągnąć tak prostą prowokacją. Berg uśmiechnął się smutno i stanął obok. Ksiądz skropił jasnobrązową trumnę wodą i odśpiewał pierwsze frazy „Matko najświętsza, do serca Twego”. Nie patrzyli na siebie. Młody opierał się o drzewo nieruchomo. Przybrał postawę bardzo dla siebie właściwą – arogancką. Postanowił rozegrać to tak, jakby wiedział od początku, że Berg go przejrzał. Dla komisarza nie miało to żadnego znaczenia. Liczyła się wyłącznie prawda, a ta demaskowała związek Młodego ze zmarłą. Nie związek uczuciowy. Nie w sensie intymnym czy emocjonalnym. Była to relacja innego rodzaju. Oficer wsunął zmarznięte dłonie do kieszeni kurtki. Wypełnił płuca ostrym powietrzem i zapytał:

- Była twoim informatorem, prawda?
- Najlepszym, jakiego mógłbym mieć. Lojalna, dyskretna... ostrożna.
- A jednak ją przejrzeli.
- Skurwysyny... Nie musieli tego robić. Wycofałem się przecież.
- Może ona nie.

Młody rzucił mu spojrzenie pełne żalu i zrozumienia zarazem. Nie wydało mu się prawdopodobne, żeby Iza poszła do kogoś innego sprzedawać informacje, jednak było to całkiem logiczne wyjaśnienie. Zmarszczył nos, próbując powstrzymać zbierające się w oczach łzy. Szybko przetarł twarz dłonią i ruszył w stronę cmentarnej alei. Proca podążył za nim.

– Młody, nieważne, że prokurator zamknął śledztwo – powiedział Berg spokojnym tonem wspierającego przyjaciela. – Jest ciało, musisz go o tym poinformować.

– To nie ma znaczenia. Nie rozumiesz, to nie jest sprawa jak inne. Zamieszane są w to nieodpowiednie osoby.

– Przecież od tego jesteś, tak? – Wyprzedził go, przyspieszając kroku, i stanął naprzeciw niego, zmuszając go tym samym do chwilowego postoj. Młody ponownie przewrócił oczami. – To jest wpisane w twój zawód! Chciałeś pracować w CBA, to rób, co do ciebie należy! Zwalczaj korupcje i przestępstwa na wysokich szczeblach. Przecież wy nie biegacie za gangusami, nie tak jak ja. Pakujecie do pierdła tych, których zbrodnie bolą najbardziej, bo to właśnie oni powinni być nieskazitelnie czysti! Wam zawsze chodzi o „nieodpowiednie” osoby. Służby, polityków, urzędników... Młody! Przecież nie jesteś sam, chłopaku. Powiedz słowo, to ci pomogę. Feliński też. Pomożemy sobie wzajemnie. Młody wysłuchiwał go niecierpliwie, w końcu zapytał podirytowany:

– Na serio, Berg, co ci do tego?! Feliński, jak chce, niech sam do mnie przyjdzie. Niech sobie bada tę sprawę morderstwa, ile chce, i tak nic nie znajdzie.

Mam nadzieję, że nic nie znajdzie, bo wtedy przynajmniej będzie bezpieczny. Mnie już to nie obchodzi. Game over. Dzięki za pomoc, naprawdę, bez ciebie byłbym teraz w piekle... Dzięki. Wracam do życia, do pracy, ale nie męcz już więcej. To koniec. Sprawa jest zamknięta. Wyminął komisarza. Całą drogę przez cmentarz pokonali w milczeniu. Dopiero gdy minęli bramę, Berg uszczypliwie zapytał, jak Młody tutaj przyjechał – czy znowu tym swoim „rowerem wyścigowym”. Ten nie podłapał sarkastycznego żartu. Odparł sucho, że wziął taksówkę. Komisarz odwiózł go do mieszkania. Przez całą drogę próbował zagadywać, poruszając inne, lżejsze tematy, lecz

przyjaciel odpowiadał lakonicznie, najkrócej jak mógł albo wcale. Gdy zaparkowali pod apartamentowcem, podziękował za informację o pogrzebie. „Powinienem tam dzisiaj być” – powiedział. „Byłem jej to winien”. Wszedł, ale zanim zatrzasnął drzwi, komisarz zawołał go i zapytał:

– Dasz sobie radę? Domyślam się, że czujesz się teraz parszywie. Ten pogrzeb...

Młody nachylił się, zaglądając na powrót do samochodu. Niemo przytaknął kilkukrotnie i zapewnił:

„Nuda veritas”

– podkom. Michał Chmielewski (ps. Misiek)

Całkiem niedaleko od ulicy Gotarda, przy której mieszkał Młody, znajdował się niewielki lokal serwujący kebaby. Grójecka dwadzieścia. Chaber pamiętał adres doskonale. Komisarz zaparkował na przeciwnej stronie ulicy, tyłem do lokalu. Otworzył szybę i ustawił lusterko boczne tak, aby w jego odbiciu widzieć wejście. Po kilkunastu minutach zadzwonił telefon. Chaber. No tak, było już około jedenastej, pewnie więc czekają na niego w Biurze. Starszy aspirant nie zadawał jednak żadnych pytań ani nie ponaglał. Poinformował jedynie, że dzisiaj biorą się za takiego a takiego delikwenta. Impuls będzie obserwował, Mazur podsłuchiwał... Komisarz wyraził aprobatę dla ich zamiarów, po czym dodał:

– Prokurator był tak miły, że przedłużył to nasze nieszczęsne dochodzenie.

Jak będziesz miał chwilę, podjedź do niego po dokumenty.

– Jasne, zrobię to po południu. A ty co robisz? – spytał na koniec, niby to mimochodem.

– Jestem na obserwacji – wyjaśnił szczerze Berg, nie spuszczać oka z bocznego lusterka.

Zakończyli rozmowę. Chwilę później z lokalu wyszedł mężczyzna w fartuchu. Był czerwony na twarzy i rękawem lewej ręki otarł przepecone czoło. Zapalił papierosa. Komisarz obserwował go bezwiednie, jakby była to całkiem obca, nie wzbudzająca podejrzeń osoba. A jednak, był to Kapsel – człowiek, którego przeszłość znał nad wyraz dobrze i którego już niedługo zamierzał poprosić o pewną przysługę.

Dyskretnie nabrawszy pewności, że Kapsel rzeczywiście pracuje

przy Grójeckiej, komisarz odpalił silnik i pojechał do Biura. Kobieta miała poderżnięte gardło. Przyczyna zgonu –wykrwawienie. Na zdjęciu nie wyglądała już tak dramatycznie jak w ostatnim momencie swojej walki o życie. Fotografję wykonano bowiem po śmierci. Jakies dziesięć minut po. Podkomisarz Michał Chmielewski siedział przy biurku i uważnie przyglądał się fotografii. Nie musiał. Widział ją już bowiem wiele razy. Znał każdy jej szczegół. Dostrzegał w niej nawet rzeczy, które oko przeciętnego człowieka całkiem by zignorowało. Lekkie poszarpania skóry w miejscu cięcia; poślótkłą bruzdę przy kości policzkowej; odbicie twarzy mordercy w martwych już oczach. Oprawca dokonał fatalnego wyboru narzędzia zbrodni. Nóż był zbyt lekki do takiej roboty. Próbował odciąć głowę ofiary, ale z takim ostrzem bardzo się namęczył i nie zdążył, zanim przyjechała policja. Musiał zostawić niedokończoną pracę i uciekać. To ostatnie nawet mu się udało. Do czasu. Chmielewski wiedział, kim on jest. Od kilku tygodni zbierał na to dowody. Miał już wszystko: narzędzie zbrodni, odciski palców, brakowało jedynie nakazu aresztowania. Drzwi do pokoju otworzyły się nagle i do środka wpadł niski chłopak ubrany w policyjną kurtkę i czapkę z daszkiem. W dłoni trzymał kartkę papieru, którą uniósł do góry, mówiąc:

– Misiek, jest nakaz!

Podkomisarz Chmielewski zerwał się z krzesła. Wsunął zdjęcie do kieszeni spodni i wyciągnął z szafy kurtkę opatrzoną napisem „CBŚP”.

– Załatwiłeś już wsparcie? – zapytał niskiego, gdy podążali korytarzem.

– Tak. Pojadą z nami dwa radiowozy.

– Radiowozy?!

– Nasi są zajęci. Możemy poczekać, jeśli chcesz.

– Pojedziemy ze stołeczną...

Oficerowie podjechali pod adres oskarżonego. Typowe szare blokowisko. W jednym z budynków, w przeciętnym mieszkaniu, mieszka niepozornie wyglądający mężczyzna. Podobnie jak jego otoczenie – szary. Jego włosy są średniej długości, a wzrok pozbawiony wyrazu. Już niedługo okaże się, że nikt z sąsiadów o niczym nie wiedział, bo był to cichy, spokojny człowiek. Trochę zamknięty w sobie. Choć kiedy dobrze przypatrzyło mu się w te mętne

oczy, można było w nich dostrzec iskrę niepoczytalności.

Prowizorycznie stworzony oddział składający się z czterech umundurowanych funkcjonariuszy i dwóch oficerów CBŚP wszedł na drugie piętro budynku. Wizjer w drzwiach. Nie mieli tarana, żeby wejść siłą do środka. Delikwent musi ich wpuścić sam. Jeśli jednak zapukają i powiedzą, że „tu policja”, może podjąć ucieczkę przez balkon. Może i był kiepsko zorganizowanym mordercą, ale był też świetnym uciekinierem. Chmielewski rozkazał policjantom ustawić się pod ścianą na schodach i pilnować wejścia. Sam ruszył na trzecie piętro i zapukał do mieszkania powyżej lokum podejrzanego. Otworzył mu mężczyzna w podeszłym wieku. Zmieszał się na widok obcego, toteż podkomisarz od razu pokazał mu odznakę.

– Dzień dobry! Podkomisarz Michał Chmielewski. Centralne Biuro Śledcze Policji. Mogę prosić pana o przysługę?

Lokator przytaknął niepewnie i wpuścił wysokiego policjanta do środka. Bacznie go obserwował i z góry założył, że nie przekaze mu żadnych pieniędzy. Dużo bowiem nasłuchiwał się w wiadomościach o oszustach podających się za policjantów i cebosiów. Ten jednak nie próbował przeszukać mieszkania ani wyłudzać pieniędzy, poprosił jedynie o dostęp do balkonu.

– Zna pan sąsiada na dole?

– Mariuszka? Pewnie! Miły chłopak, choć nieśmiały. Szczególnie do kobiet.

Coś się stało?

– Stało się. Próbował urznąć dziewczynie głowę – wyjaśnił policjant, odsłaniając firankę przy balkonie.

– Jezu! Jest pan pewien, że to on?

Chmielewski nie odpowiedział, położył tylko palec na ustach i cicho otworzył drzwi. Wszedł na balkon i ostrożnie przekroczył balustradę. Powoli opuścił się na dół i zszedł na balkon poniżej. Ukradkiem zajrzał do środka. Niewiele był w stanie zobaczyć. Dostrzegł jednak niewielki ruch w mieszkaniu. Rozejrzał się wokół siebie. Na balkonowych kafelkach stała masywna donica wypełniona ziemią i uschniętym badylem, który niegdyś musiał być rośliną. Uniósł donicę po cichu i zamachnąwszy się, rzucił nią w szybę z pełną siłą. Szkło wzbilo się w powietrze, dźwięcząc przy tym nieprzyjemnie. Lokator, przestraszony

nagłym hukiem, najpierw skulił się nieco, po czym, usłyszawszy krzyk „Policja! Na ziemię!”, rzucił się do ucieczki ku drzwiom wejściowym. Gdy tylko je otworzył, osaczyło go pięciu innych funkcjonariuszy. Obezwładniony runął na kamienną podłogę. Chwilę potem poczuł chłód niklu na swoich nadgarstkach.

Starszy aspirant Chaberski już od kilku godzin ślęczał nad kartotekami i czekał na telefon od Impulsa. „Niech zadzwoni z czymkolwiek...” – pomyślał i spojrzał spode łba na siedzącego w drugim końcu pokoju Mazura. Ten kilka godzin temu wsadził sobie słuchawki na uszy i śledził kolejną rozmowę z podsłuchu. Wykonał kilka notatek na jednym ze stojących przed nim laptopów i zatonął w blasku monitora.

– Coś nowego? – zapytał Chaber smętnie. Mazur milczał. Nie dosłyszał pytania, więc kolega powtórzył, tym razem nieco głośniej: – Coś nowego?

– Mówiłeś coś? – Mazurski spojrzał na niego jakby nagle przebudzony ze snu. Chaber machnął ręką i przeciągnął się w obrotowym fotelu. Pomyślał o swoim starszym bracie – Jakubie – który wiecznie narzekał na swoją pracę w drogówce.

W tym momencie Chabrowi nawet taka robota dostarczałaby więcej rozrywki niż ten cały CBS. Jak to się w ogóle stało, że obaj bracia wkopali się w pracę w policji? Kacper, mimo że młodszy, zaczynał pierwszy. Odważnie, w kryminale. Jakub był ostrożniejszy, dlatego wybrał drogówkę. Może dzięki temu dłużej pożyje. Przez szybę oddzielającą ich pokój od korytarza i sali głównej dojrzał Berga, który właśnie przyjechał do Biura. Korciło go, żeby się zerwać, pójść do komisarza, porozmawiać, zrobić cokolwiek poza beczynnym siedzeniem w tym pokoju! Nie mógł dłużej tego znieść. Powstrzymał się jednak, bo nie chciał wyjść na nachalnego. Berg wszedł do siebie, a Mazur znowu pogrzyżył się w swoim świecie. Zero kontaktu. Nic się nie działo i to już od tygodni! Owszem, Chaber był człowiekiem cierpliwym i bardzo dobrze zdawał sobie sprawę z tego, że czekanie jest wpisane w wykonywany przez niego zawód, ale żeby aż tak?! Musiał z kimś porozmawiać. Cholera, w końcu Berg był jego szefem, który wrócił kilka dni temu po trzech miesiącach nieobecności! Jasne, że mają sobie mnóstwo do powiedzenia. Nawet w związku z samą

pracą. Wstał od biurka i wyszedł. W tym samym czasie również komisarz opuścił swój pokój i zobaczywszy Chabra, rzucił krótkie:

– Z powrotem!

– Tak jest... – szepnął pokornie starszy aspirant i wrócił na miejsce. Berg chwycił stojące pod ścianą krzesło. Obrócił je tyłem do przodu i siadając okrakiem, zajął miejsce obok Mazura.

– Co nowego? – zapytał aspiranta, podpierając ręce o oparcie krzesła.

Wydawał się rześki, zelektryzowany. Chaber obserwował go bacznie. Opierając się o biurko, myślał, co wprawiło komisarza w tak pozytywny nastrój. Mazur spojrzał na przełożonego z uwagą, poklepał coś na laptopie i przekazał Bergowi słuchawki. Ten zmarszczył czoło, odsłuchując nagraną rozmowę, po czym zapytał:

– Rozgryźliście już ich gryps?

– Częściowo – odparł Mazur. Odłączył wtyczkę słuchawek od laptopa i włączył fragment na głośnik. „Weź kapsułę od Świstaka. Jutro Boże Narodzenie”

– wybrzmiało. Chaber skrzywił się i parsknął:

– Co to, kurwa, jest?

Mazur uśmiechnął się szelmowsko i wyjaśnił.

– Świstak to koleś, który pilnuje składu. Ten drugi ma przyjechać do niego po paczkę kasy uzbieranej z handlu. Jutro dostają nowy towar.

– Kolejna dostawa... – zaczął Chaberski. – To już szósta, odkąd...

– Odkąd wyjechałem? – dokończył Berg.

– Tak. Ile jeszcze?

Komisarz dostrzegł nerwowość w zachowaniu Chaberskiego. Ten zazwyczaj spokojny i opanowany funkcjonariusz, kiedy już dochodził do granicy swojej cierpliwości, nie potrafił ukryć frustracji. Założył ręce na piersi i stąpał to na prawą, to na lewą nogę. Berg spojrzał na niego łagodnie z pełnym zrozumieniem.

– Wiem, że się niecierpliwisz, Chaber. Dobrze to rozumiem. Dostawa dwa razy w miesiącu... Interes dobrze im się kręci.

– Nie ma co się dziwić, można spokojnie powiedzieć, że mają monopol na mieście.

Berg wstał i podszedł do starszego aspiranta. Stał naprzeciw niego i pełen spokoju odparł:

– Jeszcze trochę. Wróciłem i wiem, że czekacie na akcję. Ale teraz to moja odpowiedzialność i nie mogę wskoczyć w to od razu na sto procent. Nie chcę czegoś przeoczyć, okej? Zresztą, nie mamy jeszcze Wujka, tak?

– No, nie mamy – przyznał Chaber. Wiedzieli, że Wujek trzyma na smyczy wszystkich żoliborskich dilerów. Do tej pory nie udało się im jednak ani go zidentyfikować, ani namierzyć.

– Powoli. Zaufaj mi, Chaber, jak zawsze. Hm? – Poklepał go po ramieniu, a starszy aspirant wymusił lekki uśmiech.

– Jasne. To twoja decyzja. I tak, rozumiem ją. Po prostu czasami brakuje mi cierpliwości.

– Wiem, wiem. Przy okazji, dzięki za namiar na Kapsela. Trafiłeś z tym adresem, rzeczywiście tam pracuje.

– Miałeś wątpliwości?

– Ani przez chwilę. Dlatego mam jeszcze jedną sprawę. Podkomisarz Wroński.

– Ta gnida?

– Potrzebuję jego komórkę.

– Po kradzieży to do Impulsa się zgłoś.

– Numer, kurwa, nie aparat.

– A! No to zaraz – wydukał Chaber i obszedł biurko. Wyciągnął z plecaka swój prywatny laptop. Odpalił go i kilka sekund później zapisał numer telefonu na skrawku papieru, który podał Bergowi.

– Dzięki.

– Co ty kombinujesz, Proca?

– O to się nie martw. Skup się na Żoliborzu.

– A co innego robię od kilku miesięcy?

– Chaber... – Komisarz włożył kartkę do kieszeni i kątem oka spojrzał na Mazura, który znów nasunął słuchawki na uszy i wydawał się całkiem ignorować otaczającą go rzeczywistość. – Byłeś już u Właszczyka?

– Zaraz pojedę do prokuratora.

– W drodze powrotnej kup sześciopak „Leszka”. Popijemy po pracy, pogadamy.

– Na serio?

– A co?

Chaber przytaknął, uśmiechając się. Opuściła go złość. Berg odwrócił się ku Mazurowi i pstryknął na niego palcami, próbując ściągnąć jego uwagę.

– Hej! Steve Woźniak! – powiedział żartobliwie. Dopiero wtedy Mazur ściągnął słuchawki. – Wiesz dokładnie, kiedy tę kapsułę odbierają?

– Za godzinę.

– Kto?

– Dyszka – odparł. Komisarz podszedł do niego i ponownie przysiadł na krześle. Aspirant dodał: – To jest Tobiasz Mączyński.

– Wóz?

– Jeździ czerwonym mercem GT, z kilometra go widać.

– Chaber, znasz adres do składu Świstaka? – Starszy aspirant przytaknął. – No, to chodź.

Chaber chwycił kurtkę z wieszaka i przypiął broń do paska. „W końcu jakaś normalna robota!” – pomyślał w duchu uradowany i ruszył za komisarzem. Wsiedli do taurusa i pojechali do składu. Berg zaparkował w bezpiecznej odległości.

Posiedzieli tak, czekając kilkanaście minut.

– Widzisz, Chaber, czasami w tej robocie tylko o czekanie chodzi.

– Uwierz mi, że sto razy bardziej wolę to czekanie z tobą niż w biurze z Mazurem!

– Może odłącz go od prądu od czasu do czasu. Zajeb mu kabel czy coś.

– Przecież on trzyma agregat pod kluczem!

– W biurze?!

– No, w biurze, a gdzie? Na wypadek, jakby prąd wyłączyli albo armagedon był...

– Ha! Mazur... Taki niezawodny.

Chaber przewrócił oczami z ironicznym uśmiechem. Lubił Mazura i szanował te jego technologiczne obsesje, które nieraz ratowały im dochodzenie. Przeszkadzała mu jedynie samotność i monotonia, a te w towarzystwie Mazurskiego były na porządku dziennym. Chaberski z kolei miał duszę towarzyską.

– No i jest Dyszka. Punktualnie – powiedział, zauważywszy nadjeżdżającego mercedesa.

Z wozu wysiadł Tobiasz Mączyński. Wielki jak dąb, łysy chłop o

ciemnej karnacji.

– Kurwa – zaklął Berg – mogłeś powiedzieć, że jest taki przypakowany, to byśmy wzięli jeszcze kogoś do pomocy.

– To we dwóch nie damy rady?

– Ten koleś to pieprzony Predator, tyle że bez dredów.

– Okej, to wezmę paralizator.

– Żeby go połaskotać?!

Komisarz zmierzył Chabra wzrokiem pełnym politowania. Niestety, ale starszy aspirant Chaberski był tak bardzo mądry, jak drobny. Nieważne, ile by trenował – choć i tak nie trenował za wiele – nie był w stanie przybrać na wadze.

Za szybki metabolizm.

Chwilę później Dyszka wyszedł z budynku z niewielką reklamówką w dłoni i odjechał. Policjanci ruszyli za nim. Śledzili go przez kilometr.

– Wystaw kogut – rozkazał Berg i Chaber posadził na dachu policyjną syrenę. Magnes przyciągnął się do dachu z trzaskiem. Nabrali prędkości, żeby zbliżyć się do merca. Ten zwolnił spokojnie i po chwili zatrzymał się na poboczu.

– Bądź czujny – przypomniał Proca, kiedy wysiadali. Chaber podszedł do czerwonego wozu od strony pasażera, Berg od strony kierowcy. Wyciągnął legitymację i powiedział:

– Dzień dobry. Komisarz Berg, Centralne Biuro Śledcze. Proszę o prawo jazdy i dowód rejestracyjny pojazdu.

– Coś źle zrobiłem, panie władzo? – zapytał Dyszka, podając dokumenty.

– Pół kilometra temu przekroczył pan prędkość.

– To teraz cebosie mandatami się zajmują?

– Taki ostatnio spokój w stolicy, że się nudzimy. Proszę wysiąść z samochodu.

Tobiasz Mączyński niechętnie, ale posłusznie wykonał polecenie.

– Fajny wóz, ile taki teraz kosztuje? – zagadał komisarz, kiedy Chaber wsiadł do merca i zaczął szukać reklamówki. – Tak z pół miliona?

– Co najmniej! Stać pana, komisarzu?

Berg uśmiechnął się tylko. Wiedział, że właściwa odpowiedź na to pytanie gwarantowałaby mu kilka kafli w łapę. Nie był jednak z tych,

którzy łasili się na łatwą gotówkę. Wręcz przeciwnie – brzydził się przekupstwami. Chaberski wysiadł z reklamówką w dłoni. Ze środka wyciągnął jeden z plików. Był on nieprzyzwoicie gruby i zawierał same banknoty stużłotowe. Podobnych wiązek było w torbie około dziesięciu. Berg gwizdnął i zwrócił się do Dyszki:

– Zakładam, że nie masz na to kwitu.

Zatrzymany, bez słowa, odwrócił się plecami do komisarza i przełożył ręce do tyłu.

– Jaki grzeczny chłopak – przyznał policjant bezwiednie. W duchu dziękował Bogu, że ten areszt przebiega spokojnie. Gdyby człowiek wielkości Mączyńskiego stawiał im opór, ktoś mógłby stracić życie. Założył mężczyźnie kajdanki i odprowadził do samochodu. Wsadził go na tył, gdzie usadowił się również Chaber. Przez całą drogę do aresztu tymczasowego aspirant trzymał w dłoni broń, nie pozostawiając zatrzymanemu żadnego pola do rozważań o ucieczce.

W areszcie zadali mu kilka rutynowych pytań. Nie cisnęli go, nie męczyli. Nie mieli na celu wyciągnięcia z niego żadnych informacji. Nie po to go zatrzymali. Tak, jak wcześniej tłumaczył Berg – nie powinni się zdradzić, że siedzą grupie żoliborskiej na ogonie. Miało to wyglądać na przypadkowe zatrzymanie. Taki policyjny fart. Dyszka grzecznie odpowiadał na każde pytanie tymi samymi słowami: „nie wiem” i „nie pamiętam”.

– Przypominasz mi byłego prezydenta, Mączyński... – ocenił w końcu komisarz. Zatrzymany wzruszył ramionami. Nie miał pojęcia, że nawet sam prezydent posunął się do podobnej prostackiej taktyki, wedle której podczas przesłuchania udawał nagły atak demencji i zanik pamięci.

– Może być – powiedział po chwili. – Długo muszę tu jeszcze siedzieć?

Będzie jakieś oskarżenie?

Berg spojrzał na niego, mrużąc oczy, i odparł:

– Nie. Obawiam się, że nic na ciebie nie mamy, Mączyński.

– Ale będziecie mieć mnie na oku...

– A mamy ku temu powód?

– Co z pieniędzmi?

– Zostają u nas. Może się pan po nie zgłosić, albo ktoś inny, ale zakładam, że tak się nie stanie. Musielibyście wtedy określić źródło przychodu. Przekażemy pana sprawę odpowiednim urzędom.

Kilka minut później zatrzymany opuścił budynek aresztu. Uznał, że miał tego dnia dużo szczęścia. Gdyby był choć trochę mądrzejszy, zdałby sobie sprawę, że uczestniczył przed chwilą w niewielkiej grze. Rozgrywce towarzyskiej będącej przymiarką do większej konfrontacji, która miała niebawem nastąpić.

– No, to urozmaiciłeś mi dzień, Proca – poskarżył się Chaber, wiedząc, że czeka go teraz sporo papierkowej roboty.

– Nie narzekaj. Pamiętaj, jak nudziłeś się przed chwilą. Zresztą, przynajmniej przechwyciliśmy pięćdziesiąt kafli. Biorąc pod uwagę brak jakichkolwiek aresztowań przez ostatnie miesiące, może złagodzi to trochę nastawienie Brockiego.

– Na pewno! Nic tak nie cieszy jak brudne pieniądze...

Na nudę na pewno nie mógł narzekać podkomisarz Michał Chmielewski. Dla niego był to wyjątkowo intensywny dzień, który w dodatku zakończył się operacyjnym sukcesem. Wprawdzie dorobił się niewielkiego skaleczenia dłoni przez to wybijanie szyby w drzwiach balkonowych, ale warto było. Zaskoczona natarciem mina aresztowanego okazała się bezcenna i do zapamiętania na całe życie. Oficer z satysfakcją przycisnął mu do nosa zdjęcie ofiary – dziewczyny z poderżniętym gardłem. Nie miał dla niego ani szacunku, ani litości. Widział w tym człowieku psychopatę, a co gorsza – tchórza. Miał jednak szczerą nadzieję, że sąd uzna jego poczytalność i nie wyśle go na leczenie psychiatryczne. To oznaczałoby dla oficera porażkę. Ustawił sobie na biurku niewielkie kartonowe pudełko i zaczął gromadzić w nim dokumentację. Pod ścianą stała duża korkowa tablica wypełniona po brzegi zdjęciami i notatkami dotyczącymi zbrodni. Wolno, po kolei, odpinał każdą z pinezek. Chował je do plastikowego pudełeczka (przydadzą się następnym razem). Zdjęcia i notatki wkładał do kartonu. Nie spieszył się w ogóle, mimo że było już grubo po jego zmianie. Powinien iść do domu albo na piwo lub coś mocniejszego. Tymczasem ciągle tkwił tutaj, archiwizując pamiętki kolejnej rozwiązanej przez siebie sprawy. Był

dobry. Musiał to sobie przyznać. Z łatwością przychodziło mu odczytywanie umysłów morderców. Ich intencji, planów, wahań... Miał taki naturalny dar. Za oknem już dawno pociemniało. Tablica była całkiem pusta. Jedyne, co na niej pozostało, to ledwo dostrzegalne dziury po pinezkach. Podkomisarz spojrzął na zegarek. Po dziesiątej. Pomyślał, że pora się ulotnić. W tym samym czasie w innej części budynku komisarz Feliński rugał swojego współpracownika, podkomisarza Cezarego Meca, za kolejny zmarnowany dzień pracy.

– Nie rozumiem! Przecież rzeka płynie pewną prędkością! Skoro biegły określił, kiedy nastąpił zgon i ile tkwiła w wodzie, to chyba możemy obliczyć, gdzie ją do rzeki wrzucono! Chociaż mniej więcej.

– No, nie do końca – tłumaczył się Mec – bo przecież była na początku przywiązana do balastu. Nie wiemy, jak długo ciało spoczywało na dnie.

– Możemy założyć, że wcale! Skoro w ogóle się odwiązało, to znaczy, że partacko je przywiązano. Mecu, ja ci powtarzam – groził palcem Fela – jak dla mnie, to możesz nawet zamieszkać nad brzegiem Wisły, ale masz mi, kurwa, znaleźć miejsce, w którym ją wrzucono.

– Komisarzu, to niemożliwe. Nasi konsultanci...

– Wypierdalaj...

– Ale specjaliści...

– Won, powiedziałem!

Podkomisarz Mec dał za wygraną. Wyszedł i zostawił Felińskiego samego. Ten nerwowo wypalił w oknie papierosa, po czym również wyszedł ze swojego biura.

– To jak, gotowy na libację? – zapytał Chaber, wchodząc do pokoju Berga z sześciopakiem Lecha w dłoni. Było już późno. Założył, że nawet jeśli komisarz nadal nad czymś pracuje, to nie będzie się upierał, aby kontynuować robotę.

Zresztą, byli umówieni.

– „Libację”? Sześcioma piwami?

– Chciałem, żeby to zabrzmiało imprezowo...

– Oj, Chaber... Że też mi przyszło do głowy... – urwał. Nie dokończył myśli, za to spakował prywatny laptop do plecaka, zabrał broń, skórzaną kurtkę i ruszył ku drzwiom.

- Chodźmy na dół.
- Na strzelnicę?
- Nie wytrzymam z tobą pić i rozmawiać przez cały wieczór. Ty, jak strzelasz, to nie gadasz.
- Bo się skupić muszę!
- Ja też. Dlatego najpierw postrzelamy, a potem pójdziemy się napić. Ćwiczyłeś, jak mnie nie było?
- Strzelanie? Przecież wiesz, że jak nie muszę, to się do tego nie garnę.

Regulamin zakłada szkolenia...

– Jak staniesz oko w oko z gangusem, który będzie cię chciał odstrzelić, to będziesz mu się tłumaczył? „Przepraszam panie gangsterze, proszę odłożyć broń, ponieważ nasze szanse nie są równe, a mój regulamin pracy nie wymagał ode mnie szkoleń.” Powodzenia! Bezpieczeństwo przede wszystkim – masz strzelać tak, żeby trafiać.

– Niby tak, ale później różnie może być. Postawią mnie przed sądem z zarzutem przekroczenia granic obrony koniecznej...

– Mówisz poważnie? Chaber, sto razy bardziej wolałbym stać przed sądem państwowym niż przed sądem ostatecznym. Ty nie?

Chaberski, choć z niechęcią, podążył za komisarzem. Wolałby ustalić nieco inny przebieg tego wieczoru. Nie lubił strzelać z prostego powodu – nie szło mu najlepiej. Ograniczał się do wyrabiania obowiązkowych norm strzeleckich i dobrze mu z tym było. Ale nie mógł przecież odmówić Procy, dla którego strzelnica, jak wszyscy dobrze wiedzieli, mogłaby być drugim domem.

Gdy tylko znaleźli się na korytarzu, naszedł na nich komisarz Feliński, który uśmiechnął się prawie niezauważalnie. Przywitał ich niemrawo, a Berg, domyślając się powodu tego przygnębienia spróbował nieco podnieść go na duchu.

– W sprawie tej twojej dziewczyny – może będę coś miał. Jeszcze nie teraz.

Daj mi trochę czasu.

– Proca, kurwa, właśnie czasu to ja mam potąd! – powiedział,

wskazując dłonią na czoło. – Prokuratura dała mi na to sześć miesięcy. Sześć, rozumiesz?!

Kto daje sześć miesięcy na trupa prostytutki?! No, nie wiesz... Ja też nie! Dureń ten mój prokurator! A sprawa stoi w miejscu i chuj! Jak krew w piach! Nie dało się ukryć tego, że Feliński był na skraju wiary we własne możliwości. Już od początku cała ta sprawa nie szła mu za dobrze. Ba! Gdy tylko dowiedział się, że zidentyfikowana denatka była prostytutką, od razu wywęszył kłopoty. Każdego dnia coraz bardziej przeczuwał, że to dochodzenie trafi na stos spraw nierozwiązanych. Wiadomo, że z takim podejściem jest to wizja jeszcze bardziej prawdopodobna.

– Dołączysz do nas? – zaproponował Berg. Widocznie ocenił, że Feliński dużo bardziej potrzebuje teraz wsparcia, niż Chaber towarzystwa i indywidualnej rozmowy. – Mieliśmy iść trochę pogrzmoć na dole, a potem na piwa; Chaber już nas zaopatrzył; ale może przejdziemy od razu do...

– Nie musisz nawet mnie namawiać. Z chęcią też trochę popstrykam.

– Feliński! – krzyknął z połowy korytarza podkomisarz Chmielewski.

Uśmiechał się szeroko i jak tylko do nich podszedł, mocno uścisnął dłoń Felińskiego.

– Misiek, kurwa! – rozchmurzył się nieco Fela. – Słyszałem, że zamknąłeś dzisiaj sprawę!

– A jak!

– Proca, wy się znacie?

Zaprzeczył ruchem głowy. Żeby spojrzeć podkomisarzowi prosto w oczy, zmuszony był nieco unieść spojrzenie, bo Misiek był wyższy o prawie głowę.

– Nie było okazji, ale wiele o tobie słyszałem, Proca – zapewnił i przedstawił się z uśmiechem bijącym z twarzy.

– A to Chaber – wyjaśnił Berg – moja prawa ręka w grupie.

– Cześć. Ja słyszałem o tobie. Ty jesteś ten Misiek od sprawy Kosiarsza, który kilka lat temu gwałcił i zabijał dziewczyny na pomorzu...

– Zgadza się. Rozpracowywaliśmy go z Hynkiem. Kudłatym – potwierdził Misiek, wspominając poprzedniego przełożonego. Poczł przyjemne łaskotanie w żołądku wywołane rozpoznaniem i

docenieniem. – Kosiarz nazywał się Krystian Strzyga i zabił dwadzieścia dziewczyn. To było w Gdańsku, kiedyś tam służyłem.

– To ty go zgarnąłeś? – wtrącił Berg. – Kawał dobrej roboty. Śledziłem jego rozprawę, zebraliście wtedy piękne dowody.

– Prawda. Nie miał jak się wybronić.

– A pamiętam, że próbował bardzo. Do końca się nie przyznał?

– Nie – nachalnie odpowiedział Chaber, nie dopuszczając podkomisarza do słowa. – Obrona doczepiła się do zaginionej broni, z której zastrzelił jedną z ofiar.

Ostatecznie nie przyznawał się tylko do tej jednej.

– Ale nóż, którym podrzynał dziewczynom gardła – dodał Chmielewski – był raczej najważniejszym dowodem.

Feliński wszedł między nich i zaproponował:

– Misiek, może dołączysz do nas. Idziemy do prochowni. Postrzelamy, popijemy.

– Mam jeszcze dzisiaj kilka raportów...

– Chociaż godzina – zachęcił go Berg. – Fela potrzebuje kolegi do pary.

Zagramy dwóch na dwóch.

– Alkohol i hazard w Komendzie Głównej Policji. No pięknie... Niech będzie.

Zeszli do pustego podziemia. Tylko Berg mógł wpaść na tak dziwaczny pomysł miniturnieju strzeleckiego po dziesiątej wieczorem. Cóż, początkowo miał tu być tylko on, Chaber, a potem trzy piwa na głowę. Nie zaplanował z góry szerszego towarzystwa. Szumnie wkroczyli na strzelnicę. Tonęła w mroku, oświetlona jedynie słabą luną wpadającą tu z klatki schodowej. Misiek zapalił światło. Jarzeniówki zamrugały, rozświetlając sekcjami każdy kolejny tor. Feliński, pogwizdując „I shot the sheriff”, ściągnął marynarkę i szelki, przy których trzymał broń. Niewielu policjantów tak ją nosiło. Niektórym wydawało się to komiczne, bo w zbyt oczywisty sposób przypominało filmy hollywoodzkie. Feliński miał to gdzieś. Tak nosił, bo tak lubił, a mówiąc szczerze – było mu tak po prostu wygodniej. Jako człowiek o dość pokaźnym obwodzie pasa miał problemy z wydobyciem broni z kabury wewnętrznej umiejscowionej nad biodrem, a co dopiero na plecach! A pod marynarkę sięgał szybko i sprawnie. Choć i tak

podobny ruch wykonywał niezmiernie rzadko. Przystawił sobie bliżej torów krzesło i niewielki stolik stojące pod ścianą. Rozsiadł się wygodnie. Wyraźnie zdążył się już zrelaksować. Wyglądał, jakby miał ochotę ściągnąć również i buty. Nie zrobił tego jednak.

– Daj to piwo, Chaberski – rzucił bezwiednie. Starszy aspirant spojrział zmieszany na Berga, który zaczął już zawieszać tarczę na uchwycie.

Oczywiście, że Proca nagiął czasami przepisy. Bywało, że z trudem trzymał się reguł. Bez większych oporów wsiadał za kółko po alkoholu, ale żeby sięgać po nim po broń – w dodatku na policyjnej strzelnicy – to dalece przekraczało jego buntownicze granice.

– Może poczekamy z tym, aż skończymy? – zaproponował, lecz jego ton był na tyle stanowczy, że nikt nie śmiałby z nim dyskutować.

– Jak chcesz, Proca – odparł Feliński ze swojej wygodnej pozycji.

Umówili się na wystrzelenie ośmiu naboí. Strzał w głowę był wart dziesięć punktów, w tors pięć, a w brzuch i kończyny po dwa. Każdy z oficerów wyłożył stówę na stół. Otworzyli magazynki i wyliczyli, aby tylko osiem pocisków zostało w środku. Feliński sięgnął do kieszeni spodni. Gdy zorientował się, że nie ma w niej nic prócz zużytej chusteczki higienicznej, zapytał:

– Macie jakąś monetę?

Misiek i Proca przeszukali swoje kieszenie. Komisarz rozłożył dłoń i wydobył z niej monetę dwuzłotową, która zaplątała się w różaniec. Zignorował dwuznaczny wyraz twarzy nowego kolegi, będącego jednocześnie rozbawionym jak i zszokowanym. Wiele cudaków widział już w szeregach policji, ale po raz pierwszy trafił na takiego, co kulki nosił na służbie.

– Co dla was, Proca, orzeł czy reszka? – zapytał Feliński, sięgając po papierosy.

– Zawsze orzeł.

Berg podrzucił monetę kciukiem, nadając jej rotację wokół własnej osi. Złapał ją w dłoń i mocno położył na stole..

– Reszka – zawiedziony powiedział Chaber. Berg wzruszył ramionami, a Feliński oddelegował Miśka na pierwszy ogień.

– Idź, ja muszę się jeszcze porelaksować.

Gdy tylko Chmielewski wprowadził pierwszy nabój do komory,

Chaber zaczął rozpraszać go gadką:

– Ty! A słyszałem, że pracowałeś też nad zabójstwem tego bankiera, co go w biurze powieszono.

– To było samobójstwo – odparł Misiek, przymierzając się do celowania.

– Prokurator uważał inaczej.

Podkomisarz oddał pierwszy strzał. Celny, chociaż nie idealny. Wywrócił oczami i spojrzał na Chabra.

– Prokurator miał swoje własne zdanie ściągnięte z sufitu! Nic nie wskazywało na morderstwo. – Ponownie obrócił się ku torowi, lecz Chaber nie popuszczał.

– Nic nie wskazywało, dopóki nie przekazał sprawy innemu gościowi z krymy, który dowody znalazł.

– Kurwa! – zaklął Misiek przez zaciśnięte zęby i szybko oddał siedem strzałów, przy czym dokładnie siedem razy nacisnął spust, opuszczając broń od razu po opróżnieniu magazynka. Drażnił go ten temat. Chaber wiedział, gdzie uderzyć, a podkomisarz nie miał pojęcia, skąd u tego dzieciaka (tak o nim pomyślał, choć „dzieciak” był od niego zaledwie o pięć lat młodszy) taka wiedza o jego dochodzeniach. Nawet się nie znali! Przywołał wyciągiem swoją papierową ofiarę i ściągnął ją z uchwytu. Mimo gadaniny Chaberskiego osiągnął całkiem niezły wynik. Trzy kule dosięgły głowy, reszta torsu.

– Pięćdziesiąt pięć. Nieźle, nieźle – pochwalił rezultat Berg i wypchnął przed siebie Chabra. – Twoja kolej, mądrało. Bądź dumą wydziału.

Chaber nałożył okulary ochronne oraz słuchawki, zawiesił nowy cel i oddał dwa pierwsze strzały w brzuch. Wtedy odezwał się Misiek.

– Chryste! Włożyli ci palec w oko, jak byłeś mały?

– W dupę! – odparł na odczepnego starszy aspirant i posłał dwie kolejne kule, z których pierwsza trafiła w głowę, a druga w pole.

– A! To wszystko wyjaśnia. Dlatego w cipki też kiepsko celujesz!

Berg oglądał to widowisko porażki, śmiejąc się i jednocześnie żałując przyjaciela. Chaberski bardzo często padał ofiarą niesmacznych żartów z powodu swojej orientacji seksualnej. Zazwyczaj puszczał je mimo uszu i nie zwracał na nie uwagi. Kiedy kolejna z kul

powędrowała w pole, Misiek wykrzyknął:

– Dobrze cię rozpracowałem, kurwa! Jesteś homo? Ja pierdolę... To ciężko musi ci być pracować w psiarni. Taki gorący towar wokoło, a nikt nie chce ci laski zrobić. I strzelasz jak baba! Ja pierdolę! Patrzcie, ale w chuja to mu trafił pięknie.

W sam środek, no, wiadomo.

Chaber uzbierał za ledwie dwadzieścia jeden punktów i wkurzony odsunął się od stanowiska. Zdenerwował się jeszcze bardziej, kiedy zobaczył, jak jego przełożony powstrzymuje się od śmiechu.

– Tragedia, Chaber... – wycedził Proca, walcząc z uśmiechem próbującym uwidocznić się na jego twarzy. – Pozwoliłeś, żeby dotarła do ciebie ta nawijka?

– Sorry, Proca. Czyja kolej?

Fela oddał komisarzowi pierwszeństwo. Rozsiadł się tak wygodnie, że postanowił nie ruszać się, dopóki nie będzie to konieczne. Berg podszedł do stanowiska i odprowadził wyciągiem nowy cel na koniec toru. Chwycił glocka clamshellem i uniósł go na wysokość oczu. Wtedy Feliński zaczął coś mówić, żeby go rozproszyć, ale jego głos szybko zniknął pośród fali wystrzałów sypiących się z glocka. W charakterystyczny dla siebie sposób oddał jednostajną serię strzałów. Praca glocka zabrzmiała jak seria z pistoletu maszynowego i zajęła niecałe dwie sekundy. Wszystkie kule powędrowały prosto w głowę kartonowej ofiary.

– Tornado pierdolone – ocenił Feliński z rezygnacją w głosie. – Ile tam nabiłeś? Sto na osiemdziesiąt możliwych?

– Dokładnie osiemdziesiąt.

– Na chuj zaprasza się ciebie do takiej zabawy?

Stanął na miejscu komisarza i idąc za jego przykładem, nie pozwolił niczyjej gadaninie dojść do jego uszu. Osiem kul dosięgnęło celu, dając duetowi z zabójstw łącznie sto dziesięć punktów. Zgarnęli więc ze stołu cztery stówy i podzielili je między siebie.

– Dzięki za premię, chłopaki – powiedział Fela, chowając pieniądze do kieszeni.

– Odegramy się następnym razem – zapewnił Berg, patrząc na Chabra współczująco. Bez wątpienia aspirant był zażenowany swoją nieporadnością, chociaż Proca nie dał mu odczuć zawodu. Widział i

doceniał szereg innych wyjątkowych umiejętności, którymi szczylił się Chaberski, a że celność nie była jedną z nich... Cóż, nie można być orłem we wszystkim.

– Dobra – odparł Misiek – odegracie się, tylko przyprowadź ze sobą lewego.

„Lewy” spojrział na niego wrogo przez zaledwie ułamek sekundy, co nawet uszło uwadze reszty. Atmosfera zaczynała się rozluźniać i sam Chaberski nie miał zamiaru podejmować nieprzyjemnej konfrontacji. Zamiast tego podszedł do Procy i pomógł mu uprzątnąć to „pole bitwy” – dziurawe tarcze i trzydzieści dwie łuski rozrzucone niedbale przez glocki w rozmaitych miejscach pomieszczenia. Kiedy skończyli, Berg zaproponował wyjście do baru albo przejście do któregoś z biur, gdzie mogliby wypić kupione przez Chabra piwa, jednak Feliński oznajmił, że nigdzie się teraz nie rusza, bo jest mu za wygodnie.

– Proca, nie patrz na mnie tym wzrokiem – dodał Fela po chwili milczenia kolegi. – Przecież robiliśmy to już nieraz. A! Boisz się, bo młodzież patrzy! Nie przesadzaj – powiedział przeciągle i machnął ręką. Uśmiechnięty Misiek usiadł obok niego szczerze zaintrygowany sytuacją. – Założę się – ciągnął dalej Feliński – że ci młodzi już nie takie rzeczy robili. Proca poddał się. Skinął na Chabra, by ten wyciągnął butelki, a sam dosunął sobie krzesło. Każdy z funkcjonariuszy sięgnął po swoje piwo i Feliński zaproponował toast.

– Za zamykanie spraw, panowie.

Szkoło zadźwięczało radośnie. Pierwsze butelki dosyć szybko zostały opróżnione do dna. Jako że pijących było czterech, a trunków sześć, Chaber, jako największy przegrany turnieju, został oddelegowany do zakupu kolejnych. Pobiegł do najbliższego monopolowego. Znalezienie sklepu nie było problemem, w końcu w Polsce podobne sklepy rozsiane są gęsto. Kilka minut później chłopak był już z powrotem. Berg, choć rozczarowany wynikiem zakładu, podziwiał sposób, w jaki Misiek rozpracował i rozproszył starszego aspiranta, chociaż podejrzewał, że to „rozpracowanie” mogło być wyłącznie wiedzą. Krążyły bowiem pogłoski o seksualnych preferencjach Chaberskiego, choć większość czepialskich już dawno się na nim

wyżyła; starszy aspirant przeszedł już swoje i od dłuższego czasu miał spokój. Sympatia Berga do nowego znajomego znacznie zmalała, gdy wywiązał się temat dochodzenia Felińskiego.

– Nie mogę ustalić nic nowego – żalił się Fela. – Wkurwia mnie ta sprawa.

Jak tylko będziesz coś miał, Proca, cokolwiek...

– Dam ci znać.

– Pomagasz mu w tej sprawie? – wtrącił Misiek mimochodem. Przyjął postawę bardzo pewną siebie, czym przypomniał komisarzowi Młodego.

A właściwie Młodego sprzed całej tej afery korupcyjnej i problemów alkoholowych. – Chodzi o tę zastrzeloną prostytutkę, tak?

– Tak – przyznał Berg. – Chociaż „pomagam” to za dużo powiedziane... Na razie nic nowego nie wniosłem.

– Nawet jeśli nic z tego nie wyjdzie – spokojnie odparł Misiek – to wiecie, dobrze przynajmniej, że to tylko kurwa była.

– Czyli „kurwa” – zaakcentował określenie komisarz – nie zasługuje na prawdę? Sprawiedliwość?

– Miałem na myśli raczej to, że one zazwyczaj nie mają kochającej rodziny, więc może nikt nie będzie po niej płakał. A i w statystykach lepiej wygląda nierozwiązana kurwa niż nierozwiązany dzieciak na przykład.

– Ma trochę racji – przyznał Chaber, choć niechętnie.

– Nuda veritas – dokończył Misiek.

Faktycznie. Wszyscy zdawali sobie sprawę z tego, że najważniejsze są zawsze statystyki i pijar. Media nie zainteresują się za bardzo martwą kobietą, która przyjmowała pieniądze za seks. To za mało dramatyczne, może zbyt oczywiste, bo one często pakowały się w kłopoty i stały z boku narkotykowych biznesów i innych nielegalnych układów. Dzieci poruszały każdego, więc nadawały się na pierwszą stronę. Berg coś o tym wiedział. Kiedy przy okazji sprawy Wilka zorganizowali nalot podczas przerzutu narkotyków, zginęło kilku młodych (stanowczo zbyt młodych) chłopaków, którzy, próbując zarobić szybkie pieniądze, najęli się do gangu, wzięli do ręki broń i zamiast poddać się zaraz po wkroczeniu policjantów, otworzyli do nich ogień. Przez kilka miesięcy Biuro broniło się przed zarzutami o

nadużycie siły. W końcu przeszkoleni funkcjonariusze strzelali do (prawie) bezbronnej młodzieży...

Strzelnica opustoszała dopiero przed pierwszą. Chaber po trzech piwach zamówił taksówkę do domu. Berg wrócił taurusem. Kiedy wszedł do mieszkania, od progu przywitał go zapach wczorajszej nocy – subtelna woń perfum, którą pozostawiła po sobie Sussy.

„Psy szczekają, a karawana jedzie dalej”

– poseł Aleksander Tarkowski

Berg spał wyjątkowo twardo tej nocy. Nie przebudził się ani razu aż do rana, co zdarzało się nieczęsto. Zazwyczaj zasypiał późno, bo długo męczyły go nierozwiązane jeszcze sprawy i budził go każdy najmniejszy dźwięk – woda bulgocząca w rurach czy przejeżdżający pod oknem samochód. Ta noc różniła się od innych. Poranek również, gdyż rozpoczął go dzwonek u drzwi. Ów irytujący dźwięk dotarł do jego świadomości z lekkim opóźnieniem. Z początku komisarz nie był pewien, czy dzwonek był rzeczywisty, czy tylko mu się przyśnił. Otworzył lekko jedno oko, zerkając na stojący przy łóżku analogowy zegar. Najczęściej widział na nim trzecią bądź czwartą w nocy. Później – dopiero ósmą. Teraz była szósta czterdzieści. „Co u diabła...” – pomyślał, siadając na łóżku. Gdy przetarł oczy, dzwonek się powtórzył. Komisarz dochodził do drzwi powoli, posuwistymi krokami. Miał na sobie jedynie bokserki i t-shirt z nadrukiem „RANGER” – prześmiewczy prezent od Klary, który postanowił nosić jedynie w prywatnych czterech kątach. Lekko uchylił drzwi.

– Młody?

– Obudziłem cię?

– Jeszcze nie ma siódmej...

– To coś mi się pomieszało... Myślałem, że będziesz już szedł do pracy.

– Jeszcze nie. Wejdz.

– Sorry, że tak wcześnie. Mój zegar biologiczny chyba się jeszcze nie ogarnął.

– A z niebiologicznego nie korzystasz? – zapytał Berg, podchodząc do kuchennego aneksu. Nie powiedział tego uszczypliwie, po prostu jeszcze się w pełni nie przebudził. Oparł prawą rękę o kontuar, a lewą

rozmasowywał twarz.

– To może dzisiaj ja zrobię ci śniadanie, co? – zaproponował Młody niepewnie.

– Potrzebuję kawy. I kąpieli... – Otworzył lodówkę, a potem dwie szafki w poszukiwaniu kawy.

– To nie ta, co stoi przy czajniku?

– Ta...

– Zaparzę ją. Ty idź, weź prysznic.

– Co taki pomocny jesteś?

– Wyrzuty sumienia.

Komisarz nie protestował. Chłodny prysznic rozbudził go od razu. Był gotowy zacząć dzień. Upił pierwszy łyk idealnie zaparzonej kawy. Dokładnie takiej, jaką lubił, i zapytał:

– Co cię przywiało do mnie z samego świtu?

– No, nie wyczułem, że był świt. Pomyślałem, że zabiorę się z tobą do Biura.

– Twojego?

– Twojego.

– Po co? Nie żebym miał coś przeciwko...

– Jestem jeszcze na urlopie w sumie. Ale nie mogłem już wysiedzieć w domu. Jak się obudziłem i dotarło do mnie, że czeka mnie kolejny dzień nieróbstwa, to się przeraziłem i zachciało mi się pić.

– Dzięki za szczerą odpowiedź!

– Nie ma za co! Należy ci się. Dobrze będzie zobaczyć się z chłopakami.

Przeprosić za bycie totalnym chamem.

– Chyba nie oni pierwsi zasługują na przeprosiny.

Młody spuścił oczy i momentalnie stracił uśmiech, który wcześniej widniał na jego twarzy.

– Nie jestem jeszcze gotowy. Zresztą, co bym jej powiedział? Ona pewnie i tak woli mnie nie widzieć.

– Jeśli tak jest, to powie ci „spierdalaj” i będzie po kłopotcie.

– Jeszcze nie, Berg. Jeszcze nie teraz.

– Jak uważasz. Miałem w sumie plan pojechać gdzieś indziej od rana, ale skoro tak, to dobra. Zabiorę cię do Biura.

Aleksander Tarkowski sprawował w sejmie już drugą kadencję. Na

sali plenarnej znaleźliby się tacy – nawet wchodzący w skład jego politycznego obozu – którzy powiedzieliby, że to o dwie kadencje za dużo. Nie był lubiany. Czasami robił z siebie błazna przy mównicy. Doskonale jednak wiedział, za jakie sznurki należy pociągać, żeby na przekór złośliwcom swoją posadę utrzymać. Zawsze przychodził na obrady. Żeby się pokazać. Nigdy jednak nie zostawał na nich zbyt długo. Najwyżej dwie godziny, coby się nie przepracować. Spędzał trochę czasu w biurze poselskim, jednak nie każdego dnia. W innych miejscach, w których wypadałoby, żeby pojawił się od czasu do czasu, w ogóle nie bywał. Ogólnie rzecz ujmując, wywiązywał się ze swoich obowiązków poniżej normy. Zdarzało mu się pojawić od wielkiego dzwonu w Ministerstwie Infrastruktury i Budownictwa. Po co? Nikt nie wiedział. Z pewnością nie z poczucia obowiązku ani też z zamiłowania, bo zarówno o infrastrukturze, jak i o budownictwie nie miał zielonego pojęcia. Myślał, że beton kupuje się gotowy w sklepie. Jeśli został przez kogoś zauważony i rozpoznany w ministerstwie, wnioskowano, że z pewnością sprowadziły go tam cele towarzyskie. Nawet sekretarka samego ministra tak uważała. Tarkowski odwiedzał go bowiem co pewien czas. Podobno „kolegowali się i mieli wspólnych znajomych”. Sekretarka przywitała go z uśmiechem. On, jak zwykle, ucałował jej dłoń na przywitanie.

– Pan minister już na pana posła czeka.

– Dziękuję bardzo, pani Zosiu! Nie będę nadwyręzał jego cierpliwości.

Wszedł do gabinetu ministra. Polityk siedział za masywnym biurkiem, tonąc w papierach czekających na jego łaskawy podpis. Oderwał się od nich, gdy tylko otworzyły się drzwi.

– Alek, nie myślałem, że kiedyś to powiem, ale cieszę się, że cię widzę.

Mam przynajmniej pretekst do przerwy.

– Ty chociaż na nią zasługujesz w przeciwieństwie do przedstawicieli „partii manekinów”, którzy ciągle o przerwy wnoszą.

– No, słyszałem, słyszałem. Mnie już te plenarne śmichy-chichy nie bawią.

Mam za dużo roboty i za dużo lat na karku. Siadaj i mów, co to za sprawa nie cierpiąca zwłoki, o której mówiłeś.

– Szykuje się przetarg na odcinek „es ósemki”. Mam do tego idealną firmę.

– Nic z tego, Alek. Po ostatnich opóźnieniach patrzą mi na ręce. Wszystko musi być przejrzyste i bezbłędne. Wiesz, jak mnie ostatnio media obsmarowały?

O Internecie już nie wspomnę!

– Nikt tak nie dokłada, jak anonimowy hejter!

– Anonimowy czy nie, opłacony czy nie, to już nieważne. Jak to mówią Amerykanie: damage is done! Jestem najpopularniejszym ministrem do memów.

Kurwa, już można ze mnie komiksy składać!

– Wszystko będzie piękne na papierze. Firma jest czysta, działa na rynku od miesiąca. Dla niepoznaki chłopak, który za nią stoi, załatwił już nawet kilka wykonów w portfolio!

– Nie tym razem.

– Dużo się teraz dzieje, nikt nawet nie zwróci uwagi na mały przetarg. Za dwa dni głosujemy nad nowelizacją do ustawy... Nie chcemy przecież, żeby umarła ona na sali sejmowej.

– Szantażujesz mnie?

– Sam postawiłeś się w tej sytuacji. Trzeba było uważać. A tak, to ponagrywali wasze patowe rozmowy w jakiejś pieprzonej restauracji i wszystko wisi na włosku. Jeśli te nagrania będą miały moc dowodową przed sądem, ty i kolesie z partii leżycie i kwiczycie. Załatwię wam czterdzieści głosów poparcia dla aneksu o podsłuchach. Czterdzieści jak w banku! Przemysł to dobrze.

– Kurwa, Alek... To poniżej pasa. Dobra. Masz ten przetarg.

– Widzisz! Psy szczekają, a karawana jedzie dalej!

– Powiedz mi tylko, dlaczego ty z tymi sprawami do mnie przychodzisz. Nie lepiej od razu do dyrektora GDDKiA?

– Jakoś ciebie bardziej lubię.

– Ale pamiętaj! Jak nam ta ustawa umrze w konwulsjach, to będę wiedział, kogo obwiniać.

– Spokojna głowa! Ustawa przejdzie, a opozycja będzie mogła sobie tymi dowodami dupę podetrzeć.

Kiedy wjechali na parking przed budynkiem Komendy Głównej Policji, Młody poczuł przyjemne mrowienie w żołądku. W przeszłości

nie spędził w biurze CBS-u zbyt wiele czasu. Za ledwie jeden tydzień trwało jego pozorne zatrudnienie w Firmie będące tak naprawdę przykrywkową akcją z ramienia CBA. Jednak podkomisarz czuł się tu dobrze, a przynajmniej lepiej niż u siebie. Powinien przyjąć propozycję Berga o dołączeniu do grupy „Szakał”. Zamiast tego doczepił się do fatalnego śledztwa, które zmarnowało mu nerwy, zdrowie i związek z Basią. Teraz nawet gdyby chciał się dowiedzieć, czy propozycja pracy jest ciągle aktualna, nie śmiałyby zapytać o to Berga. Komisarz dobierał do grupy samych specjalistów, chłopaków najlepszych w swoich dziedzinach. Dlaczego miałyby przyjmować Młodego – tchórza i nieudacznika, który się poddał, wystraszył i pozwolił odebrać sobie sprawę? Jak zwykle, po swojemu, Berg ruszył w kierunku schodów. Nie biegał już tak często jak kiedyś; od czasu do czasu dokuczało mu ścięgno w łydce. Starał się jednak utrzymywać kondycję na akceptowalnym poziomie i zawsze, kiedy miał okazję, wybierał schody zamiast windy. Młody nie protestował. Też nie był fanem tego małego, zawsze zatłoczonego pudła, które wbudowano w środek Biura i które zawsze śmierdziało potem. Dotarli na drugie piętro. Na korytarzu było tłoczno. Ruch był tu większy przed południem niż po nim, a pod wieczór sukcesywnie malał.

Z drugiego końca korytarza wypatrzył ich Chaber. Młody zawahał się. Od ich ostatniego spotkania minęło już kilka ładnych tygodni, a rozstali się w dość nieprzyjemnych okolicznościach. Młody już wtedy popijał, a Chaber, oczywiście wyczuwając kłopoty, starał się oferować na siłę swoją pomoc. Podkomisarz rzucił mu wtedy wymowne „spierdalaj, pedale” i trzasnął drzwiami jak obrażona na rodziców nastolatka. Tak już miał, że język zaostrzał mu się pod wpływem alkoholu. Nie zdziwiłby się, gdyby Chaber w ogóle nie chciał z nim teraz rozmawiać. Sam Młody był na siebie wściekły za tak chamskie zachowanie. Tymczasem Chaberski uśmiechnął się lekko i spojrzał na niego wzrokiem mówiącym „a jednak wróciłeś, synu marnotrawny”. Wyciągnął ku niemu dłoń. Młody uściśnął ją niepewnie, ale mocno. Starszy aspirant lekko pokiwał głową, przysunął się bliżej i sprzedał mu mocny, niedźwiedzi uścisk. W odpowiedzi Młody poklepał go po

plecach. To wszystko wydarzyło się w milczeniu. Nie potrzebowali słów. Jeden żałował, drugi wybaczwał.

– Dobrze cię widzieć... – powiedział w końcu Chaber i zaraz potem dopadł do nich Mazur. Uśmiechnięty od ucha do ucha przywitał wszystkich, rzucił pospieszne: „Młody! Jednak żyjesz!” i dodał entuzjastycznie:

– Słuchajcie, ale będzie afera!

Spojrzeli na niego zaciekawieni. Nieczęsto widywano Mazura porwanego czymś innym niż technologia.

– W strzelnicy znaleziono dwanaście butelek po piwie.

– Że pustych? – rzucił Młody, nie ukrywając zdumienia. – Ktoś pił w prochowni? Takie rzeczy chyba tylko u was! Może mam dla siebie nową sprawę...

– Kurwa, Chaber... – zaczął Berg. – Myślałem, że sprzątnąłeś te butelki!

– Ten cały Misiek powiedział, że to zrobi. Wychodził ostatni!

Mazur i Młody patrzyli na nich z niedowierzaniem. Szczególnie aspirant wyglądał na przejętego i szeptem zapytał:

– A jak ściągną odciski palców z butelek...?

Berg tylko wywrócił oczami i minąwszy ich, skierował się ku swojemu pokojowi. Chaber pospieszył z wyjaśnieniem:

– Ty mnie czasami zaskakujesz, Mazur... Po chuj im odciski, jak jest monitoring!

Komisarz nie przejął się za bardzo, w przeciwieństwie do Chabra, który nerwowo podgryzał wargi. Stał nad Bergiem jak nachalne dziecko próbujące namówić rodzica do zabawy. „Skończy się naganą i tyle” – ocenił komisarz. Próbował wrócić do pracy, ale Chaber ciągle miał coś do dodania. W końcu Berg wyprosił go bezpardonowo. Miał gdzieś pogadanki, reprimendy czy nawet pisemne nagany. Wiedział, że robotę prowadzi pierwszorzędnie. Co mu zrobią? Zwolnią? Oficera o najlepszej wykrywalności? Come on... Żaden z tych gogusiów na górze nie miałby takich jaj. Najwyżej postraszą go dyscyplinarką. Utwierdził się tylko w przekonaniu, że niektóre sprawy powinien załatwiać sam. Poczynając od uprzątnięcia głupich butelek po piwach. Swoją drogą, była to przecież jego wina – nie powinien się zgodzić, żeby zostali na dole. Będzie musiał wziąć na siebie pełną

odpowiedzialność, bo z pewnością nikt inny tego nie zrobi. Odsunął od siebie na moment myśli o tych małosłownych problemach i uruchomił komputer. Ten służbowy, ociężały i wiecznie się zawieszający. Podobnie jak Chaber i Mazur, korzystał przede wszystkim z prywatnego laptopa, którego system został odpowiednio zmodyfikowany przez ich hakera, prywatnego Johna Drapera – czyli Mazurskiego we własnej osobie. Zaprogramował ich komputery tak, żeby synchronizowały dane z bazami policyjnymi, nie pozostawiając żadnych śladów. Dodatkowo dokładnie zabezpieczył laptopy przed włamaniem czy wyciągnięciem danych przez osoby niepożądane. Gdyby ktokolwiek poza nimi się o tym dowiedział... Cóż, z pewnością czekałaby ich dyscyplinarka, a może nawet i więzienie. Ułatwiało im to jednak pracę tak bardzo, że nawet Chaber nie miał ku temu większych obiekcji. Tym razem komisarz potrzebował bezpośredniego dostępu do systemu. Wprowadził do niego dane trzech wymyślonych delikwentów. Uważnie wypełnił pola na adresy, daty, informacje o aresztowaniach. Cały wysiłek jedynie po to, by wkrótce skorumpowany policjant sięgnął po te dane, a potem wykasował je z systemu. W idealnych okolicznościach użyje do tego własnego komputera. Jeśli nawet zrobi inaczej i nielegalnego usuwania informacji nie będzie można połączyć z nim samym, i tak przyjmie pieniądze niewiadomego pochodzenia.

Proca całkiem zapomniał o Młodym, który przysiadł na parapecie i milcząco wpatrywał się w okno. Najwyraźniej potrzebował jedynie zmiany scenerii oraz świadomości, że jest w pobliżu ktoś życzliwy. Bergowi nie przeszkadzała jego cicha obecność. Niech sobie siedzi i wraca do zmysłów. Po chwili Młody przekręcił się plecami do okna i rozejrzał po pokoju. Jego biuro zawałone było teczkami i papierami. Krzesło, na którym siedział podczas pracy z Bergiem, sztywne i niewygodne jak plastikowe siedziska w PKP, stało między biurkiem a ścianą, mocno do niej przyciśnięte. Parapet był pusty. Niegdyś rosła na nim juka, której liście powoli zmieniały kolor z zielonego na brązowy. Widocznie całkiem uschła. Uniósł wzrok ku górze i zobaczył dobrze znajomy widok naderwanej obudowy jarzeniówki.

- Jeszcze nie zgłosiłeś tej obudowy do naprawy?
- Nie chcę tego zgłaszać. Mam do niej sentyment.

– Niby z czym związany?

Komisarz uśmiechnął się do siebie i odparł:

– Pracowałem wtedy w duecie z Markiem Grachem. Nazywaliśmy go Lizak, bo okropny był z niego lizus i przy okazji fatalny glina. Przeprowadziliśmy któregoś razu delikwenta na pogadankę. Lizak próbował go przycisnąć, ale że był głupek i niedorajda, zbliżył się do kołosa z odpiętą kaburą. Ten wyciągnął mu klamkę i oddał strzał.

– W sufit?

– Celował w Lizaka, ale doskoczyłem do niego w porę.

– I z tego taki sentyment? Że wyszedłeś na bohatera?

– Nie. Od początku mówiłem Tyszce, że Lizak się do tej roboty nie nadaje.

Może robić, cokolwiek sobie wymarzy, ale nie powinien być gliną, bo zginie. Od czasu incydentu Tyszka zrozumiał, że mam czujkę do ludzi. Jak mu potem mówiłem, że nie będę z kimś pracował, bo jest taki czy taki, to wierzył na słowo.

I tak przez kilka lat mogłem pracować względnie sam.

– Aż wlepiono ci mnie.

Komisarz przytaknął, wspominając dzień, w którym się poznali. W tamtym czasie był wściekły, teraz myślał o tym z przyjemnością. Drzwi pokoju otworzyły się i do środka wszedł inspektor Tyszka. Wyglądał na zdenerwowanego. Oczywiście przysłał go Brocki. Jak zwykle za niewielkie potknięcie szykowała się reprimenda albo coś gorszego. Wczoraj, kiedy Berg z Chaberskim zgarnęli z ulicy równo pięćdziesiąt tysięcy złotych, nie doświadczyli głupiego klepnięcia po ramieniu.

– Ostatni miesiąc w Firmie, a robię za cholernego posłańca! – powiedział gniewnie inspektor i przywołał komisarza gestem dłoni. Ten wstał i podążył za nim. Próbował trzymać się przynajmniej o krok z tyłu, żeby uniknąć niewygodnych pytań, a przynajmniej kontaktu wzrokowego z przełożonym i przyjacielem zarazem. Jednak Tyszka obejrzał się za siebie i przystanął, nie pozostawiając Bergowi innej możliwości niż zrównanie kroku.

– Co wyście tam odpierdolili, Alan?

– Nic poważnego. Zapomnieliśmy posprzątać.

– Wiesz co?! Niedługo mnie tu nie będzie i myślałem, że przynajmniej ciebie jednego zostawiam jako zawodowca, a wychodzi,

że muszę cię podstaw uczyć!

Reszta już czeka u Brockiego.

– Bardzo wściekły?

– Nic nie mówił.

– Czyli będzie petarda.

– Alan... – Inspektor zatrzymał się na korytarzu kilka metrów od drzwi biura zastępcy szefa CBŚP. Złapał komisarza za ramię i ze szczerością w oczach pouczył: – Brocki jest ostatnio bardzo na ciebie cięty.

– „Ostatnio”, mówisz?

– Przyjmij dobrą radę od starego przyjaciela, co? Siedź tam grzecznie.

Odzywaj się tylko, jak bezpośrednio zada ci pytanie. Nie próbuj nikogo kryć.

– Filip, to właściwie było...

Tyszka uciszył go przeciągłym „ciii” i uniesieniem dłoni ku górze.

– Właśnie o tym mówię. Po prostu, nie odzywaj się! – przestrzegł i pchnął go lekko w stronę drzwi. Gdy Berg przekroczył próg, inspektor pozostał po drugiej stronie z uchem nastawionym w kierunku pokoju.

W środku nadinspektor Brocki siedział za biurkiem, a przed nim w szeregu stali kolejno Feliński, Chmielewski i Chaber. Wszyscy z pokornie pochylonymi głowami, jedynie Feliński wyraźnie coś tam mamrotał pod nosem. Za stary był na reprimendy. Misiek natomiast nerwowo dłubał przy palcach splecionych za plecami dłoni. Ten na reprimendy był zbyt dumny. Jedynym opanowanym i szczerze żałującym za winy wydawał się Chaber. Zawsze potrafił przyjmować porażkę na klatę.

– O wilku mowa! – zaczął czerwony na twarzy Brocki. Komisarz przełknął gorzką ślinę. Zanim nadinspektor zdążył powiedzieć coś jeszcze, Berg, postępując pewnie do przodu, powiedział:

– Panie nadinspektorze, pragnę wyrazić wielkie ubolewanie nad zaistniałą sytuacją. Ta wcale nie powinna mieć miejsca. Z pełną odpowiedzialnością oświadczam, że był to wyłącznie mój pomysł i bardzo niedżentelmeńsko namówiłem kolegów do towarzystwa. – Każde wypowiedziane przez niego słowo czysto i bez zakłóceń dotarło również do uszu inspektora Tyszki, który rozczarowany i

zrezygnowany mocno zacisnął powieki.

Brocki, nie spuszcżając z komisarza wzroku, powiedział surowo:

– Koledzy, wypad. Proca, siadaj!

Ponownie siedzieli naprzeciw siebie. To już drugi raz w tym tygodniu. Zdecydowanie za często jak na odczucia Berga. Dopiero teraz postanowił dostosować się do dobrej rady Tyszki. Siedzieć cicho i nie odzywać się niepytany. Nadinspektor mierzył go zniesmaczonym wzrokiem. Po chwili milczenia zdobył się na otwartość.

– Już od kilku lat czekam na pretekst, żeby wystawić ci dyscyplinarkę – powiedział to spokojnie i nie zająknął się ani razu. Komisarz pomyślał, że widocznie wcześniej wyjąkał się nerwowo na kolegów i dla Berga pozostały same ochłapy emocjonalne. Brocki zrobił pauzę, po czym dodał: – Swoją drogą, to byłoby piękne, jakbyś wyleciał z roboty za takie gównno.

Komisarz był człowiekiem z natury cierpliwym, ale pewne rodzaje perfidii znosił z trudem. Nie spodziewał się może tak fatalnych konsekwencji, ale skoro szef darzył go aż taką niechęcią, do zwolnienia wystarczył mu nawet najmniejszy pretekst. Skoro ma odejść, przynajmniej odejdzie z honorem i nie będzie dłużej wysłuchiwał gadaniny tego niewdzięcznego padalca! Wstał i odpiął kaburę z bronią od paska.

– Siadaj, nie skończyłem jeszcze! – rozkazał nadinspektor podniesionym głosem. Berg zawahał się, ale usiadł, trzymając w dłoniach glocka. Szkoda byłoby go oddawać. Nie uważał, że to najlepsza spluwa na świecie (spust mógłby być trochę bardziej czuły), ale zdążył się do niego przywiązać. Gładził kciukiem dwie wypustki szczerbinki.

– Niefortunnie dla mnie się trafiło, że to gównno odwaliteś akurat teraz.

– To nie będzie dyscyplinarki? – zapytał komisarz niecierpliwie.

– Nie.

– A zawieszenie?

– Kuuurwa, Proca! Weź ty się do rooboty. Żadnych waaakacji! – Wziął kilka głębszych oddechów i spokojnie dodał: – Daję ci dwa tygodnie na zakończenie sprawy Żoliborza.

– Właszczyk dał trzy miesiące.

– Dwa tygodnie! Jeśli nie, Bóg mi świadkiem, znajdę na ciebie takie halo, że nie dostaniesz pracy w żadnej jednostce państwowej tego kraju. Zrozumiano?

– Tak jest.

– Zejdź mi z oczu.

Komisarz wyszedł szybko, bez słowa. Nie spodziewał się, że za drzwiami wciąż będzie na niego czekał Tyszka.

– To żeś odwalił, chłopaku...

– Nie mogłem pozwolić, żeby za mnie beknęli, przecież wiesz – zrobiłbyś tak samo.

– Może faktycznie nauczyłeś się czegoś tam ode mnie. Jakie konsekwencje?

Zawiesił cię?

– Nie. Nic.

– Jak to „nic”.

– No, nic. Powiedzmy tylko, że od tej pory będzie mnie miał bardziej na oku.

– To chyba cisza przed burzą. Zbiera na ciebie haki, żebyś się nie mógł obronić, jak przyjdzie czas.

– Aż tak bardzo mnie nienawidzi?

– A co, nie zasłużyłeś sobie?

– Czym?

– Jesteś niesubordynowanym arogansem.

– Tylko wobec takich skurwysynów jak on.

Rozeszli się na drugim piętrze. W pokoju „Szakala” chłopaki siedzieli w komplecie. Plus Młody, który usadowił się w kącie i przeglądał jakąś teczkę. Mazur, ponownie odcięty od rzeczywistości, tkwił przed monitorami w słuchawkach na uszach. Nawet nie zauważył, kiedy dołączył do nich komisarz. Chaber z kolei odruchowo wstał z krzesła i przeprosił „za te cholerne butelki”.

– Nie przepraszaaj. Nic się nie stało, tylko trzeba sprawę przycisnąć. A ty – zwrócił się do Młodego – co tam czytasz?

Podkomisarz przymknął teczkę, żeby spojrzeć na okładkę, i przeczytał:

– Roman Frej, pseudonim Masło.

– Jakim prawem ty nasze akta czytasz, a ja od ciebie żadnej

informacji kupić nie mogę?!

– Bo moje są utajnione.

– A te to co, kurwa, w „wybiórczej” opublikowane? – Podszedł, wyrwał mu akta z ręki i zapiał teczkę, trzaskając okalającą ją gumką. Nie miał w sumie nic przeciwko, żeby Młody zapoznał się z profilem. Był jednak zdenerwowany sytuacją z Brockim i dla zasady „oko za oko” chciał się zemścić za skrytość byłego partnera. Młody wzruszył tylko ramionami. Sam fakt, że mógł tutaj z nimi siedzieć, zamiast w swoim dołującym, pustym mieszkaniu, znacznie poprawiał mu humor.

– Coś nowego? – zapytał Berg ogólnie. Wszyscy, za wyjątkiem Mazura rzecz jasna, przecząco pokiwali głowami, więc Berg rzucił akta z pełną siłą na biurko aspiranta Mazurskiego. Ten wystraszył się ataku i ściągnął słuchawki.

– Coś nowego?

– Nie.

– Nie... – powtórzył Berg. Wkładając dłonie do kieszeni, obrócił się ku Impulsowi. – Z gości, których adresy znamy... O którym najmniej informacji w bębnie?

– Pffff... – Impuls wypuścił nagromadzone w polikach powietrze i kręcąc niepewnie głową, spoglądał na Chabra w poszukiwaniu pomocy.

– Byłby taki jeden czy dwóch... – wydukał Chaberski, stukając już palcami po klawiaturze. – Nerwus... i Szogun.

– I Szogun – powtórzył pewnie Impuls.

– No, to zabieraj Mazura, wyczajcie ich i siedźcie na ogonie do odwołania.

– Proca, ja już od miesiący prawie że mieszkam w wozie.

– To pomieszkasz jeszcze dwa tygodnie. Potem jak nic nie ruszymy, to mnie wypierdolą i będziesz mieszkał, gdzie chcesz.

Impuls kiwnął na Mazura i razem wyszli z pokoju.

– Proca, brałeś numer Wrońskiego – rzucił Chaber i sięgnął do szuflady po plik wydruków – to ci wyciągnąłem o nim wszystko, co jest do znalezienia.

– Dzięki, ale o Wrońskim to ja akurat wiem więcej niż krąży w oficjalnych kanałach.

– Ale numeru telefonu to nie miałeś...

Berg wzdrygnął się na zaczepność Chabra. Bywało, że tęsknił za czasami, kiedy ich relacje były bardziej oschłe i wyłącznie służbowe. Ale tylko czasami. Chwytał dokumenty, skinął do Młodego na pożegnanie i wyszedł, twierdząc, że ma sprawę na mieście. Podkomisarz przeciągnął się na krześle, wyglądał prawie na zrelaksowanego. Jednak Chaberski nie podzielał jego stanu. Oczywiście, że miał wyrzuty sumienia za niedopatrzenie z butelkami. Co on sobie myślał? Zaufał jakiemuś tam Miśkowi z zabójstw. Im nigdy nie można ufać. Niektórzy mają nierówno pod kopułą. Przetarł oczy opuszkami palców. Zrobił to ciut intensywniej, niż zamierzał i powinien, toteż mocno zacisnął powieki.

– Spokojnie, Chaber. Nie taki Proca zły, jak się teraz wydaje.

Starszy aspirant zbył go milczeniem. Jasne, że sprawa rozejdzie się po kościach! A może nie... Nic przecież nie znika bez śladu. Czasami tylko musi upłynąć trochę czasu, żeby doświadczyć konsekwencji.

„Ty do mnie czy po mnie?”

– Czarny

Komisarz zaparkował w pobliżu Grójeckiej 20, dokładnie w tym samym miejscu, co ostatnio – naprzeciwko niewielkiego lokalu z kebabami. Nad wejściem wisiała biało-żółta markiza, nieco już wyblakła od słońca i przybrudzona w zagłębieniach kurzem i pyłem naniesionymi przez deszcz. W środku dwóch klientów czekało na swoje tureckie kanapki. Jeden poprosił o wersję bez pomidora, drugi zapytał, czy można więcej cebuli. Teraz wszyscy są jacyś rozkapryszeni, roszczeniowi. Każdy uważa, że ma prawo dostać dokładnie to, czego sobie życzy. Bardzo rzadko trafiają się klienci, którzy proszą o wersję: „tak jak zawsze robicie”. Zresztą „tak jak zawsze” już nie istniało, bo „zawsze” było inaczej.

Gdy komisarz wszedł do środka, Kapsel uśmiechnął się od jednego odstającego ucha do drugiego i wyszedł z za bufetu, by przywitać komisarza silnym uściskiem dłoni.

– Proca! Co u ciebie?

– Nieźle. Masz pięć minut?

Kapsel obrócił się do drugiego mężczyzny stojącego za ladą i rzucił:

– Szefie, przerwa na papierosa.

Szef przytaknął na zgodę. Gdyby Kapsel nie zwrócił się do niego per „szefie”, trudno byłoby określić, który z nich siedzi za kółkiem tego interesu. Ruch był teraz znikomy. Porcje dla kolejnych wybrednych gości prawie gotowe. A swoją drogą, zrobienie kebaba to żadna filozofia, więc chwila nieobecności pracownika, który cały czas „zapiardala aż huczy”, jak mówił Kapsel sam o sobie, nie narobi wielkiego zła. Wyszedł z Bergiem przed budkę i przypalił sobie oraz policjantowi po papierosie.

– Mam sprawę, Kapsel. Chcesz zarobić?

– U ciebie – zawsze. Wal.

– Jest pewien gliniarz, który lubi brać w łapę. Robi też czasami zadania osłonowe dla gangusów. Chcę, żebyś zgłosił się do niego ze zleceniem. Od poniedziałku do piątku, około pierwszej, siedzi sam na kawie przy Brackiej dwadzieścia. Wysoki, ciemny...

– Nie musisz opisywać. Psy rozpoznają po zapachu.

Berg spojrzał na niego pytająco. Kapsel pospieszył z wyjaśnieniem.

– To była przerośnia. Połapię się. Tyle czasu spędziłem w waszym towarzystwie, że rozpoznać jednego po cywilu to nie problem. Co mam zrobić?

– Najpierw zadzwonisz do niego. Powiedz, że jesteś od Czarnego i chcesz się spotkać. On zaprosi cię do tej kawiarni. Na spotkaniu poprosisz, żeby wymazał z bębna trzech gangusów, tu masz nazwiska.

– Podał mu małą, zapisaną odręcznie kartkę, na której umieścił nazwiska trzech fikcyjnych umieszczonych przez siebie w systemie przestępców i numer telefonu do Wrońskiego. – I pieniądze, dziesięć patyków. Dasz mu pięć na zaliczkę i pięć po robocie. Zgodzi się, poda ci czas i miejsce spotkania.

– Co będzie dalej?

– Będziemy w pobliżu. Jak tylko dasz mu pieniądze, spierdalaj tak, żeby się za tobą kurzyło. Ktoś pewnie za tobą pobiegnie, ale to będzie tylko pokazówka.

Dadzą ci zwiąć. Chodzi nam tylko o gliniarza... Nikt też nie będzie cię szukał. A tutaj masz prowizję – powiedział, wyjmując z kieszeni kopertę. Kapsel włożył ją do spodni, nie sprawdzając zawartości. Zaciągnął się papierosem. Takie okazje nie chodziły piechotą. „Robota łatwa, może trochę ryzykowna, ale jeśli Proca zapewnia, że przejdzie to bez pudła, to na pewno tak będzie” – powiedział do siebie w duchu, po czym zapewnił:

– Dam znać, jak umówię to spotkanie. Jak się nazywa ten wasz kret?

– Wrona, właściwie, Grzegorz Wroński. Jebany aspirant sztabowy...

– Nie trawisz zdrady, co?

– Nie trawię niezdecydowania. Albo jest się psem, albo gangusem.

Dopalił papierosa i wyrzucił peta do pobliskiego kosza na śmieci, oddalając się do samochodu. Kapsel parsknął cichym śmiechem i

upuścił swojego peta na ziemię. Przydepnął go stopą i wrócił do środka. W zakładzie fryzjerskim przy Brzeskiej zawsze przesiadywało pełno ludzi. Nie było to wyłącznie miejsce usługowe, ale również centrum spotkań towarzyskich okolicznych opryszków. Dwóch pracowników sunęło maszynkami po napuchniętych głowach swoich klientów. Większość z nich prosiła „na zero”, a pracownicy, którzy nawet nie musieli kończyć szkoły fryzjerskiej, żeby tutaj „fryzjerem” się nazywać, co rusz wołali:

– Następny do golenia! – I zawsze któryś z tam przesiadujących skusił się ofertą.

Było to miejsce mało eleganckie, zacofane w wystroju, obsługujące raczej lokalnych chłopaków o podejrzanych zamiarach i wątpliwym kręgosłupie moralnym. Idealnie spełniało jednak wymogi ulicy, przy której się mieściło, bo było swojskie i nieproblematyczne. Kiedy Berg przekroczył próg zakładu, wszystkie oczy zwróciły się ku niemu. Zrobiło się nieco ciszej. Goście coś szeptali i pomrukiwali. Jeden z mężczyzn, obdarzony wysokim wzrostem i szerokim ramieniem, podniósł się z krzesła i nachalnie przyglądając się komisarzowi, stanął zaledwie metr od niego. Jeden z fryzjerów rzucił pytanie:

– Był pan umówiony?

Dla przeciętnego przechodnia podobne pytanie wydałoby się dosyć dziwne – zakład wyglądał bowiem na taki, do którego wchodzisz i zostajesz z miejsca obsłużony. Berg wiedział, że to pytanie orientacyjne. Nie znał tych dwóch pracujących tego dnia chłopaków. Pomyślał, że albo są nowi, albo może to on od dawna tutaj nie zaglądał. W każdym razie on nie rozpoznał ich, a i oni nie mieli pojęcia, z kim mają do czynienia. Komisarz odparł:

– Ja do Czarnego. Poczekał. – Obserwujący go dryblas odstąpił nieco, ale wciąż miał go na oku. Jeden z fryzjerów przeprosił klienta i udał się na zaplecze, z którego wrócił chwilę później w towarzystwie postawnego niebieskookiego blondyna około sześćdziesiątki. Ten, rozpoznawszy komisarza, uśmiechnął się lekko zaskoczony i przywitał go dyskretnym uściskiem dłoni. Nachalny mięśniak wrócił do swoich kumpli, by ponownie pograć się w rozmowie.

– Dawno cię tu nie było! Chodź, pogadamy.

Zaplecze było równie reprezentatywne dla lat dziewięćdziesiątych jak

część usługowa. Komisarz włożył ręce do kieszeni i kręcąc się wolno po pokoju, ukradkiem wypatrywał, czy od ostatniego czasu nie pojawiły się w pomieszczeniu jakieś kamery.

– Proca! Ty dzisiaj do mnie czy po mnie?

– Nie, Czarny... Mam sprawę.

– A! Czyli nadeszła moja pora na spłatę długu.

Między Procą i Czarnym była specyficzna relacja polegająca na wymianie przysług. Trzy lata temu syn Czarnego wyłudował z kolegami na posterunku za palenie marihuany pod urzędem miasta. W tym samym czasie Berg zgarnął Czarnego za podejrzenie o handel narkotykami. Czarny okazał się otwartym i racjonalnym gościem. Przyznał, że handluje, owszem, ale tylko nielegalnym alkoholem i papierosami, i to wyłącznie w niewielkich ilościach, tak, żeby za zyski móc utrzymać rodzinę. Poprosił Berga o wyciągnięcie syna z aresztu, bo syn „odwalił numer. Normalnie nie pali, ma wbite do łba, że to jest święństwo. Widocznie chciał spróbować z kolegami. Jak zobaczy się z nim następnym razem, to mu takie manto sprawi, że dzieciak popamięta”. W zamian zaoferował komisarzowi informacje o nowym handlarzu narkotyków, o którym zaczynały krążyć legendy po mieście. O Wilku, który podobno przyjechał wtenczas z Rosji i przejął stołek po Korku, bossie mafii mokotowskiej. Taka informacja była dla Berga o wiele bardziej wartościowa niż wsadzenie Czarnego i jego syna za przestępstwa o niskiej szkodliwości społecznej. Komisarz wolał zawęzić swoje pole zainteresowania do kwestii związanych z narkotykami. Wiedział, że gdyby rozpraszał się we wszystkich możliwych kierunkach, z których promieniuje liczne przestępstwa, byłby o wiele mniej wydajny i dużo bardziej zestresowany ilością bezprawia panoszącą się po świecie. Wyciągnął więc chłopaka z więzienia, a Czarnego wsadził na zaledwie miesiąc, otrzymując w zamian niewielką, lecz wystarczającą ilość informacji, aby móc rozpocząć dochodzenie wobec Wilka i jego nowego gangu mokotowskiego. Oczywiście uznał, że same pobieżne informacje to niewystarczająca zapłata za przysługę z jego strony, toteż zawiesił spłatę długu. Nadszedł dzień rewanżu. Czarny rozsiadł się na krześle i oznajmił:

– Dawaj!

– Jakoś na dniach zadzwoni do ciebie Wrona, będzie pytał o niejakiego Kapsela, czy go przysłałeś. Potwierdź.

– Dobra, ale... Co ty kombinujesz? Nie mów, że chcesz wpakować Wronę do pierdła.

– Na każdego przychodzi kiedyś pora.

– Kurwa, Proca, on jest dość przydatnym koleśkiem.

– I kiepskim fuszem...

– No dobra, skoro twierdzisz, że tak musi być.

– Jak będziesz czegoś potrzebował, to po prostu przyjdź z tym do mnie.

Wiesz, że się dogadamy.

– No wiem, ale z tobą to muszę uważać, o co proszę, a Wrona zrobił wszystko za odpowiednią stawkę.

– Zawsze powinieneś uważać, o co prosisz, Czarny. Ludzie często oczekują rzeczy, o których myślą, że przyniosą im szczęście, a tymczasem rozpierdalają sobie tym życie.

– Co ty, kurwa, filozof? Ale miło, że się o mnie troszczysz, tatuśku...

W świetle prawa interesy mogą być prowadzone uczciwie bądź nie. Wszystko zależy od tego, czy odprowadza się podatek od zarobku – czy dzieli się z państwem dochodami. W świetle prawa interesy są uczciwe, jeśli wypływające z nich dochody pochodzą z legalnego źródła. Gdyby jednak przymknąć oczy tak mocno, że wokół zapanowuje ciemność, prawo staje się ślepe, niemoralne i wybiórcze. Paradoksalnie – ślepa Temida nie jest wcale sprawiedliwa. Szczególnie łatwo jest oślepić prawo, kiedy interesy (legalne czy nie) wypychają prywatne kieszenie. Tak. W świetle prawa są interesy słuszne i interesy niegodziwe. W naszej prywatnej moralności biznes to zawsze tylko biznes. Podczas gdy Berg jeździł po mieście, organizując proces wystawienia Wrońskiego, w innej części Warszawy, w niewielkiej restauracji pod szyldem „Olimp”, dokonywały się niegodziwe interesy. Boss grupy żoliborskiej, pseudonim Wujek, dojadł właśnie krwawy stek ze swojego talerza. Naprzeciw niego siedział Jarosław Sobiech, pseudonim Szycha, który dłużył widelcem w swoich niedojedzonych jeszcze kluseczkach. Przy stoliku obok siedziało dwóch wielkich facetów – Szogun i Nerwus, którzy, popijając herbatę, czekali, aż ich szef skończy rozmowę z Sobiechem.

– Jarek, ja naprawdę podziwiam interes, który rozkręciłeś. Tylko nie wiem, jak połączyć kradzież samochodów ze swoimi sprawami... – wyjaśniał spokojnie i przyjacielsko Wujek.

– Można to połączyć bardzo luźno. Mi tak naprawdę chodzi tylko o twoje słowo. Zapewnienie, żebym wiedział, że działamy we wspólnej sprawie, że się wspieramy. Ty zapewnisz mi ochronę i informacje, jak będziesz jakiegoś miał, a ja będę ci odpalał działkę ze sprzedaży moich aut...

– Przecież tak na dobrą sprawę to sam możesz wszystko ogarnąć. Po co ci spółka?

– No, niektórym jest lepiej w grupie niż w pojedynkę, nie mam takich kontaktów jak ty! Takiego posłuchu na mieście. Wiesz, że teraz hasło „Żoliborz” otwiera wszystkie drzwi!

Wujek zaśmiał się głośno, po czym wypił kilka łyków wody i otarł usta serwetką. Sprostował:

– Może nie do końca wszystkie, ale tak, mamy posłuch na mieście. Dobra, zrobimy tak: jak mi udowodnisz, że trzymasz w garści swoich chłopaków, to mamy deal. Ja muszę się ubezpieczyć, rozumiesz? Potrzebuję pewności, że wszyscy są bezgranicznie lojalni. Jeśli chcesz połączyć siły, to musisz w pełni panować nad swoją częścią interesów, tak? Odpowiadasz w stu procentach za swoich ludzi. Jak któryś z nich coś odpiardoli, to twoja głowa będzie na tacy.

– Tak, oczywiście! Masz moje słowo!

Przed restauracją „Olimp” od pół godziny stał granatowy passat B5. W nim, za kierownicą, siedział Impuls, który krzywym okiem spoglądał na wcinającego burgera i frytki Mazura. Na jego kolanach leżała lustrzanka z długim obiektywem i papierowa torebka, z której co rusz wyciągał frytkę.

– Jak mi upierdolisz wóz... – zaczął Impuls.

– Spoko... Co ty taki drażliwy?

– Bo czyszczony był wczoraj! Godzinę temu pachniał kwiatkami, a teraz, kurwa, burgerem jedzie!

– Ciu! – kichnął Mazur pod nosem. – Wywietrzeje.

– Co ci? Przeziębileś się?

– Nie, zwykły katar jesienny.

– A to co innego?! Jeszcze mi zarazki tu rozpylasz!

Impuls skupił uwagę na drzwiach wejściowych restauracji. Nad nimi wisiły dwie kamery.

– Można by się do nich podczepić...

– Mhm, to całkiem wykonalne. Tylko niełatwe.

– Aparat szykuj! – powiedział, zauważywszy, że drzwi się otwierają.

Przymrużył oczy i ponaglił. – No! To nasze miśki!

– Zaraz, kurczę, bo sprzęt uwalę... – Mazur zaczął wycierać ręce w chusteczkę, więc Impuls zabrał mu z kolan aparat i sam wykonał kilka zbliżeń.

– No i masz! Nerwus... Szogun... Zawsze w duecie, bliźniaki pierdolone.

A tego misia to jeszcze nie mamy. Będzie do kompletu.

Za gangsterami restaurację opuścił Sobiech. Wszyscy trzej wsiedli do zaparkowanego przed budynkiem seata i odjechali. Impuls oddał aparat Mazurowi i odpalił silnik. Powoli, utrzymując stosowną odległość, podążył za nimi. Jechali dość długo w całkiem rozpoznawalnym dla policjantów kierunku. Kiedy wyraźnie obrali trasę na Legionowo, Impuls powiedział:

– Oni do ośrodka szkolenia jadą czy co?

– Ale by było! – podekscytował się Mazur. Obaj byli rozbudzeni zaistniałą sytuacją. Od tygodni nie wypływało im nic nowego. Myśleli już, że znają każdego członka gangu za wyjątkiem Wujka i wszystkie adresy; za wyjątkiem adresu Wujka. Zaczęli podejrzewać, że może teraz w końcu do niego dotarli. Może ten „trzeci misiek”, którego nigdy wcześniej nie widzieli, jest bossem we własnej osobie! Kiedy gangsterzy zatrzymali się przy ulicy Radosnej, z wozu wysiadł jedynie Sobiech, a seat pojechał dalej.

– Co teraz? – zapytał Mazur.

– Teraz musimy sprawdzić nowego misia. Taka chata, że ja pierdolę... Cykaj foty! Na co czekasz?

Mazur wykonał kilka fotografii budynku, kilka zbliżeń okien, tabliczkę z adresem. Gołym okiem ocenił piękny dom nowo zapoznanego delikwenta i rozczarowany powiedział:

– Widzisz, jak chcesz mieć kiedyś taką chatę, to musisz, kurczę, lewe interesy robić. Co nam z tej naszej roboty zostanie? Marna emerytura albo... Ciu!

Kula w łeb.

– Nic na to nie poradzisz. Niektórzy rodzą się z prostym kręgosłupem.

Jesteśmy przekłęci... Może ci się to nie podobać, ale jest, jak jest! Dziesiąta. Mrok zalewał ulice. Gwiazdy jak igielne główki migotały przyczepione do granatowego płótna. W powietrzu dał się wyczuć lekki zapach deszczu, który nie zdołał jeszcze w pełni wsiąknąć w ziemię. Spokojnie. Drogi prawie puste. Ta okolica nie tętni za bardzo życiem po zmroku. Okoliczni mieszkańcy, jeśli są spragnieni nocnego życia, wsiadają w autobus i jadą gdzieś bliżej centrum. Tu jest ciemno, prawie czarno. Jedyne źródło światła stanowi utkany z czerwonego światłowodu błyskający napis „Magnez”. Dawno tutaj nie był. Niegdyś przyjeżdżał co miesiąc. Nie dla przyjemności. Spotykał się tu z Suzzy, która zabierała go na prywatną sesję, podczas której sprzedawała informacje. Z czasem w lokalu zaczęło pojawiać się coraz więcej przestępców i gliniarzy – przedstawicieli środowisk, w których Berg był zbyt dobrze rozpoznawalny. Toteż spotkania z Suzzy przenieśli do jego mieszkania tuż przed wyjazdem do Amsterdamu. Dzisiaj musiał tutaj przyjechać. Nie do Suzzy. Do tej drugiej, o której wspomniała. „Jak jej było?” – zastanawiał się, dopalając papierosa. Wydychał parę i dym. Żar tłącego się tytoniu oblewał mu twarz czerwoną łuną. „Kitka” – przypomniał sobie w końcu. Odrzucił papierosa. I tak na ziemi leżało już z dziesięć niedopałków. Włączył alarm w taurusie i wszedł do klubu. Światła pulsowały. Ściany drżały od muzyki, powietrze jakby dygotało przesiąknięte zapachem perfum. Ruch był spory. Tancerki wyglądały zjawiskowo w swojej rozpuście, piękne, świadome każdego ruchu. Ich ciała i twarze sprawiały wrażenie idealnych. To pewnie przez odpowiednie światło – fałszowało nieco rzeczywistość. Berg dobrze wiedział, że tak jest. Przecież widywał Suzzy zarówno tutaj, jak i w świetle dnia. Ona była piękniejsza poza pracą. Wyglądała wtedy na niewinną i grzeczną, podczas gdy w „Magnezie” rysy jej twarzy nabierały agresywności. Wypatrzył ją w tłumie. Siedziała przy jednym ze stolików i zabawiała rozmową jednego z klientów. Był łysy i miał nadwagę. Berg nie musiał być zazdrosny i nie był. Jednak dziki uśmiech na twarzy grubasa przyprawił go o mdłości. Suzzy również go dostrzegła. Kiedy jej rozmówca rozproszył się przechodzącą obok

nich dziewczyną w stringach, dała znać komisarzowi skinieniem głowy w kierunku baru. Siedziała przy nim Kitka. Berg usadowił się kilka metrów od niej, zamówił sobie setkę whiskacza i kazał barmanowi przekazać dziewczynie Malibu Bay Breeze. Drink trafił w jej dłonie i barman wskazał palcem na Berga. Spodobał się jej. Nawet gdyby było inaczej, i tak by się przysiadła.

– Dzięki za drinka – powiedziała, zajmując wolne miejsce obok niego.

– Mam nadzieję, że dobry wybór.

– Każdy jest dobry, kiedy ktoś inny płaci.

– Chcesz zarobić na prywatnej sesji?

– Dla ciebie zatańczę z przyjemnością.

Komisarz wypił whisky dwoma porządными haustami. Przełyk rozgrzał się przyjemnie. Z drugiego końca lokalu Suzzy obserwowała, jak odchodzą w kierunku pokoi przeznaczonych do prywatnych sesji. Chciałaby być na miejscu Kitki. Spędzić z Bergiem choć trochę czasu. Ale on przyszedł tutaj służbowo. Znała go dobrze, wiedziała, jak ta sesja się potoczy. Pieniądze, rozmowa i koniec. A jednak. Kitka będzie miała jego uwagę, a ona już od pół godziny musi wysłuchiwać od tego nudziarza przechwałek o samochodach, które do tej pory posiadał. Weszli do pomieszczenia. Było niewielkie. Dość tandetnie zaaranżowane. Szare ściany, czerwona skórzana kanapa, lekko przyciemnione światło, spokojna muzyka. Kitka uśmiechnęła się lekko, patrzyła na niego oczami na wpół przymkniętymi, jakby już rozpoczęła swój proces uwodzenia.

– Płatne z góry – powiedziała. – Wybacz, musimy mieć pewność.

– Jasne. – Komisarz wyjął z portfela sześćset złotych.

– O stówę za dużo.

– Napiwek, ale zrobimy to po mojemu. Usiądź.

Dziewczyna zawahała się i przypomniała:

– Nie ma dotykania. – Wszystkie to powtarzały. Niektóre faktycznie wyznawały zasadę rozbierania jedynie oczami. Zdarzało się jednak, że gdy zainteresowany czymś więcej klient podwajał stawkę, tancerka okazywała się również prostytutką. Wybór należał do dziewczyn.

Usiedli razem na kanapie.

– Iza Kolada. Znałaś ją?

Tancerka posłała mu podejrzliwe spojrzenie, sięgnął więc do kieszeni po legitymację. Zobaczywszy ją, wstała i ruszyła do wyjścia. Komisarz złapał dziewczynę za przedramię i delikatnie przyciągnął z powrotem.

– Nie rozmawiam z policją!

– Wiesz, że Iza nie żyje?

Zamarła na dźwięk tych słów. Zauważył, że jej kolana lekko się ugięły, a oddech przyspieszył. Osunęła się na kanapę. Wyraz jej twarzy całkiem uległ zmianie. Teatr dobiegł końca.

– Została zamordowana ponad tydzień temu. Ktoś strzelił jej w tył głowy... z tak bliskiej odległości, że kula przeszła na wylot, masakrując twarz...

– Przestań!

– Kiedy się ostatnio widziałyście?

– Nie wiem... Miesiąc temu. Kiedyś byliśmy blisko, ale odkąd odeszła, rzadko rozmawialiśmy.

– Podobno spotykała się tutaj z kimś wpływowym.

Kitka posłała mu spojrzenie przesycone pretensjami. Najpierw bezdusznie opowiadał o tragicznej śmierci przyjaciółki, a teraz zadawał niewygodne pytania, na które niewłaściwa odpowiedź mogłaby kosztować ją życie. Próbowła przekalkulować wszystkie „za” i „przeciw”, ale ładunek emocjonalny uderzający teraz w jej serce skutecznie uniemożliwiał suchą kalkulację. Upłynęła krótka chwila, po której zdecydowała się mówić.

– Z politykiem. Nie pamiętam nazwiska. Prosiłam, żeby dała sobie z nim spokój, ale się uparła. Zauroczyła się. Miał kasę i wpływy. Dla niego odeszła z klubu. Okazało się, że on lubił towarzystwo wielu dziewczyn. Była zazdrosna.

Mówiła, że się zemści, że wyniesie wszystkie tajemnice. Jak z nią ostatnio rozmawiałam, mówiła, że poznała kogoś, kto chce go usadzić.

– Kogo?

– Mówiła, że to tajemnica.

Zamilkła jak na spowiedzi, oczekując rozgrzeszenia. Komisarz wyciągnął z kieszeni nieco pogiętą wizytówkę. Powinien nosić ich przy sobie więcej, tymczasem ta była przedostatnia. Podał Kitce do ręki. Dawało to większe prawdopodobieństwo, że w razie potrzeby się z

nim skontaktuje. Zostawienie numeru na przykład na stoliku obok wprowadzałoby większy dystans między nimi, świadczyłoby o służbistości. Tak przynajmniej sprawił wrażenie sojusznika, który również coś jej ofiarowuje. Pomoc, gdyby takiej potrzebowała.

– Zadzwoń, jakbyś sobie przypomniała coś jeszcze – powiedział na odchodne i po chwili dorzucił: – albo jakbyś wpakowała się w kłopoty.

Mogłoby się wydawać, że pozbawiony empatii sposób, w jaki Berg podszedł Kitkę, świadczył o jego oschłości, nawet okrutności. Przez cały czas pozostawał opanowany i niewzruszony łzami dziewczyny. Bardzo często sprawiał takie wrażenie. Obojętnego. Znieczulonego przez bezwzględny zawód. Jednak wszystko, czego doświadczał, wchłaniało się w niego jak woda w gąbkę. Mógłby od czasu do czasu postarać się chociaż, żeby pewne rzeczy po nim spływały. Nie potrafił. Zbierał w sobie ludzkie łyzy, tragedie, porażki... gniew. Istniało przy tym ryzyko, że pewnego dnia objętość jego wewnętrznej gąbki zostanie przekoczona i wszystko zacznie z niej wyciekać. Wyszedł z „Magnezu” szybko, unikając spotkania z Suzzą. Wsiadł do taurusa i wykonał telefon:

– Chaber, sorry, że o tej porze.

– Coś się stało?

– Wiem, że ostatnie trzy miechy były dla ciebie trudne i teraz, jak wróciłem, też zaniedbuję tę robotę.

– Daj spokój, nie jest tak tragicznie. Niedługo będzie koniec. Chłopaki wpadli dzisiaj na kogoś nowego. Rozpracowujemy go. Może to Wujek.

Ucieszył się, że dogrzebali się do kogoś. Rozpoznanie trochę im zajmie, a może nawet posunie sprawę do przodu bez jego udziału.

– Świetnie. Chcę być z tobą szczerzy, Chaber, żeby nie było, że mi odbiło albo się staczam czy coś... W każdym razie Żoliborz musi trochę poczekać. Róbcie swoje... Wiem, że masz z tym dużo na głowie, ale u mnie wypłynęło coś, czym muszę się zająć w pierwszej kolejności.

– A co z Brockim? Naciskał na realizację.

– Chaber, ja się nie odcinam całkowicie. Zajmę się Żoliborzem w miarę możliwości. Mówię ci to wszystko dlatego, że mogę być czasami niedostępny.

Fizycznie i mentalnie. Jak będziesz chciał podjąć jakąś decyzję, uznasz, że czas wchodzić... Ufam twoim opiniom. Chaberski milczał po drugiej stronie słuchawki. Prowadził „Szakala” przez ostatnie miesiące, ale nigdy nie dostał od Berga wolnej ręki. Konsultował z nim najmniejsze szczegóły. Wyczuł, że czymkolwiek zajmuje się teraz Proca, jest to dla niego osobiście istotne. Tak samo było ze sprawą Wilka. Komisarz odcinał się od współpracowników, zamykał w sobie i prosił o pomoc tylko wtedy, kiedy naprawdę bardzo jej potrzebował. Teraz próbował oddać Chabrowi kierownicę w żoliborskiej sprawie. Starszy aspirant mógł zakończyć dochodzenie od razu – zadzwonić do prokuratora, zmobilizować oddział i z marszu aresztować przynajmniej ze dwudziestu gangusów. Tylko że wtedy cała nauka, którą otrzymywał przez lata od Berga, poszłaby na marne.

– Rób, co musisz, Proca – powiedział w końcu po chwili. – Ja się zajmę grupą. Rozpracujemy Wujka i dopiero wtedy uderzymy.

– Dzięki, Kacper.

Rozłączył się, a Kacper tkwił przez moment z słuchawką przy uchu. Nie pamiętał, kiedy ostatnim razem Proca zwrócił się do niego po imieniu. Aż poczuł się dziwnie. Nieswojo.

„Jedną nogą jesteś już na tamtym świecie”

– poseł

Telefon zawibrował, przesuwał się nieco po nocnym stoliku, tuż obok głowy Berga. Przebudził się. Przymkniętymi oczami odczytał wiadomość od Kapsela. „Spotkanie umówione. Sobota, 22, przed kinem „Arkadia”. W końcu coś się ruszy. Był piątek, więc komisarz miał ostatnią szansę, żeby porozmawiać z Borowieckim. Usiadł na łóżku, powoli dochodząc do siebie. Dzwonek u drzwi. Młody przywitał go z uśmiechem i reklamówką ze świeżym pieczywem. Najwyraźniej bardzo, bardzo potrzebował towarzystwa.

– Jeszcze sąsiedzi pomyślą, że jestem lewy – rzucił Berg, wpuszczając podkomisarza do środka.

– Gwiżdżesz na takie rzeczy jak cudza opinia.

– Prawda. To co, znowu chcesz zmarnować dzień w Biurze?

– Miałem nadzieję, że tym razem podrzucisz mnie do CBA.

– Co ja jestem, taksówka? – powiedział uszczypliwie, ale ucieszył się. Po chwili dodał: – To się nawet dobrze składa. Mam sprawę do Borowieckiego.

– Spotykasz się z Borkiem? Przez ostatnie tygodnie świat zwariował?

– Zawsze był pojebany. Może po prostu nie zauważyłeś.

Zjedli i pół godziny później siedzieli już w samochodzie. Proca włączył radio. Serwis informacyjny. „Sejm zagłosuje dzisiaj nad aneksem do ustawy zabraniającym posłużenia się materiałem dowodowym uzyskanym w drodze podsłuchu”.

– Pierdolona mafia – mruknął komisarz pod nosem. Nie mieli w zwyczaju rozmawiać o polityce. Jasnym jednak było, że Berg nie popierał rządzących, a Młody, choć w pewnym stopniu jego opinie podzielał, nie wyrażał ich w tak konkretny sposób. Jednak skwitował

po chwili:

– Chronią swoje dupy, jak mogą...

– I robią to wybitnie, trzeba im przyznać. Bóg dał im niebanalną wyobraźnię, a szatan zamięłowanie do kłamstwa. Niebezpieczna mieszanka. – Proca zamilkł. Nie znosił sytuacji, nad którymi nie miał panowania. Jak lot samolotem czy przymus dostosowania się do obowiązującego prawa, którego nie popierał. Był jednak oficerem i dosyć często znajdował się w sytuacjach, gdy należało wykonać rozkaz pomimo niepodzielania opinii o jego słuszności. Wbrew temu uważał, że zawsze istnieje drugie wyjście. Nie zawsze łatwe. Zmienił temat: – Po co w ogóle jedziesz do Biura? Wracasz do pracy w poniedziałek.

– Tak, ale szef dzwonił, że może mieć dla mnie coś nowego. Z ciekawości chcę się zorientować.

– Nowa sprawa, jak stara niezamknięta?

– Przestań męczyć... A ty po co do Borka?

Berg ogarnął wzrokiem ulicę, przymierzając się do skrętu. Przemknęła mu przez głowę myśl, żeby wtajemniczyć przyjaciela, powiedzieć, że nie odpuści i ma zamiar pomóc Felińskiemu w śledztwie; z pomocą Młodego czy bez niej.

– Utajnione – odparł, spoglądając w przeciwnym kierunku.

Podkomisarz wywrócił oczami. Czuł, że zachowanie byłego partnera jest niczym innym, jak kolejną zemstą za jego własną tajemniczość. Berg nie rozumiał, nie zdawał sobie sprawy z prawdziwych powodów, dla których nie mógł otrzymać pożądaných informacji. Gdyby Młody je wyjawiał, komisarz z pewnością zaangażowałby się w sprawę, próbował pomóc, a to ponownie rozpętałoby burzę i prowokowało niebezpieczeństwo. Sikorski wprowadził ich do budynku CBA. Rozstali się w holu.

– Borka znajdziesz na końcu głównego korytarza – pokierował Młody, a sam wkroczył na schody.

Komisarz odnalazł drzwi opatrzone nazwiskiem starszego agenta. Zapukał i wszedł do środka. Borowiecki nie ukrywał zdziwienia wizytą, spodziewałby się w pierw otrzymać telefon. Berg nie chciał, by tamten w choć najmniejszym stopniu przejął inicjatywę. Obawiał się, że się rozmyśli albo przygotuje jakąś zasadzkę, podsłuch albo cokolwiek

innego, co dałoby mu przewagę.

– Czyli ciągniemy tę umowę dalej? – beznamiętnie zapytał agent.

– Nie oferowałbym ci czegoś, czego nie mógłbym dostarczyć – zapewnił komisarz, siadając naprzeciwko. – Jutro o dwudziestej drugiej przed kinem „Arkadia” Wroński spotka się z klientem. Przyjmie od niego pięć kafli za wcześniej wykonaną robotę.

– Za jaką robotę?

– Wyciągnął i usunął z systemu trzech gangusów.

– Których?

Komisarz wzruszył ramionami. Nie miał zamiaru się tłumaczyć ani informować, że nazwiska były fikcyjne.

– Może sam wam powie, jak go zgarniecie. Chociaż wątpię. Mam jeden warunek.

– Oczekujesz zapłaty i jeszcze stawiasz warunki?

– Nie zapłaty tylko gestu wdzięczności. Pieniądze przekaże mu podstawiony przeze mnie człowiek, dacie mu uciec.

Borowiecki odetchnął głęboko. Okazja przyłapania Wrońskiego na gorącym uczynku była bardzo kusząca. Policjant przyjmie pieniądze, których źródła nie będzie mógł zdeklarować. To dobry początek do postawienia aktu oskarżenia i uruchomienia maszyny zarzutów, a tych Borowiecki miał w zanadrzu sporo. Najważniejsze to znaleźć odpowiedni pretekst do przymknięcia delikwenta, a potem to już jakoś pójdzie.

– Dobra, Berg, niech będzie. Organizuję łapankę na jutro, jak wszystko pójdzie dobrze, zajrzyj do mnie znowu w poniedziałek.

Przytaknięcie. Pierwszy, od kiedy się poznali, uścisk dłoni. Nie zmieniło to jednak faktu, że się nie znosili. Ale interes był przedni. Dla obu stron. Jeśli obydwaj dostarczą to, co sobie obiecali, może w ich relacjach zacznie przejawiać się chociażby wzajemny szacunek.

Południe. Aspirant sztabowy Grzegorz Wroński siedział na placu przed kinem „Arkadia”. Popijał półlitrowe czeskie piwo zamówione kilka minut wcześniej u barmana roznoszącego karty menu z napisem „Bierhalle”. Nieco wcześniej, jak na piwo, ale kto by się przejmował! Była sobota, a słońce, po paru dniach uporczywego chowania się za chmurami, w końcu wyjrzało, przywołując na myśl ostatnie dni minionego lata. Październik to paskudny miesiąc. Urok szeleszczącej

kolorowymi liśćmi jesieni zanika powoli w czarnych, gnijących fałdach. Dni stają się krótsze, a temperatura gwałtownie spada. Wyjątkowo tego dnia wystarczył cieplejszy sweter czy bluza. Wrona wolał bluzy. Swetry gryzły go w skórę. Tak przynajmniej twierdził przez całe życie, choć prawdopodobnie sam to sobie wmówił. Kiedy był małym, rozpieszczonym dzieciakiem, co kilka lat dostawał od ciotki ze wsi nowy sweter na urodziny. Wspaniały wyrób pracy rąk, jak to mówiła jego mama. On sam nie znosił ich. Były w pstrokatych kolorach i gdy raz ustąpił mamie, zakładając jeden z nich do szkoły, został brutalnie wyśmiany przez kolegów. Bluzę, którą nosił, podarowała mu żona na ostatnie, czterdzieste piąte urodziny. Jeszcze pachniała nowością. Nigdy nie wyprana. Zapatrzył się na łopoczącą na wietrze biało-czerwoną flagę. Powiewała dumnie nad rondem Zgrupowania AK „Radosław”, zawieszona na sześćdziesięciotrzymetrowym maszcie. Miała przypominać o sześćdziesięciu trzech dniach chwały, dniach nieustannej walki o wolność podczas powstania warszawskiego. Czynny opór z góry skazany na porażkę. Czy miał jakikolwiek sens? Wrona zastanowił się przez chwilę i pomyślał, że kiedyś tak – walka miała sens chociażby ze względu na kwestie idei. Albo honoru. W dzisiejszych czasach są to słowa warte tyle, co kupa śmiechu. Plac był przestronny, otwarty, w dzień oblegany przez tłumy, wieczorem już nie tak bardzo. Dobrze miejsce na przyjęcie zapłaty za wykonane zlecenie. Pozostaje tylko jedno. Upewnić się, że ten cały Kapsel jest tym, za kogo się podaje. Ostrożności nigdy za wiele. Sięgnął do głębokiej kieszeni bluzy po telefon i przyłożył słuchawkę do ucha.

– Cześć, Czarny, mówi Wrona. Słuchaj, dzwonię, żeby cię zapytać o niejakiego Kapsela. To od ciebie kolo?

– Wronka kochany! Dobrze, że dzwonicz. Lubię, jak jesteś taki profesjonalny i przezorny – odparł Czarny, śmiejąc się do słuchawki. Wroński nieco się tym zirytował. Nie znosił, jak się z niego nabijano. – Tak, tak. Kapsel jest ode mnie. Jak ci dał zleconko, to śmiało rób, co należy!

– Dzięki za potwierdzenie.

– Zawsze do usług, serdecznie!

Sztabowy odetchnął z ulgą. Czarny potwierdza – sprawa czysta. Jeszcze dzisiaj wieczorem wzbogaci się o pięć kafli premii. W

czarnym fordzie stojącym nieopodal kina „Arkadia” dało się wyczuć wyczekiwanie. Kierowca marzył o papierosie, jednak musiał się powstrzymać. Pulsujący w ciemności żar mógłby zdekspirować ich obecność i zakończyć długo wyczekiwaną akcję, jeszcze zanim się zaczęła. Zapali dopiero, gdy będzie po wszystkim. Obok, w fotelu pasażera, siedział Olaf Borowiecki. Obserwował plac, przystawiając do oczu lornetkę z noktowizorem. Nic podejrzanego. Kilku młodych chłopaków na ławce, dwie pary zmierzające do kina. Przypadkowi przechodnie. Zbliżała się dziesiąta. Samochód wypełnił się szumem krótkofalówki.

– Zgłasza się Niebieski, odbiór – zabrzmiało po chwili. Mężczyzna zajmujący miejsce na tylnym siedzeniu nacisnął przycisk na odbiorniku i odparł:

– Tu Czerwony, odbiór.

– Obiekt opuścił mieszkanie. Jedziemy za nim w waszym kierunku.

Będziemy za pięć minut.

– Przyjąłem. – Przełączył kanał z pierwszego na czwarty i przekazał informację dalej. – Pełna gotowość. Za pięć minut obiekt pojawi się w polu widzenia. Czekać na sygnał do wejścia.

– Tak jest – padła lakoniczna odpowiedź.

– Daj mi to radio – rzucił Borowiecki z przedniego siedzenia i wyciągnął dłoń. – Tu Czerwony, odbiór.

– Żółty zgłasza się.

– Ściągamy tylko obiekt. Drugiego puszczamy wolno, rozumiano?

Cisza w odbiorniku.

– Zrozumiano, matole?

– Tak jest.

– Jak do ściany czasami... – burknął pod nosem Borowiecki i oddał radio do tyłu. Założyli kominiarki i agent wrócił do przeprowadzania obserwacji. Pięć minut później wypatrzył Wrońskiego, który stał na obrzeżach placu, jakby ukrywając się pod drzewem. Baczenie rozglądał się wokół i czekał.

– Tu Czerwony, odbiór. Obiekt w polu widzenia.

– Przyjąłem. Widzimy go.

– Czekać na sygnał.

– W pogotowiu.

Nie zauważyli, że po drugiej stronie placu, stał zleceniodawca. Ten również czekał i rozglądał się. Ustalili, że Kapsel punktualnie o dziesiątej przejdzie przez skwer, minie się tylko z Wrońskim i ukradkiem przekaże pieniądze w kopercie. Wybiła dwudziesta druga. Kilka głębokich wdechów. Założył kaptur na głowę. Był gotowy, koperta w dłoni. Zrobił pierwszy krok, wychodząc ze swojej kryjówki. Wroński również ruszył. Moment przekazania pieniędzy został uwieczniony na kilkunastu fotografiach. Gdy tylko się minęli, sztabowy schował kopertę do wewnętrznej kieszeni kurtki. Powietrze przeciął pisk opon i nagłe okrzyki nakazujące położyć się na ziemi. Wrońskiego zamurowało. Lekko tylko uniósł dłonie ku górze, aż dwóch mężczyzn w kominiarkach przywaliło go twarzą do chodnika. Założono mu kajdanki na dłonie i przeszukano.

– Za co te pieniądze, frajerze? – zapytał go jeden z napastników. Milczał.

Wiedział, że w tym momencie najbardziej pomoże sobie milczeniem. Olaf Borowiecki nie był jedynym przeprowadzającym obserwację tej nocy. Na dachu budynku przy ulicy Pejzażowej ulokował się podglądacz. Ubrany na czarno wtapiał się w ciemność. Uzbrojony był w aparat fotograficzny z mocnym zoomem. Przeklinał w myślach pomysł założenia krótkiego podkoszulka pod swoją czarną kurtką. Powinien ubrać się znacznie cieplej. Nie przewidział, że tyle to zajmie i że na dachu wiatr stanie się dokuczliwy, przeszywający aż do kości. Tkwiał tu już od godziny, a mieszkający po drugiej stronie ulicy komisarz Alan Berg jeszcze nie wrócił do domu. Tylko jego okna pozostawały ciemne. Wszystkie wokół albo były jasnym światłem, albo migotały kolorowo od blasku telewizorów. Podglądacz chwycił lornetkę. Była znacznie lżejsza od aparatu. Zajrzał do kilku okien. Sobotnie wieczory. Wspólny film, rodzinna gra w „Eurobusiness”, seks w salonie, znak krzyża na dobranoc.

Na parking przed apartamentowcem wjechał czarny taurus. Oświetlony był dość dobrze, więc obserwator zrezygnował z przełączania lornetki na opcję night vision. Nacisnął przycisk w zegarku, uruchamiając stoper. Zanotował w leżącym obok zeszytce dokładną godzinę przyjazdu komisarza. Gdy w mieszkaniu rozbrzmiało światło, wyłączył stoper. Dwie minuty. Miał szczerą nadzieję, że

wydarzy się cokolwiek, co będzie warte sięgnięcia po aparat. Ostatnią rzeczą, na jaką miał ochotę, było siedzenie na dachu budynku w wietrzny sobotni wieczór. Kto w ogóle wpadł na taki pomysł? On sam. Po co? Żeby znaleźć na komisarza haka. Najmniejszego. Każdy ma coś do ukrycia. Każdy dopuszcza się grzechu. Szczególnie, kiedy nikt nie patrzy. Komisarz przeszedł do kuchni. Zawartość kieszeni przerzucił do miski, stojącej na blacie. Otworzył lodówkę. Masło, szynka, musztarda. Chleb z szafki.

Rozgląda się, szuka noża.

– Obok zlewu, młotku – szepnął do siebie podglądacz. Do jego uszu doleciał odgłos kaszlu. Oderwał nagle oczy od lornetki. Przez parking szła kobieta. Długie nogi, lekko podkręcone włosy, czerwony płaszcz. Zaciskała go mocno przy szyi, próbując ochronić się od chłodu. Była piękna, ale miała w sobie coś ostrego.

Nieprzeciętną seksowność. Zadzwoiła domofonem i Berg oderwał się od przygotowywania kanapki. Podeszedł do drzwi. Przyszła do niego. Kim była? Z czym przychodziła? Obserwator pomyślał, że trzeba było najpierw włamać się do mieszkania i założyć jakiś podsłuch. Teraz jednak było już za późno. Musiała wystarczyć mu sama obserwacja. Sięgnął po aparat i zaczął wykonywać zdjęcia. Berg nie spodziewał się zobaczyć dzisiaj Sussy. Ostatnimi dniami miało miejsce kilka rzeczy, których nie przewidywał. Zawahał się, gdy usłyszał jej głos w domofonie. Pomyślał, że może wprowadził ją w błąd i ona teraz sądzi, że między nimi jest coś więcej niż tylko interesy. Otworzył drzwi. Kiedy ją zobaczył, obawy zniknęły. Zastąpiła je troska. Coś się stało. W jej oczach strach. Zebrała się w sobie, wymuszając uśmiech.

– Cześć, tygrysie – powiedziała zaczepnie, choć zabrzmiało to bardzo nienaturalnie. Jej głos lekko się zatrzęsł. Nie był pewien, czy to z emocji, czy z zimna.

– Wejdz. Zrobię ci herbatę. Zmarzłaś trochę, co?

– Chyba temperatura spadła.

– Na to wygląda.

– Alan. – Podeszła do niego zniecierpliwiona. Dość długo stała na dworze, czekając na jego powrót. Chciała jak najszybciej powiedzieć

mu to, z czym przychodziła. – Wczoraj, zaraz po twojej wizycie, Kitka zadzwoniła do kogoś.

Powiedziała, że u niej byłś. Podała twoje imię i nazwisko.

Komisarz postawił na blacie szklankę i zapatrzył się na drobinki piasku uwięzione w twardym bloku kuchennego kontuaru. Czyżby popełnił pierwszy błąd? Mógł rozmawiać z Kitką anonimowo, a zostawił wizytówkę. Znowu zagrał otwarcie, kiedy trzeba było rozważyć ciche podchody. Teraz „oni” wiedzieli o nim więcej niż on o nich. Wziął głębszy oddech i podszedł do Sussy. Położył dłonie na jej ramionach i spokojnym głosem zapewnił:

– Nie martw się. To nie ma znaczenia. To tylko część gry. Usłyszałaś coś jeszcze? Co dokładnie powiedziała?

Spojrzała mu w oczy, a później na podłogę. Próbowwała sobie przypomnieć dokładną treść rozmowy.

– Powiedziała, że nie zdradziła ci szczegółów, tylko ogólniki, bo i tak już swoje wiedziałeś.

Berg przytaknął. Miała rację. Jedyne, co mu dała, to sprecyzowanie, że ten „ktoś wpływowy”, z którym spotykała się Iza Kolada, był politykiem. A to dość szerokie pojęcie. Mógł być zwykłym posłem albo ministrem, mógł być praktykujący lub na emeryturze. Kto wie... Jedyne, na co mógł teraz liczyć, to że Borowiecki zgarnie Wronę i udostępni materiały Młodego uchylające rąbek tajemnicy. Sussy zrobiła pauzę i po chwili, patrząc na niego przeprasząco, dodała:

– Nie powinnam cię do niej odsyłać. Mogłam przewidzieć, że nie wolno jej ufać.

– Co ty, Suz... Zrobiłaś, co należało. Mówię ci, nie martw się o to. I tak połowa półświatka wie, kim jestem. To nie robi większej różnicy.

Spoważniał. Chciał jeszcze coś powiedzieć, ale ona objęła dłońmi jego twarz i pocałowała go namiętnie. Chwycił jej ręce i delikatnie odsuwając ją od siebie, szepnął:

– Nie powinnaś tu przychodzić. Jeśli wiedzą, że zajmuję się sprawą, nie mogą cię ze mną powiązać, rozumiesz?

Patrzyli na siebie przez moment w milczeniu. On, szukając zrozumienia, ona, nabierając pewności, że zrozumiała go poprawnie. Spuściła głowę i wyszła. Berg położył dłonie na biodrach i przez moment rozejrzał się po mieszkaniu, jakby był w nim po raz pierwszy.

Próbował zawiesić wzrok na czymkolwiek, ale myśli biegły za szybko. W różnorodnych kierunkach. Został w tyle. Otworzył zamrażarkę i wyciągnął z jej dna małą torebkę wypełnioną kilkoma gramami marihuany. Naładował trochę do niewielkiej fajki i wyszedł na balkon, trzymając ją w dłoni. Usiadł na krześle, podpalając zioło. Suzzy przechodziła przez oświetlony parking. Samotnie wkraczała w ciemność. Uniósł wzrok przed siebie. Światła w oknach powoli gasły, a ciemność spowiła brzegi budynku. Spojrzenie komisarza spoczęło na punkcie, w którym siedział jego obserwator. Jeden miał drugiego jak na dłoni. Drugi nie spodziewał się nawet, co nadciąga.

Suzzy podsłuchiwała większość rozmowy Kitki. Nie była jednak w stanie usłyszeć najważniejszego. Umówionego spotkania. Kitce od początku nie podobała się prośba posła. Niedziela, jedenasta wieczorem. O tej porze roku to już jakby noc. I jeszcze to miejsce – przed Cmentarzem Bródnowskim... Ale niewiele miała do powiedzenia. Wiedziała, że będzie musiała zrobić to, o co poprosi. Bez okazywania cienia wątpliwości. Dotarła pod bramę punktualnie. Słabe światło ulicznej lampy rozjaśniało wrota, demaskując liczne wyłobienia i rdzę bezlitośnie zżerającą wiekowy metal. Kilka minut później przyjechał poseł. Nie uśmiechał się jak zazwyczaj. Wyraźnie przekazana mu wiadomość była niepokojąca, a może nawet niebezpieczna. Znowu ktoś węszył wokół interesów, znowu trzeba będzie podjąć drastyczne kroki. Przez jej głowę przebiegła niepokojąca myśl – jakie głupstwo zrobiła, przychodząc tutaj po tym, co spotkało Izę. Powinna trzymać się od nich z daleka albo najlepiej od razu wyjechać gdzieś, gdzie nikt – ani policja, ani politycy – nie będzie jej niepokoić. A jednak przyjechała tutaj. Wybrała pozostanie i grę po jego stronie. Zrobi to, o co ją poprosi. Będzie go kryć i wspierać. Muszą tylko ustalić jak. Zdziwiła się, kiedy zatrzasnął drzwi samochodu i podszedł do niej z rękoma w kieszeniach. Liczyła, że porozmawiają w wozie, gdzie się nieco ogrzeje. Patrzył na nią przenikliwie. Wiedziała, że próbuje dostrzec jej najgłębsze wahania i obawy. Stał naprzeciw niej i dopiero wtedy uśmiechnął się lekko.

– Znasz tego komisarza? Bywał wcześniej w pubie?

– Nie znam, ale chyba widziałam go kilka razy. Wiesz, że do nas dużo takich przychodzi. Słuchaj, ja mu naprawdę nic takiego nie

powiedziałam. On wiedział więcej niż ja! Iza...? To prawda?

Poseł oblizał wargi i ściśniętym w gardle głosem powiedział:

– Iza przekroczyła pewną granicę, której, mam nadzieję, ty nie przekroczysz...

– Oczywiście, że nie! Wiesz, że ja...

Nie czekał, aż dokończy zdanie. Chwycił oburącz jej szyję i pchnął ją na cmentarny mur.

– Wiesz, dlaczego spotkaliśmy się właśnie tutaj? Chcę, żebyś rozumiała, że jedną nogą jesteś już na tamtym świecie. I to ode mnie zależy, czy...

Jej twarz zaczęła się zmieniać. Panicznie walczyła o oddech, uderzała rękami w jego nabrzmiałe żyłami dłonie. Uderzała z całych sił, których miała coraz mniej. On nie rozluźniał uścisku. Z każdą sekundą czuł się silniejszy. Miał ją w garści. Dosłownie. Teraz decydował o jej losie. Był życiem, był śmiercią, był bogiem. Świat wokół przestał mieć znaczenie. W jego krew wstąpiła niespodziewana dawka rozkoszy i bezgraniczna ciekawość. Co stanie się dalej? Co, jeśli nie przestanie? Dał się ponieść tym emocjom i nawet nie spostrzegł fatalnego momentu, w którym przekroczył granicę i dziewczyna straciła przytomność. Rozluźnił uścisk, a jej ciało bezwiednie runęło na ziemię. Zawahał się. Furia, która jeszcze przed chwilą objęła nad nim kontrolę, zaczęła powoli ulatywać z jego spojrzenia. Nachylił się nad ciałem i dołożył dwa palce do tętnicy szyjnej. Skóra dziewczyny była miękka, pozbawiona życia. Spanikował. Wyciągnął telefon.

– Przyjedź tam, gdzie ostatnio! – rzucił szybko do słuchawki i nawet nie czekał na odpowiedź.

Wpakował bezwładne ciało do bagażnika i odjechał. Nie planował jej zabijać. Przyjeżdżając na spotkanie, myślał nawet, jak może wykorzystać jej słabą wolę i kłamliwy charakter. Sam miał wolę niedźwiedzia, lecz pożądlivość królika. Gdy tylko napotykał na swojej drodze kogoś lub coś sprawiającego mu przyjemność, nie mógł odwrócić wzroku, nie potrafił sobie odmówić. Zaparkował tam, gdzie ostatnio – pośród lasu nad brzegiem Wisły. Czekał w samochodzie na współnika, który przyjechał kilka minut później.

– Mówiłem ci sto razy – zaczął policjant na powitanie – nigdy, kurwa,

nigdy nie wracaj na miejsce zbrodni! Co tym razem?

Poseł bez słowa otworzył bagażnik i odsunął się kilka kroków. Oficer uważnie przyjrzał się ciału, sprawdził puls i uśmiechnął się.

– Nie wierzę! Zrobiłeś to... Zabiłeś ją!

– Zajmiesz się ciałem?

Przytaknął. Razem przenieśli ciało do drugiego bagażnika. Obaj oparli się o klapę i zapalili papierosa.

– I jak? Miło było?

– Nie chcę o tym rozmawiać.

Policjant parsknął. Patrzył na posła z niejakim podziwem. Zaciągnął się mocno i z satysfakcją powiedział:

– Mam teraz w bagażniku niezłego haka na ciebie. Uduszona dziewczyna z pięknymi odciskami palców... Może zatrzymam ją sobie na wszelki wypadek.

– Nie pierdol – wypluł poseł, odrzucając papierosa. – Nie jestem w nastroju do żartów.

Nie mówili nic więcej. Rozjechali się w niezmienionym układzie zależności.

Poniedziałek miał wiele zmienić. Patrząc na rzeczywistość statystycznie, najwięcej zmian i przewrotów dokonuje się właśnie w poniedziałki. Albo pierwszego dnia jakiegoś miesiąca. Tak już mamy, my – ludzie, dokładny czas ma dla nas wyjątkowo duże znaczenie. Podkomisarz Julian Sikorski wstał o szóstej rano. Zegar nastawił wieczorem na siódmą. Przebudził się mimowolnie i potem nie mógł już zasnąć. Ubierając się, pomyślał, w jakim byłby teraz stanie, gdyby kilka dni temu nie wprosił się do niego Berg. Prawdopodobnie dławiłby się własnymi wymiocinami. Albo jeszcze coś gorszego! Nie pił już od tygodnia i powoli dochodził do siebie. Przede wszystkim fizycznie, choć stan jego umysłu również uległ poprawie. Najgorsze były pierwsze dni po odstawieniu alkoholu. Paranoidalny strach i ogromne poczucie wstydu. Teraz patrzył na rzeczywistość z nieco większym dystansem – z nadzieją, że może świat jeszcze wróci do normy. „Do normy” nie oznaczało jednak powrotu do tego, co było przedtem. Życie wydawało mu się dzielić na dwie części. Na to, co było

przedtem, i na to, co działo się teraz. Po środku znajdował się szereg traumatycznych wydarzeń i próżnia wywołana pićciem. Szykował się bez pośpiechu. Poranna kawa, kanapka, wiadomości, a w nich wrzawa opozycji po uchwaleniu aneksu o podsłuchach. Niedługo wszystko się zmieni. Opozycja dojdzie do głosu. Czystki w ministerstwach, mediach, samorządach... A może tak naprawdę niewiele się zmieni. Czy to pod flagą niebieską, czy zieloną – zawsze chodzi tylko o własne interesy. Kto by się przejmował państwem? Tylko ci, którzy nigdy nie dostaną głosu.

Godzinę później przypinał kolarzówkę do stojaka na parkingu przed Centralnym Biurem Antykorupcyjnym. Kątem oka dostrzegł parkującego forda taurusa. Zdziwił się, widząc Berga ponownie w Biurze. Coś było na rzeczy i oczywiście komisarz nie uchylił nawet rąbka tajemnicy. Dla zasady. Nie zauważył Młodego, więc ten, zachowując bezpieczną odległość, podążył za przyjacielem. Berg zdał broń, opróżnił kieszenie, przepuścił plecak przez skaner. Przeszedł przez bramkę bezpieczeństwa. Minał schody oraz windę i skierował się do biura Borowieckiego. Tym razem Olaf już na niego czekał. Umówili się na konkretną godzinę. W konkretnym celu.

– Nigdy nie sądziłem, że to powiem – zaczął agent – ale jestem ci winien przysługę.

– Jak poszło?

– Tak, jak powinno. Przyjął pieniądze, nie mógł się z nich wytłumaczyć, a teraz dokleję mu całą masę zarzutów, które zbierałem miesiącami.

Komisarz spokojnie przytaknął. Nawet lekko się uśmiechnął. Z satysfakcją pomyślał, że przyłożył się do uziemienia farfocla, który handlował policyjnymi informacjami. Borowiecki przekręcił się lekko na obrotowym krześle i sięgnął po leżącą na biurku teczkę z dokumentami. Na okładce widniał stempel odcisnięty czerwonym atramentem „tajne”.

– One nie są utajnione bez powodu.

– Z pewnością. Ale czy powód był słuszny?

– Powody bywają różne. Tajność można uzyskać różnymi drogami.

Zapanowało między nimi wymowne milczenie. Borowiecki wyglądał, jakby chciał coś dodać – kolejne słowa wyraźnie cisnęły mu się na

język. Powstrzymał się jednak. Odłożył akta i kładąc na nie dłoń, powiedział:

– Tak czy siak, są tajne. A to oznacza, że nie mogą opuścić murów tego budynku.

Wstał i wyciągnął z szuflady zadrukowaną kartkę papieru. Uruchomił stojącą pod ścianą kserokopiarkę i wykonał kilka kopii małego dokumentu. Pozostawiając maszynę na chodzie, dodał:

– Muszę to dostarczyć na górę. Wrócę za – spojrzał na zegarek – dziesięć minut. Powodzenia Berg.

Dziwna szczerłość zabrzmiała w jego głosie. Szczerłość i życzliwość, której komisarz by się nie spodziewał. Zakładał jednak, że owa uprzejmość nie potrwa wiecznie. Zajrzał pobieżnie do teczki z dokumentami i rozpoczął kserowanie stron. Wyłapał dwa nazwiska: Tarkowski i Właszczyk. Z jego ust wypłynęło kilka epitetów pod adresem prokuratora, który albo cierpiał na amnezję, albo perfidnie okłamał komisarza podczas ich ostatniego spotkania; ze wskazaniem na to drugie. Borowiecki podążył korytarzem ku windzie. Dostrzegł znajomą twarz i uśmiechnął się grzecznościowo.

– Sikorski! Już się pozbierałeś?

– Dzisiaj pierwszy dzień po urlopie.

– Dobrze, dobrze. Wracaj do gry, Młody. – Były przełożony nigdy nie zwracał się do niego ksywą, nadaną zresztą przez Berga. W jego ustach zabrzmiało to wyjątkowo nienaturalnie. Wyminął podkomisarza, ale ten zawrócił go pytaniem.

– Widział się pan z komisarzem Bergiem?

– Z tym idiotą? Tak, ale już wyszedł. Na razie, Sikorski!

Młody odprowadził go badawczym spojrzeniem, a potem przeniósł wzrok w kierunku jego pokoju. Wiedział, że Berg jest w środku. Z jakiego powodu agent go krył? Co oni knuli? Obawiał się najgorszego – że komisarz wplątuje się w kłopoty. I to nie swoje kłopoty. Z drugiej strony myśli, że Borowiecki mógłby przekazać akta utajnionej sprawy (i to nie byle komu, ale właśnie Bergowi, którego jawnie nie znosił), wydawała się zbyt nieprawdopodobna. Zawahał się, czy wejść do środka, czy poczekać. Ruszył w kierunku drzwi, a te otworzyły się nagle. Berg przystanął wyraźnie zaskoczony, jakby przyłapany na kradzieży. Trwało to jednak ułamek sekundy. Szybko się zreflektował i

z powagą na twarzy wyszedł na korytarz. Szedł wolno, ale nawet nie przystanął, mijając Młodego. Razem podążyli w stronę holu.

- Podekscytowany powrotem do pracy?
- Nie próbuj mnie zagadywać. Co robiłeś u Borka?
- Z całą sympatią, Młody, ale to nie twoja sprawa.
- Czyżby?

Berg przystanął, spojrzał ku górze, jakby odpowiedź wypisana była na suficie.

– Powiedz mi – dodał podkomisarz – że nie grzebiesz w moim dochodzeniu.

Komisarz milczał.

- Berg, kurwa! Powiedz, że nie pakujesz się w tę sprawę!
- Daj spokój... Nawet jakbym chciał, to uważasz, że Borowiecki poszedłby mi na rękę i rzucił cokolwiek? Hm?
- Nie wiem. Z tobą nigdy...
- Nie martw się, chłopaku – przerwał mu, ponownie ruszając do wyjścia. – Zajmij się sobą. Dostałeś nową sprawę? Dobra jest?

Młody wiedział, że komisarz próbuje przegadać niewygodną sytuację i jednocześnie wykręcić się od dalszych zarzutów. Nie pozostało nic innego, jak przybrać podobny ton.

- Nudna jak cholera, ale dobra na powrót po całkowitym dniu.
- Głowa do góry. Za jakiś czas wszystko wróci do normy – powiedział lekko, jakby naprawdę w to wierzył. Klepnął przyjaciela w dość mikre ramię i opuścił budynek CBA.

„Są sprawy, które nie powinny ujrzeć światła dziennego”

– prokurator Zbigniew Właszczyk

Nie chciał przeglądać dokumentów na parkingu ani w żadnym innym miejscu publicznym. Potrzebował prywatności i spokoju. Korciło go. Przez całą drogę do Biura zerkał na leżący na siedzeniu pasażera plecak marki „Mil-Tec”, w którym umieścił kserokopie. Dojechał do pracy. Chwycił za rączkę torby, lecz gdy uniósł ją do góry, na samochodową wykładzinę zsunęło się kilka kartek. Papiery rozwodowe. Nawet nie przeniósł ich jeszcze do domu. Jeśli miał pasażera, przrzucił je z siedzenia na deskę rozdzielczą i z powrotem. Wpakował kartki do plecaka i ruszył do budynku. Swoją pokój osłonił żaluzjami, w drzwiach przekręcił zamek.

Siedzący w pokoju obok Chaber usłyszał trzaśnięcie drzwiami i szuranie krzesłem po podłodze. Wyszedł na korytarz, lecz spostrzegłszy odgradzoną od rzeczywistości kryjówkę komisarza, zrezygnował z nachodzenia go. Wrócił do siebie i sprawy Żoliborza. Tak jak wcześniej sobie obiecał – czekał i próbował dogrzebać się do bossa. Impuls i Mazur znów byli na obserwacji. Tkwił pod domem tego nowego, który okazał się Jarosławem Sobiechem. Niewiele o nim wiedzieli, prawie nic. Zdążyli się zorientować, że był przy kasie. Z jawnych dokumentacji wynikało, że był właścicielem kilku serwisów samochodowych, które rozliczały się z państwem wzorowo. Inną ciekawą osobistością była jego żona, Krystyna Sobiech, z domu Skotarczyk. Córka słynnego Leosia, który w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych wstrząsnął Trójmiastem. Całkiem prawdopodobne, a może nawet oczywiste, że zięć wykorzystał nieco pieniędzy z posagu żony i rozkręcił własny samochodowy biznes na podwalinach

królestwa teścia. Rozpracowanie szczegółów było jedynie kwestią czasu. Berg wyciągnął z plecaka plik skserowanych dokumentów. Im dalej czytał raporty Młodego, tym bardziej gotowała się w nim krew. Podkomisarz Sikorski dotarł do informacji o fali ustawianych przetargów przez między innymi Generalną Dyрекcję Dróg Krajowych i Autostrad. Wszystkie przekręty łączyło nazwisko pośła Aleksandra Tarkowskiego, który, jak wynikało z zebranych bankowych danych, łąpczywie wzbogacał się po każdym z nich. Co za głupia nieostrożność z jego strony. W dodatku znalazł się prezes banku, niejaki Gąska, który znał Tarkowskiego i zadeklarował złożenie zeznań obciążających pośła. Dwa dni przed ustalonym dniem spotkania z Sikorskim i prokuratorem prowadzącym dyrektor zginął w wypadku samochodowym. Zaraz potem śledztwo umorzono. Umorzono podpisem prokuratora Zbigniewa Właszczyka, który zapewnił Berga prosto w oczy, że nie wie, nad czym ani z kim pracował podkomisarz Sikorski. Berg się wkurzył. Nie tylko faktem, że kradziono, oszukiwano, prawdopodobnie mordowano, ale tym, że Właszczyk kłamał. Nie uważał go za idealnego prokuratora, wiedział, że ma on swoje słabostki. Do tej pory ufał jednak w jego przyzwoitość i szczerłość. Zawiódł się.

Młody zebrał mnóstwo dowodów. Wykonał kawał ciężkiej roboty. Przede wszystkim papierkowej. Rozgrzebał tony r, umów i wyciągnął z nich prawdziwe perełki. Zrobił wszystko to, czego Berg nie znosił i nie potrafił wykonywać. Brakowało mu może kilku podpisanych papierków albo mocnego świadka, na przykład takiego jak ten, który zginął „w wypadku”. Dlaczego Właszczyk to przerwał? Co takiego się wydarzyło, że Młody dał za wygraną? Tego komisarz mógł się jedynie domyślać. O ile w przypadku podkomisarza był przekonany, że posunęli się do zastraszania, o tyle miał wątpliwości co do Właszczyka. Straszili go czy szantażowali? Może nawet przekupili! Ponieważ nie zawsze uprzednio umawiali spotkania, prokurator ze spokojem przyjął informację od ochroniarza dyżurnego, że komisarz Berg chciałby się z nim zobaczyć. Przeszła mu przez głowę myśl, że może komisarz wpadł w końcu na istotny dla sprawy Żoliborza element. Kiedy jednak oficer wszedł do gabinetu, Właszczyk wyczuł, że nie chodzi o żadne dobre wieści. Policjant po swojemu zaciskał

wargi i zaraz od progu splótł ręce na torsie – robił tak tylko, kiedy był u granic cierpliwości; jakby tym fizycznym gestem miał powstrzymać falę złości od opuszczenia jego ciała. Trzy lata temu, gdy prokurator odmówił mu pozwolenia na zastosowanie podsłuchu z powodu niewystarczających dowodów o winie podejrzanego, sytuacja wyglądała podobnie. „Daj mi podsłuch, to będziesz miał dowody!” – zarzekał się wtedy komisarz. Usłyszał jednak stanowcze „nie” i właśnie wtedy przybrał podobną do obecnej postawę – obronną i pełną zarzutów.

Wtenczas, skończyło się to kontaktem wyłącznie w kwestiach dotyczących śledztwa oraz trzaśnięciem drzwiami tak mocnym, że szyby w oknach zadrżały z przerażenia. Wszystkie komunikaty między nimi przybierały wtedy ton dokuczliwie formalny. Teraz było nieco inaczej. Berg zaczął od progu:

– Sprawa Tarkowskiego. Dlaczego? – wyraził się zwięźle. Gdyby spróbował rozwinąć wypowiedź, z pewnością dokleiłby do niej worek niecenzuralnych słów, a jeszcze trochę nad sobą panował.

Prokurator wytrzeszczył oczy i zaniemówił. Nie spodziewał się tego tematu. Wiedział natomiast, że nie ma sensu nawijać Bergowi makaronu na uszy. Jeśli zadał pytanie bezpośrednio, przybrał agresywny ton i wypowiedział nazwisko Tarkowskiego, musiał już wiedzieć więcej, niż powinien.

– Usiądź, pogadamy – zachęcił Właszczyk i sam zajął miejsce za biurkiem.

– Dziękuję, postoję – odparł komisarz, robiąc kilka kroków w jego stronę.

Czekał.

Prokurator ważył słowa, jakby od każdego z nich miało zależeć życie ich obu.

– Są sprawy, które nie powinny ujrzeć światła dziennego...

– Nie rzucaj mi tego gówna, dobra? Powiedz – co na ciebie znaleźli, hm?

Czy może wzięłeś w łapę?

– Opamiętaj się, Berg! – podniósł głos prokurator, wstając z krzesła. Oparł się rękoma o blat i dodał bardzo cicho: – Znaleźli stare dzieje, ale takie, które mogą mi skończyć karierę. Ja mam rodzinę na

utrzymaniu, kurwa. To nie jest wielka filozofia, czasami trzeba przymknąć oko na pewne sprawy. Nie patrz tak na mnie, jakbym ci brata zabił.

– Niedobrze mi się robi, jak cię słucham.

– A co, ty taki święty jesteś? Nie myśl, że nie wiem, jakie masz metody wyciągania zeznań...

– Gównu wiesz!

– Każdy z nas ma coś na sumieniu. Ja wybrałem przymknięcie oka na złodziei, żeby nie trafić pod młotek za to, co wszyscy robili w poprzednim ustroju.

– Przymknięcie oka na złodziei? Może dodaj do tego „morderców”?

– O czym ty mówisz?

– A co, myślisz, że ten Gąska, który miał zeznawać, to faktycznie sam władował się pod ciężarówkę?

– Wypadki się zdarzają, prawda?

– Ślepy jesteś czy głupi, panie, kurwa, prokuratorze? A Iza Kolada?

– Kto?

– Informatorka Młodego, Sikorskiego, którego podobno znasz tylko ze słyszenia. Strzelili jej w łeb i wyrzucili do rzeki.

– To śledztwo jest w toku.

– Tak. I co? Teraz zapadnie orzeczenie, że to było samobójstwo?!

– Nie bądź cyniczny.

– Cyniczny... Kurwa, jestem zawiedziony. Akurat po tobie się tego nie spodziewałem. Masz rodzinę na utrzymaniu... Na pewno są teraz z ciebie dumni!

– Odpierdol się.

– O nie, Właszczyk, tego jednego nie zrobię i przyrzekam ci, że oni polecą, a ty za nimi!

Trzasnął drzwiami jak ostatnio. Może nawet mocniej, bo prokurator poczuł wibracje na własnej skórze. Proca dramatyzował. Miał prawo być wściekły, ale Właszczyk nie czuł realnego zagrożenia z jego strony. Bał się za to kogoś innego. Pomimo braku jakiegokolwiek współpracy ze strony Młodego, komisarz posuwał sprawę do przodu. Fakt, że udało mu się dotrzeć do dokumentów CBA, dodał mu pewności siebie i sporej satysfakcji. Czuł, że ma teraz przewagę nad oponentem. Przecież Tarkowski kompletnie nie zdawał sobie sprawy z

tego, co go teraz czeka! Na pewno prowadził dalej swoje paskudne interesy i cieszył się, że Sikorski siedział cicho. Nie przewidział, że teraz atak nadciągnie z innej strony. Ze strony CBS-u i komisarza, który nie trawił irracjonalnych pogroźek i brudnych służbistów. Berg miał to do siebie, że szanował oponentów. Oczywiście w zależności od stopnia ich inteligencji. Jeśli miał do czynienia z gangusem-półgłównikiem, lubił się z nim zabawić, podejść go, postraszyć. Kiedy jednak stawał oko w oko ze stojącym na czele wyrefinowanym przestępcą, który planował i rozporządzał, odkładał na bok wszelkie gierki, by wyciągać karty otwarcie. Stan osaczenia sprawiał, że spanikowani przeciwnicy nieraz strzelali samobój do własnej mafijnej bramki, na przykład od razu idąc na ugodę. W rozgrywkach mafijnych, z którymi miał do czynienia do tej pory, zazwyczaj działała zasada niepisanej umowy o wzajemnym szacunku. Na przykład, gdyby oficer obiecał jakiemuś gangusowi, że za dostarczenie informacji załatwi mu to czy tamto, musiałby się z umowy wywiązać. Gangus z kolei, nachodząc się z oficerem, któremu towarzyszy żona podczas niedzielnego spaceru po parku, nie wyciągnąłby broni i nie zaczęłyby straszyć ani wygrażać. Wręcz przeciwnie – przywitałby się uprzejmie.

Berg wiedział, że Tarkowski nie jest przeciętnym przestępcą. Był tym, którym interesowało się CBA, rozdawał karty, był inteligentny, nie przebierał w środkach. Jednak doświadczenie nauczyło komisarza, że nawet najlepszy kryminalista zaczyna popełniać błędy, zdając sobie sprawę z palącego się pod nogami gruntu. Zagranie w otwarte karty było pierwszą rzeczą, która nasunęła się Bergowi na myśl. Przyjechał do biura poselskiego. Miał szczęście, że akurat zastał Tarkowskiego. Pomachał cieciami legitymacją i wszedł do gabinetu posła. Ten przywitał go uściskiem dłoni i szerokim uśmiechem.

– Bardzo mi miło pana poznać, komisarzu! Proszę usiąść! Czemu zawdzięczam tę wizytę?

Tarkowski usiadł za biurkiem i wskazał oficerowi krzesło po przeciwnej stronie. zaproponował mu kawę, lecz gość odmówił.

– Panie pośle, nie będę marnował nam obojgu czasu i przejdę od razu do rzeczy. Trzy miesiące temu, dokładnie dwunastego lipca,

spotkał się pan z kierownikiem Zarządu Dróg Powiatowych w Toruniu, panem Markiem Gadomskim, w sprawie przetargu na budowę basenu publicznego, prawda?

– Nie bardzo wiem, o czym pan mówi komisarzu. Do czego pan zmierza?

– To spotkanie zostało potwierdzone przez sekretarkę pana Gadomskiego, pytanie: czy zaoferował pan mu wtedy łapówkę w wysokości trzystu tysięcy złotych w zamian za ustawienie przetargu?

– Oczywiście, że nie! Ja w ogóle pana Gadomskiego nie znam. Skąd ma pan podobne informacje?!

– No, jak pan myśli? Przecież pan wie, że CBA prowadziło wobec pana dochodzenie w tej sprawie. Odbył pan na ten temat niejedną rozmowę z agentem Julianem Sikorskim...

Poseł uśmiechnął się pod nosem i odprężonym tonem odpowiedział:

– Z całym szacunkiem dla Centralnego Biura... Pan Sikorski jest człowiekiem niespełna rozumu. Jego oskarżenia wobec mnie były całkiem bezpodstawne, co znalazło odpowiedź w umorzeniu śledztwa.

– W umorzeniu, które wymusił pan drogą szantażu?

– Za daleko się pan posuwa, komisarzu...

– Mogę się posunąć jeszcze dalej, panie pośle. Dwa tygodnie temu zamordowano Izabelę Koladę – tancerkę w klubie „Magnez”, którego bywał pan gościem. Mam informacje, że utrzymywał pan prywatny kontakt z ofiarą i że nie podobał się panu fakt, że rozmawiała o panu z Sikorskim. Brzmi to jak całkiem niezły motyw... Jak dla mnie.

Tarkowski wysłuchał go w milczeniu z dłońmi splecionymi na brzuchu. Siedział spokojnie na swoim obrotowym krześle, jednak na jego twarzy malowały się złość i zniecierpliwienie.

– Czego pan chce, Berg? – zapytał zmienionym, pozbawionym uprzejmości tonem. – Hm? Oczekuje pan propozycji?

– Ja nie z takich, panie pośle. Oczekuję zobaczyć pana przed sądem.

– Czyli nie ma pan jeszcze żadnych dowodów... Dlaczego mówi mi pan to wszystko?

– Żebyś zaczął się bać. Jak bała się Kolada. Jak bał się Sikorski. Chcę, żebyś wiedział, skurwielu, że idę po ciebie. I że następnym razem, kiedy się zobaczymy, będziesz nosił bransoletki na swoich

chciwych łapach...

Tarkowski milczał, patrząc mu w oczy. Komisarz wstał i gdy położył już dłoń na klamce, poseł zapytał:

– Lubi pan grać w otwarte karty, prawda? Proszę usiąść, coś panu pokażę.

Berg zawrócił i zainteresowany usiadł na krześle. Poseł wyciągnął z szuflady biurka kopertę i stanął obok komisarza, opierając się o blat. Znowu uśmiechał się nieznacznie, lecz tym razem towarzyszyło temu jakby współczujące spojrzenie. Wyciągnął z koperty kilka zdjęć i przyglądając się przez chwilę każdemu z osobna, rzucał jedno po drugim na kolana komisarza.

– Widzi pan... Ja jestem człowiekiem polityki. Wiem, jak ważne jest, żeby być krok do przodu przed opozycją. Czy nie pouczano pana, żeby nigdy nie wiązać się z informatorem? A tym bardziej z prostytutką! Mam nadzieję, że chociaż było warto... Teraz ja spróbuję pana pouczyć, komisarzu. Odpierdoli się pan od moich spraw albo te zdjęcia trafią najpierw do przełożonych, a potem do mediów. Jeśli i to pana nie zniechęci, cóż... Proszę pamiętać, co stało się z panią Koladą. Mówią, że Pan Bóg kule nosi, ale to szatan trzyma giwerę.

Berg niemo patrzył na rozrzucone przed sobą fotografie. Nie dowierzał. Czuł, jak krew w jego żyłach zastygła. Opanowała go pierwsza fala strachu. Tarkowski dostrzegł bladość na jego twarzy i z pełnią satysfakcji dodał:

– A teraz wypierdalaj z mojego biura, ty policyjna łajzo...

Zdjęcia nie przedstawiały za wiele. On i Sussy w mieszkaniu. Objęcie. Pocałunek. Patrzyła na niego czule. Głaskała po poliku. On odwzajemniał intymność. Wystarczyło dodać odpowiedni nagłówek i odbiorca będzie miał wyobrażenie burzliwego romansu. Tarkowski nie potrzebował do tego nawet zdjęć z kilku nocy wcześniej, kiedy faktycznie doszło między nimi do stosunku. Nie powinien był tego robić. Nie powinien zdradzać swoich zamiarów, prowokować i liczyć, że poseł, czując płonący grunt pod stopami, zdemaskuje się lub popełni krytyczny błąd. Nie w tym przypadku. Zadziałał zbyt szybko, impulsywnie. Znowu tracił racjonalny ogląd sytuacji. Tak samo działa się, gdy prowadził sprawę Wilka, która była dla niego osobista. Poniosło go. Chciał dołożyć tym, którzy skrzywdzili jego przyjaciela, i

przeliczył się. Zanim odjechał sprzed biura pośła, przesiedział w samochodzie kilkanaście minut. Był na siebie wściekły. Zastanowił się przez moment, czy Suzzy o tym wiedziała, czy mogła być częścią szantażu, prowokatorem. Szybko odrzucił od siebie tę myśl. Znali się od kilku lat i wiedział, że mógłby powierzyć jej własne życie. Tak przynajmniej było do tej pory. Nie miało to teraz większego znaczenia.

Nawet jeśli do niej dotarli, zapłacili czy zmusili, żeby się u niego pojawiła, wina leżała po jego stronie, bo uległ pożądaniu, na moment zapomniał o okrucieństwie i przebiegłości świata. Jedno było pewne – Tarkowski nie siedział w tym wszystkim sam. Ktoś te zdjęcia wykonał, ktoś obserwował Berga, podglądał, może nawet podsłuchiwał. To wzbudziło w nim falę niepokoju. Pomyślał, że jeżeli wobec Młodego zastosowano podobną taktykę, prawdopodobnie w tym momencie podkomisarz się wycofał. Stąd wzięła się jego paranoja. Ale Proca był inny. Kilka minut później strach zamienił się w motywację. Ogromną chęć chronienia bliskich. Przypomniał sobie słowa Młodego: „dlaczego jej to zrobili, przecież się wycofałem...”. Oznaczało to, że samo odpuście nie gwarantowało bezpieczeństwa. Im zależało na terrorze, całkowitym sparaliżowaniu sytuacji i pozbyciu się wszystkich, którzy posiadali jakąkolwiek wiedzę zagrażającą ich interesom. Podkomisarz w pewnym sensie wyeliminował się sam – zaczął pić, załamał się. Przestał stanowić zagrożenie. Jednak teraz był na dobrej drodze. Berg liczył, że może nawet wróci do śledztwa. Razem mieli dużo lepsze szanse.

Pokój Marcina Sobiecha wypełniały książki, własnoręcznie wykonane rysunki i zabawki z dzieciństwa, do których przywiązał się tak bardzo, że nie potrafił się z nimi rozstać nawet po ukończeniu pełnoletności. Były to przede wszystkim figurki dinozaurów, robotów i kilka statków kosmicznych zbudowanych z drobnych części Lego. Siedział przy biurku, kartkując uważnie „Teorie literatury XX wieku”. Po dwóch godzinach analizowania dywagacji Stanleya Fisha na temat interpretacji, umysł studenta przestawał w pełni rozumieć czytany tekst. Marcin złapał się za głowę. Jak zdoła przyswoić cały materiał przed czwartkowym kolokwium? Trzeba było się uczyć sukcesywnie.

Jak zwykle... Teraz wszystko na ostatnią chwilę. Wyciągnął z szuflady saszetkę z białym proszkiem i przygotował sobie kreskę. To go trochę odświeży. Doda energii do nauki. Wciągnął linię i kiedy poczuł, jak jego serce przyspiesza, do drzwi zapukał Masa – pracownik ojca, prawa ręka, nadzorujący innych zatrudnionych. Marcin zgarnął rękawem resztki proszku z książki. Mężczyzna uchylił drzwi i przykurczony, jak zwykle uważając, żeby nie przydzwonić głową w górną futrynę, miło zawołał:

– Marcinek! Idziemy się uczyć.

– Przecież uczę się właśnie.

– Nie tego, gołąbku... Stary kazał cię do zawodu przyuczyć. Od podstaw, pamiętasz? No, to chodź!

Chłopak pozamykał książki, pociągając nosem. Pyłek ciągle łaskotał go w nozdrza, toteż co chwilę bezwiednie pocierał je dłonią.

– Znowu brałeś? – zapytał Masa.

– Co?

– Nie igraj ze mną, chłopaku... Mówię ci, nie bierz tego świństwa, bo ci to zryje берет.

– Spokojnie. To tylko narzędzie do nauki.

– Narzędzie do nauki to ty masz tutaj – powiedział, lekko uderzając chłopaka w głowę, kiedy ten wymijał go w drzwiach. – Zamiataj do wozu!

Pojechali do hipermarketu „All-in-One”. Nie robili w nim jednak zakupów. Przynajmniej takich, za które zamierzaliby zapłacić. Stanęli na parkingu i siedząc w wozie, obserwowali przyjeżdżających klientów.

– Sam sobie wybierz – powiedział Masa.

– To może to audi?

– Nie... Najwyżej osiemdziesiąt tyśków byś za nie dostał. Możesz wybrać lepiej.

– No to ta beemka.

– Tak już lepiej. Ze sto pięćdziesiąt będzie jak nic.

Masa sięgnął do tyłu po plastikowe pudełko wypełnione sklonowanymi kluczami samochodowymi. Breloki pasowały do różnych marek i różnych modeli. Pogrzebał przez moment, po czym wydobył jeden z kluczy.

- Ten będzie dobry. Tylko pamiętaj, jak koleś będzie miał bajerki...
- To nie ryzykować. Wiem przecież.

Marcin wyszedł na parking i udając, że wpatruje się w komórkę, zbliżał się do parkującego bmw. Zwalniał i przyspieszał, żeby dobrze zgrać się z jego kierowcą. Kiedy ten nacisnął przycisk zamykający wóz, chłopak wpadł na niego z taką siłą, że mężczyzna wypuścił z ręki pęczek.

– Jezu! Przepraszam pana! Zagapiłem się! – zawołał Marcin, schylając się żarliwie po klucze.

Te były czyste – na kole wisiał jedynie kluczyk w breloku od alarmu. Żadnych przywieszek, żadnych „bajerków”. Toteż sprawnie podmienił je na otrzymany od Masy zestaw i ponownie szczerze przeprosił. Kierowca zapewnił, że nic się nie stało i oddalił się w stronę sklepu. Marcin pomachał do obserwującego wszystko Masy, wszedł do upolowanego wozu i razem odjechali do warsztatu prowadzonego przez starego Sobiecha. Marcin wiedział, że ojciec będzie z niego zadowolony. Prokurator Właszczyk długo uspokajał się po wizycie komisarza, który nie miał prawa go oceniać. Jego przemęczony wzrok padł na stojące na biurku zdjęcie dziesięcioletniej Mai. Wszystko, co robił, było poniekąd dla niej. Dla jej komfortu, bezpieczeństwa. Berg nie dzielił swojego życia z rodziną; z dziećmi. Był idealistą i miał do tego święte prawo. Życie nie dopieкло mu jeszcze wystarczająco mocno. Kiedyś może zrozumie, czym kierował się prokurator w swoich decyzjach. Kiedyś może zrozumie, że rzeczywistość potrafi nas wykiwać i zaserwować porcję opresji niemożliwą do udźwignięcia.

Zadzwoił telefon. Prywatny.

– Był u ciebie ceboś? – zapytał bezpretensjonalnie poseł Tarkowski.

Prokurator przełknął gorzką od złości ślinę i odparł:

– Był.

– Nadal jesteśmy po tej samej stronie, Właszczyk, czy będą problemy?

– Nie będzie żadnych – odparł, próbując zachować spokój. Poczuł, jak robi mu się gorąco.

– To dobrze – skończył poseł i rozłączył się.

Zawsze jest krok do przodu. Wie o wszystkim. Lepiej już narazić się Bergowi, bo co zrobi? Znowu trzaśnie drzwiami? A Tarkowski i jego

ludzie...

Z nimi nie wiadomo. Chwył za służbową słuchawkę i zadzwonił do Centralnego Biura Śledczego. Komisarz nie był w stanie wrócić tego dnia do pracy. Musiał wszystko dobrze przemyśleć. Sprzymierzeńcy się wykruszali, a liczba wrogów rosła z minuty na minutę. Rozsądek podpowiadał, żeby odpuścić. Przecież i Właszczyk, i Młody nie bez powodu opuścili gardę. Nie są przeciętnymi ludźmi, codziennie stają twarzą w twarz z bezprawiem! A jednak wycofali się. Dostał już przedsmak tego, co się może stać. Szantażowano go, grożono, udowodniono, że nawet prokuratora można kupić. W pojedynkę nie da rady. Tym razem będzie potrzebował pomocy, ale z Młodym czy bez, nie odpuści. Podjechał jeszcze do salonu fryzjerskiego, podziękować Czarnemu za pomoc z wystawieniem Wrony, bo nawet o najmniejszych przysługach nie wolno zapominać. Czarny uśmiechnął się lekko, pokiwał głową, że niby „nie ma za co”, ale widać było po nim, że żałował utraconego policyjnego pomagiera.

– Kto mi teraz będzie mandaty umarzał? – powiedział pół żartem, pół serio.

– Może postaraj się ich nie dostawać.

– Ty to zawsze masz odpowiedź, Proca. A ten chłopak, o którego chodziło, Kapsel, to jakiś obrotny, czysty? Może by się do mnie nadał?

– Przeszedł na legal.

– Ja też!

Berg posłał mu ironiczny uśmiezek i spuentował:

– Kapsel już swoje przeszedł i wycofał się w odpowiednim momencie.

– Dobrze dla niego! Nie każdy ma taki przywilej.

– Nie każdy wie, kiedy skończyć.

– A ty? Kiedy mundur na hak? Nie masz jeszcze dosyć?

– Czarny, ja się dopiero rozkręcam.

„Nie możesz budować życia na strachu”

– kom. Alan Berg (ps. Proca)

Ze strachem zazwyczaj bywa tak, że jego objawy pojawiają się samoczynnie zaraz po bodźcu, który go rozbudził. U komisarza na miejsce pierwszej fali strachu szybko wstąpiła złość. Napędzała go i motywowała do działania. W życiu doświadczył już niejednego. Już nieraz mu grożono, prowokowano, był postrzelony, szantażowany, oberwał już niejednym srogim wpierdolem. Słusznie więc uważał się za odpornego na wiele ciosów, za silnego psychicznie. Sądził, że tak już zostanie. A jednak strach nawiedził go ponownie. Z zaskoczenia; wieczorem, gdy nastąpiła cisza i ciemność. Zasłonił kotary, przeszukał mieszkanie. Najdokładniej, jak mógł. Szpary, zakamarki, spody mebli, wentylatory. Nie znalazł nic. Ani podsłuchu, ani kamery. Usiadł pośrodku pokoju i zastanawiał się, co przeoczył. Przydałoby się przeskanować mieszkanie... Skoro Tarkowski posiadał takie zdjęcia, musiał mieć środki, odpowiednich ludzi do ich wykonania. Nie wiadomo, kto jeszcze był w to zamieszany. Jeśli ktokolwiek mógłby mieć o tym pojęcie, to najprędzej Młody.

Berg spodziewał się, że rozmowa, która ich czeka nie będzie należała do przyjemnych. Nie miał jednak wyboru. Musi przekonać Młodego, by ten powrócił do sprawy. Poranek należał do tych sennych. Na otwartej przestrzeni dałoby się zauważyć mgłę lekko unoszącą się ponad trawami. W mieście była ona prawie niezauważalna. Tylko blade przyszarzała krajobraz. Zanim komisarz wszedł do samochodu, policyjnym nawykiem omiótł wzrokiem osiedle. Wyglądało spokojnie. Zatrząśł się z zimna. Jego ciało jakby jeszcze nie zdało sobie sprawy z tego, że pora się rozbudzić. Oczy piekły po nieprzespanej nocy. Próbował zasnąć, ale tylko przekładał się z boku na bok. W końcu zmorzyło go około czwartej. Teraz czuł się

nieprzytomny. Kawa nie zaczęła jeszcze działać, a poranny gorący prysznic jeszcze bardziej go rozespał. Rząd samochodów przymierzał się do wjazdu na parking Biura. Komisarz docisnął hamulec do końca. Taurus zatrzymał się posłusznie. Kogoś uporczywie legitymowano przed bramą. Berg zarzucił łokieć na drzwi i podparł głowę znużony. Wodził wzrokiem po licznych oknach Komendy Głównej Policji. Odnalazł okno Tyszki, „Szakala”, swoje. Biuro nie było bezpieczne. Nie mógł mieć pewności, czy jest czyste, wolne od kabli. Niespodziewanie jego serce przyspieszyło. Kołatało. Oddech stał się płytki i Berg, przykładając pięść do torsu, spróbował wziąć głęboki oddech, by uwolnić się od niewygodnego, prawie bolesnego uczucia ścisnięcia płuc.

– Co jest...? – szepnął sam do siebie, nie mogąc uwierzyć w reakcję własnego organizmu. Reakcję na co? Irracjonalne obawy?

Tak się czuje strach. Paniczny strach, którego źródło bywa kłopotliwe do namierzenia. Otarł z czoła krople potu i dokuczliwy stan ustąpił. Zaparkował, z trudem szukając miejsca. „Co dzisiaj wszyscy tak sumiennie pokazują się w robicie?” – pomyślał podirytowany tym, że ponownie ktoś zajął jego ulubione miejsce. Ten sam, co ostatnio – bordowy hyundai sonata. Zanosilo się na deszcz, więc znowu cały samochód uświnił się kurzem i smogiem. Odpiął pasy i pozwolił sobie na kilka głębokich oddechów. Ten krótki moment względnego spokoju przerwało dwukrotne puknięcie w szybę.

– Jezu! – syknął i momentalnie wściekł się sam na siebie, za tę bezwarunkową, strachliwą reakcję. Brocki. Minę miał nietęgą, a rękoma podpierał biodra. „Szuka zaczepki...” – pomyślał komisarz i wyszedł z wozu.

– Dzień dobry, panie inspektorze – burknął do przełożonego.

– Oj, nie będzie za dobry, Berg... – Uniósł ku górze palec wskazujący i stanowczo rozkazał: – Za piętnaście minut u mnie.

– Tak jest...

Faktycznie, dzień zaczynał się fatalnie. Komisarz postanowił, jak ostatnio, przejąć inicjatywę i wparować do pokoju pewnie; spróbować przegadać sytuację, zapewnić o postępach poczynanych w żoliborskim dochodzeniu. Otworzył drzwi biura Brockiego i momentalnie znalazł się pod ostrzałem pretensji i zarzutów bez

jakiegokolwiek prawa do obrony.

– Co ty, kuuurwa, sobie wyobrażasz? – zaczął przełożony. Jąkał się, a to oznaczało, że traci panowanie nad sobą. Nawet nie siedział, nie byłby chyba w stanie. Nosiło go z miejsca na miejsce. – Móóówiłem ci, żebyś skupił się na swojej robocie. Ty, zamiast tego, jeździsz do proookuratora, wygadujesz bzdury i pooomówienia!

Komisarz otworzył usta, próbując powiedzieć coś na swoją obronę, lecz Brocki kontynuował zaciekle:

– Nie zajmujesz się swoją roobotą. Przerzucasz obowiązki na szczeniaków.

Wiesz, że policjanci obciążeni zbyt duuużą ilością zadań są znacznie mniej wydajni? Weź się w garść, Berg! To, kuuurwa, moje ostatnie ostrzeżenie. To była zdrada na całego. Komisarz nie mógł uwierzyć, że prokurator Właszczyk zadzwonił do Brockiego ze skargą!

– Może faktycznie trochę mnie poniosło – wydukał, chcąc zakończyć dyskusję jak najszybciej. Mógł to osiągnąć jedynie ponizając się i przyznając do błędu, którego czuł, że nie popełnił. Nadinspektor milczał, więc komisarz postawił kropkę nad „i”. – To się więcej nie powtórzy.

– Ja myślę! Zejdz mi z oczu... Berg! – zawrócił go jeszcze, gdy policjant był już przy drzwiach. – Ostatnie ostrzeżenie. Jeszcze raz zrób taki cyrk, a wylecisz stąd na ryj. Jasne?

Przytaknął w odpowiedzi i wyszedł. Miał ochotę skopać kosz na śmieci albo przyłożyć pięścią w ścianę. Opanował się jednak i ograniczył do wypalenia papierosa w łazience. Z okna widok na parking. Przypomniał sobie początek studiów, kiedy zimą z kolegami przesiadywali ukradkiem w łazience na drugim piętrze wydziału resocjalizacji i tam dzielili między siebie jedną paczkę papierosów. Myśleli, że dobrze wybrali, będą pomagać ludziom. Naprawiać ich. Potem Berg zrezygnował. On i jego mama potrzebowali pieniędzy, a dużo łatwiej było o pracę w policji niż w jakiegokolwiek placówce „naprawczej”. I nie wymagało to aż tylu lat nauki. Przez parking przechodziło kilku funkcjonariuszy. Stary dozorca, pan Władek, zamiatał chodnik z liści. Już dawno powinien przejść na emeryturę. Dlaczego jeszcze tego nie zrobił? Prawdopodobnie tęskniłby za atmosferą napięcia i dreszczyku emocji, których doświadczał, obcując

z policjantami. Czuł się choć trochę częścią ich codzienności. Przyzwyczyił się, że tutaj zawsze coś się dzieje.

Na ulubionym miejscu parkingowym komisarza stał bordowy hyundai. Już od kilku dni walczy z nim o kwadrat. Dzisiaj konkurent przyjechał do pracy pierwszy. Wygrał. Berg wyteńczył wzrok. Do fatalnego samochodu zbliżał się podkomisarz Chmielewski. Misiek.

– O nie, ptaszku, tak nie będzie – powiedział Proca sam do siebie, zgasił papierosa i ruszył na parking. Zbiegał ze schodów, za każdym razem omijając trzy ostatnie skokiem. Przy drzwiach potrącił barkiem wchodzącego do środka aspiranta Grabowskiego.

– Proca!

– Za chwilę, Impuls! – odkrzyknął komisarz, biegnąc do samochodu.

Aspirant obserwował, jak jego przełożony odpala silnik, przejeżdża dziesięć metrów, zmieniając miejsce parkingowe, wysiada i spokojnym krokiem wraca do budynku.

– O co chodziło? – zapytał zmieszany aspirant.

– Jeden frajer podbiera mi miejsce.

– Ciekawe, czy on to samo myśli o tobie.

Berg spojrzał na niego z wyrzutem i zmienił temat.

– Coś chciałeś?

– Tak – zaczął, gdy ruszyli ku schodom. – Od kilku dni obserwujemy nowego gościa. Jarosław Sobiech. Legalnie prowadzi kilka warsztatów samochodowych, ale wiemy, że od jakiegoś czasu kręci się przy ludziach Wujka.

– Może próbuje ukręcić z nimi jakiś interes.

– Podejrzewam, że próbuje przykleić się do Żoliborza. Do tej pory nie miał z nimi nic wspólnego.

– Mamy coś na niego?

– Było już kilka oskarżeń, ale wszystkie ślepe.

– Wycofane?

– Albo wycofane, albo oddalone z braku dowodów. Wszystkie o pobicia i rozboje. W każdym razie jego syna złapaliśmy fotografem, jak przekraczał prędkość kradzionym wozem.

– Idiota...

– No, głupi dzieciak. Za to ojciec mądrała. Sprawy w ogóle nie ma.

– Jak to?

– Wóz oddali jeszcze tego samego dnia i właściciel nie złożył oskarżenia. A i mandat opłacony.

– To jak? Właściciel zgłosił kradzież, wie, kto go okradł, ale nie złożył oskarżenia, bo odzyskał wóz?

– Powiedział, że zapomniał, że go chłopakowi pożyczył.

– A! Zapomniał... – Komisarz uśmiechnął się pod nosem. Jasnym było, że Sobiech albo wytłukł mu z głowy oskarżenie, albo zastraszył człowieka. Impuls kontynuował.

– Może jednak warto przyszpilić tego dzieciaka. Jak mu tatuś taki pomocny, to może się z nami dla syna ułożyć i pomoże z Żoliborzem.

Berg zatrzymał się na półpiętrze i zamyślił. Patrzył Impulsowi prosto w oczy, jakby szukając w nich odpowiedzi, na ile chłopak jest pewien, że plan się powiedzie.

– Rozmawiałeś o tym z Chabrem?

– Z Cha... – zaczął, ale urwał. Odwrócił wzrok. Nie takiej postawy spodziewał się u przełożonego. Lubił i szanował Chaberskiego, ale wolał, by grupę prowadził dużo bardziej doświadczony komisarz. Tak przynajmniej powinno być.

Po chwili, z rezygnacją i machnięciem ręki, odparł: – Jeszcze nie. Zaraz mu powiem.

– Przyjrzę się temu dzieciakowi i dam znać, ale pogadaj też z Chabrem, okej?

– Kurwa, Proca, to mi się nie podoba.

– Nie pytam cię o zdanie, Impuls – odparł komisarz z półuśmiechem.

Rozumiał obawy aspiranta, choć ich nie podzielał. – Cierpliwości. I pamiętaj – obowiązuje hierarchia służbowa.

– Walić hierarchię.

– Tak, tak... Może jutro. Idź, rób swoje. Ja zobaczę, czy tego Sobiecha jakoś da się urobić.

Prawdopodobnie dałoby się. Ale komisarz nie miał teraz do tego głowy. Uruchomił komputer. W rogu ekranu pojawiła się informacja o kilku nieodebranych e-mailach. Jeden z nich przesłany od „Egzekutora”. Nie była to typowa wiadomość, którą dostaje się we wtorek rano. „Pies, który gryzie, musi zostać uśpiony” – odczytał. Krótko i na temat – pomyślał bezwiednie, po czym rzucił okiem na wszystko, co mieli na Jarosława Sobiecha, jego żonę i syna, Marcina.

Gdyby jednak zależało mu na lepszym oglądzie problemu, pojechałby w miasto, popytał tu i tam u zaufanych osób, co wiedzą o delikwencji i jego stosunkach z żoliborską. Nie zrobił tego, choć powinien. Umysł zaprzętały mu obawy o szantaż. Oczywiście Berg był pod obserwacją, ponieważ przyjaźnił się z Młodym. To nie było zaskoczeniem. Pytanie, kto obserwował i jak bardzo wnikliwie. Zastanawiał się nad czymś jeszcze – czy oby na pewno warto pakować się w tę sprawę? Nie chodziło o podrzędnych gangusów, którzy chodzą z pukawkami po mieście i więcej wykrzykują gróźb, niż dostarczają realizacji. W sprawę zamieszani byli ludzie, którzy dopuścili się morderstwa. Brutalnego. W stylu egzekucji. Jeśli w to wejdzie, to musi na całego. Przegrana nie wchodziła w grę, bo stawką było ludzkie życie.

Opuścił na dół ekran laptopa, który i tak zdążył już zasnąć. Odchylił się na swoim niewygodnym krześle na tyle, na ile zeszywniałe oparcie mu pozwalało. Naturalnie, wzrok powędrował na sufit. Naderwana obudowa poruszyła się na skutek przeciągu z uchylonego okna. Pomyślał, że tym razem, będzie potrzebował pomocy. Młody wiedział o sprawie więcej, niż Berg mógł wyczytać z jego notatek i raportów. Potrzebował go. Jeszcze tego wieczoru pojechał do mieszkania podkomisarza Sikorskiego. W normalnych okolicznościach przyniósłby ze sobą piwo albo jeszcze coś mocniejszego, jednak powstrzymał się.

– Mam nadzieję, że to bezinteresowna wizyta – powiedział Młody żartobliwie, jednak komisarz odparł z powagą.

– Pół na pół.

– Może być. Wchodź! Napijesz się czegoś? Niestety nie mam alkoholu, bo jakiś upierdliwiec wyczyścił mi zapasy.

Uśmiech nieokreślony wykrzywił wargi komisarza. Ulżyło mu, że Młody jest w nastroju do żartów, choć przeczuwał, że za chwilę ów optymizm zostanie zburzony. Zignorował pytanie gospodarza i stojąc jeszcze w przedpokoju, wyjaśnił:

– Chciałem cię przeprosić.

– Byłeś w sumie trochę uszczypliwy ostatnio...

– To, za co chcę przeprosić, jeszcze się nie wydarzyło.

– Nie rozumiem – odparł Młody, siadając przy kuchennym stole. Naprawdę nie rozumiał. Nie przeszło mu nawet przez myśl to, o co

komisarz zamierzał go poprosić. Berg, idąc za przykładem kolegi, usiadł. Jednak nie tak swobodnie jak on, tylko na samym brzegu krzesła, jakby szykował się do ewentualnej nagłej ucieczki.

Powoli, jakby ważąc jeszcze dobór słów, zsunął z ramion kurtkę i wydobył z jej kieszeni paczkę westów. Odzienie przewiesił przez nogę i zapalił papierosa.

– Opowiadałem ci kiedyś, jak umarła moja mama?

Podkomisarz zdziwił się postawionym pytaniem i zaprzeczył ruchem głowy.

– To było pięć lat temu. Miała raka. Walczyła z tym przez rok, aż w końcu usłyszała, że dalej nie ma sensu. Myślałem wtedy, że ją to załamie, a ona jakby poczuła ulgę. Miała już dosyć, wiesz? Męczyły ją te chemie... Pogodziła się z tym, że nadchodzi ostateczny czas. Po wszystkim, co ją w życiu spotkało: uciążliwym mężu, który terroryzował całą rodzinę, aż w końcu zapił się na śmierć; po synu ćpunie, który ją okradał, codziennie łamał jej serce, żeby na koniec umrzeć na łazienkowych kafelkach z przedawkowania; no i po drugim synu, który nawet nie dał jej wnuków... Pogodziła się. Była spokojna i jakby gotowa. Wyczuła, że umiera. Trzymała mnie za rękę tak mocno, że krew przestała krążyć, a była małą, słabą kobietą. Niby była spokojna, ale w oczach... Wiesz, w oczach widać najlepiej, jaka jest prawda o człowieku. W oczach miała strach. Nie bała się śmierci, tylko żebym jej nie zostawił. Trwało to godzinę. Jak się tylko poruszyłem, ścisnęła rękę jeszcze mocniej, żeby się upewnić, że nie odejdę. Widziała bardzo słabo. Może nawet nic, bo błędnie patrzyła po suficie. Chciałem coś powiedzieć, żeby jeszcze ulżyć jej choć trochę, ale nie wiedziałem co. Uwierz mi, naprawdę nie miałem pojęcia, co można powiedzieć. Teraz mogę pomyśleć o milionie rzeczy do powiedzenia. A wtedy – pustka. Ale widzisz, jej nawet nie chodziło o słowa.

Siedzieliśmy tak przez godzinę, prawie cały czas w ciszy. Ona tylko chciała, żebym był. Wiesz, jaki jest największy strach człowieka? To nie strach przed śmiercią, jak myśli większość. Nie. To strach przed umieraniem w samotności. Że nikt nie zauważy. Że nikt się nie dowie.

Komisarz zawiesił wzrok na oknie. Patrzył uważnie, jakby wyraźnie coś widział, lecz było tam tylko szare od chmur niebo. Zmarszczył czoło i zapalił kolejnego papierosa, bo pierwszy, prawie do końca

dopalił się w jego dłoni. Zaciągnął się porządnie.

– Ale tak naprawdę, nie chciałem ci tego opowiadać.

– Więc dlaczego to zrobiłeś?

– Żebyś zrozumiał, że Iza Kolada miała najgorszą śmierć ze wszystkich.

Młody westchnął ciężko. Po raz kolejny dał się zaskoczyć przyjacielowi. Nie spodziewał się tego tematu i nie podobało mu się, do czego ta dyskusja miała teraz prowadzić. Berg nie przejął się jego reakcją, spokojnie kontynuował:

– Umierała sama. Wiedziała, że pozbędą się jej ciała, że może nawet nikt jej nie znajdzie. Że nikt nie zauważy...

– Dlaczego mi to mówisz, co? Co oczekujesz, że zrobię?

– Potrzebuję twojej pomocy, Młody. Sam nie dam rady ich załatwić.

Podkomisarz uśmiechnął się nerwowo. Mimowolnie próbował w ten sposób zamaskować strach i złość, które przejmowały nad nim kontrolę.

– Nie chcę się w to mieszać. Nie rozumiesz, Berg! Oni... – Nachylił się ku komisarzowi i ściszym głosem przyznał: – Szantażowali mnie spreparowanymi dowodami, grozili, że zabiją moich najbliższych. Nie możesz przejść obojętnie obok takich rzeczy. Musisz być głupi albo szalony, żeby nie wziąć sobie takich gróźb do serca.

– Wiem. Ale na tym to polega! Chcą, żebyś się bał, to terroryzm psychologiczny.

– Czy ty się słyszysz? „Terroryzm psychologiczny”? Przecież oni zabili Izę, tak?

– Tym bardziej muszą za to odpowiedzieć! Skurwysyny! Przeprowadzili na dziewczynie egzekucję, bo za dużo wiedziała. Ile z tego przekazała tobie? Przecież miałeś wystarczająco, żeby zamknąć Tarkowskiego.

– Może nie każdy ma tyle odwagi, co ty – odparł Młody, nie szczędząc cynizmu w głosie.

– Cały ty... Widzisz, już wracasz do siebie! Arogancki, cyniczny... Myślisz, że twoja sytuacja jest wyjątkowa, bo cię zastrasza? Że daje ci to prawo do kroku w tył? Iza była twoim informatorem, tym bardziej jesteś zobowiązany, żeby oddać jej sprawiedliwość!

– Nie masz pojęcia o czym mówisz! Wchodzisz w ten swój

patetyczny ton „naprawiacza świata”. Gówno wiesz, Berg! Nie masz, kurwa, pojęcia, do czego są zdolni. Pierdolisz mi o Izie, a ja doskonale wiem, jak ona się czuła! Wiem, kurwa, bo przez to przeszedłem! Miałeś kiedyś lufę przystawioną do skroni? Czekając kiedyś na śmierć?! Widzisz, bo ja tak! Na kolanach. Pośrodku pierdolonego lasu o czwartej nad ranem! Też się bałem, że nikt się nie dowie, że nikt mnie nie znajdzie. Czy wiesz, jak to jest przechodzić za życia przez piekło?! Nie wiem, dlaczego mnie nie zabił. Nosił kominiarkę... Nie nacisnął spustu. Bałem się tak, że czułem, jakbym umierał. Strach boli, wiesz? Boli fizycznie. Nie wiem, dlaczego mnie nie zabił...

Podkomisarz skończył swoją opowieść ze łzami w oczach. Jego ręce dygotały, na czole wystąpił pot. Po raz pierwszy od tego traumatycznego wydarzenia otworzył się przed kimś. Do tej pory trzymał wspomnienie tak głęboko w sobie, w najciemniejszych zakamarkach pamięci, żeby o tym zapomnieć. Nie sposób wymazać czegoś takiego. Teraz wspomnienie wróciło do niego z tak wielką siłą, że poczuł na skórze chłód tamtejszej nocy i usłyszał huczący między drzewami wiatr. Berg wiedział, że przyjaciel oddałby teraz prawą rękę za kilka łyków wódki. Podsunął mu paczkę z papierosami. Młody sięgnął po jednego, a komisarz, bardzo spokojnie, niemalże szeptem, powiedział:

– Może nie musiał cię zabijać. Wiedział, że cię złamał. Że już nie zagrażasz...

– I się nie pomylił.

– Młody, ja cię znam. Wiem, że masz w sobie więcej sił, niż ci się wydaje.

– Nieprawda.

– Nie możesz budować swojego życia na strachu...

– Czasami trzeba powiedzieć dość. Sorry, jeśli nie spełniłem twoich oczekiwań. Moje życie... Może ja już wcale nie chcę go budować?!

– To chociaż ofiaruj je innym. W każdym razie – nie zmarnuj go.

– Tak mnie pouczasz? Kurwa! Ty lepiej spójrz na swoje życie! Co w nim masz oprócz tej pierdolonej roboty, której i tak nikt nie docenia?

Słowa Młodego dotknęły komisarza do żywego. Nic nie odpowiedział.

Przytaknął niemo i wyszedł. Ta rozmowa musiała się zakończyć; właśnie w tym momencie. Gdyby próbowali ją kontynuować... Bóg jeden wie, do czego mogłoby dojść. Młody dopalił papierosa w samotności. Myślał, że komisarz będzie próbował go wesprzeć, pomóc ogarnąć się do końca, zmotywować do pracy nad czymś innym. Tymczasem nie odpuszczał! I nie rozumiał. Co gorsza, wydawało się, że nawet nie próbował zrozumieć. Znalazł sobie nową misję i myśli, że teraz cały świat kręci się wokół jego sprawy. Sikorski nie podzielał tego zaangażowania. Nie chciał go podzielać. Przeszło mu przez myśl, że może jednak posunął się trochę za daleko, powiedział za dużo i za ostro. Uznał, że kiepski stan psychiczny i napięcie spowodowane odstawieniem alkoholu całkiem tłumaczą jego brak panowania nad sobą. Wstał od stołu dopiero po paru minutach. Nalał do szklanki wody z kranu i wypił ją duszkiem, nawilżając wysuszone z emocji gardło.

Berg wrócił do mieszkania. Nie włączył muzyki ani radia. W chwilach podobnych do tej cenił sobie niemalże grobową ciszę. Kiedy inni woleliby zagłuszyć własne myśli, on chciał słyszeć je wyraźnie, zatopić się w nich i zanalizować uważnie każdą z nich. Jak zwykle opróżnił kieszenie spodni, przekładając zawartość do porcelanowego naczynia. Postawił na stole szklankę i butelkę whisky. Usiadł wygodnie w fotelu. Jego wzrok padł na leżące obok papiery rozwodowe, które zobowiązał się podpisać. Bądź nie. W zależności od decyzji. Pomyślał o Ewie. O Suzzy. Zdjęciach. Szantażu. Zastanowił się, co mogłoby się stać, gdyby doprowadzono go do strachu, w który wpędzono Młodego. Opróżnił szklankę haustem. Nalał kolejną. Zginęła dziewczyna. Informatorka. Sprawa zaczynała przybierać naprawdę niebezpieczny obrót. Nie było to podobne do innych śledztwo narkotykowe. Wiadomo, że i tam zdarzały się patowe sytuacje. Morderstwa, groźby etc. Jednak teraz niebezpieczeństwo wydawało się bezpośrednie, większe niż kiedykolwiek. Znał siebie. Wiedział, że nie może odpuścić. Był pewien, że nie odpuści. A skoro on posunie się tak daleko, żeby zignorować szantaż i rozpracować wroga, do czego posunie się sam wróg?

Zadzwoił telefon. Numer zastrzeżony. Odebrał, lecz po drugiej stronie panowała uporczywa cisza. „Halo” – powtórzył podirytowany i

po chwili zrozumiał. Odpowiadał mu jedynie cichy oddech należący do „Egzekutora”, który ani myślał przerywać połączenia. Z początku Berg również milczał, ale po upływie kilku sekund postanowił się odezwać, licząc, że sprowokuje przeciwnika do demaskującej dyskusji.

– I co? Tak będziemy sobie milczeć? To ma mnie rozbroić, zastraszyć czy co? Masz ty honor, człowieku, żeby się skonfrontować prosto w oczy? Nie, jesteś tylko szmatą na posyłki...

Połączenie zostało przerwane. Faktycznie „Egzekutorowi” cisnęło się kilka słów na usta. Wiedział jednak, że Berg prowokuje, więc wolał się rozłączyć. A komisarz, pomimo próby pokazania, że taktyka zastraszania na niego nie działa, musiał przyznać – wpływała na jego nerwy. Odstawił opróżnioną szklankę i sięgnął po długopis. Podpisał papiery bez wahania. Odrzucony na stół długopis zabrzęczał, obijając się kilkakrotnie o blat. Wokół pustka i cisza. Cisza tak głęboka, że ucho znosi ją z trudem. Wydaje się wtedy, że jesteśmy w stanie usłyszeć ocierające się o siebie ze zgrzytem cząsteczki powietrza. Przeciągły pisk samotności uderzył komisarza swoją natarczywością. Tym razem będzie sam. Cóż, bywa i tak. A może to i lepiej. Nie będzie musiał oglądać się za siebie. Zostaje mu tylko skupić się na robocie, przymknąć, kogo trzeba, i oddać sprawiedliwość tej zamordowanej dziewczynie, która miała jeszcze tyle życia przed sobą. Jak on się w to wplątał? Próbował przypomnieć sobie, kiedy to było, gdy wpadł na ten bezsensowny pomysł otoczenia się przemocą, cierpieniem i grzechem. Nie mógł przywołać wspomnienia. Patrząc ogólnie na swoje życie, mógłby spokojnie powiedzieć, że kłopoty i cierpienie trzymały się go od zawsze.

Niektórzy po prostu tak mają. Przyciągają problemy.

Nie powinien prowadzić. Nie dlatego, że czuł się nietrzeźwy, wręcz przeciwnie – alkohol jeszcze nie zdążył zaburzyć jego motoryki, jednak w razie kontroli alkomat pokazałby prawdę. Wbrew rozsądkowi wsiadł do wozu i odjechał. Do celu nie było daleko. Za ledwie osiem minut jazdy zgodnej z przepisami. Prowadził spokojnie. Nie wyprzedzał, nie gazował, nie jechał od krawężnika do krawężnika, a mimo to po kilku minutach zobaczył we wstecznym lusterku blask niebieskiego koguta. Zabluźnił pod nosem i zjechał na pobocze. Nic nie szło dziś po jego myśli. Siedział i czekał, aż policjant podejdzie do

okna. Ten nie spieszył się wcale. Widocznie miał dobry dzień! Waśnie kończył zmianę i jeszcze udało mu się wyłapać jednego delikwenta, który pomoże mu wyrobić dniówkę.

Komisarz zaczął opuszczać szybę, gdy policjant wyszedł z radiowozu. Nie miał zamiaru owijać w bawełnę, domyślał się, że zatrzymanie go akurat w tym momencie nie może być przypadkowe. Z ironicznym uśmiechem na twarzy spojrzał na belki na pagonach i przywitał się:

– Dobry wieczór, sierżancie!

– Prawo jazdy i dowód rejestracyjny poproszę.

– Przecież pan dokładnie wie, kogo zatrzymał i dlaczego. Przechodzimy do rzeczy czy jak?

– Sierżant spojrzał na Berga podejrzliwie.

– Czy spożywał pan alkohol?

– A nie czuć?

– Zatrzymałem pana, bo nie zatrzymał się pan przed znakiem „stop”.

– Dwa skrzyżowania temu? Na tym „stopie” nikt nie staje, bo jest tam niepotrzebny.

– Nie pan o tym decyduje. Prawo jazdy i dowód poproszę.

Berg wygrzebał dokumenty z portfela i podał policjantowi. Ten wrócił z nimi do radiowozu. Komisarz przetarł oczy i pomyślał, że może był w błędzie. Zatrzymanie może nie mieć żadnego związku ze sprawą, a drogówka wykonuje jedynie swoją robotę. Westchnął ciężko na własną nadpobudliwość. Nie poznawał samego siebie. Dlaczego od jakiegoś czasu, nie potrafi trzymać języka za zębami?! Poczuł, jak alkohol zaczyna działać w jego ciele. Lekki ucisk w skroniach. Sierżant wrócił z dokumentami i zapytał:

– Chce pan stracić robotę, komisarzu, z tak durnego powodu? Przecież widzę, że jest pan na cyku.

– Jadę oddać żonie podpisane papiery rozwodowe. Tego nie da się zrobić na trzeźwo.

Policjant spojrzał w stronę radiowozu, jakby wzrokowo komunikował się z siedzącym tam partnerem. Milczał przez moment, więc Berg dodał:

– Przepraszam za wcześniej. Ciężki tydzień.

– Wie pan co? Ja mam już dość wypisywania mandatów i z chęcią

zamykam za jazdę na cyku. Ale i ja, i mój sztabowy mamy z panem problem. Jak wrzuciłem nazwisko w rejestr, to sztabowy powiedział, żeby puścić. Powiedział, że pan jest Proca z cebosiu, co Wilka do Rosji odesłał. Syn sztabowego zaczął ćpać herę, jak Wilk ją za gratis do zestawu dodawał. A jak ja usłyszałem „Proca”, to też mówię, że trzeba puścić, bo inaczej młodszy braciszek mnie za jajca powiesi. Kuba Chaberski – przedstawił się sierżant, dokładając dłoń do daszka służbowej czapki.

– Starszy Chaber... – Proca wystawił rękę przez okno, a policjant mocno ją uściśniął. – Szkoda, że w takich okolicznościach.

– No właśnie! Robimy tak po raz ostatni, dobra? Tu o bezpieczeństwo na drodze chodzi. Jak to się powtórzy, to bez ulgi będzie.

– Jasne.

– Powodzenia – powiedział dość smutno policjant, oddając dokumenty, i zaczął się oddalać. Berg wychylił głowę przez okno.

– Sierżancie! A ten syn sztabowego to jak...? Żyje?

– Żyje. Od roku czysty.

Ulżyło mu. Po raz pierwszy tego dnia poczuł delikatny pocałunek ulgi. Odpalił taurusa i odjechał, gdy wyminął go radiowóz. Było już przed dwunastą. W parterowych oknach niewielkiego domku naprzeciwko Parku Szczęśliwickiego paliło się słabe światło. Budowę posiadłości rozpoczęli w dwa tysiące pierwszym roku państwo Ryszard i Helena Popławscy. Był to prezent ślubny dla ich córki Ewy i jej nowo poślubionego męża, który oprócz nowego nazwiska – Berg – zobowiązał się ofiarować jej miłość, wierność i bezpieczeństwo aż po grób. Szczerze wierzył, że tak będzie. Ona też. Po piętnastu latach małżeństwa siedziała teraz sama w salonie domu, który już dawno mógłby być domem rodzinnym. Poczula się senna. Grająca w tle „Sonata Księżycowa” wydawała się jeszcze bardziej potęgować uczucie zmęczenia. Ewa doczytała do końca rozdział książki Victora Thorna, po czym odłożyła ją na kawiarniany stolik. Wstała z kanapy, dokładnie zawiązując poluzowany pasek szlafroka. Będzie musiała wyłączyć muzykę. Wtedy dotrze do niej spotęgowane ciszą wrażenie samotności. Choć mieszkała sama już od ponad trzech miesięcy, nie zdołała się jeszcze do tego przyzwyczaić. Czy kiedykolwiek zdoła?

Nie chce spędzać reszty życia w samotności. Zdecydowała się na rozwód i owszem, nadal uważała to za słuszną decyzję, ale czy była w stanie wyobrazić sobie życie u boku innego mężczyzny? W tym domu? To był ich dom. Jej i Alana. Zgasiła światło w salonie i wtedy jasna smuga samochodowych reflektorów wkradła się przez okno do pokoju. Ktoś zjechał na podjazd przed garażem. Podeszła ostrożnie do okna i poznała samochód po kształcie. Ford taurus. Serce zabiło jej mocniej. Nie była pewna, czy to ze strachu, czy jakiegoś swoistego podniecenia.

Właśnie o tej porze, a czasami nawet później, jej mąż miał w zwyczaju wracać do domu. Towarzyszyło jej wtedy poczucie ulgi, rozluźnienia, że jest cały, zdrowy i... żywy. Teraz jego przyjazd wywołał napięcie. Wiedziała, że musi istnieć powód dla tak późnej, niespodziewanej wizyty. Chwyciła za klamkę, gdy jeszcze był przy samochodzie, ale zawahała się. Poczekała, aż zapukał.

– Obudziłem cię?

Wyglądał inaczej. Widzieli się zaledwie kilka dni temu, a zdało jej się, jakby upłynęły lata, podczas których postarzał się i wypalił z sił.

– Piłeś? – zapytała, dostrzegłszy w półmroku jego szkliste spojrzenie.

– Trochę. Możemy pogadać?

Otworzyła drzwi i szerokim gestem zaprosiła go do środka. Nie zdjął kurtki ani butów. Był zbyt pijany, żeby o tym pamiętać. Przeszli do salonu, gdzie usiadł w swoim ulubionym fotelu nieopodal okna. Odetchnął przy tym ciężko, jakby zrzucił z pleców ogromny balast.

– Coś się stało? – zapytała niepewnie.

– Usiądź ze mną.

Drgnęła lekko, po czym, tak jak poprosił, usiadła na kanapie tuż obok. Komisarz nachylił się ku niej, podparł łokcie o kolana i przyznał:

– Dużo się ostatnio dzieje. Ta sprawa... Ta sprawa, którą zajmował się Młody, teraz jest też moją.

– W co ty się wplątałaś?

– Nic, nic... Posłuchaj. Ja mu muszę pomóc. To są sprawy trochę innego kalibru niż zazwyczaj. Z trochę innymi zasadami. Nie wiem, jak

to dalej pójdzie, ale jeśli coś się stanie...

– Nie podoba mi się, jak to brzmi...

– Jeśli ktoś próbowałby cię straszyć albo mówić oszczerstwa na mój temat...

– Kto?

– Nie mogę ci powiedzieć. Nie tym razem. I nie przyszedłem, żeby się żalić czy...

– Alan...

– Daj mi skończyć! Chcę, żebyś pamiętała, kim jestem. Jakim psem zawsze byłem. Chcę, żebyś pamiętała, że z czymkolwiek by do ciebie przyszli... Pamiętaj, że cię kocham.

Zsunęła się z kanapy i przykucnęła tuż przy jego kolanach. Patrzyła na niego wzrokiem tak kochającym i współczującym, że zapragnęła, żeby ta chwila, bądź co bądź bolesna, trwała.

– Ja wiem, że mnie kochasz. Cokolwiek ktokolwiek próbowałby mi wmówić na twój temat, to wiem jedno – jesteś najlepszym oficerem, jakiego w życiu spotkałam. Nie bierzesz w łapę, nie lejesz bez powodu, chcesz pomagać młodym policjantom, dopóki nie rozwiążesz sprawy, praca jest najważniejsza...

– I to mnie zgubiło, co? Dlatego nas straciłem... Podpisałem te papiery – powiedział, wyciągając z za pleców zwinięte kartki. – Sorry, że się pogięło...

Ewa wzięła je do ręki. Po jej poliku spłynęły dwie szczerze łzy. A przecież tego właśnie chciała. To ma zapewnić jej spokój i dać ponowną szansę na szczęście.

– Zawsze wyobrażałem sobie, że zestarzejemy się razem; że będziemy mieli dzieci... i wnuki. Ty będziesz je rozpieszczać i krzyczeć na mnie, żebym nie opowiadał im tych policyjnych historii...

– Ewa uśmiechnęła się mimowolnie, kiedy w jej wyobraźni pojawił się ten obraz. Komisarz pozostał jednak poważny i trzęsącym się głosem dodał: – Teraz się boję o przyszłość, bo nie wiem, co mi przyniesie.

Ewa wstała, żeby odłożyć papiery na stół. Nie tak zaplanowała ten moment. Znała swojego męża, wiedziała, że wzbudzanie wyrzutów sumienia czy branie jej „na litość” całkiem nie jest w jego stylu i nie o to mu chodziło. Był po prostu w złym stanie i zaczęła się zastanawiać, czy to aby najlepszy moment, żeby zajmować się teraz rozwodem.

Nie. Nie może znowu myśleć o nim i jego pracy. Przecież właśnie dlatego wszystko się posypało! Żeby wrócić do normalności, musi w końcu zacząć myśleć o sobie. Dbać też o swoje szczęście! Wróciła więc do poprzedniego tematu.

– Nie wiem, w co się z Młodym wpakowaliście tym razem, i rozumiem, że nie możesz mi powiedzieć. Ale może poradzisz się kogoś innego. Rozmawiałeś ostatnio z Wojtkiem?

– Z Justeckim? – zapytał zdziwiony, przywołując w pamięci myśl o dawno niewidzianym przyjacielu. – Nie...

– Powinieneś, jeśli sprawy przybierają taki obrót. Przecież on przez to przechodził. Szantażowali go i zastraszali. A jednak sobie poradził. Zadzwoń do niego.

– Pewnie masz rację. Może jutro...

Wstał, podpierając się ręką. Zrobił to jednak ciut za szybko i nagła zmiana pozycji zatoczyła go na bok. Ewa poderwała się, żeby mu pomóc, lecz powstrzymał ją gestem i zapewnił, że da sobie radę.

– Będę jechał powoli – zapewnił, kierując się do wyjścia. Podbiegła do niego i wyrwała mu kluczyki z dłoni. Zapewne w innych okolicznościach nie udałby się jej podobny manewr, jednak tego wieczoru refleks i przytomność komisarza były dość zaburzone alkoholem. Marudnym głosem rozkazał jej oddać klucze.

– Nie. Nie pojedziesz w tym stanie – powiedziała stanowczo tonem, który Alan rozpoznał od razu jako nieznoszący sprzeciwu i nieodwracalny.

– Ewa, nie jestem dzieckiem, kurwa...

– Teraz zachowujesz się jak rozwyrzony nastolatek. Niedojrzały skurwiel, który myśli, że jest pępkiem świata!

Zbliżył się do niej, przyciskając ją lekko do ściany.

– Wiesz, że nie pasują ci takie brzydkie słowa... – Dotknął palcami jej miękkich ust.

– Przestań, Alan. Nie chcę, żeby coś ci się stało, rozumiesz?

– Bo nadal kochasz?

– To nie ma nic do rzeczy.

– Dla mnie ma.

Pocałował ją subtelnie. Nie stawiała oporu, lecz oddała mu się tak jak niegdyś, gdy łączyła ich miłość i nadzieje na wspólne życie. Oddała

mu pierwszeństwo, pozwoliła, by dominował. I zapomniała na chwilę o tym, co już ich dzieliło. Myśl ta powróciła jednak szybko. Od razu, gdy było już po wszystkim. Każdego wtorku Barbara Lewandowska kończyła pracę w restauracji „Beckett” około dwunastej w nocy. Tak też było i tego dnia. Skończyła właśnie zmianę, nałożyła płaszcz na zabrudzoną koszulkę kelnerki i pożegnawszy wszystkich z uśmiechem, opuściła lokal. Miała w planach szybki powrót do domu samochodem (choć wcale nie mieszkała daleko), relaksującą kąpiel, lampkę wina i spokojny sen. Z niemałym zaskoczeniem usłyszała za sobą własne imię wypowiedziane głosem kochanym i bolesnym zarazem. Podkomisarz Julian Sikorski stał na rogu ulicy, uważnie wyczekując jej wyjścia z pracy. Co rusz brał głębszy oddech, by uspokoić nerwy. Zobaczył ją i jego tętno mimowolnie wzrosło. Gdyby nie to, że bardzo pragnął z nią pomówić, nie wydusiłby z siebie ani słowa. Obróciła się nagle i rozpoznawszy w półmroku zarys jego postaci, wywróciła oczami i ruszyła w stronę samochodu.

– Basiu, poczekaj! – zawołał, wykonując w jej kierunku kilka nieśmiałych kroków.

– Czego chcesz?

Otworzył usta, ale nie wydobył z siebie dźwięku. Sam nie był pewien, czego od niej oczekuje. Zaczął nawet żałować, że zdecydował się ją niepokoić.

– Chciałem porozmawiać... Nawet nie. Nie oczekuję, że będziesz w ogóle chciała rozmawiać. Przyszedłem, żeby ci powiedzieć, że przestałem pić. I chciałem przeprosić... Przepraszam, że wszystko popsułem.

– Nie masz pojęcia, przez co przechodziłam przez tamte tygodnie. Jak każdego dnia umierałam ze strachu o ciebie! Że może nie wrócisz albo wrócisz w strasznym stanie!

– Wiem... Wiem, ale taką mam pracę. To śledztwo – to było za dużo. Jednak nie mogę zostawić roboty, taki mam zawód. Dlatego nie proszę, żebyś do mnie wróciła, bo rozumiem...

– Ja nie o tym mówię! Chodziło o twoje picie! Stałeś się przez to słaby, przewidywalny, bezbronny! Przecież ja zakochałam się w oficerze. W mężczyźnie, który nie bał się brać tych drani za twarz! Nigdy bym cię nie prosiła, żebyś rezygnował.

Młody spuścił głowę w milczeniu. Nie spodziewał się, że Basia w ogóle będzie chciała z nim rozmawiać, a ona jeszcze próbowała go motywować!

– Zamknąłeś to śledztwo?

– Nie.

– Ktoś powinien!

– Umorzono je.

– Umorz... Zawsze można je wznowić.

– Nie, nie chcę się już tym zajmować. Nie mogę, ale uwierz mi, że roboty w Biurze nie brakuje. Basiu, ja nie przyszedłem rozmawiać o pracy.

– To po co przyszedłeś?

– Przeprosić.

– To słucham... – powiedziała, splatając ręce na piersi. Młody podszedł do niej i gdy stał już tak blisko, że poczuł w nozdrzach zapach jej perfum, powiedział uważnie:

– Przepraszam, że cię odsunąłem, że musiałaś patrzeć, jak się staczam...

– Że nie pozwoliłeś sobie pomóc?

– Też.

– Że się poddałeś?

– Tak.

– Że nazwałeś mnie suką?

– Boże! Przepraszam!

– Że tak długo stawałeś na nogi?

– Przepraszam...

Przytaknęła. Może nie była do końca gotowa, aby mu wybaczyć. Jednej rzeczy była jednak pewna – chciała mu dać drugą szansę. Czasami wybaczenie przychodzi później, jeśli tylko się na nie otworzymy. Na zaufanie będzie musiał ponownie zapracować; potrzebowali więc czasu i wzajemnie szczerych serc. Uśmiechnął się mimowolnie. Ulga. Niewyobrażalna ulga opanowała całe jego ciało. Jakby już nic nie mogło tego popsuć. Przetrwali piekło. A skoro piekło było do przejścia, to wszystko będzie. Już zawsze! Spojrzała na niego z miłością. Objął ją mocno, a na jej twarzy i dłoniach złożył niezliczoną ilość pocałunków. Była jego. Znowu była jego. Syn pragnie dostrzec w

oczach ojca poczucie dumy. Nie ma przy tym znaczenia, jakie są między nimi relacje – zażyłe, oschłe, żadne... Każdy syn pragnie wzbudzić w ojcu poczucie dumy. Marcin Sobiech czuł, że jego ojciec jest nieco zawiedziony ostatnim „wyczynem” syna. Masa zapewniał, że całkiem nieźle poradził sobie z kradzieżą wozu, a to, że później wpadł z fotoradarem, było małym przeoczeniem. Chłopak wiedział jednak, że przysporzył tacie kłopotów. Musieli oddać beemkę i zastraszyć Bogu ducha winnego właściciela, żeby nie wniósł oskarżenia. Masa zapewniał, że nie było to zbyt trudne. „Wystarczyło pokazać gościowi gnata i prawie posrał się ze strachu! Przyrzekał na kolanach, że wkręci psom naszą bajkę o pożyczeniu wozu” – opowiadał. Sam ojciec nie dawał Marcinowi odczuć zawodu. Mimo to chłopak próbował go unikać. Ponownie wymykał się z domu. Cichaczem schodził ze schodów. Gdy znalazł się w połowie drogi, zauważył mamę stojącą przy futrynie. Nadstawiała ucha, próbując podsłuchać rozmowę, którą mąż prowadził w kuchni. Dostrzegłszy syna, położyła palec na ustach. Marcin przeszedł obok obojętnie. Mijając ją, mimowolnie usłyszał urywek dyskusji. Głos, który dobiegł do jego uszu, nie należał do ojca. Był całkiem obcy.

– To delikatna sprawa. Chcę, żebyś zajął się tym osobiście. Nie żaden z twoich koleś, tylko ty, Szycha...

Marcin uśmiechnął się pod nosem. Wiedział, że ksywę „Szycha” ojciec otrzymał prześmiewczo. Nie miał posłuchu na mieście. Szanowali go jedynie pracownicy, których opłacał; i to słono! Mimo tego stary Sobiech lubił sprawiać „pozory”. Pozory bogactwa i władzy. Pieniądzy, owszem, im nie brakowało. Jednak dom, w którym mieszkali, wyglądał o wiele wystawniej, niż był w rzeczywistości wart. Zbudowany z tańszych materiałów. A to, czego nie dało się dostać taniej, ojciec ukradł, a raczej – ukradziono dla niego. Władzę z kolei miał – na własnym podwórku. Dlatego tak bardzo zależało mu na połączeniu sił z grupą żoliborską. To znacznie podniesie prestiż jego działań i pozwoli więcej zarobić. Nie tylko z handlu częściami kradzionych samochodów. Chłopak podejrzewał, że wizytator był wysłannikiem żoliborskiej. Ostatnio często pojawiali się w ich domu. Nie dbał jednak o szczegóły. Najważniejsze było, żeby ojciec zarabiał i trzymał się z dala od psów. Jakże wielkie byłoby jego zdziwienie,

gdyby dowiedział się, że ów rozmówca nie był nikim innym jak psem właśnie! Nie zdawał sobie jeszcze sprawy z prostego faktu – jedyną gwarancją bezpieczeństwa jest zapewnienie sobie osłony na wielu frontach. A bez rozmaitych sojuszy, siatce wzajemnych przysług i zależności, można co najwyżej odgrywać rolę Don Kichota, który jedynie we własnych oczach pozostaje zwycięzcą.

Następnego ranka Ewa obudziła się z moralnym kacem. Jakby nie mieli prawa spędzić ze sobą nocy. Przebudziła się pierwsza i usiadła na łóżku, opierając czoło o zgięte kolana. Alan spojrzał na nią niepewnie. Przetarł wysuszone alkoholem oczy. Pamiętał, że wczoraj powiedział jej o podpisaniu papierów i że się z nią kochał namiętnie, dość agresywnie, jak niegdyś, gdy nie oswoili się jeszcze z wzajemnym pożądaniem. Teraz nie był pewien, jak się zachować. Przeprzeć? Udawać głupiego? Podziękować? Usiadł obok niej i złapał ją za rękę, lecz ona powoli wysunęła się z uścisku.

– To nie powinno się stać – powiedziała, przerywając dość błogi stan, w którym jeszcze znajdował się jej mąż. Westchnął i zawiedziony pokręcił głową.

– Przepraszam – wyrzucił w końcu z siebie. – Napierałem... Nie powinienem.

Wstał i rozejrzał się za swoimi spodniami.

– Są w pokoju – pokierowała go Ewa.

– Na dole?

– Tak.

Przypomniał sobie. Zaczęli na dole, skończyli na górze. Zszedł po schodach, a ona uśmiechnęła się lekko. Nie kochali się od ponad sześciu miesięcy i już od bardzo dawna nie kochali się z taką pasją jak tej nocy. Tej nocy, która skończyła ich małżeństwo. Pojechał prosto do mieszkania, co chwilę zerkając we wsteczne lusterko. Zazwyczaj robił to zwykłym policyjnym nawykiem – od czasu do czasu. Teraz towarzyszył temu niewytłumaczalny niepokój. Jakby spodziewał się, że zauważy coś podejrzanego. Jakby tego oczekiwał. By wyzbyć się nadmiaru energii i stresu, ominął windę i przemierzył dwanaście pięter schodami. Zmachał się przy tym niemało, ale właśnie tego potrzebował. Wysiłku i świadomości, że to on sam przyspieszył bicie własnego serca, a nie jakaś bezpodstawna

paranoja. Klucz przekręcany w drzwiach od razu stawiał opór. Owszem, drzwi do mieszkania komisarza były zatrzaskowe, jednak zawsze zamykał je również na górny zamek. Dwieście procent pewności to zawsze więcej niż sto. Niepewnie przełożył klucz do dolnego zamka i po chwili wszedł do środka, już od progu wiedząc, że coś jest nie w porządku. Wieszak w przedpokoju był pusty, a zazwyczaj wisząca na nim bluza leżała na ziemi. Włamanie było pierwszą rzeczą, o której pomyślał. Biorąc pod uwagę możliwość, że intruz nadal przebywał w mieszkaniu, po cichu wyciągnął broń z kabury i powoli posuwał się naprzód.

Kilka metrów dalej, na podłodze leżała sportowa torba, której do tej pory nie opróżnił po powrocie z Holandii. Włamywacz zrobił to za niego, całą zawartość rozrzucając po kątach. Im dalej w głąb mieszkania, tym większy bałagan. Wyglądało to, jakby jedynym celem nieproszonego gościa było wyczyszczenie wszystkich szafek oraz półek i rozsianie ich zawartości po całej powierzchni podłogi. Całe szczęście, że Berg miał tu niewielką ilość rzeczy. Nadal – pokój wyglądał jak pobojuwisko. Sypialnia podobnie. Nie było w mieszkaniu komisarza niczego, co miało wartość dla włamywacza. Sprzęty pozostały nietknięte, kilka teczek z aktami starych spraw również. Wszystko, co istotne, Proca miał przy sobie – telefon, laptop, akta sprawy Młodego. Wniosek nasunął się sam. To kolejna próba zastraszenia. Kolejny pokaz sił. Jakby przez mgłę przypomniał sobie wczorajszą poradę żony. Sięgnął po telefon i zadzwonił do Wojtka. Kilkadziesiąt metrów od budynku, w którym mieszkał komisarz, na poobijanej przez miejską chuliganerię ławce siedział włamywacz. Miał stąd dobry widok na fasadę apartamentowca. Wpatrywał się w jedno z okien, jak gdyby był w stanie wyraźnie dostrzec to, co działo się po drugiej stronie szyby. Nie musiał jednak widzieć niczego na własne oczy, wystarczyła mu do tego wyobraźnia i doświadczenie. Wiedział, że komisarz rozgląda się teraz uważnie po mieszkaniu, zastanawiając się, co z niego zniknęło. Rozważa, czy powinien zgłosić włamanie, albo korzystając z pomocy kolegów, przeczesać ślady w poszukiwaniu odcisków palców. Nie zrobi jednak żadnego z tych, bo kto wie, co

odkryliby przy okazji podobnych procedur. Czyje jeszcze odciski znalazłyby się obok tych należących do prostytutki? To zostanie między nimi. Tylko między nimi – pomyślał, obracając w dłoni kolejne paciorki drewnianego różańca. Po chwili sięgnął po telefon.

– Szycha, wykonasz robotę dzisiaj w nocy – powiedział tonem nieznoszącym sprzeciwu. Szycha potwierdził, choć niechętnie. Rozmowa, która decydowała o ludzkim życiu i śmierci, trwała zaledwie dziesięć sekund.

Mężczyzna wstał, powoli wyprostowując zastałe od siedzenia plecy. Wyrzucił różaniec do stojącego obok kubła na śmieci, po czym oddalił się.

„Jest pewna granica strachu, za którą zaczyna się spokój”

– Wojciech Justecki

Wojciech Justecki był dziennikarzem śledczym. Komisarz poznał go przypadkowo dwa lata temu, na konferencji poświęconej bezpieczeństwu wewnętrznemu, choć obserwował jego losy już od dwa tysiące ósmego roku, kiedy doszło do zatrzymania dziennikarza przez służby specjalne. Cała Polska mówiła wtenczas, że „pisarczyk handluje zdobytymi nielegalnie dokumentami rządowymi”. Nikt nie wnikał w szczegóły. Liczyły się jedynie nagłówki mainstreamowych gazet. Berg śledził przebieg postępowania jego sprawy z czystej ciekawości. Po kilku miesiącach ciekawość przerodziła się niejako w powinność, gdyż jasnym było, że sprawa nie jest do końca przejrzysta i że wokół niej następują okoliczności podejrzane i niewytłumaczalne. Jak na przykład to, że jeden ze świadków mających zeznawać na korzyść dziennikarza zmarł tydzień przed rozprawą. Zmarł śmiercią samobójczą, jak później ocenił sąd, mimo że owo rzekome samobójstwo popełnił trzema strzałami w klatkę piersiową, a każda z ran była śmiertelną. Ewidentnie nieboszczyk wstał z martwych, aby postrzelić się po raz kolejny, po czym powtórzył zabieg. Dla pewności.

Po latach sprawa przybrała jeszcze gorszy obrót. Dziennikarz był regularnie szantażowany, ciągnany od sądu do sądu, obarczany fałszywymi oskarżeniami, które piętrzyły się niemiłosiernie i miały zniechęcić go do prowadzenia dalszego śledztwa. Jakiego? Dotyczącego oszustw finansowych na ogromną, miliardową skalę, korupcji i nadużywania władzy. Dotykała ona jednak bardzo wysoko postawionych ludzi. Ręka rękę myła. Takie osobistości, usadowione bezpiecznie w świecie polityki i służb, zadbały o to, żeby śledztwo utkwilo w ślepych zaułku prokuratury i do tej pory nie znalazło z niej wyjścia. Chociaż zeznania świadków doprowadziły do uniewinnienia

dziennikarza i ujawniły ogrom skandalicznych sytuacji kompromitujących służby oraz władzę, nie ewoluowały w oskarżenie zapisane na wokandzie.

Po latach walki o własną godność i życie dziennikarz sukcesywnie kontynuował syzyfową pracę demaskowania służb, czekając, aż w końcu trafi na wystarczająco odważnego prokuratora, który tę pracę wesprze i wprowadzi do sądu. Przy tym wszystkim zachował wiarę i rodzinę. Uratował się. Bądź uratowano jego – jak sam uważał – modlitwą. Umówili się z komisarzem na popołudniową kawę. Wojtek przywitał go życzliwie, choć nie ukrywał zaskoczenia zaproszeniem.

– Długo się nie odzywałeś – zauważył.

– Wiesz, jak to jest, jak praca cię pochłonie...

Zrozumiał. Cierpliwie wysłuchał całej historii. Nie przerywał, powstrzymywał się od komentarzy, choć nieraz uwagi pchały się na język. Komisarz nie zatajał niczego. Ufał Justeckiemu bezgranicznie, co dla zwykłego obserwatora mogłoby wydawać się nieroztropne. Dziennikarz pozostaje przecież dziennikarzem. Łowi tematy, węszy afery i bywa kiepski w dochowywaniu tajemnic, których ujawnianie bywa niekiedy dziennikarską powinnością. Nie w tym przypadku. Doświadczenie nauczyło Wojtkę, żeby uważnie rozporządzać powierzonymi mu informacjami. Tym bardziej te przekazane w duchu przyjacielskiego zaufania nauczył się traktować jak nietykalną świętość. Po latach bycia ofiarą systemu potrafił też bez problemu rozpoznać siedzącą naprzeciw siebie inną ofiarę. Zauważył jego rozbiegany wzrok. Nie poznawał w nim dawnego przyjaciela. Twardego, bezkompromisowego komisarza CBS-u, który wyśmiewał pogrózki i każdą sprawę doprowadzał przed sąd. Kiedy Berg niechcący potrącił stojącą na stole filiżankę, wylewając odrobinę kawy, Wojtek podał mu serwetkę, mówiąc:

– Nie chcę antycypować, ale jak tak dalej pójdzie, to zostanie z ciebie wrak oficera...

– Dlatego się z tobą spotykam. Żeby nie został wrak.

– Alan, cała ta historia brzmi dość typowo. Poseł ustawia przetargi, kilku gości nieźle na tym zarabia, dzielą się zyskami... Twój przyjaciel z CBA ma naprawdę dużo dowodów. Ludzie kłamią, ale dokumenty zazwyczaj mówią prawdę. Chociaż nie dziwię się, że ma dość. Do

tego potrzeba naprawdę silnych nerwów. Ta martwa dziewczyna musiała ich szantażować. Straszyla, że zacznie gadać, to ją wyeliminowali.

– Nie musisz mi mówić, jak wygląda sprawa, Wojtek... Od tego to ja jestem.

Powiedz mi, jak nie popaść w obłąd, jak cię straszą kompromitacją. Tylko tego się boję. Że załatwią mnie nieistniejącą aferą, ugrają dowody, z których się nie wybronię. Dziennikarz uśmiechnął się szczerze, współczująco. Cała sytuacja mogłaby wydawać się nawet komiczna, gdyby nie rzeczywisty strach, z którym wyraźnie zmagął się jego przyjaciel..

– Uwierz mi, że ta kompromitacja w twoim przypadku to dopiero początek.

Oni się jeszcze nie rozkręcili.

– Pocieszające, kurwa...

– Trzeba było trzymać interes w spodniach.

– Dzięki za dobrą radę. Na przyszłość.

– Nie jestem tu po to, żeby cię pouczać. Tylko boję się, że znaleźli do ciebie drogę. Do twoich nerwów, rozumiesz? A jak popuścisz nerwy, to stracisz jasny obraz sytuacji.

– Tak jest. Czuję się... Kurwa, nie mogę się uspokoić – powiedział, uśmiechając się nerwowo, i rozmasował spięte czoło. Tak jak poprzedniego dnia, jego tętno wzrosło i poczuł ucisk w klatce piersiowej. Rozejrzał się po kawiarni, upewniając się, że nikt ich nie obserwuje, że nikt nie zauważył jego kompromitującego stanu niemocy.

– Nie bój się ich. Im właśnie o to chodzi! Żebyś pomyślał, że znaleźli coś na ciebie, że mają przewagę. Nic nie mają. A jeśli spróbują coś na ciebie ugotować, ty wiesz, gdzie leży prawda. Ja wierzę, że ta zawsze zwycięża. Rób swoje, chłopaku!

– Mówisz, że bym nie dawał za wygraną, ale jak sobie z tym poradzić? Z tą jebaną paranoją? Ciągłe mam wrażenie, że ktoś mi siedzi na ogonie.

– Nawet jak siedzą, to co z tego?! Jak będą chcieli coś na ciebie mieć, to coś sobie znajdą. Urobiją. Przecież sam wiesz najlepiej, jak to działa. Jesteś oficerem!

Mam cię uczyć, jak dzieci robić? – Dziennikarz uśmiechnął się lekko, lecz Berg pozostawał poważny. Wlepił wzrok w swoją kawę. Siedział, trzymając ręce pod stołem. Wyglądał, jakby odpłynął gdzieś myślami, jakby nie był już obecny. Chwila ciszy zawisła między nimi jak gęste przedburzowe powietrze, które ciąży, lecz nadal pozwala oddychać. Pozwala żyć. Po chwili Justecki nachylił się ku niemu i spokojnie, głosem pełnym empatii, powiedział:

– Wiesz, jest pewna granica strachu, za którą zaczyna się spokój. Myślę, że jeszcze do niej nie dotarłeś. I obyś nie musiał... Byłeś w kościele?

– Nie.

– Idź. Wypowiadaj się, pogadaj z Szefem na Wysokościach, poproś o odwagę... To są sprawy, z którymi nie uporasz się sam. Niech cię Bóg chroni, Berg! Dobrze robisz, pomagając przyjacielowi. On sam nie dałby rady. Może i jest bystry chłopak, jak mówisz, ale niezaprawiony, weszli mu na stopę, to się wycofał.

Ty to co innego. Nie odpuszczaj tym draniom! Jak nie ty, to kto?

Komisarz wziął głęboki oddech. Czuł, że Wojtek ma rację.

– Ty to jednak jesteś wojownik, wiesz?

– Tak? Może to nomen omen... Wiesz, co znaczy moje imię? Wojciech?

– Pojęcia nie mam.

– Ten, któremu walka sprawia radość.

Powietrze zelżało. W miejsce napięcia wstąpiło rozluźnienie i wdzięczność. Dla Berga było to jedno z tych spotkań, które w chwili przejścia doliną wątpliwości przypominają o starych, przez moment zapomnianych drogowskazach. Justecki z ulgą zauważył poprawę w zachowaniu przyjaciela, który wyprostował się nieco i odzyskał spokój w spojrzeniu. Dopili kawy w milczeniu. Każdy z nich analizował przebytą przed chwilą rozmowę i coś sobie ważył, wykonując karkołomną próbę ponownego przekonania samych siebie o tym, że świat, który ich otacza, wciąż przejawia sens i ład. Dziennikarz zapewnił, że przyjrzy się sprawie z perspektywy własnych kontaktów i źródeł. Berg podziękował za wsparcie i gdy wymienili pożegnalny uścisk dłoni, zakończył spotkanie słowami:

– Bóg z tobą, przyjacielu.

Gdy słońce chyli się ku zachodowi, lubi rzucić ostatnie spojrzenie na ziemię, upewniając się, że wszystko, co zostawia za sobą, ma swoje miejsce i siłę przetrwania. Aż do następnego wschodu. Inspektor Filip Tyszką z wyczekiwaniem wyglądał zbliżającej się emerytury. Niestety w ostatnich tygodniach jego błogi stan wyzbywania się stresu i odpowiedzialności zakłócał niesforny protegowany, który wydawał się uparcie i celowo ignorować wszelkie prośby, groźby i podszepty zdrowego rozsądku. Przez prawie czterdziestoletni staż pracy w służbach inspektor spotkał niewielu, w których pokładałby wielkie nadzieje. Większość przewijających się przez jego oficerskie palce pracowników Firmy nadawała się wyłącznie do wykonywania rozkazów, spełnienia swojej roli, by potem zniknąć w odmętach szarej codzienności, zostawiając po sobie jedynie ślad w policyjnych rejestrach. Liderzy nie pojawiali się często. Zdarzało się również, że nie byli nawet mile widziani, jeśli w parze z ich przywódczą smykałką szła głupota lub chwiejne morale. Tych najlepszych, godnych zaufania, spotykał sporadycznie. Jednym z nich był komisarz Alan Berg i jego ostatnie „przezięcia” (jak to określił nadinspektor Brocki) przepełniały go niepokojem i złością. Traktował go jak syna, a czy istnieje na świecie bardziej irytująca sytuacja od tej, kiedy rodzic dostrzega, że dziecko sukcesywnie pakuje się w tarapaty?

Inspektor starał się tłumaczyć Berga przed Brockim. Niestety, coraz rzadziej miał ku temu okazję, bo szef wiedział już swoje i nie wyglądało na to, żeby był otwarty na opozycyjne argumenty. Pozostawało cierpliwe wysłuchiwanie jego narzekań, a potem ciągłe próby uniknięcia ponownego spotkania. Tego dnia Berg pojawił się w Biurze dopiero po drugiej. Na korytarzu naszedł się z Impulsem i Mazurem, którzy właśnie mieli zamiar opuścić budynek.

– Ten chłopak, o którego pytałeś – Marcin Sobiech – zaczął komisarz dyskretnym głosem – nie przyda się jeszcze. Zgaduję, że ojciec przyucza go do zawodu, pokazuje, jak to wszystko działa. Tak że nawet jeśli chłopaka przymkniemy, ojciec uzna, że to dla niego dobra lekcja, i zostaniemy z niczym.

Potrzebujemy więcej haków, żeby przeciągnąć go na naszą stronę.

Zresztą wygląda na to, że dopiero zaczyna interesy z Żoliborzem, pewnie jeszcze niewiele wie. Oczy Impulsa kipiały rozczarowaniem. Liczył na jakąś akcję! Cokolwiek, byleby obyło się bez dnia spędzonego na obserwacji w wyłącznym towarzystwie Mazura. Ten z kolei wysłuchał przełożonego w skupieniu, po czym wysunął propozycję:

– Może chociaż podsłuch zamontujemy u Sobiechów?

– Mamy za mało, żeby dostać pozwolenie – odparł Berg, a aspiranci wymienili pytające spojrzenia.

– Czy ja dobrze słyszałem? – szepnął Impuls. – Proca mówi coś o pozwoleniach?

– Nie żartuję – zapewnił komisarz. – A jak chcecie kombinować, to gadajcie z Chabrem.

– O tak! Chaber na pewno się zgodzi na pluskwę bez papierka – skwitował Mazur, teraz również rozczarowany.

Ruszyli ku drzwiom, a w nich minęli się z inspektorem Tyszką, który spojrzał na Berga porozumiewawczo. Musieli porozmawiać. Bez słowa przeszli razem korytarzem, w milczeniu weszli do windy i tak samo wysiedli z niej na drugim piętrze. Dopiero gdy zamknęły się za nimi drzwi pokoju, inspektor powiedział ostro:

– Od rana próbowałem się do ciebie dodzwonić.

– Miałem ważne spotkanie – odparł komisarz, postanawiając w duchu zachować spokój uzyskany po rozmowie z Justeckim.

– Było jeszcze jedno spotkanie, na którym powinieneś być. Z Właszczykiem.

– To lepiej, że nie byłem, bo różnie mogłoby pójść.

– Alan – inspektor westchnął i przysunął sobie krzesło tuż obok Berga – musimy porozmawiać poważnie. Sam wybierz, czy jak przyjaciele, czy jak oficerowie.

Berg wywrócił oczami i nie zdając sobie do końca sprawy z kiepskiego samopoczucia przełożonego, odparł:

– Teraz każdy dzień będziemy zaczynać od dywanika?

– Proszę, zrób tak, żebyśmy nie musieli. Zacznij normalnie pracować.

– Wolisz, żebym od godziny do godziny siedział w biurze, czy żebym był

wydajny?

– Od miesięcy nie jesteś wydajny...

– Ale sprawę w Amsterdamie to zamknąłem.

– Chuj z Amsterdamem! Brocki się ucieszył, bo to dobry pijar, ale ja wolę sprzątać nasze ulice. A jeszcze lepiej realizować śledztwa w naszym polu zainteresowania. Weźmiesz sobie do serca prośby Brockiego?

– Pytasz ogólnie, czy puszczę sprawę korupcji i morderstwa?

– Nie masz powodów, żeby łączyć ze sobą te dwa zdarzenia.

– Do tej pory mi ufałeś.

– To się trochę zmieniło od czasu, kiedy nie powiedziałeś mi, że Vlacic podał twojemu bratu ostatnią dawkę heroiny. Gdybym wtedy wiedział, odsunąłbym cię od dochodzenia. Ale teraz nie o tym. Brocki chciał cię utemperować i kazał, żebyśmy razem pojechali do Właszczyka. Przeprosić.

Komisarz parsknął śmiechem. Na jego twarzy wystąpił grymas obrzydzenia i smutku jednocześnie. Wyszeptał pod nosem:

– Mam przepraszać skurwiela za prawdę...

– Za to ja musiałem jechać i przepraszać w twoim imieniu. Wiesz, jakie to poniżające?

– Domyślam się. Wybacz, że pakuję cię w takie sytuacje.

– No. To chociaż mi powiedz, za co tak cierpię. Alan, co próbujesz ugrać?

Zmarszczki na czole Berga zdradzały, że myśli intensywnie o odpowiedzi na to pytanie. Winien był przyjacielowi uczciwość, choć z drugiej strony również darowanie mu większych problemów. A te nadciągnęłyby bez wątpienia, gdyby wtajemniczył inspektora w sprawę. Zamiast wyjaśniać, zapytał:

– Co powiedział ci Właszczyk?

– Jakbyś tam był, tobyś wiedział. Ale i tak nie musiał mówić za wiele, żebym zauważył, jak gryzie go sumienie. Był równie zażenowany całą tą sytuacją jak ja.

– A jednak zadzwonił do Brockiego ze skargą.

– Zadzwonił i to mnie dziwi. To nie w jego stylu, zresztą myślałem, że mimo wszystko macie dobre relacje.

– Tak było.

– A teraz? Co się zmieniło i dlaczego?

Alan spojrzął przyjacielowi prosto w oczy, jakby próbował mu coś powiedzieć, jednak nie wydawał z siebie dźwięku. Inspektor zrozumiał. Zrozumiał, że czymkolwiek zajmuje się teraz Berg, jest jeszcze w toku. Zrozumiał też, że dotyczy to spraw drażliwych, a przez to niezmiernie istotnych.

– Mimo wszystko nadal ci ufam, chłopaku. Tylko nie chcę, żebyś wpakował się w jakieś gówno bez wyjścia.

– Dam sobie radę. I Żoliborz też załatwimy, tylko na to potrzeba czasu.

Czasu akurat nie mieli za wiele. Dostali od prokuratora kolejne trzy miesiące. Brocki naciskał jeszcze bardziej. W zależności od sytuacji i toku rozwoju dochodzenia może być to w sam raz, za długo lub za krótko. Z jakiegoś powodu Berg czuł, że się nie wyrobiją. Nie tylko przez to, że sam zajmował się teraz czymś innym; problemem był Wujek – skoro zachował anonimowość do tej pory, musiałoby wydarzyć się coś wyjątkowego, nieprzewidywalnego, żeby ów status quo uległ zmianie. Nie byli jeszcze gotowi do przeprowadzenia realizacji. Mogliby ją zrobić, aresztować tego i tamtego, ale nie zakończyłoby to problemu. Chcieli rozpracować całą siatkę, dotrzeć na samą górę narkotykowej piramidy i wtedy pierdolnąć taranem w drzwi wszystkich gangsterów jednocześnie. Taką przynajmniej wizję zakładał komisarz.

Tymczasem zastanawiał się, jak podejść do sprawy posła Alka Tarkowskiego i morderstwa Izy Kolady. Nie mógł już liczyć na pomoc Młodego, przestał się łudzić. Pozostało czekać na nowe ślady z dochodzenia komisarza Felińskiego (który jednak przez cały czas czuł się jak naćpana mysz w labiryncie), ewentualnie liczyć na to, że Justecki wygrzebie jakieś bezkompromisowe haki na posła. Sam Berg wiedział, że na tę chwilę Tarkowski ma nad nim znaczą przewagę. >Po tym jak okazało się, że CBA siedziało mu na ogonie, pilnował się, zabezpieczał i dobrze maskował wszelkie nielegalne działania. Z pewnością też ktoś mu w tym wszystkim pomagał. Może nawet niejedna osoba. O wiele lepszym pomysłem wydało się dotrzeć do posła przez morderstwo. Mówi się, że każdy polityk ma trupa w szafie, a trup Kolady był całkiem namacalny i świeży. Jeśli Bergowi udałoby

się zdobyć dowody na połączenie tych dwóch spraw, mogliby... mógłby przymknąć Tarkowskiego! Chyba że i wtenczas długie łapy posła oplotłyby się wokół gardła prokuratora i znów wszystko umarłoby w archiwach. Musiał działać mądrze i skrycie. Najpierw jednak chciał się upewnić, że to, co spotkało Izę, się nie powtórzy. „Szanowni słuchacze, minęła dwudziesta pierwsza. Zapraszamy na skrót wiadomości dnia...” – poinformował komentator radiowy, zanim Berg wyłączył samochód. Zaparkował w oszczędnie oświetlonej alei na tyłach klubu „Magnez”.

Zadzwoił do Suzzy. Nie miał pewności, czy odbierze. Jeśli ma przerwę, to pewnie tak, ale jeśli tańczy lub zabawia klienta, to będzie musiał poczekać albo wejść do środka, a na to nie miał dziś ochoty.

– Halo?

– Hej, Suzzy Q! – przywitał ją, starając się zabrzmieć możliwie entuzjastycznie. – Masz ochotę na fajkę na tyłach?

– Teraz?

– No. Czekam na ciebie.

– Zaraz wyjdę.

Zarzuciła płaszcz na swoje prawie nagie ciało i chwilę potem usiadła na miejscu pasażera w taurusie. Zatrzęsa się z zimna, kiedy komisarz zmierzył ją wzrokiem od stóp do głów. Uśmiechnął się lekko, lecz w jego oczach można było dostrzec nutę smutku.

– Coś nie tak? – zapytała, sięgając po leżące między nimi papierosy. Berg wyjął z kieszeni zapalniczkę i podpalił jej rolkę.

– Musisz zniknąć na jakiś czas, Suzzy.

– Co ty mówisz?

– Trochę zjechałem tę sprawę z Koladą i jej loverem... Nie idzie mi za dobrze i myślę, że byłoby lepiej, jakbyś na razie gdzieś się zaszyla.

– Panikujesz. Przecież ciebie nie przechytrzą, zresztą nikt nawet nie wie, że z tobą gadam. Nikt nie wie, prawda?

Komisarz zbył pytanie milczeniem i sam sięgnął po papierosa.

– Kurwa, Alan!

– Słuchaj, jak zaczynaliśmy rozmawiać, przyrzekłem ci, że będę cię chronił, i staram się to robić. Mówię ci, że sprawy zaczynają wymykać mi się spod kontroli... Masz gdzieś rodzinę, do której możesz pojechać?

– Pod Zakopcem.

– Jesteś góralką... – stwierdził. Uznała to za pytanie, więc odpowiedziała góralskim akcentem: „A no!”, czym bardzo go rozbawiła. Po chwili spoważniał.

– Przepraszam, Suzzy. Nie tak to miało wyglądać... Zostaw telefon, nie mów nikomu, dokąd jedziesz, powiedz, że... bierzesz chorobowy. Już dzisiaj.

– Dzisiaj?!

– Jutro ma cię tu nie być, jasne? – Pokręciła głową z niedowierzaniem. – Kurwa! Ja nie żartuję, rozumiesz, dziewczyno?!

– Tak! Nie musisz krzyczeć!

– Przepraszam... Dam ci znać, jak to wszystko wyprostuję. Jak już będzie bezpiecznie.

– Jak, skoro mam zostawić telefon?

– No, znajdę cię przecież... Psem jestem.

Przytaknęła i otworzyła drzwi.

– Suzzy... – Zatrzymał ją, lecz nie wiedział, co powiedzieć na pożegnanie.

– Uważaj na siebie, tygrysie...

Nie był pewien, kiedy zobaczą się następnym razem. Liczył, że wydarzy się to, gdy wszyscy zamieszani w sprawę przestępcy trafią do paki. Patrzył na nią, jak wracała do klubu tym swoim falującym, giętym krokiem, który, jak się domyślił, wykonała teraz specjalnie dla niego. Uczucie, którym ją obdarzył, nie było miłością. Pożądaniem – owszem. Podziwem – też. Nie należała do grona ludzi naiwnych, a zatem jej akcje świadczyć mogły jedynie o odwadze. Patrzył na nią, jakby miał ją widzieć po raz ostatni. Przynajmniej na dłuższy czas.

Starszy aspirant Kacper Chaberski dopiero wrócił z pracy do domu. Choć trafniej byłoby nazwać to miejsce „mieszkankiem”. Powierzchnia zaledwie dwudziestu pięciu metrów całkiem mu wystarczała. Miał może mały problem z pomieszczeniem w nim wszystkich książek i służbowych papierów, ale zawsze był w stanie znaleźć dla nich dodatkowe miejsce, np. w rogu toalety albo na blacie kuchennym. Gdyby dzielił z kimś swój mieszkalny kwadrat, z pewnością doprowadzałby partnera do szału tym swoim pozornym bałaganiarstwem. W całym otaczającym go nieładzie zachowała się

precyzyjna logika, do której klucz znał tylko on sam. Gdy przekroczył próg, telefon w jego kieszeni głośno zadzwonił. Za głośno, jak na tak wieczorną porę.

– Mazur, dopiero co z roboty wyszedłem... – marudnie zaczął rozmowę.

– To mogę poczekać do jutra.

– No gadaj, skoro już dzwonisz. – Ściągnął kurtkę, trzymając telefon przy uchu, i odwiesił ją na hak, z którego zsunęła się i spadła wprost na stojący na podłodze stos książek. Już dawno miał je wywieźć do biura. Ciągłe zapominał.

– Siedzę na kablach i właśnie Kafel dzwonił do Maurycego ustawić odbiór hajsu – wyjaśnił aspirant nieswoimi słowami. Chaber domyślił się, że parafrazował treść podsłuchanej rozmowy gangsterów.

– Kiedy?

– Jutro o jedenastej. Coś z tym robimy?

Chaber zamyślił się i po chwili odparł:

– Ja się tym zajmę.

Zakończył rozmowę i wybrał numer do Berga. Jednak ten nie odpowiadał. Aspirant miał już dość siedzenia w biurze dzień po dniu. Pomyślał, że dobrze mu zrobi, jeśli tym razem to on wybierze się na obserwację i weźmie ze sobą szefa, który ostatnio od „szefowania” migał się, jak mógł. Po piętnastu minutach zadzwonił do niego ponownie, tym razem w słuchawce zabrzmiał przemęczony głos komisarza połączony z szumem jadącego samochodu.

– Co jest, Chaber?

– Jutro o jedenastej Maurycy będzie przewoził forszę ze składu. Pojadę na stakeout. Przyłączysz się?

– Taka randka tylko we dwoje – Berg wymusił z siebie żart, jednak ani jeden, ani drugi nie był do tego w nastroju.

– Proca, tak korzystając z okazji, myślę, że przydałoby nam się więcej ludzi.

Lepsza szansa, że dojdziemy do Wujka.

– Pewnie, że by się przydało. A masz czas i ochotę na rekrutację?

– Nie bardzo.

– Widzisz. Na razie zostaje po staremu, a potem zobaczymy. Widzimy się jutro o dziesiątej.

– To pojedziesz ze mną?

– Pojadę.

Chaber spędził wieczór na oglądaniu seriali na Netfliksie, a Berg przesiedział swój w małym, obskurnym barze na Pradze, do którego chodził tylko wtedy, gdy nie działo się najlepiej. Pani Danuta Chmielewska była kobietą w podeszłym wieku. Mieszkała sama w niewielkim, choć przestronnym domku na wsi. Jej mąż zmarł prawie dekadę temu, a syn dorósł, wyprowadził się do wielkiego miasta i odwiedzał ją co jakiś czas (jak dobrze szło, to raz w tygodniu), głównie w weekendy. Dom, niegdyś tętniący życiem trzyosobowej rodziny, pozostał teraz tylko dla niej i każdego dnia raczył ją wiązką miłych wspomnień. Kończyła właśnie dopijać wieczorną herbatę i oglądać noc kabaretową. Zaskoczyła się bardzo na widok smugi światła przepływającej przez ciemny pokój około godziny dwudziestej trzeciej. Przed jej dom zajechał samochód. Wyrzała przez okno i z jeszcze większym zdumieniem rozpoznała, że był to hyundai jej syna – pracownika Centralnego Biura Śledczego, „odważnego policjanta, który codziennie walczy o sprawiedliwość”, jak to mówiła swoim nielicznym koleżankom.

– Michaś! – Uściskała go mocno, jakby nie było go w domu przez kilka miesięcy, tymczasem widzieli się zaledwie w niedzielę, gdy przyjechał porąbać drewno na opał. – A co ty tutaj robisz o tej porze? Chcesz herbaty?

– Tak, mam, poproszę – odparł podkomisarz Chmielewski. Matka bardzo często dawała mu do zrozumienia, że mimo iż nie poszedł w ślady ojca, mimo że nie odziedziczył po nim talentu do grzebania przy samochodach, była z niego niezmiernie dumna. Dumna, że każdego dnia własnym życiem służył społeczeństwu jako oficer. I to nie byle jaki oficer, lecz kryminalny! Śledczy!

– Tak przyjechałem, dla towarzystwa.

– Dla towarzystwa?! Dziecko drogie! Ty sobie żony szukaj, bo zaraz stary będziesz i która cię weźmie! Ja to bym chciała jeszcze wnuków doczekać. A tak cię późno miałam... Dobrze, że chociaż w końcu Bóg się zlitował i ciebie dał. I nie wiem, czy dam radę tych wnuków doczekać, bo już stara jestem.

– Nie mów tak, mam...

Michał rozejrzał się po pokoju. Drewniany stół, przy którym teraz siedział, za czasów dzieciństwa służył mu jako baza. Mama wyciągała z górnej półki szafy ogromny koc. Zarzucał go na blat, tworząc sobie namiot, schronienie od ulewnego deszczu, kryjówkę przed niebezpiecznymi robotami. Stół przeorany był licznymi wyżłobieniami. Kiedy kazała mu siadać przy nim do odrabiania lekcji, których nie znosił, z nudów dłubał wyłączonym długopisem między sękami drewna, wsłuchując się w ciszy, jak tworzywo rozstępuje się na boki, formując rowek. Opuszkami palców badał te niewinne wspomnienia. Spojrzał na umiejscowiony pośrodku pokoju kominek i poczuł wiejący od niego chłód. Była już jesień i robiło się zimno.

– Mamo, ja przyniosę trochę drewna, to będziesz miała na rano, żeby sobie rozpalić.

– Synek, jaki ty dobry jesteś! Tak o matce myślisz! Widzisz, dobrze, że w niedzielę przyjechałeś narąbać tego drzewa i tak ładnie ułożyłeś wszystko za domem! Jakby ojciec widział, jak się mną opiekujesz... – Przerwała, bo do jej oczu napłynęło kilka łez.

Michał wyszedł po drewno. Zdziwiła się, że dość długo nie wracał. Zauważyła jednak jego dość wisielczy nastrój, pomyślała więc, że prawdopodobnie poszedł jeszcze na spacer. Pół godziny później usłyszała, jak syn wchodzi do domu i zaraz potem przechodzi do łazienki.

– Michaś! Wszystko dobrze? – zapytała przez drzwi. – Co tak długo cię nie było?

– Nic, mamo... – odparł, przekrzykując szum wody. Po kilku minutach wyszedł, a pani Danuta objęła go czule. Wydał się jej zmęczony, ale też w nieco lepszym nastroju niż kilkadziesiąt minut temu. Wyczuwając jej współczucie, odwzajemnił cikliwość i pogłaskał jej szare, przerzedzone włosy.

– Kiedy tak wyszedłem, to mi się tata przypomniał. Usiadłem za domem i myślałem. Jakoś mnie na wspominki wzięło.

Przytuliła go mocniej. Kochała syna ponad wszystko inne. Czemu się dziwić? Tylko jego jednego miała na świecie. Jednak miłość bywa ślepa. Nawet ta matczyna. Pani Danuta nie potrafiła odróżnić u

swojego syna smutku od zamyślenia, a strachu od rezerwy. Myślała, że zna go dobrze. Najlepiej. On nigdy nie chciałby burzyć jej przekonania. Za wiele w życiu wycierpiała. Za wiele jej zawdzięczał.

„Jeszcze się nie obudził”

– Ewa Berg

Podobnie jak każdy ostatnio wieczór, ten również zakończył szklanką whisky. Zasnął dopiero o drugiej w nocy. W koszuli i spodniach. Nad ranem ze snu wyrwał go dźwięk klaksonu pod oknem. Nagłe przebudzenie sprawiło, że serce nabrało tętna i komisarz, chcąc nie chcąc, musiał rozpocząć dzień. Wyrzał na ulicę, lecz nie zauważył tam niczego szczególnego. Może ten klakson tylko mu się przyśnił? Ulicą jechało kilku rowerzystów. Sąsiad w podeszłym wieku wyprowadzał psa na pierwszy tego dnia spacer. Rodzice zaprowadzali dzieci do pobliskiej szkoły. „Musi być przed ósmą” – wydedukował, po czym potwierdził przypuszczenia, spoglądając na zegarek. Może tym razem dotrze do pracy punktualnie, żeby sprawić przyjemność i satysfakcję inspektorowi, że niby jego gadanina przyniosła jakiś skutek. Zresztą umówił się z Chaberskim na jakąś wspólną obserwację. Taurus stał pod oknem. Zawsze na posterunku. Zawsze gotowy, by służyć. Komisarz wziął prysznic, po czym zajrzał do lodówki. Nie znalazł w niej nic, co pobudziłoby jego apetyt. Pomyślał, że może pora wziąć się nieco w garść i zacząć żyć normalnie. Ledwo zaczął dzień, a już czuł się zmęczony. Zatęsknił za spokojnymi śniadaniem w towarzystwie żony, kiedy przygotowywała im rogaliki, naleśniki albo płatki owsiane z owocami. Codziennie coś innego. Postanowił, że pojedzie dzisiaj do sklepu kupić chociaż jajka i mleko. Tymczasem dojadł w połowie pusty kubeczek twarożku, przegryzł go kawałkiem trzydniowego chleba i popił kawą. Chwycił plecak i teczkę z dokumentami od Borowieckiego. Sięgnął do porcelanowej miski po klucze od taurusa. Zawahał się i zamyślił przez moment.

Sprawdził kieszenie spodni w poszukiwaniu różańca. Rozejrzał się pobieżnie po mieszkaniu, czy nie odłożył go gdzieś indziej. Pomyślał,

że może zostawił go u Ewy i wyszedł. Odpalił silnik i ruszył powoli, gdy na antenie radia w porannej relacji z koncertu Orkiestry Narodowej wchodziły kontrabasy. Przed wjazdem na drogę główną zwolnił nieco biegami. Gdy wykręcił, dodał gazu. Ruch był jeszcze rzadki, a następne skrzyżowanie dopiero za dwa kilometry. Rozpędzał się więc sukcesywnie, płynnie wyprzedzając kilka samochodów. W zasięgu jego wzroku pojawiły się sygnalizatory, więc delikatnie przydepnął pedał hamowania. Taurus nie zareagował. Cała reszta potoczyła się niezwykle szybko. Do komisarza dotarło, że hamulce nie działają. „Więc tak się to kończy? Załatwią mnie głupimi hamulcami?” – pomyślał, wściekając się na swoją nieuwagę. Powinien zacząć sprawdzać wóz, gdy tylko zaczęły się pierwsze pogróżki. Przemknął przez skrzyżowanie na czerwonym świetle. Próbował ułożyć sobie w głowie mapę miasta – gdzie są mniej ruchliwe drogi, gdzie podjazdy pod górkę, które mogłyby zwolnić pęd wozu. Nie mógł jednak klarownie myśleć, bo co chwilę skupiał się na tym, żeby nie przyłożyć w inny pojazd lub pieszego. Włączył światła awaryjne. Wystawił kogut na dach. Dawał po klaksonie za każdym razem, gdy zbliżał się do przejścia lub skrzyżowania. Delikatnie pociągnął za ręczny i poczuł jak koła stawiają opór. Tarcie się wzmocniło i na tyłach dał się słyszeć zgrzyt i trzask, poluzował więc dźwignię, żeby całkiem nie zablokować tylnych kół, co z pewnością odebrałoby mu kontrolę nad taurusem. Udało mu się nieco zwolnić.

Wtedy zauważył sunący prostopadłą ulicą tramwaj, który jadąc drogą z pierwszeństwem, nie miał w planach ani się zatrzymać, ani zwolnić. Komisarz wykalkulował, że przy tej prędkości z pewnością uderzy w sam środek wagonu. Nie mógł go też wyminąć, bo jechał już lewym pasem, a z prawej strony blokowały go samochody. Jedynym wyjściem było przyspieszyć. Dodał więc gazu i dzięki temu przejechał tuż przed wagonem tramwajowym. Ruch się zageścił i nagle pojawiły się przed nim dwa pojazdy. Chcąc uniknąć zderzenia, spróbował je wyprzedzić, lecz nagły skręt kierownicą zarzucił taurusa na bok, a siła ciągu zrobiła resztę. Wóz przekoziołkował kilka razy, aż w końcu dachował przed sklepem spożywczym. Oczy komisarza zaszły mgłą, a później nieprzeniknioną ciemnością. Od dziewiątej rano w pokoju grupy „Szakal” było dosyć tłoczno. Trzej aspiranci – Impuls, Chaber i

Mazur – czekali na przyjazd Berga. Zamiast niego w Biurze pojawił się Młody, który również chciał z nim pomówić. Telefon komisarza pozostawał głuchy, co zaczynało wyprowadzać Chabra z równowagi. Przed południem mieli razem pojechać na rozpoznanie. Minęła dziesiąta. Czyżby komisarz zapomniał? Niemożliwe! Młody czuł się nieswojo po ostatniej rozmowie z przyjacielem. Źle się ona potoczyła i jeszcze gorzej skończyła. Miał wyrzuty sumienia, bo wiedział, że gdyby nie Berg, to prawdopodobnie nadal siedziałby w swoim przesiąkniętym alkoholem mieszkaniu. A kto wie, może już zapiłby się na śmierć. Impuls dzwonił do komisarza co pięć minut i wisiał na telefonie, aż odzywała się sekretarka. Na dźwięk jej głosu rozdrażniony przerywał połączenie. W końcu, o dziesiątej trzydziści, do pokoju wpadł inspektor Tyszka:

– Gdzie znowu jest Berg, do cholery?

– Na rozpoznaniu! – zgodnie odpowiedzieli aspiranci niemalże harmonijnym chórem.

– Młody, ty masz na niego jakiś tam wpływ. Jak się będziecie widzieli, powiedz mu, kurwa, żeby wziął się w garść. Ostatnio ciągle muszę się za niego tłumaczyć!

– Tak jest, inspektorze.

Tyszka zatrzasnął za sobą drzwi. Odgłos grupowego westchnienia wypełnił pokój. Po chwili ciszy odezwał się Chaber:

– Robi, co może, żeby to wszystko ogarnąć, ale chyba będzie się musiał zdecydować... – Wtedy zadzwonił jego telefon. Wyświetlił imię komisarza. – O wilku mowa... – Przyłożył aparat do ucha i warknął podniesionym głosem, którego koledzy wcale się nie spodziewali: – Proca, kurwa, gdzie się podziewasz?

Tyszka nie daje nam żyć!

Po drugiej stronie słuchawki zabrzmiał rozedrgany kobiecy głos Ewy. Poinformowała go o wszystkim. Wysłuchał w milczeniu, lecz po samym wyrazie jego twarzy obecni wiedzieli, że to, co usłyszał, nie było dobre. Przerwał połączenie i wyjaśnił:

– Miał wypadek samochodowy... To była Ewa. Powiedziała, że Proca jest w śpiączce pourazowej. Są w MSW...

– Zawiesz mnie? – rzucił szybko Młody. Chaber przytaknął i kazał chłopakom poinformować inspektora.

Całą drogę przebyli w napiętym milczeniu. Gdy wjechali na szpitalny parking, zauważyli Ewę dopalającą papierosa przed wejściem. Wystarczyło spojrzeć na nią z nieco bliższej odległości, żeby dostrzec rozszarpane nerwy i jawny strach w oczach. Papieros, jakkolwiek wcale do niej nie pasował, z pewnością przynosił jej teraz choć nieco ukojenia. Nie spodziewała się, że ktokolwiek z przyjaciół Alana, pojawi się tutaj tak szybko. Szczególnie nie spodziewała się Młodego, chociaż na jego widok poczuła ogromną ulgę. Pozwoliła, by objął ją mocno, i chwilę później do jej oczu napłynęły łzy. Pierwsze łzy, od kiedy tutaj przyjechała.

– Co się stało? – zapytał Chaber niecierpliwie.

– Nie wiem dokładnie. Powiedzieli, że samochód przekoziółkował. Ludzie wyciągnęli go ze środka. Był wtedy przytomny, próbował wstać, ale zemdłał.

Lekarze mówią, że ma wstrząs. Monitorują go. Jeszcze się nie obudził... Ostatnio ciągle jeździł na podwójnym gazie, założył się, że teraz też. Zabrzmiał głośny telefon Chabra. Oddalił się o kilka kroków, żeby odebrać. Wrócił po chwili i oznajmił, że inspektor Tyszka wzywa go z powrotem. Młody obiecał poinformować go, jak tylko się czegoś dowiedzą. Chaberski bardzo niechętnie odjechał spod szpitala. Nawet przez moment nie mógł oderwać myśli od wypadku. Nawiedzały go różne tragiczne scenariusze. Ewa wprowadziła Młodego do środka. Nałożyła na buty ohydne, irytujące ochraniacze i podała mu parę. Policjant podążył za nią korytarzami. Weszła pewnym krokiem do jednego z pokoi, jakby zdołała się już z nim oswoić. Podkomisarz zawahał się, a gdy zobaczył leżącego na szpitalnym łóżku przyjaciela, uderzyła go myśl o kruchości bytu. Silny, pewny siebie i odważny człowiek, jakim był Berg, wydawał się teraz nieobecny. Zamiast niego położono tu wątłe ciało bezbronnej osoby. Młody podszedł bliżej łóżka. Dostrzegł liczne sińce i otarcia na lewej ręce komisarza. Jego twarz była blada jak u trupa, ale nie poharatana. Nie miał też żadnych złamań ani głębokich ran. Jedyłą częścią ciała wymagającą rekonwalescencji wydawał się mózg, który do tej pory pozostawał w głębokim śnie. Ewa usiadła na krześle obok męża i oburącz chwyciła jego prawą dłoń. Na serdecznym palcu wciąż nosił obrączkę. Nigdy jej nie ściągał.

– Widzieliśmy się dwa dni temu – zaczęła. – Przywiózł mi papiery rozwodowe.

Młody usiadł po przeciwnej stronie łóżka. Na dźwięk jej słów zamurowało go. Spojrzał na nią pytająco, na co dodała, dusząc w sobie łzy:

– Nie powiedział ci?

– Nie. Może nie było okazji. Może nie chciał mi dokładać...

– Wyszedłeś z ciągu?

– Wyciągnął mnie.

Po jej twarzy błąkał się niepewny uśmiech. Wiedziała, że Alan oddałby serce dla przyjaciół i bliskich. Czasami nie wychodziło mu to za dobrze, czego powodem był temperament i perfekcjonizm. Bywało, że próbował zadowolić zbyt wiele osób naraz, zapominając, że jest to niewykonalne. Zamilkła, a Młody nie przestawał jej obserwować. Czekał na jakieś wyjaśnienia z jej strony. Wiedział, że po stracie dziecka nie układało się im za dobrze. Zawsze jednak wierzył, że tych dwoje jest tym rzadko spotykanym przykładem miłości aż po grób. Znał Berga na tyle dobrze, żeby mieć pewność, że propozycja rozstania nie mogła wyjść od niego. Kochał żonę i był (mimo całego otaczającego go zła) idealistą. Ewa nie podejmowała jednak tematu, pozostawiając Młodego z domysłami i licznymi pytaniami. Spojrzała tylko na niego niejako z wyrzutem i powiedziała:

– Myślałam, że zamknęli tę twoją sprawę. Tymczasem wciągnąłeś w nią i jego...

Wiedział tylko po części, o czym ona mówi. Chodziło oczywiście o sprawę Tarkowskiego, ale nic o żadnym „wciągnięciu” nie wiedział. Chciał coś odpowiedzieć, lecz weszła mu w słowo.

– On nie jest niezniszczalny... Rozumiem, że nie mogłeś sobie z tą robotą poradzić... O cokolwiek w niej chodziło czy chodzi... Ale skoro ciebie tak to rozwaliło, dlaczego angażować i jego?

– Ewa, stop! Ja go w nic nie angażowałem. Domyślałem się, że coś kombinował. Pytał o sprawę tu i tam, ale sam w to wdepnął. Przecież, ja mu to właśnie odradzałem.

– Odradzałeś?

– Tak!

– Więc jak zwykle... uparty jak osioł. Przyjechał do mnie całkiem

pijany.

Mówił, że sprawy wymykają mu się spod kontroli.

Podkomisarz zamyślił się. Przypomniał sobie ich ostatnią rozmowę. To, jak przyjaciel prosił go o pomoc. Jak w zamian otrzymał odpowiedź odmowną i zarzut, że wszystko mu się w życiu sypie. Faktycznie – sypało się wszystko. Teraz mógł stracić również i życie.

– Mówił coś jeszcze?

– Ostrzegał, że ktoś może go oczerniać. Mówił o zastraszaniu, kłamstwach.

Julian, ja go znam, umiem czytać między jego słowami. On się bał. Widziałam to w jego oczach. Bał się nie tego, że ktoś go skrzywdzi, ale że go zniszczą, rozumiesz? Że wykończą go kłamstwami. Młody zrozumiał aż nadto. Berg posunął się za daleko i zaczęli dobierać się do niego, jak dobrali się do podkomisarza. A ostrzegał go! Mówił, że tamci nie przebijają w środkach! Pokręcił głową z dezaprobatą i spojrzął na śpiącego komisarza. Tyle by mu teraz powiedział. Przeprosił. Obrugał za głupotę! Nie był religijny, ale wiedział, że przyjaciel owszem. Rok temu byli w odwrotnej sytuacji. Młody leżał na szpitalnym łóżku, a Berg czuwał. Podkomisarz poprosił go wtedy o modlitwę. Czuł się wtenczas tak źle, że chwycił się chyba ostatniej deski ratunku. Teraz, wbrew swojemu sceptycyzmowi, siedząc obok bezbronnego komisarza, powiedział w myśli Modlitwę Pańską. Tę jedną jeszcze pamiętał z dzieciństwa. Poczuł nagłą chęć na papierosa.

– Idę na fajkę. Przynieść ci kawę albo coś?

– Nie, dziękuję – odparła, nie patrząc na niego. Wlepiała wzrok w obrączkę męża, którą uważnie obracała między palcami.

Zdarza się, że kobieta trwa przy mężczyźnie z litości. Ewie było go żal. Jak nigdy dotąd. Była też na niego wściekła. Pracował za dużo. Pił za dużo. Podejmował decyzje z góry skazane na porażkę. Ale to go właśnie charakteryzowało. Od zawsze. Właśnie dlatego zdecydowała się na rozstanie. Wiedziała więc, że nie zmieni podjętej już decyzji, tak czy siak odejdzie. Chyba że obudziłby się sparaliżowany czy w jakiś inny sposób niepełnosprawny; wtenczas jej dobre serce nie pozwoliłoby odejść. Jeśli jednak obudzi się i będzie sobą, ucałuje go, potem przyłoży mu w twarz z całej siły i odejdzie.

Taki miała plan. Nie przebudzał się jednak, a to coraz bardziej ją przerażało.

Młody nie opuszczał terenu szpitala. Wymieniali się tylko dyżurami czuwania, aby raz jedno z nich, raz drugie mogło wyjść na papierosa czy po coś do sklepu. Albo tak po prostu – żeby się przewietrzyć i przypomnieć sobie, jak pachnie rzeczywistość. Zbliżała się dwudziesta. Ewa postanowiła pojechać do swojej kawiarni, żeby zamknąć lokal. Młody zapewnił, że nie ruszy się z pokoju na krok, będzie czuwał i jeśli tylko coś się wydarzy, zadzwoni. Kiedy wyszła, rozejrzał się po pokoju. Pod ścianą leżał plecak komisarza, a na stole obok – teczka z dokumentami, telefon, skórzana kurtka i portfel. Młody usiadł przy stole i bez chwili zastanowienia otworzył teczkę. Gdy rozpoznał papiery, które z niej wyciągnął, pokręcił głową z niedowierzaniem. Jednak Berg nie odpuścił i sięgnął po tajne dokumenty. Jak w ogóle je zdobył? Od Borowieckiego? Co zrobił, żeby je od niego wyciągnąć? Przeczytał uważnie wszystkie strony, które przez ostatnie kilka miesięcy własnoręcznie spisywał. Kątem oka zauważył, że komisarz się poruszył. Podeszedł więc do łóżka i nachylił się ku niemu.

– Alan, słyszysz mnie?

Komisarz spojrzał na niego nieprzytomnymi oczami, które zamknęły się i otworzyły jeszcze kilka razy. W końcu, kiedy złapali kontakt wzrokowy i Młody poczuł, że Berg jest świadomy, powiedział:

– Jesteś w szpitalu. Miałeś wypadek samochodowy...

Ranny wziął głęboki wdech i mimo protestów podkomisarza, usiadł na łóżku, mówiąc szeptem:

– To nie był wypadek.

– Co?

– Hamulce nie działały.

– Mówiłem ci, kurwa, żebyś to zostawił!

– Ciii, nie krzycz. Głowa mi pęka... Powiedziałem ci już, że nie mogę tego zostawić.

Lekko przymrużonymi oczami rozejrzał się wokół, jakby próbował obudzić się ze snu. Bolało go ciało. Spojrzał na wkłuty w zgięciu łokcia

wenflon i jego ręka wydała mu się obca. Dziwnie słaba i delikatna. Wszędzie sińce i obtarcia. Niewiele pamiętał. Ciemność w chwili uderzenia. Potem ktoś ciągnął go po ziemi. Znowu ciemność.

– Ewa była tutaj przez cały dzień. Pojechała zamknąć kawiarnię.

Komisarz przytaknął. Znowu przysporzył jej stresu. Ile to już razy przysięgał, że nigdy więcej nie będzie musiała przyjeżdżać na OIOM? Głupie to z jego strony – składać podobne obietnice. Rozejrzał się po pokoju w poszukiwaniu ubrań. Leżały na krześle obok stołu. Dystans zaledwie kilku metrów sprawiał wrażenie kawału drogi. Pomyślał, że zaryzykuje podjęcie tej wyprawy i wstał.

– Co ty, kurwa, wyprawiasz? Musisz teraz leżeć! – skarcił go Młody, lecz Berg zignorował jego uwagi. Odpiął się z lekarskiego okablowania, usiadł na skraju łóżka, odczekał, aż przestanie kręcić mu się w głowie, wstał ponownie i zaczął zakładać koszulę.

– Berg, czy ty zdurniałeś do reszty? Człowieku, kilka godzin temu przeleciałeś samochodem kilkanaście metrów! Masz wstrząśnienie mózgu... Czy możesz chociaż usiąść na moment i pozwolić, żeby obejrzał cię lekarz?!

Komisarz zapiął guziki i przytaknął. Usiadł na łóżku. Ubranie, które miał teraz na sobie, było czyste, wyprasowane. Żadnych zabrudzeń czy dziur. Nie to założył dziś rano. Musiała przywieźć je Ewa. Z domu. W końcu zostało tam jeszcze sporo jego rzeczy. Chwilę później Młody wrócił z doktorem, który przeprowadził szereg testów.

– Nie będę trzymał pana w szpitalu na siłę, ale sugerowałbym, żeby został pan na obserwacji kilka dni, jeden dzień chociaż... Tomografia wyszła dobrze, ale to nie znaczy, że wszystko działa, jak należy.

– Nie mogę zostać, mam robotę.

– Dobrze, wypiszę pan pod jednym warunkiem: jeśli będzie pan miał zawroty głowy, nudności, zaburzenia pamięci lub jeśli cokolwiek pana zaniepokoi, proszę natychmiast wrócić. A pan niech obserwuje kolegę, dobra? Jakby się dziwnie zachowywał, to za kołnierz i do szpitala.

– To i bez wstrząsu by mu się czasami przydało... – powiedział Młody rozczarowany decyzją lekarza. Kiedy ten wyszedł, zadzwonił Chaber. Podkomisarz poinformował go, że Proca jak zwykle kozaczy i już wraca do roboty, ale po chwili wyraz jego twarzy uległ zmianie, co

nie uszło uwadze Berga.

Młody wysłuchał starszego aspiranta bez komentarza i usiadł na krześle, patrząc na kolegę trudnym do rozszyfrowania spojrzeniem. Było w nim trochę współczucia, pretensji, żalu i niedowierzania.

– Co jest? – zapytał komisarz ostrożnie.

– Nie jestem pewien... Albo to przypadek, albo rozbudziłeś te demony na nowo. Przed twoim domem znaleziono ciało kobiety. Jej głowę – przed waszym Biurem... Były wyrzucone do śmieci, ale tak niedbale, że ewidentnie zależało komuś na ich odnalezieniu.

Serce Berga stanęło. Zamurowany słuchał dalej.

– Chaber mówił, że to znowu dziewczyna z „Magnezu”, Zuzanna Ostrowska. Nawet dowód miała w kieszeni.

Na dźwięk tego imienia komisarz wydał z siebie bolesne chrząknięcie. Dławił rosnący w nim gniew i ból, powstrzymywał napływające do oczu łzy złości. Rzeczywistość po raz kolejny przerosła wyobraźnię. Zaczął kręcić się nerwowo po pokoju, aż w końcu cisnął krzesłem o ścianę. Młody zrobił krok do tyłu, nie chcąc znaleźć się w zasięgu przyjaciela.

– W taki sposób nie pomożesz sprawie – powiedział pewnym tonem.

– Gównu cię ta sprawa obchodzi! Co zrobiłeś, kiedy zastrzelili Izę? Co zrobiłeś, żeby ją chronić? Miałeś to w dupie! Woląłeś się uchlać i udawać, że problem zniknie sam! Kurwa! Mówiłem jej, żeby spierdała... Boże, Suzzy!

Poczuł, że robi mu się niedobrze. Oparł się o ścianę i czekał, aż uczucie minie. Nasiliło się jednak. Pędem ruszył do umywalki, do której zwymiotował.

Miał przed oczami Suzzy. Jej piękną twarz. Próbował nie myśleć o tym, co jej zrobiono.

– Była twoim informatorem? – zapytał Młody niemalże szeptem.

Komisarz zawahał się przez moment. Była kimś więcej.

– Tak – potwierdził po chwili. Zapanowało między nimi milczenie, które przerwało wejście Ewy. Zobaczywszy męża gotowego już do opuszczenia szpitala, zdumiała się i przeraziła zarazem.

– Co ty wyprawiasz, Alan?

Nie odpowiedział jej, zwrócił się za to ku Młodemu i cicho dodał:

– Ciągle mam dużo do stracenia i muszę to chronić. – Ucałował żonę

w polik i ignorując jej pretensjonalne spojrzenie, zapewnił, że wszystko jest w porządku i musi już iść. Spakował swoje osobiste rzeczy do plecaka i wyszedł, a ona rozłożyła ręce, bezradnie spoglądając na Młodego. Znała dobrze swojego męża.

Jego stan, nieco nerwowe ruchy i rozbiegany wzrok wskazywały, że cokolwiek się wydarzyło, zajmie teraz całe jego serce oraz uwagę i żadne argumenty czy prośby do niego nie dotrą.

– Będę go miał na oku – zapewnił Młody i truchtem ruszył za komisarzem. – Dokąd idziesz?!

– Do Biura.

– Berg, zwolnij trochę. Kurwa, nie myślisz teraz jasno. Trzeba to przemyśleć...

– Co przemyśleć? Trzeba to po prostu skończyć.

– Wiesz, że to nie takie proste. Czytałeś moje raporty...

– Grzebałeś w moich rzeczach?!

– Ty w moich też. I to utajnionych!

– Nie musiałbym, gdyż od początku ze mną współpracował. To teraz nieważne. To już nie twoja sprawa. Miałeś swoją szansę i obaj wiemy, jak ją wykorzystałeś. – Młody podążał za komisarzem, przechodząc przez szpitalny parking. Wiele ripost pchało mu się na język, postanowił jednak pozwolić się obrażać i karcić za błędy. Zdawał sobie sprawę, przez co przechodził jego przyjaciel, i uznał, że ma teraz prawo działać i mówić w dobitny sposób. Doszli do jednej ze stojących tam taksówek i weszli do środka.

– Zabiorę się z tobą, mam sprawę do Chabra – wyjaśnił Młody i milczał aż do końca drogi.

Komisarz od razu podążył do swojego pokoju. Jego przyjazd nie umknął uwadze inspektora Tyszki, który w ostatnich dniach był wyczulony na jego obecność i nieobecność. Zresztą, była już dwudziesta pierwsza i w Biurze zostali tylko dyżurni i wszyscy zainteresowani nowym morderstwem. Tyszka podążył za Bergiem i zamknął za sobą drzwi.

– Nie powinieneś być w szpitalu?

– Nie powinieneś się cieszyć, że w końcu dotarłem do pracy?

– Jak się czujesz?

– Znośnie. Na chodzie.

- Brocki pytał o ciebie już od rana.
- Znowu pogadanka?
- Raczej coś ważniejszego.
- Jest jeszcze u siebie?
- Powinien być.

Komisarz, nie próbując nawet wejść w dalszą rozmowę, wyminął inspektora i sprawnie przeszedł na trzecie piętro do pokoju zastępcy dyrektora. Tymczasem Młody usiadł naprzeciw Chabra. Milczał i myślał. Starszy aspirant czekał cierpliwie na rozpoczęcie rozmowy, choć wiele pytań rwało mu się na język. W końcu podkomisarz zawiesił wzrok na oknie i beznamiętnym tonem zapytał:

- Chłopaki dalej na rozpoznaniu?
- Tak. Chyba że znowu skończyli wcześniej i poszli na piwo.
- Jest sprawa. Berg powiedział, że hamulce w taurusie nie działały.
- Jak to?! Że ktoś...
- Myślisz, że chłopaki mogą się tym zająć?
- Żartujesz? Muszą się tym zająć!

Sięgnął po telefon, by skontaktować się z Impulsem.

- Skończyliście już?
- Jeszcze kilka fotek zrobimy i koniec – wyjaśnił Impuls, kucając na dachu marketu spożywczego z aparatem fotograficznym w ręku. Obok niego siedział Mazur. Przez niewielką lornetkę obserwował rozgrywające się na parkingu gangsterskie spotkanie grupy żoliborskiej.

- To kończcie szybko – zarządził Chaber. – Jest robota. Trzeba dokładnie przetrzepać taurusa, szczególnie sprawdźcie hamulce. Niech Mazur przeszuka monitoring, co się działo z wozem zanim Proca do niego wsiadł. Nie, nie żartuję.

Do roboty.

Gdy skończył instruować partnera, zapewnił Młodego, że zajmą się sprawą.

- Dzwon, jak cokolwiek wypłynie – dodał Młody, zbierając się do wyjścia. – I miej go na oku, jak mnie nie będzie w pobliżu, co? Nie jest do końca sobą.

Wychodząc z budynku, zadzwonił do Basi. Odebrała przeszczęśliwym głosem, co sprawiło podkomisarzowi radość, choć z

drugiej strony bał się ów entuzjazm przygasić tym, co miał jej do powiedzenia.

– Basieńko, mam pewną sprawę, mały problem...

– Nie owijaj w bawełnę, tylko mów.

– Pamiętasz, jak powiedziałaś, że zakochałaś się w odważnym oficerze policji? Basiu, ja muszę wrócić do tej sprawy...

W słuchawce zapanowała chwila ciszy, po której padło pytanie:

– Dlaczego chcesz to zrobić?

– Ktoś powinien...

– Czujesz się na siłach?

– Myślę, że dotknąłem już dna, teraz jestem silniejszy. I mądrzejszy chyba też. Motywacja też większa.

– Dlaczego?

– Berg się tym zajmuje, ale sam nie daje rady. Prosił mnie o pomoc.

Nie chciał wspominać o wypadku. Mógłby ją zanadto wystraszyć. Wiedział, że dowie się o tym prędzej czy później, chociażby od Ewy. Najważniejsze było teraz, żeby dała mu zielone światło i wyraziła zrozumienie dla jego motywacji. Próba zabójstwa komisarza jego samego przeraziła do szpiku kości, pamiętał jednak jedną z ostatnich porad, które otrzymał od Berga: „nie możesz budować swojego życia na strachu”. Po drugiej stronie słuchawki Basia szukała odpowiednich słów. W końcu z pełnym przekonaniem powiedziała:

– Jeśli czujesz, że możesz to unieść, to ja w ciebie wierzę. Tylko błagam, uważaj na siebie.

– Jak zawsze, Basiu!

„Każdy człowiek musi przejść w życiu przez piekło”

– kom. Alan Berg (ps. Proca)

Komisarz wszedł do biura zastępcy komendanta CBŚP. Ten westchnął ciężko. Nie był agresywny, jak ostatnio, a bardziej zatroskany. W

skazał oficerowi krzesło, sam przysiadł na brzegu biurka.

– Jak się czujesz?

– W porządku. Wracam do pracy.

– Tego nie jestem pewien, Proca... – sięgnął po leżącą na blacie brązową kopertę i podał Bergowi jej zawartość, mówiąc już bardziej nerwowym tonem: – To przyszło do mnie poranną pocztą. Powiedz mi, kuuurwa, że to nie jest nasza ooofiara.

Komisarz trzymał w dłoniach widzianą wcześniej fotografię siebie i Sussy. Była tam jeszcze inna, nowa, zrobiona wczoraj wieczorem z przeciwległej do klubu „Magnez” ulicy. Przedstawiała, jak rozmawiali ze sobą w taurusie. Komisarz milczał, podpierając głowę dłonią.

– To zdjęcie zrobiono w noc mooorderstwa! Kuuurwa! Dziesięć minut temu dzwonił prokurator Właszczyk. Dostał rano te same jeeebane zdjęcia.

– Była moim informatorem – wycedził Berg, wlepiając wzrok w podłogę.

– Info... Informatorem? Wątpię, czy proookurator widzi to w ten sposób.

Myślisz, że sędzia tak to zobaczy? Bo dla mnie to wygląda, jakbyś pieprzył prooostytutkę!

– Kto dostał sprawę tego morderstwa?

– Feliński. To druga martwa kuuurwa w tym miesiącu. Sprawdza, czy są pooowiązane. Teraz robię wszystko, co mogę, żeby to nie wyciekło do mediów.

Nie mam wyjścia, Proooca, muszę cię zawiesić. Do oodwołania.

– Co? Jeśli to wycieknie i wyjdzie, że mnie zawiesiłeś, to tak, jakbyś wierzył w moją winę!

– To nie jest kwestia wiaaary, tylko poszlak. Zresztą proookurator nalegał.

Kazał też podpiąć cię pod waaariograf.

Komisarz słuchał z niedowierzaniem. Brakowało mu już słów i sił na tę walkę, w której ewidentnie był na przegranej pozycji. Nerwowo wyciągnął z wewnętrznej kieszeni kurtki legitymację. Z siłą przycisnął ją do biurka. Wyjął magazynek z glocka, upewnił się, że komora nabożowa jest pusta, i odłożył broń. Wyszedł bez słowa, choć szef próbował go zawrócić. Wieść o zawieszeniu Procy szybko rozeszła się po wydziale. Jednak nikt nie znał prawdziwej tego przyczyny. Nawet Tyszka. Był w sumie zaskoczony decyzją szefa, próbował wstawić się za Bergiem. Nie zdając sobie sprawy z powodów, dla których odebrano komisarzowi odznakę, nie mógł go bronić argumentatywnie.

Zanim Berg opuścił budynek, porozmawiał jeszcze z Chaberskim. Przeprosił za patową sytuację, powierzył mu, po raz kolejny, przewodnictwo nad grupą „Szakał” i poprosił, żeby zajęli się w pełni, niepodzielnie sprawą Żoliborza. Kiedy aspirant zapytał, czym on się teraz zajmie, odpowiedział, że ma kilka prywatnych spraw do załatwienia. W czasie, kiedy komisarz próbował nie stracić rezonu w gabinecie Brockiego, Młody zadzwonił do Właszczyka. Prokurator odebrał, zaskoczony telefonem o tak późnej porze. Zdziwił się jeszcze bardziej, gdy podkomisarz Sikorski poinformował go, że muszą pilnie porozmawiać i że czeka już pod jego domem. Z początku Właszczyk zachowywał dystans i zaprosił podkomisarza do swojego biura w poniedziałek rano. Ten jednak zapewnił, że sprawa nie może czekać, i kiedy wspomniał, że chodzi o Tarkowskiego, prokurator otworzył furtkę. Kiedy widzieli się ostatnim razem, Właszczyk ostrzegał go przed niebezpiecznymi konsekwencjami, które mogą nastąpić, jeśli CBA nie zostawi posła w spokoju. Niedługo potem Młody otrzymał kilka telefonów z pogrózkami oraz zdjęcia, na których spotykał się z Izą Koladą. Wtenczas zaczął pić. A kiedy zadzwonił do niego prokurator z informacją, że umarza to „nierozwojowe” śledztwo, zaczął

pić jeszcze więcej. Prosto z progu oświadczył:

– Chcę odmrozić tę sprawę.

– Na jakiej podstawie? – zapytał Właszczyk, poprawiając zsuwające mu się z nosa okulary.

– Miały miejsce dwa morderstwa, które mogą mieć z nią związek.

– Masz na to jakieś dowody?

– Jeszcze nie. Panie prokuratorze, wie pan, że komisarz Berg grzebał w tym temacie?

Właszczyk ściągnął okulary i spojrzał na stojącego przed nim podkomisarza przymrużonymi oczami.

– Komisarz Berg znacznie przekroczył swoje kompetencje, wiesz o tym? Ta sprawa nie leży w zainteresowaniu CBS-u. Zresztą, z dniem dzisiejszym został zawieszony w obowiązkach służbowych.

– Że co? Dlatego że przekroczył kompetencje?!

– Nie, dlatego że był kochankiem Zuzanny Ostrowskiej, z którą rozmawiał w noc zabójstwa!

– Nie wierzę w to, co słyszę...

– Nie musisz. Dzisiaj rano ja i Brocki dostaliśmy od anonimowego nadawcy zdjęcia, które temu dowodzą.

– Anonimowego?! To ja już powiem, jak się ten anonim nazywa – Tarkowski!

– Sikorski! Nie syp oskarżeniami pozbawionymi dowodów! Przecież mieliśmy tę rozmowę już wcześniej... – Prokurator westchnął głęboko. Ścisłym głosem dodał: – Tak jak ostrzegałem ciebie, tak też ostrzegałem Berga. Dajcie temu człowiekowi oddychać... On was zniszczy zawodowo, jeśli będziecie napierać.

– Im nie chodzi o kompromitację zawodową! Ta zamordowana Ostrowska była informatorem Berga; trzy tygodnie temu strzelili w głowę dziewczynie, która pracowała dla mnie. A dzisiaj rano Berg miał wypadek samochodowy, bo jakimś cudem nie działały hamulce w jego wozie. Przecież to nie są zbiegi okoliczności!

– Dowody?

– Kurwa! Otwórzmy tę sprawę, to dam ci prawomocne dowody. Gównu mogę teraz zrobić!

– Uważaj, Sikorski... Zapominasz się.

– To ty się zapominasz. Miałeś eliminować takich pojebów, a

ewidentnie ich wspierasz! Powiedz szczerze, co takiego na ciebie znaleźli, że tak ich bronisz?

Prokurator posłał mu nienawistne spojrzenie, jednak nie odpowiedział. Młody pokiwał głową rozczarowany i wychodząc, rzucił:

– Pojebało was wszystkich!

– Impuls, to nie może się udać... – powiedział szeptem Mazur. Zaparkowali właśnie przed policyjnym parkingiem, na który przywieziono samochód komisarza Berga, a raczej to, co z tego wozu zostało. Było ciemno, tuż przed dziesiątą.

– Nie pierdol mi tu teraz!

– Może pogadajmy z Brockim. Niech nam przydzielą tę sprawę.

– Chaber mówił wyraźnie, że mamy to zrobić po cichu. A to znaczy – poza wiedzą Brockiego. I nie dałby nam tej sprawy, bo za blisko Berga jesteśmy, a kto wie, jakiemu debilowi ją przydzielą... Zresztą, założę się, że technicy zajmą się tym dopiero w poniedziałek! Chcesz czekać trzy dni? Tylko go obejrzymy. Nikt nie zauważy!

– I jak chcesz to niby zrobić?! Przecież cieć wygada, że tu byliśmy.

– Ty się nic nie odzywaj! Ja będę gadał, a ty się ucz...

Z dyżurki wyszedł do nich ochroniarz.

– Dobry wieczór, panowie! Słucham...?

– Dobry, dobry! My z cebosiu – zaczął Impuls, pokazując legitymację.

Z kieszeni wyciągnął świstek papieru i podał go dozorczy, mówiąc: – Tydzień temu przywieźli wam powypadkowego nissana, WA83894. Musimy ten wóz jeszcze raz obejrzeć.

– O tej porze? Panowie! Przecież ciemno, że oko wykol...

– Jak jest robota, to trzeba robić! – odparł aspirant. Dozorca przeprowadził ich przez parking w kierunku nissana. Rząd bladych latarni rozjaśniał nieco składowisko powypadkowych zbrodni i przewinień. Lampy skwierczały magnetycznym dźwiękiem. Impuls rozglądał się wokół za czarnym taurusem, a kiedy go dostrzegł, sprzedał Mazurowi szturchańca.

– To tamten wózek – wymamrotał ochroniarz, wskazując na granatowego nissana versa. – To róbcie, co trzeba, a ja będę u siebie...

Otarł obie ręce, próbując je rozgrzać, i szybko oddalił się w kierunku

budki. Kiedy oficerowie nabrali pewności, że zamknął za sobą drzwi, przeszli do samochodu Berga.

– Chryste... – wstrząśnięty wyszeptał Mazur, zobaczywszy stan, w jakim znaleźli pojazd. – Cud, że on wyszedł z tego cały!

Impuls zajrzał do środka przez powyginane drzwi kierowcy. Samochód pozbawiony był przedniej i tylnej szyby oraz szyberdachu. Górna blacha wyglądała jak zgnieciona w dłoniach kartka papieru, która od strony pasażera była tak wklęsnięta, że prawie dotykała tapicerki. Bagażnik został całkiem zdewastowany, a koła przekrzywione.

– Sprawdź pod maską, a ja w środku.

Impuls spróbował otworzyć powyginane drzwi, jednak coś je blokowało. Szarpnął mocniej i zawiasy puściły. Poruszył dźwignię otwierającą maskę, ale ta nie ustąpiła. Wypadek uszkodził mechanizm, więc Mazur musiał poradzić sobie z tym ręcznie. Impuls założył na głowę opaskę z latarką oraz lateksowe rękawiczki i zanurkował pod kierownicę, gdzie dłonią badał stan pedału hamowania. Ten gładko dochodził do oporu, bez zacinań, bez blokady. Wszystko inne we wnętrzu wozu również wyglądało względnie w porządku. W międzyczasie Mazur zaczął mocować się z maską. Szarpał ją i ciągnął, wymacał rowek między nią a obudową. Kolega patrzył na niego z politowaniem.

– Jakbyśmy mieli więcej czasu, z ciekawością poczekałbym, żeby zobaczyć, ile ci to zajmie...

Odsunął partnera na bok i kilka razy z całej siły docisnął maskę w dół.

– I widzisz? Nie puszcza... – skomentował Mazur z satysfakcją. Impuls rzucił mu wyzywające spojrzenie, wyciągnął z kieszeni rozkładany nóż i wetknął go w szparę, szukając blokady. Gdy ją odnalazł, ponownie przycisnął maskę w tym konkretnym miejscu i zatrząsk puścił. Policjant poświecił sobie w obrębie płynu hamulcowego. Pojemnik był pusty, jednak okablowanie wydawało się nienaruszone.

– Dobra, patrz, czy cieć nie idzie – poinstruował partnera i wcisnął się pod podwozie. Postękał przy tym nieco i pomyślał, że mógł założyć do tej roboty nieco gorsze spodnie. Podążył wzrokiem za

kablem hamulcowym i przesuając się z trudem pod wozem, odnalazł miejsce uszkodzenia. „Mam cię, skurwielu...” – pomyślał, przyglądając się uważnie rurce. Nie miał żadnych wątpliwości.

Uszkodzenie nie mogło być mechaniczne. Gładkie brzegi kabla wskazywały, że został on przecięty jednym równym ruchem. Impuls sięgnął po telefon, żeby sfotografować znalezisko. Nagle za jego głową pojawił się Mazur, niemalże krzycząc:

– Idzie! – Zaskoczony agresywnym alarmem aspirant przydzwonił czołem w zawieszenie.

– Kurwa! – wyrwało mu się bezwiednie i szybko, choć nieporadnie, zaczął wysuwać się spod samochodu.

– Co wy tu robicie, panowie?! – zawołał z daleka ochroniarz. – Przecież to nie ten wózek!

– Jak to? – zapytał Mazur, udając zaskoczenie i spojrzał na plakietkę z napisem „ford”. – Cholera! Mówiłem ci, że jakoś dziwnie ten nissan wygląda!

Widzi pan, ciemno jest, ten czarny, tamten granatowy... ciężko w tym świetle powiedzieć!

W końcu Impuls wydostał się na wolność i masując czoło, dodał:

– Myślałem, że pan na ten wskazywał...

– Oj, chłopaki... Kogo oni do tej policji biorą... Przecież tamten pokazałem!

To tamten był – powtórzył dla pewności, wyraźnie wskazując nissana. Wracał do budki, mamrocząc pod nosem i kręcąc głową na boki. Policjanci przeprosili, podziękowali za pomoc i ruszyli ku „właściwemu” samochodowi.

Nawet zdjęcia nie zrobiłem! Tylko się ujebałem... – otrzepując ubranie z kurzu i liści, żalił się Impuls. Pięć lat temu prowadził dochodzenie dotyczące handlu dopalaczami. Interesujący go „przedsiębiorcy”, a raczej kłamcy, złodzieje i – mówiąc wprost – przestępcy, pokazywali się regularnie w klubie „Magnez”. Po kilku tygodniach obserwacji komisarz uznał, że potrzebuje mieć kogoś w środku. Kogoś, kto będzie mógł, nie wzbudzając podejrzeń, wejść w bezpośredni kontakt z delikwentami i działać na korzyść policji.

Wydobył dane wszystkich pracujących w lokalu dziewczyn. Po śmierci Sussy noc nie nastąpiła. Dzień przeszedł w dzień, a pomiędzy nie było snu. Nie było wytchnienia. Próbował zasnąć, ale gdy tylko zamykał oczy, widział jej twarz. Wracały wspomnienia. Niezliczona ilość spotkań, rozmów, gestów, o których wydawałoby się, że już zapomniał. Pierwsze spotkanie. Najpierw, to on spotkał ją. Nieosobiście. Każdej przyglądał się wnikliwie. Dane, przeszłość, lista przewinień. Wiele z kobiet pochodziło z małych miasteczek, wsi lub zza wschodniej granicy. Większość była wcześniej karana. Za kradzież, zażywanie narkotyków, prostytutkę. Dla niektórych kończyło się wyłącznie na krótkim zatrzymaniu, bo znalazły się akurat w złym miejscu o złej porze. Nie wszystkie nazwałby ładnymi, ale z pewnością każda z nich cechowała się atrakcyjnością. Wiadomo – gusta są różne. Jedna przykuła jego uwagę w szczególności.

Urodzona w Zakopanem. Zaledwie dwudziestoczteroletnia Zuzanna Ostrowska. Miała maturę, rozpoczęte i przerwane studia na Uniwersytecie Warszawskim. Karana raz – za spożywanie alkoholu w miejscu publicznym. Miała delikatną urodę grzecznej dziewczyny. Z trudem wyobraził ją sobie tańczącą na rurze w „Magnezie”. W takich sytuacjach komisarz musiał zdać się głównie na intuicję, a ta podpowiadała mu, że Zuzanna będzie odpowiednią osobą do współpracy.

Z początku tylko ją obserwował. Pojawił się w lokalu kilka razy. Wyłowił ją z tłumu od razu. Zawsze energetyczna, uśmiechnięta, zaangażowana w każdą rozmowę, nawet gdy co jakiś czas odwracała głowę od rozmówcy, żeby dyskretnie ziewnąć. Poznał harmonogram jej pracy. Czekał w samochodzie pod „Magnezem”, kiedy kończyła zmianę. Śledził ją. Poznał nawyki. Nie znosiła korków. Gdy zapowiadało się na jeden, wołała wziąć okężną drogę, nawet jeśli oznaczało to dołożenie paru dobrych kilometrów i koniec końców, czasowo, wychodziło na to samo. Lubiła być w ruchu. Smakować życie. Czerpać z niego garściami.

Po dwóch miesiącach obserwacji uznał, że nadszedł czas na bezpośredni kontakt. Tego dnia kończyła pracę późnym wieczorem.

Powinna wyjść tylnymi drzwiami, wsiąść do swojego srebrnego seata i pojechać do domu, zatrzymując się po drodze w małym sklepie spożywczym. Upewnił się, że sprawy potoczą się inaczej. Przebił koło w jej samochodzie, po czym stanął obok tylnych drzwi i bezwiednie palił papierosa. Wtedy palił tylko okazjonalnie. Wyszła z pracy punktualnie. Minęła go obojętnie i przeszła do samochodu. Chwilę później załamała ręce i zabлуźniła pod nosem. Berg zrobił w jej kierunku kilka niby nieśmiałych kroków i zapytał:

– Jakiś problem? Może pomóc?

– Poszła mi opona. Jakim cudem...

– Dobrze, że nie w ruchu. Pomóc pani ją wymienić?

– A co pan taki pomocny? – zapytała podejrzliwie. Była zdenerwowana i niepewna zarazem. Odholowanie wozu będzie ją kosztować. Berg zaciągnął się papierosem i wyminął ją, mówiąc:

– Nie, to nie.

– Niech pan zaczeka – zawróciła go. Postanowiła zaryzykować. – Tylko nie mam lewarka...

– A koło pani ma?

– No, mam – odparła, podchodząc do bagażnika.

– To ja zaraz wrócę z lewarkiem. – Przeszedł kilkanaście metrów do zaparkowanego obok wozu. Niósł lewarek oburącz, trzymając papierosa w ustach.

Obejrzał pobieżnie uszkodzone koło, dopalił jeszcze fajkę i oddalił się do drzwi lokalu, przy których stała popielniczka. Dogasił w niej peta i zawrócił. W tym czasie, dziewczyna podjęła próbę wyciągnięcia z bagażnika koła zapasowego.

Wyglądała komicznie, mocując się z nim w swojej minispódniczce i dziesięciocentymetrowych szpilkach. Uśmiechnął się pod nosem. Nie spieszył się wcale, podchodząc do niej z powrotem. Można nawet powiedzieć, że upajał się widokiem jej nieporadności.

– Niech to pani zostawi.

Odstąpiła, nieco już zmachana, i odparła półżartem.

– Bóg ukarał kobiety, tworząc je słabszymi.

– Akurat ja mam szczęście trafiać w życiu na słabych facetów i silne kobiety.

Na przykład moja mama – pół życia męczyła się z mężem

alkoholikiem, który pił tak, że czasami nie był w stanie podnieść z podłogi samego siebie. Teraz jest już wdową. Rok temu zachorowała na raka, a walczy z bestią do tej pory. I to jak rasowy fighter!

– Przykro mi to słyszeć.

– Każdy człowiek musi przejść w życiu przez piekło. Przynajmniej raz.

– Niby po co?

– Żeby docenić ewentualność nieba.

Odpowiedziała uśmiechem. Obserwowała, jak lekko i sprawnie wykonywał czynność, która jej zajęłaby godzinę i odebrała zdrowie na kilka dni. Pomyślała, że jest przystojny i szlachetny. W końcu zaoferował pomoc i udzielał jej wzorowo, dodatkowo zabijając czas rozmową. Kiedy skończył, podała mu chusteczkę, żeby wytarł zabrudzone dłonie. Dopiero wtedy podali sobie ręce.

– Alan.

– Nietypowe imię.

– Czeskie. Tata pochodził z Pragi.

– Zuza. Dla znajomych Sussy. Czym ci się teraz odwdzięczę za pomoc?

– Może kawą? Jutro o dziesiątej?

Zgodziła się z radością. Zaproponowała miejsce, w którym spotkali się następnego dnia. Otrzymała wtedy od niego propozycję współpracy i jak dobrze przewidział, przyjęła ją. Cała noc upłynęła mu na snuciu podobnych wspomnień. Wolałby zasnąć, lecz było to niemożliwe. Kręcił się tylko z boku na bok. Co godzinę wstawał po szklankę wody. W końcu, o piątej rano, zrezygnował ze snu. Dwie godziny później zadzwoniła do niego Ewa. Martwiła się. Oczywiście, że się martwiła. Nie szukała jednak prawdy, tylko zapewnienia, że wszystko jest w porządku i że (wkrótce były) mąż trzyma się dobrze. Tak też jej powiedział – wszystko dobrze. Przyjęła wiadomość z ulgą i przypomniała, że jakby tylko czegoś potrzebował...

– Oczywiście – odparł, nie dając jej dokończyć. – Jak będę w potrzebie, to zgłoszę się po pomoc.

– Dobrze. To do usłyszenia.

– Na razie.

Niegdyś kończyli swoje rozmowy czułym „kocham cię”, dziś zostało

tylko suche „na razie”, które brzmiało między nimi nienaturalnie. Nie wiedział, co ze sobą zrobić. Został zawieszony w obowiązkach służbowych – odebrano mu ostatnią rzecz, która jeszcze trzymała go w pionie. Nie potrafił odciąć się od pracy. W oczach niektórych uchodził nawet za pracoholika! Pomyślał, że ten przymusowy odwyk całkiem go wykończy. Jeśli nie może robić tego, w czym jest najlepszy, to co ma robić?! W czymkolwiek innym zawodził, co idealnie prezentowały ostatnie miesiące. Wiedział, że jeśli straci robotę – oszaleje. I może właśnie o to chodziło. Próbowano go wyeliminować, rozbroić, i wyglądało na to, że im się udało. Z samego rana w CBS-u pojawił się Młody. Miał kilka innych spraw, którymi powinien się zająć, jednak ta wydała mu się najważniejszą, a przynajmniej słuszną. Mazur i Impuls podzielili się z nim rezultatem oglądu taurusa. A że ten niewiele zmienił, zastanawiali się nad kolejnymi krokami.

– Przejrzałeś już cały monitoring? – zapytał Mazurskiego podkomisarz.

– Dopiero dzisiaj będę miał do niego dostęp.

– Dobrze. Oby na coś się przydał...

– Jak on się czuje? – Chaberski przerwał temat. Wyglądał na zmartwionego.

– Szczerze, to nie wiem. Nie odbierał rano telefonu. Może odpoczywa.

Powinien.

Mazur zapatrzył się na korytarz widoczny przez szybę pokoju. W ich kierunku żwawym krokiem podążał Misiek.

– Mówiłem ci, Impuls, że to wyjdzie...

– Siedź cicho i udawaj głupiego – zalecił aspirant Grabowski i sekundę później otworzyły się drzwi.

Chmielewski zmierzył ich wszystkich wzrokiem. Zawahał się przez moment, dostrzegłszy Młodego, jednak mimo jego obecności, jako „osoby trzeciej”, powiedział ostro:

– Którzy z was tacy, kurwa, cwani, że w moich dowodach grzebią?

– Twoich dowodach? – cicho zapytał Chaber.

– Lewy, ty mnie nie wkurwiał, dobra? Dostałem sprawę taurusa, to się odpierdolcie i żeby więcej takich numerów nie było, jasne?!

Nie czekając na odpowiedź, wyszedł, trzaskając za sobą drzwiami.

- Nie znoszę człowieka... – zapewnił Chaber, na co Impuls wysunął propozycję:
 - Powiedz słowo, a z Mazurem spuścimy mu łomot.
 - Co?! – ożywił się Mazurski. Poza treningami nigdy w życiu nikogo nie uderzył, co tu dopiero mówić o spuszczeniu łomotu!
 - Kto to? – wtrącił podkomisarz, patrząc na nich pytająco.
 - Misiek. Ten sam, co butelki zostawił w prochowni – wyjaśnił Chaber.
 - Misiek... A dalej?
 - Podkomisarz Michał Chmielewski.

Młody wstał i wyszedł z pokoju. Truchtem dogonił Miśka.

- Podkomisarzu!
- Słucham...
- Widzę, że pan bardzo zaangażował się w to śledztwo. Jestem panu wdzięczny. Proszę zrozumieć chłopaków. Nie mieli złych intencji. Ich to dotyczy osobiście.
- I właśnie dlatego nie powinni się w to mieszać. Z osobistym podejściem robi się błędy. Mogli pozacierać mi ślady, zmarnować dowody...
- To doświadczeni ludzie. Z pewnością wiedzieli, co robią.

Misiek spojrział na niego uważnie. Przytaknął i odetchnął nieco już spokojniejszy.

- Dobra, tylko niech więcej się nie mieszają. To wszystko, o co proszę. Moja sprawa. Dobrze się nią zajmę.
- Tak, oczywiście – zapewnił Młody i podał mu wydobytą z kieszeni wizytówkę.
- Jakby potrzebował pan z czymś pomocy, proszę do mnie zadzwonić.
- Sikorski. To pan jest tym przyjacielem Berga z CBA?
- Zgadza się – przyznał, podając podkomisarzowi dłoń. Ten po chwili wahania uściśnął ją dość mocno. W Młodym coś drgnęło, jakby przypomniał sobie jakąś ważną sprawę.
- Czy my się wcześniej nie spotkaliśmy? – zapytał, przyglądając się Chmielewskiemu.
- Właśnie też tak sędzę – przyznał Misiek. – Współpracowałem w

przeszłości z pana Biurem. Raz ze starszym agentem Borowieckim.

– To pewnie wtedy. Każdy, każdego zna...

– Mały świat. To do usłyszenia, Sikorski.

– Powodzenia w śledztwie.

Kiedy rodzina Zuzanny Ostrowskiej dowiedziała się o jej śmierci, od razu domagała się zobaczenia ciała i szybkiego umożliwienia pochówku. Byli niezmiernie religijnymi ludźmi i zgodnie z tradycją chcieli pochować ją dokładnie w trzy dni po zgonie. Gdy jednak usłyszeli, w jakich okolicznościach zginęła ich ukochana Zuzka, rodzice oświadczyli, że nie czują się psychicznie na siłach, żeby dokonać identyfikacji zwłok. Z Zakopanego do Warszawy przyjechała starsza siostra zmarłej – Mariola. Zatrzymała się w jej mieszkaniu, gdzie zaczęła sprzątać i przeglądać siostrzane rzeczy osobiste i tak wyrócone wcześniej do góry nogami przez policję. Znała jednak Zuzkę o wiele lepiej niż grupa obcych policjantów, tak że po krótkich oględzinach mieszkania odnalazła na półce z książkami dziennik siostry. Sprytnie go zamaskowała. Zawsze tak samo – oprawiała go ręcznie w okładkę jakiejś znanej powieści. Tym razem była to oprawa „Quo Vadis”.

W przeciwieństwie do rodziców, Mariola wiedziała, czym jej siostra trudniła się w stolicy. Nigdy tego nie pochwałała, jednak kochała ją nad życie i tak, jak przyrzekła, sekret trzymała w tajemnicy. Dobrze się więc stało, że matka i ojciec zostali w domu. Przynajmniej nie dowiedzą się od policji o grzesznym i rozpustnym życiu, które prowadziła ich córka. Chyba że funkcjonariusze przyjadą do Zakopanego... Czy będzie im się chciało? Na pewno nie! W końcu dla nich była tylko prostytutką.

Kilku policjantów i techników pojawiło się w mieszkaniu Zuzki w dzień po jej śmierci. Przetrzęsnęli wszystko. Zabrali laptopa do analizy. Z pewnością zabraliby również i dziennik, gdyby go znaleźli. Otworzyła go. Na wewnętrznej stronie okładki zapisano kilka numerów telefonów, a pierwszy zapis na kartce określał datę 24.08.16. Kiedy zaczęła czytać, zadzwoniła jej mama.

Poinformowała, że dostali telefon z policji, że na ciało trzeba będzie

poczekać, bo muszą wykonać dokładną sekcję zwłok. Mogła ona pomóc w odnalezieniu zabójcy, więc była ważna. Jednak rodzice nie chcieli czekać na powrót Zuzki do domu, żeby zacząć ją żegnać. Umówili z księdzem w swojej parafii mszę pożegnalną poprzedzającą pogrzeb, podczas której pomodlą się za duszę ukochanej córeczki. Poprosili, żeby Mariolka wróciła do domu jutro i zdążyła na pożegnanie.

– Dobrze, mamusiu... – odparła i przerwała połączenie. Wróciła do dziennika. Przekartkowała bezwiednie kilka stron, myślami błądząc po przeszłości, po beztruskich chwilach, które spędzały razem w dzieciństwie. Zapiski przeszły z nagle w puste strony. Mariola wróciła do ostatniej notatki i przeczytała:

18.10.16. To się w końcu stało! Aż trudno mi uwierzyć...

„Pan-zawsze-na-nie”, ułożony i sumienny, uległ moim wdziękom! Może i spowodował to smutek, bo podobno rozstaje się z żoną (głupia, nie wie, jaki skarb wypuszcza z rąk!), ale to nieważne. Na tę jedną noc był mój! A ja jego! Kto wie, może i dalej coś z tego będzie? Choć nie robię sobie nadziei. Wiem, że może on mnie tylko wykorzystuje, bo czasami mówię mu to i owo, co się dzieje w klubie, kto z kim i dlaczego... Ale i to nieważne. Kurde, ja się chyba w nim zakochałam.

Bo on jest inny niż ta cała reszta. Szanuje mnie. Traktuje normalnie. A jak mnie brał, to tak, jakby mnie naprawdę kochał. Nie na chama, nie żeby się spuścić i koniec. Tylko subtelnie, żeby też miała przyjemność. Nawet gdybym zaszła teraz w ciążę, uznałabym to za błogosławieństwo. Nie wiem, co dalej będzie, ale tej nocy nigdy nie zapomnę. Kocham cię, A! Wróciła na początek notesu. Przyjrzała się numerom. Mama, tata, siora, „Magnez”, Ramon, A... Chwyciła za telefon i zadzwoniła. Odebrał dopiero do pięciu sygnałach:

– Słucham?

– Dzień dobry. Proszę pana, ja nazywam się Mariola Ostrowska, jestem siostrą Zuzki. Znalazłam pana numer w...

– Nie przez telefon. Mogę się z panią spotkać, proszę powiedzieć, gdzie i kiedy.

– Może dzisiaj?. Zatrzymałam się w jej mieszkaniu.

– Będę za dwadzieścia minut.

Odłożyła telefon i zastanowiła się, czy aby na pewno dobrze zrobiła. Nie знаła człowieka. Może on w ogóle chciał się z Zuzką przespać tylko raz, a ona wielkie „halo” z tego zrobiła? Co, jeśli to człowiek niebezpieczny?! Może on ją zabił? Otworzyła dziennik ponownie i szukała pobieżnie czegokolwiek, co dotyczyło pana „A”. Jedyna wzmianka o nim pojawiła się w pierwszym wpisie, gdzie Zuzka notowała, że tęskni za A, bo wyjechał służbowo na trzy miesiące. Nic poza tym. Było rano. Przed dziewiątą. W dodatku sobota. Nie powinna do niego dzwonić. Czuła się bardzo surrealistycznie, przebywając w mieszkaniu siostry, która zmarła tak niedawno. Człowiek postawiony w obliczu śmierci przestaje myśleć racjonalnie. Robimy wtedy rzeczy, których nie dopuścilibyśmy się w innych okolicznościach. To ją całkiem tłumaczyło. Potrzebowała z kimś porozmawiać, z kimś, kto znał siostrę dobrze, kto otwarcie podzielił się z nią informacjami. Desperacko liczyła teraz, że ten człowiek będzie miał dobre intencje i że Zuzka dobrze je odczytała. Zadzwoił dzwonek u drzwi. Wzdrygnęła się. Położyła masywny nóż na kuchennym blacie pod ścierką (na wszelki wypadek, gdyby musiała się bronić!) i zerknęła przez judasza, który zdradził, że mężczyzna po drugiej stronie nie wyglądał na mordercę. Z jego oczu biła jakaś nieokreślona niewinność, może nawet bezbronność. Jednak pozory mylą! Ostrożnie uchyliła drzwi.

– Pani Mariola? – zapytał głosem człowieka złamanego. Rozchyliła skrzydło szerzej i wpuściła go do środka.

Nigdy wcześniej nie był w mieszkaniu Suzy, chociaż dokładnie znał ten adres. Przekroczył próg nieśmiało i podał Marioli rękę.

– Alan Berg. Znałem pani siostrę. Mogę zapytać, skąd miała pani mój numer?

– Zapisała go w dzienniku... – Komisarz pomyślał, że było to całkiem niemądre ze strony siostry. – Ja chciałam tylko panu powiedzieć, że rodzice zamówili mszę pożegnalną za Zuzkę, a ona o panu pisała, że był pan dla niej ważny, więc pomyślałam, że może chciałby pan przyjechać. Ale to w Zakopcu będzie, więc jeśli to dla pana za daleko, to naturalnie...

– Kiedy ma być to pożegnanie?

– Jutro. W niedzielę.

– To przyjadę. Dziękuję, że mi pani powiedziała.

– Proszę...

Berg wydał się jej zmieszany, nieco spięty, jakby szukał odpowiednich słów.

W końcu zapytał:

– To policja nie wzięła tego dziennika?

– Dobrze go zakamuflowała.

– Pani wie, że to może być istotny dowód w sprawie...

– A pan to co? Z policji? – zapytała z pobłażliwym uśmiechem, jednak karcący wyraz twarzy mężczyzny zakłopotał ją. – Boże, pan jest z policji...

– Centralne Biuro Śledcze.

– Jezu...

– Nie musi się pani stresować. Możemy usiąść?

Usiedli przy kuchennym stole. Teraz to Mariola wydawała się zmieszana i spięta.

– Czy może mi pani pokazać ten dziennik?

– W nim nic nie ma... – powiedziała, wyciągając go z torebki. – Wspomina o panu tylko na początku i na końcu. Reszta to żale i marzenia głupiutkiej dziewczyny z prowincji. Wychowałyśmy się na wsi...

– Suzzy nie była głupia – zapewnił komisarz. – Była bardzo przebiegła i odważna.

– Pan ją jednak dobrze znał...

– Chce go pani zatrzymać?

– Chciałabym.

– To nie jest zgodne z prawem... Proszę pozwolić mi go przeczytać na miejscu. Jeśli faktycznie nie wykaże nic podejrzanego, oddam go pani.

– Zgoda.

Zaparzyła mu kawę i zostawiła w samotności, sama przeszła do sypialni, by kontynuować porządki. Berg uważnie, słowo po słowie, czytał zapiski Suzzy. Doszukiwał się półsłówek, puszcanych oczek, niedopowiedzeń. Nic takiego nie znalazł. Faktycznie, dziewczyna dużo narzekała na pracę, wynagrodzenie, tęskniła za domem i normalnym życiem. Okazała się bardziej wrażliwa, niż się spodziewał.

Ostatni zapis przeczytał z podwójnym zainteresowaniem i zawstydzeniem jednocześnie. Wiedział, że do podobnej nocy nigdy więcej by nie doszło. Prawdopodobnie... Mimo że dla niej była to noc wyjątkowa i zdecydowanie przynosząca wiele radości i podekscytowania, nie było warto. Gdyby byli ostrożniejsi... Wiele rzeczy mogłoby potoczyć się inaczej. Przeszedł do sypialni i oddał Marioli dziennik siostry. Podziękował, że do niego zadzwoniła, i zapewnił, że jutro o czternastej pojawi się na pożegnaniu. Wychodząc z mieszkania, dostrzegł wiszący nad drzwiami poślacany krzyżyk, który, nie wiedzieć czemu, wywołał w nim swoiste poczucie dyskomfortu.

– Pan wie, kto jej to zrobił? – zawróciła go Mariola, gdy był już na korytarzu.

– Jeszcze nie – odparł szczerze, choć chciał zostawić ją z poczuciem jakiegokolwiek ulgi; chociażby wynikającej z nadziei na sprawiedliwość. – Tą sprawą zajmują się naprawdę dobrzy funkcjonariusze. Proszę mi wierzyć, znalezienie sprawcy to kwestia czasu.

Na jej twarzy nie pokazał się wyraz ulgi, lecz raczej zawodu. Może już wtedy zdawała sobie sprawę, że żadna sprawiedliwość nie zwróci jej ani siostry, ani spokoju. Do jej oczu ponownie napłynęły łzy.

– Dlaczego ktoś zrobił jej coś takiego? Coś tak okrutnego? – Przez moment patrzyła na Berga wyczekująco, lecz na odpowiedź nie poczekała, nie była na nią gotowa. Tłumiąc wzmagającą się w niej falę żalu, zamknęła za sobą drzwi.

Nie był w kościele od miesiący. To zaczęło się jeszcze przed wyjazdem, kiedy między nim a Ewą znacznie się pogorszyło. Nie poszedł raz i tak już zostało. Wtedy miał jeszcze w miarę czyste sumienie, tylko nie rozumiał, jak dobry Bóg mógł potraktować ich w ten sposób; dopuścić do śmierci nienarodzonego dziecka, pozwolić, by miłość przestała się liczyć. Wiedział, że teraz przydałoby mu się wsparcie, ale nawet o nie nie poprosił. Bo czy zasługiwał na nie po tym, co się stało? Nie tylko ostatnio. Nie chodziło jedynie o Suzzy, o to, że zdradził żonę. Chodziło o wszystko, czego dopuścił się przez lata. O naginanie prawa, brutalność, podstępność. O niemoc naprawienia wszystkiego, co zobowiązał się naprawić. Ilu ludzi zginęło przez sam z nim kontakt? Mario i Żużel, którzy pomagali mu dobrać

się do Wilka. A ostatnio – Suzzy. Wykruszali się zwolennicy, jak na przykład prokurator Właszczuk, którego może nie miał za przyjaciela, ale z pewnością za dobrego kolegę. Wrogów było natomiast coraz więcej. Nawet ci, którzy powinni go wspierać, choćby dla zasady, jak przełożony Brocki, wydawali się ciągle utrudniać mu życie. A Ewa... Cóż, twierdziła, że zawsze będzie go kochała. Nie zdziwiłby się jednak, gdyby z czasem kontakt między nimi całkiem zanikł. Bo co ich łączyło prócz wspólnej przeszłości? Bez dzieci przyszłość malowała się dla nich obca i różna. Czuł, że dopóki nie odnajdzie spokoju wewnętrznego, nie będzie gotowy na pojednanie z Bogiem. A może nie upadł jeszcze wystarczająco nisko, żeby pokornie poprosić o pomoc?

W niedzielę rano zaczął szykować się do wyjazdu. Nie miał samochodu i czuł się z tym jak bez ręki. Zaplanował podróż taksówką na dworzec, a potem pociągiem do Zakopanego. Nie był pewien, w jakiej formie odbędzie się owo pożegnanie. To jeszcze nie pogrzeb. Czy to tylko msza w intencji Suzzy? Czy może coś więcej? Na wszelki wypadek i jednocześnie z szacunku dla zmarłej postanowił, że założy garnitur. Czarny. I czarną koszulę. Kiedy się ubierał, pomyślał, że chciałby powiedzieć jej siostrze całą prawdę; że zawałił sprawę, że to jego wina. Co by to zmieniło? Rodzina miałaby kogoś do obarczenia winą. Znienawidziliby jego. Szczerze lubił Suzzy i podziwiał jej odwagę. Polubił też jej siostrę, która wydała mu się osobą prostolinijną, lecz inteligentną i kochającą. Nie chciał, żeby go znienawidziła, i nie chciał, żeby myślała, że ostatni mężczyzna, w którym zakochała się jej siostra, sprowadził na nią śmierć. Dopinał właśnie guziki garnituru, kiedy zadzwonił do niego komisarz Feliński.

– Cześć, Proca. Wybacz, że przeszkadzam w weekend, ale jest sprawa.

– Słucham cię.

– Wiesz, że ten wariograf nam kazali zrobić?

– Głupia sprawa, co?

– Dość głupia. Dlatego pomyślałem, że dobrze będzie załatwić to przy weekendzie, jak w biurze mało kto siedzi... Za godzinę będzie tu

babka od prokuratora i technik z wariografem, tak że... Już nie mogę ich wycofać.

Przyjdiesz, tak?

Zaskoczenie i zirytowanie mieszały się teraz w głowie Berga. Nie mógł nie pojawić się na przesłuchaniu! A to oznaczało rezygnację z pożegnania Sussy. Trudno! Najwyżej pojedzie na pogrzeb. Chciał jak najszybciej mieć za sobą ten wariograf, zaliczyć, odzyskać odznakę i znaleźć tego skurwysyna, który zamordował obie dziewczyny. Czas na sentymenty przyjdzie potem! Wziął taksówkę do Biura. Feliński czekał już na niego przed budynkiem.

– Dzięki, że przyjechałeś, Proca. Ekipa już tu jest, przygotowują wariograf.

Przykro mi, że tak to się odbywa. To nie zależy ode mnie.

– Wiem, nie musisz się tłumaczyć. Czasami trzeba wykonywać rozkazy.

Hierarchia służbowa...

– Pierdolić hierarchię! Ale dzięki za wyrozumiałość. Idziemy?

Pokój przesłuchań tonął w półmroku. Komisarz wszedł do środka w towarzystwie Felińskiego. Wewnątrz czekał już na nich technik siedzący przy wariografie i młodsza inspektor Olga Tyrman, która zobowiązała się do przeprowadzenia przesłuchania. Berg przywitał się formalnie. Technik poprosił go o ściągnięcie marynarki i krawata. Odwiesił je na krzesło, na którym chwilę później usiadł. Zainstalowano kilka kabli i opasek na jego rękach, palcach, wokół ciała na wysokości płuc. Do tej pory czuł się spokojnie, jednak patrząc na dyskomfort Felińskiego, sam zaczął się denerwować. Nigdy nie przypuszczał, że przyjdzie mu wystąpić w takiej roli, znosić podobne upokorzenie. Bo za to właśnie tę sytuację uważał. Z drugiej strony zdawał sobie sprawę, że wynik wariografu może mu się dobrze przysłużyć. Próbował więc zachować spokój i postanowił w pełni współpracować. Stojąca naprzeciw niego inspektor Tyrman sprawnie związała długie blond włosy w koński ogon i zajęła swoje miejsce. Z służbowej teczki wyjęła kilka zadrukowanych kartek, po czym spojrzała na technika:

– Możemy zaczynać? Wszystko gotowe? – otrzymawszy twierdzącą odpowiedź, zwróciła się do przesłuchiwanego: – Muszę pana pouczyć, że przeprowadzamy tę rozmowę na wniosek prokuratora,

więc proszę o pełną współpracę. Zadam panu zaraz szereg pytań. Część testowych, część właściwych.

Musi pan odpowiedzieć na wszystkie. Wolno panu odpowiadać wyłącznie „tak” lub „nie”. Czy rozumie pan?

– Wiem, jak działa wariograf... Tak.

– Czy nazywa się pan Alan Berg?

– Tak.

– Czy zamierza pan odpowiadać szczerze na wszystkie postawione mu pytania?

– Tak.

– Czy ma pan stopień komisarza?

– Tak.

– Czy pracuje pan w szpitalu?

– Nie.

– Czy pracuje pan w Centralnym Biurze Śledczym Policji?

– Tak.

– Czy jest pan żonaty?

– Tak.

– Czy pańską żoną jest Nicole Kidman?

– Nie.

– Czy pańską żoną jest Ewa Berg?

– Tak.

– Czy mamy rok dwa tysiące dwunasty?

– Nie.

– Czy studiował pan w Anglii?

– Nie.

– Czy mamy rok dwa tysiące szesnasty?

– Tak.

– Czy urodził się pan w Pradze?

– Tak.

– Czy kiedykolwiek spotkał się pan z Zuzanną Ostrowską?

– Tak.

– Czy spotykał się pan z nią wielokrotnie?

– Tak.

– Czy prezydentem Polski jest Barack Obama?

– Nie.

– Czy kiedykolwiek pozostawał pan w kontaktach intymnych z Zuzanną Ostrowską?

– Tak.

– Czy zamordował pan Zuzannę Ostrowską?

Przed oczami komisarza stanęła Sussy. Piękna i świeża. Jak ktoś mógł dopuścić się czegoś podobnego? Okaleczyć tę piękną dziewczynę. Wiedziała, że to nadchodzi, że zaraz umrze. Patrzyła na oprawcę tymi dużymi, niebieskimi oczami, mimo tego on postanowił, że pozbawi ją życia, a później oszpeci i zbecześci jej młode ciało.

– Czy zamordował pan Zuzannę Ostrowską? – powtórzyła pytanie młodsza inspektor z większym naciskiem.

– Nie.

– Czy wie pan, kto zamordował Zuzannę Ostrowską?

– Nie.

– Czy pani Ostrowska była pana informatorem?

– Tak.

– Czy wiedział pan, że pani Ostrowskiej może grozić niebezpieczeństwo?

– Tak.

– Czy ostrzegał ją pan przed niebezpieczeństwem w noc, kiedy została zamordowana?

– Tak.

– Czy w którymkolwiek momencie trwania naszej rozmowy powiedział pan kłamstwo?

– Nie.

– Dziękuję panu za współpracę. Przykro mi, jeśli było to dla pana trudne, komisarzu. Mam nadzieję, że wyniki przysłużą się dobrze tej sprawie.

Berg przytaknął, poczekał, aż technik zdejmie okablowanie z jego ciała, i wyszedł z pokoju najszybciej, jak mógł. Nie uświadczyl jednak chwili samotności, bo zaraz za nim wyszedł Feliński, który patrząc na niego współczująco, powiedział cichym głosem:

– W poniedziałek będę miał wyniki sekcji. Jeśli chcesz, możesz do mnie zajrzeć, powiem ci, co wyszło.

– Brocki nie byłby zachwycony.

– Pieprzyć go. Przecież nawet on nie jest na tyle głupi, żeby cię

podejrzewać.

Proca, to tylko jebane procedury...

– Wiem. Pytania były zgrabnie postawione.

– Staraliśmy się.

Berg przytaknął i sięgając po papierosy, skierował się do wyjścia.

Odwrócił się po kilku krokach i dodał półżartem:

– Dzięki, że zrobiłeś to tak intymnie...

– Jakbym cię za mocno wyruchał, to byś już do mnie nie wrócił –
odparł Feliński, podłapując wulgarny żart, i uśmiechnął się do siebie.

„Dwóch oficerów. Dwie martwe informatorki”

– kom. Kamil Feliński (ps. Fela)

Gdy odtrąca nas osoba, którą kochamy, to tak, jakby cały świat zapadał się pod ziemię. Wszystko przestaje mieć znaczenie. Myśli krążą jedynie wokół bólu i nierealności sytuacji. Trudno jest pozbierać się po podobnym doświadczeniu, szczególnie gdy nasze życie jest monotonne i nic nie jest w stanie rozproszyć uwagi. Basia miała za sobą wyjątkowo trudny okres. Naprawdę wierzyła, że ona i Julian mogą zbudować razem coś pięknego. Wrócił do niej kilka dni temu. Przeprosił. Obiecał. Wybaczyła. Czuła, jakby jej świat ponownie ułożył się w sensowną całość. Przeciągała się leniwie po spędzonej razem nocy. Znów spała u niego, chociaż zanim ponownie się tu wprowadzi, upłynie trochę czasu. Chciała dać mu do myślenia, potrzymać go jeszcze w niepewności i potem zacząć jakby od nowa. Powoli i cierpliwie. Patrzyła, jak się przebudzał. Wyglądał inaczej niż kilka miesięcy temu. Znacznie schudł, ale w jego oczach płonął znów dawny ogień. Żar miłości i odwagi. Było w nich coś jeszcze, co nie do końca była w stanie odczytać. Odpływał gdzieś myślami i wydawał się nieco zmartwiony albo bezradny.

– Coś nie tak? – zapytała w końcu, gdy po skończonym śniadaniu zaparzał dla nich kawę. Zwlekał z odpowiedzią kilka chwil, po czym wyjaśnił.

– Zastanawiam się, jak to rozegrać. Tę sprawę. Prokurator nie chce jej ruszyć, ale muszę coś zrobić.

– Dlaczego „musisz”, skoro prokurator się wycofał?

– Berg nie odpuści. Wszystko się skomplikowało...

– Nie powiedziałaś mi o wypadku.

– Już wiesz?

– Widziałam się wczoraj z Ewą. Była przerażona. Twierdziła, że pił

ostatnio.

Najpierw myślała, że wypadek był przez to, ale okazało się, że krew miał czystą...

Więc wypadek? Czy to „ich” robota?

– Basiu...

– Już zadaję za dużo pytań?

– Nie, ale nie chcę... Nie umiem na to odpowiedzieć. Hamulce były uszkodzone, ale jeszcze nie ma dowodów.

– Ty i bez dowodów wiesz najlepiej.

– Przesadzasz... A i tak wiedziałem, że się dowiesz. Wtedy było za wcześnie, żeby o tym mówić.

– Bo kazałabym ci odpuścić?

– No.

– To teraz cię proszę. Zostaw to. A jemu wybij tę sprawę z głowy.

– Wiesz, że tego nie da się zrobić? Jest uparty jak osioł...

– Ewa zawsze to powtarza.

– Czasami opinie się dzielają. Zresztą nie ty pierwsza mnie o to prosisz.

Tyszka też nalegał. I prokurator. Ja nie wiem, czemu wy myślicie, że ja mogę do niego jakoś dotrzeć. Pokłóciliśmy się ostatnio. Nawet nie chce ze mną gadać.

– Może nie chceć, ale powinien. Sporo mu ostatnio nie wychodzi.

– Może ty z nim pogadaj. Zawsze cię lubił.

– Alan traktuje mnie trochę jak młodszą siostrę, nie przyjaciela. Rodzeństwu nie mówi się wszystkiego, prawda? Ty wiesz. Dzwoniłeś już do Ani?

– Tydzień temu, jak wyszedłem z ciągu. Powiedziała, że przyjedzie niedługo, tylko pozałatwia parę spraw w Amsterdamie.

– To dobrze. Nie musisz opowiadać jej wszystkiego, ale trzymaj siostrę blisko. Tylko ona ci została.

– Teraz mam też i ciebie.

Basia uśmiechnęła się i sięgnęła po swoją kawę. Mocny aromat pobudził ją od razu. Mieli w planach poranny spacer po parku, jednak czuła, że Julian i tak nie będzie obecny mentalnie.

– Ułóż sprawy z Alanem. Powiedz mu, że chcesz pomóc, obgadajcie jak.

Spróbuj go z tego wyciągnąć, a jeśli faktycznie się nie da... pomóż mu, jak on tobie.

– Jesteś aniołem, wiesz?

– Skoro tak twierdzisz. Możesz wziąć samochód.

– Dzięki. Umyję się i pojedę. – Przytulił ją i mocno ucałował. Pomyślał, jak wielkie ma szczęście, że ją odzyskał.

Zarówno domofon, jak i telefon komisarza pozostawały głuche. Młody postanowił poczekać przed jego domem pół godziny, licząc na powrót przyjaciela. W międzyczasie układał sobie w głowie rzeczy, które mógłby mu powiedzieć. Po dwudziestu minutach siedzenia na schodach przed budynkiem dojrzał zbliżającego się do domu komisarza. Szedł pieszo, trzymając obie ręce w kieszeniach czarnych spodni od garnituru. Wyglądał, jakby wracał z pogrzebu. Patrzył na Młodego oczami pozbawionymi wyrazu. Ani zadowolony, ani zły na jego niezapowiedziane odwiedziny.

– Byłeś w kościele? – rzucił Młody zamiast powitania.

– Nie, ale prawie jak na spowiedzi. Zrobili mi wariograf.

– Nie wierzę...

– To akurat nie kwestia wiary, a procedur – odparł oficer, otwierając drzwi do klatki schodowej.

– A co ty taki wyrozumiały?

– Staram się dostrzegać dobre strony. Jak mnie szybko zweryfikują, jest szansa, że oddadzą blachę.

– Coś w tym jest. Ale wariograf? Współczuję... Kto prowadzi sprawę?

– Feliński. Ten sam, który dostał twoją Izę w przydziale.

– Czyli widzą połączenie?

– Jest jeszcze jakaś logika w ich działaniu. Czasami. Co tu robisz? – zapytał, gdy czekali, aż winda dojedzie na górę.

– Musimy pogadać.

– Myślałem, że już wszystko powiedziane. Ty na nie, ja na tak...

– To nie takie proste. Rozmawiałem z Właszczykiem – odparł Młody, czym zdobył pełną uwagę komisarza. Weszli do mieszkania. W powietrzu unosił się lekki, ale wyczuwalny zapach marihuany. Berg chyba zdał sobie z tego sprawę, bo uchylił drzwi balkonowe, po czym zapytał:

- I co z tą rozmową?
 - Poprosiłem o wznowienie śledztwa, niestety odmówił.
 - Tylko jedna rzecz mnie w tym dziwi – dlaczego się zdecydowałaś?
 - Wiesz dlaczego. Posunęli się za daleko...
 - Już dawno.
 - Dobra! Już dawno... Ale dopiero teraz do mnie dotarło, że nikt za mnie tego nie załatwi.
 - Lepiej późno niż wcale.
- Ściągnął marynarkę. Z kieszeni zwisał czarny krawat. Berg usiadł w fotelu i przecierając oczy, wyjaśnił:
- Miałem jechać na pożegnanie Suzzy, ale Feliński zadzwonił, że czekają z testem.
 - Pożegnanie? Przed pogrzebem?
 - Jakoś tak wymyślili. Wczoraj zadzwoniła do mnie jej siostra. – Wydał z siebie parsknięcie, uśmiechając się półgębkiem. – Znalazła mój numer w dzienniku, uwierzysz? O, Suzzy... Spotkałem się z nią w mieszkaniu Suz. To było bardzo dziwne...
- Młody usiadł obok przyjaciela. Czuł, że komisarz się otwiera, że przychodzi ten ważny w patowych sytuacjach moment, kiedy potrzeba wygadania się przekracza bariery dumy i wstydu. Berg opowiedział mu o wszystkim. O jego kontaktach z dziewczyną, o tym, jak się poznali, że z nią spał. Młody wysłuchał bez komentarza, nie dawał poznać po sobie zdziwienia czy dezaprobaty. Jednocześnie robił wszystko, by pozostać opanowanym, choć wzrastała w nim coraz większa złość wobec przeciwników. Wróciło wspomnienie Izy, ostatnie spotkanie, podczas którego zarzucała mu tchórzostwo. Mógł przewidzieć, że dziewczyna nie odpuści. Zamiast ją chronić, wybrał ucieczkę od rzeczywistości. Berg skończył swoją opowieść i ciężko wdychając, wstał. Przeszedł do kuchni, gdzie nalał sobie whisky.
- Chcesz?
 - Dla mnie trochę za wcześnie. Zresztą Basia nie byłaby zachwycona...
 - Basia? A! – Puknął się w czoło i dodał: – Przez moment zapomniałem, że tobie jeszcze nie wolno... A Basia? Jezu! Jak ją przekonałeś?
 - Wystarczyło przeprosić.

– Cieszę się – przyznał z lekkim uśmiechem i uniósł szklanke. – No, to za was. Jeśli jesteś zainteresowany, to jutro Feliński rozmawia z biegłym. Ja nie dam rady z nim pojechać, nie mogę... wiesz... rozumiesz? Nie zniósłbym widoku. Ale potem idę do biura pogadać o wynikach. Możesz się przyłączyć.

– Przyjadę. A Feliński dobry jest? Myślisz, że podoła?

– Czy podoła – nie wiem. Ale to najlepszy kryminalny, jakiego znam. Wygląda jak rzeźnik, ale dobry z niego człowiek.

Przed oczami Młodego stanął potężny mężczyzna z brzuchem i okazało się, że wyobraźnia go nie zawiodła. Wraz z Bergiem w poniedziałek, o dwunastej, zapukali do biura komisarza Felińskiego. Był wielkim facetem z lekko siwymi włosami i gęstym wąsem pod nosem. Znad paska u spodni wylewała się fałda brzucha. Z początku zaskoczyła go obecność agenta CBA, kiedy jednak wyjaśnili, że zamordowana trzy tygodnie temu Izabela Kolada była jego informatorem, przywitał go z otwartymi ramionami. Poinformował ich, że wciąż czeka na powrót partnera – Cezarego Meca, który spisywał przebieg oględzin u biegłego sądowego. Czekali na niego w dość cichej atmosferze. Berg nie odzywał się w ogóle, siedział niechlujnie zsunięty na krześle ze wzrokiem wlepionym czasem we własne dłonie, czasem w okno. Młody lakonicznie odpowiadał na oszczędne pytania Felińskiego, który przeskakiwał wzrokiem z Berga na Młodego i z powrotem.

– Dwóch oficerów, dwie martwe informatorki. Ewidentnie stoi za tym grubsza historia. Ta sprawa, którą prowadziłeś, Młody...

– Jest utajniona.

– A! A ruszy z powrotem?

– Nie wiem. Prokurator nie jest zbyt przychylny.

– Może zmieni zdanie.

– Może.

Drzwi otworzyły się z nagłą, pchnięte pewnym ruchem przez podkomisarza Meca. Był on zwinny mężczyzną tuż przed czterdziestką, mądrym i ambitnym, któremu natura poskąpiła jedynie wzrostu. Wyglądał wręcz karykaturalnie, stojąc w pobliżu masywnego, rosłego Felińskiego. Zawahał się, spostrzegłszy towarzystwo innych oficerów, więc kolega go ośmielił.

– No, w końcu! Produkowałeś papier do drukarki czy co?

– Zacięła się.

– To trzeba było ręcznie pisać, Einsteinie! Siadaj. I czytaj!

Mec dostawił sobie krzesło i usiadł obok biurka między Felą a Bergiem. Oparł się rozluźniony i zaczął czytać:

– Ofiara: Zuzanna Ostrowska, wiek: dwadzieścia osiem lat, wzrost: sto sześćdziesiąt pięć centymetrów, waga: około pięćdziesięciu pięciu kilo (to się zmienia trochę po śmierci – dodał dla informacji Berga i Młodego). Zresztą uszło sporo krwi. Szacowana data śmierci: dwudziestego szóstego października, godzina dwudziesta trzecia trzydzieści. Na ciele ofiary znaleziono liczne urazy, otarcia i siniaki wskazujące na stawianie oporu napastnikowi. Przed śmiercią ofiara została brutalnie zgwałcona, ale nie znaleziono śladów nasienia w pochwie...

Berg poprawił się na krześle i powstrzymał atakujący go odruch wymiotny. Przysłonił usta dłonią, a drugą ręką dał znać Mecowi, że może kontynuować. Na wszelki wypadek Feliński przesunął pod stołem kosz na śmieci w kierunku komisarza.

– Pod paznokciami ofiary znaleziono strzępki bawełnianego materiału należącego prawdopodobnie do napastnika (jednak brak śladów naskórka). Ofiara została ogłuszona silnym uderzeniem w skroniową część czaszki. Narzędziem tęnym – możliwe, że tylną częścią siekiery, którą później dokonano dekapitacji.

Duża utrata krwi wskazuje na to, że dekapitacji dokonano jeszcze za życia ofiary, co staje się bezpośrednią przyczyną zgonu. Dekapitacji dokonano na odcinku szyjnym, na wysokości ośmiu milimetrów od piątego kręgu...

Berg zanurzył głowę w koszu na śmieci, nie mogąc dłużej opanowywać mdłości. Mec spojrzał na Felińskiego. Nie był pewien, czy powinien kontynuować, przerwać na chwilę lub całkiem zakończyć czytanie. Fela otworzył szeroko okno, wpuszczając do wnętrza falę świeżego powietrza, co przyniosło Bergowi znaczną ulgę. Położył dłoń na ramieniu Meca i powiedział:

– Widzisz, Mecu, mówiłem ci, że to nie on zabił. Nawet jeśli miałby w sobie nutkę mordercy, a osobiście wierzę, że każdy z nas ją ma, to Proca z pewnością nie posiada wystarczająco mocnego żołądka do

takiej rzeźni.

– Może przełożymy to na inny dzień? – zapytał Młody, na co Berg zdecydowanie pokręcił głową.

– Nie... Już mi lepiej. Możesz kontynuować.

– Najważniejsze w sumie przeczytałem... Ciało porzucono w kontenerze na śmieci przy Pejzażowej, a głowę naprzeciw wjazdu do Komendy...

– Kamery niczego nie nagrały?

– Tak, jakby dokładnie wiedział, w którym miejscu są ślepe – odparł podkomisarz bezradnym tonem.

Szczerze współczuł komisarzowi. Prawda, przebiegła mu przez głowę myśl, że może to on jest sprawcą. Nie ma się czemu dziwić. Nie znał go, a osoba, która jako ostatnia miała kontakt z ofiarą, zawsze łąduje na liście podejrzanych. Feliński miał rację. Siedział przed nimi człowiek niezdolny do takiego okrucieństwa.

Mec przypomniał sobie swojego pierwszego trupa. Niemożliwy do zniesienia zapach, na który od razu zareagował żołądek. Podczas pierwszych oględzin Feliński kazał mu patrzeć i komentować, co widzi. A on widział przede wszystkim własne przerażenie. Strach przed śmiercią. Strach, że z niego samego też zostanie pożółkły worek kości, zapadnięty brzuch i ciemne plamy na skórze. Po kilku trupach przyzwyczał się. Względnie. W każdym razie przestało mu się zbierać na wymioty, bo nauczył się regulować odruch oddechem. Jednak do pewnych rzeczy nie sposób się przyzwycząić. Nie sposób przyzwycząić się do ludzkiego cierpienia czy do niesłusznie przzerwanej nici bytu. Można jedynie nauczyć się z tym żyć. Szukali psychopaty, kogoś bezwzględnego i szalonego. Jednocześnie dobrze zorganizowanego. Nawet jeśli Berg miałby motyw i był przy tym świetnym aktorem, teoria jego winy sypała się przez dokonany na dziewczynie gwałt. Zeznał przecież, że z nią spał, a rzadko dochodzi do gwałtów na partnerkach seksualnych. Zrobił to ktoś, dla kogo była świeża, kogo podnieciło jej cierpienie i bezbronność.

– Psychol... – dodał bezwiednie Mecu, podsumowując swoje przemyślenia. Cisza wypełniła pokój. Berg odchrząknął jeszcze i splunął do wiadra. Upił kilka łyków wody, którą Feliński nalał mu z elektrycznego czajnika.

Cisza nikomu nie dokuczała. Była im potrzebna. Feliński podszedł do otwartego okna i wpatrzony w uliczny ruch, powiedział:

– Czyli żadnych odcisków, żadnego obcego DNA. Wszystko czyste, jak poprzednio. To jest gość, który wie, czego będziemy szukać, i robi tak, żebyśmy się do niego nie dobrali. Różnica między jedną dziewczyną a drugą jest jednak zasadnicza...

– Jaka? – zapytał Młody, gdy komisarz ponownie zamilknął.

– Co było potem – wyjaśnił Mecu. – To, co zrobił z ciałami. Pierwszej próbował się pozbyć, jakby sprawy nie było. Chciał, żeby zniknęła. A drugą wyeksponował tak, żebyśmy ją znaleźli i oczywiście powiązali z komisarzem.

Zmieniły się reguły gry. Bardzo zaszedł pan komuś za skórę.

– Ewidentnie... – odburknął Berg. Słowa podkomisarza jeszcze bardziej go zdołowały, bo podkreśliły fakt, że nie kto inny, jak właśnie on sam jest winien śmierci Suzzy. Jego nieostrożność doprowadziła najpierw do zdemaskowania dziewczyny, a potem do jej likwidacji.

Feliński wyczuł irytację w jego głosie. Zapewnił, że odkłada teraz na bok wszystko inne na rzecz rozwiązania tej sprawy.

– Pojadę dzisiaj do „Magnezu”, pogadam jeszcze raz z dziewczynami.

– Nic nam nie powiedzą – rzucił Mecu, za co oberwał od partnera po głowie otwartą dłońią.

– Ty akurat wiesz najlepiej, specjalisto od drukarek! Zejdź mi z oczu, idź produkować papier...

Podkomisarz wyszedł z pokoju, a Feliński usiadł na jego miejscu obok Berga. Nachylił się ku niemu i cichym, choć mocnym głosem zapewnił:

– Przysięgam, kurwa, wam obu, że zrobię wszystko, żeby dorwać tego skurwysyna. To większa sprawa, Sikorski. Ja rozumiem, że masz tam swoje utajnione dochodzenia, rób je dalej. Może spotkamy się po drodze. Pomożemy sobie wzajemnie?

– Wiesz, że tak – wtrącił Berg. Młody również przytaknął. Spodziewał się, że przyjaciel zacznie opowiadać o całej sprawie. O pośle Tarkowskim. Tymczasem zamilkł, potem pożegnał Felińskiego i chwilę później wyszli z pokoju.

– Myślałem, że rzucisz mu kość...

Berg uśmiechnął się pod nosem i wolno ruszył korytarzem.

– Zaczynasz mówić jak pies, nie agent.

– Może za dużo z wami przebywam... To jak? „Pomożemy sobie wzajemnie”, ale nie do końca? Ja mam związany język klauzulą tajności, ale ty, skoro już złamałeś prawo...

– Wszystko w swoim czasie, Młody.

– Znowu się zamykasz. Podziel się spostrzeżeniami. Zróbmy to razem, w końcu jedziemy na tym samym wózku.

– Tak, ale nie jestem gotowy, żeby zostać pasażerem.

– Czyli faktycznie – zamykasz się, tak? Znowu komisarz Berg wszystko wie najlepiej.

– Schowaj arogancję do kieszeni.

– Nie mogę, bo znowu pakujesz się w szambo.

– Na razie w nic się nie pakuję. Muszę odpocząć. Przemyśleć wszystko. Dam ci znać, dobra? Zadowolony?

– Tylko nie zapadaj się pod ziemię. Ja jeszcze do Chabra idę, a ty?

– Do domu. Dość wrażeń na dzisiaj. Zresztą, jestem zawieszony, więc formalnie nie powinno mnie tu być.

– Byś się akurat protokołami przejmował...

Jęk bezradności wyrwał się z ust komisarza. Opuścił budynek, a Młody udał się do pokoju „Szakala” po aktualizację ich głównego śledztwa. Nic nowego. Impuls na obserwacji, Mazur na słuchawkach, a Chaber... cóż, Chaber chwycił się czegokolwiek, byleby zająć czymś ręce i głowę. Segregował dokumenty, analizował profile. Po pewnym czasie zdał sobie sprawę, że wszystko, czego się tyka, robi automatycznie i bezmyślnie, toteż zrezygnowany wyszedł wyrzucić śmieci, to znaczy kilka podartych kartek, skórkę od banana i parę wypisanych długopisów, które nazbierały się w koszu. Właśnie wracał z opróżnionym pojemnikiem, kiedy dostrzegł w ich pokoju Młodego.

– Cześć, nie ma z tobą Procy? – zapytał od razu starszy aspirant.

– Był, ale pojechał do domu. – Na twarzy Chaberskiego wymalował się grymas zawodu. Usiadł zrezygnowany na biurku i zapatrzył się na wygłuszonego przez słuchawki Mazura. Po chwili spuścił głowę i zapytał:

– Jak on się czuje?

– Trudno powiedzieć – przyznał Młody, stając obok kolegi. – Na

pewno nie jest mu lekko. Potrzebuje trochę czasu, żeby wrócić do siebie. Ale nie martw się, jestem pewien, że to kwestia dni.

– A później co? – Chaber pokręcił głową. Nie oczekiwał odpowiedzi.
– Powiem ci szczerze, Młody, mam przeczucie, że to się źle skończy... Pytanie tylko, dla kogo najgorzej.

Sikorski nigdy dotąd nie widział go w podobnym stanie, z tak pesymistycznym nastawieniem. Czy Chaber mógł mieć rację? Czy dostrzegął już coś, czego żaden z nich nie przewidział? Nie śmiał tego skomentować. Starszy aspirant nie był głupi. Nie wystarczyłoby poklepanie go po ramieniu i zapewnienie „na odczep się”, że wszystko będzie w porządku. Ciszę przerwał głośny dzwonek telefonu Mazura. Ten ściągnął słuchawki i odebrał.

– Co jest, Impuls? Jak to? To nie wzięłeś zapasowej? Zawsze ci mówię, żebyś brał! – Wydał jeszcze z siebie warknięcie mające podkreślić poziom swojej irytacji, po czym wyjaśnił: – Padła mu bateria w aparacie i nie wzięł zapasowej, to pojedę do niego, bo na słuchawkach i tak mało co się dzieje. Ile można słuchać o dupach, sterydach i takich... No, to na razie. – Ubrał kurtkę, wsadził baterię w kieszeń i wyszedł.

Chaber odetchnął głęboko i podszedł do wiszącej pod ścianą mapy Warszawy. Ściągnął ją z haka, odsłaniając tym samym efekt wielotygodniowej pracy grupy operacyjnej. Kilkadziesiąt fotografii, numery telefonów, nazwiska, korelacje, dilerzy, organizatorzy, lokalizacje, cała wielka siatka ukazująca jak na dłoni strukturę grupy żoliborskiej. Na samej górze jeden znak zapytania z podpisem „Wujek”. Chaber splótł ręce i stanął naprzeciw tej przestępczej mapy.

– Prawie komplet – skomentował Młody, stając obok niego.
– „Prawie” robi sporą różnicę. Jeszcze dzisiaj moglibyśmy zgarnąć tych wszystkich.

– Dlaczego tego nie robicie?
– Proca zawsze twierdzi, że lider jest najważniejszy.
– Ma rację. Nie każdy gangus byłby w stanie zorganizować siatkę. Nawet jeśli Wujek straciłby to, co ma, za jakiś czas...

– Zbudowałby ją od nowa, wiem. Tylko, widzisz, jakim cudem do tej

pory go nie mamy?

– Nie wiem, Chaber, może patrzycie w złym kierunku. Może jednak warto byłoby zgarnąć co po niektórych i liczyć, że któryś wsypie Wujka?

– Proca by tego nie pochwalił.

– Przyjdzie czas, kiedy będziesz musiał pomyśleć za siebie. Proca to Proca.

Nie mówię, żebyś się mu przeciwstawił, tylko myśl po swojemu. Może wpadniesz na coś, co on przeoczył. W żoliborskiej orientujesz się przecież lepiej niż on. – W jego kieszeni zawibrował telefon.

– Prokurator. – Przeprosił i odebrał. – Słucham?

– Niech pan dzisiaj do mnie podjedzie.

– Po co? – zapytał podkomisarz bardzo pretensjonalnym tonem.

– Czekam na pana za pół godziny.

Właśczyk rozłączył się, pozostawiając Młodego z licznymi domysłami.

„Wolę spać spokojnie niż wygodnie”

– prokurator Zbigniew Właszczyk

Podkomisarz zjawił się w gabinecie prokuratora o pierwszej trzydzięci. Ten przywitał go uściskiem dłoni, po czym sięgnął po kurtkę i zachęcił:

– Przejdziemy się?

Szli bez celu ulicami w pobliżu siedziby prokuratury. Ich ostatnie spotkanie potoczyło się dość emocjonalnie. Teraz wisiała między nimi szara chmura niepewności. Trudno było Młodemu przewidzieć, czy przyniesie ona kolejną burzę, czy może przepłynie lekko, ukazując skrywające się za nią słońce. Jednego był pewien – coś się zmieniło. Prokurator wydawał się wyższy, dumniej nosił głowę, ale oczy mówiły najwięcej. Rozglądał się na boki, zerkał za siebie, przyglądał się ludzkim twarzom tak, jakby próbował dobrze zapamiętać każdą z nich, jednocześnie, jeśli mógł, wybierał pustą ścieżkę. Cierpliwie pozwalał dojrzeć panującej między nimi ciszy. W końcu prokurator podjął temat.

– Postanowiłem wznowić śledztwo.

Młody spojrzał na niego podejrzliwie i czekał na rozwinięcie wypowiedzi. Przy radykalnej postawie, jaką ostatnio przybrał prokurator, ta nagła zmiana decyzji wydawała się co najmniej zaskakująca.

– Przemyślałem, co mi powiedziałeś – przyznał Właszczyk po chwili.

Brzmiał, jakby każde wypowiedziane przez niego słowo z trudem przechodziło mu przez gardło. Z natury był człowiekiem niemniej upartym niż Berg i równie jak on nie znosił przyznawać się do błędu. – Miałeś rację, to niebezpieczni ludzie.

Wiedzą, jak operować, żeby wszystko szło po ich myśli. Mogą znaleźć coś na każdego, nawet jeśli są to fałszywe dowody. Powiem ci szczerze: boję się ich. Boję się też o swoją rodzinę. Dlaczego

zmieniłem zdanie? Do tej pory zajmowali się oszustwami, zarabiali na czarno, kradli... Jednak nigdy wcześniej nie dopuścili się morderstwa. Przynajmniej ja nic o tym nie wiem. Teraz sytuacja się zmieniła. Jeśli to wszystko, co mi wczoraj powiedziałaś, jest prawdą – o tych dziewczynach, o Bergu – trzeba się tym zająć.

– Dopuszcili się kilku morderstw, czy teraz nie powinien się pan bać jeszcze bardziej?

– Masz rację i tak jest. Ale wiem też, dlaczego zostałem prokuratorem. Mogę pozwolić wywinąć się oszustom – chciwość to naturalna cecha człowieka. Zresztą, cenię własne życie bardziej niż cudze pieniądze. Ale odpuścić mordercom?

Widzisz, teraz już w sumie nieważne, czy zejdziemy im z pleców, czy nie – i tak nie będę mógł spać w nocy. W przyszłości, kiedy to wszystko się skończy, wolę spać spokojnie niż wygodnie.

Przeszłość ma bezwstydną tendencję do przypominania o sobie w najmniej stosownych momentach. Bywa jednak, że powraca akurat wtedy, kiedy jej potrzebujemy. Dla Berga chwila obecna była wystarczającym obciążeniem. Zajmowała w pełni jego uwagę. Trzydziesty pierwszy października. Dokładnie dwadzieścia jeden lat temu zmarł jego brat. Do tej pory każdego roku przypominał sobie o tym fatalnym dniu. Tym razem, po raz pierwszy, zapomniał. Być może jego przepełniona troskami świadomość postanowiła zepchnąć owo wspomnienie w zakamarki niepamięci, tam, gdzie nie będzie nachalnie męczyć, przygnębiać i ponownie wywlekać wyrzutów sumienia. Pomimo że w zeszłym roku sprawiedliwość przejawiała się aresztowaniem Vlacica, który za tę przedwczesną śmierć odpowiadał, mimo że w tym roku dopełnił ją jeszcze wyrok skazujący, wyrzuty sumienia nadal powracały. Komisarz pogodził się z tym, że nigdy się ich nie wyzbędzie. Były częścią jego. Mimo to zapomniał o rocznicy. Ktoś inny jednak o niej pamiętał. Z Biura wrócił prosto do domu. W planach miał połknięcie tabletki z melatoniną i kilka godzin snu pozwalającego umknąć rzeczywistości niepostrzeżenie. Napełnił szklankę wodą i gdy połknął pigułkę, zadzwonił telefon.

Numer zastrzeżony.

– Berg, słucham?

– Dzień dobry. Mamy rozmowę na koszt abonenta z więzienia w

okręgu Vologda. Połączyć?

– Tak – odparł niepewnie i usiadł na kanapie. Po krótkiej chwili w słuchawce rozbrzmiał głos, którego miał nadzieję, nie usłyszeć już nigdy. Dziwnym sposobem jego dźwięk nie wywołał w nim ani złości, ani smutku. Wzbudził raczej poczucie rozpoznania. Jakby upił łyk kompotu z suszonych owoców, którego nienawidził w dzieciństwie, a który teraz przypominałby o rodzinie i zapracowanej przed świętami matce.

– Serwus, Alan! – rzucił do słuchawki Rodion, jakby ostatnia wojna między nimi w ogóle się nie wydarzyła.

– Myślałem, że już nigdy nie usłyszę twojego rosyjskiego akcentu...

– Chciałbyś wymazać mnie ze swojego życia? Nawet jakbym dostał karę śmierci, nadal bym cię nawiedzał. Wiesz o tym. Demony żyją wiecznie.

– Jesteś tylko człowiekiem, Rodia.

– Tak twierdzisz! Myślałem, że przyjedziesz na ogłoszenie wyroku.

– Zawiedziony?

– Trochę. Ale rozumiem. Daleka to droga z Warszawy. I o tej porze roku tutaj u nas strasznie zimno! Odzwyczaiłem się od srogiego klimatu Rosji.

– Dzwonisz, żeby pogadać o pogodzie?

– Oczywiście, że nie! Dzwonię, bo dzisiaj jest rocznica śmierci Maksa.

Wiem, co myślisz, ale w tym dniu ja co roku go wspominam. To był dobry chłopak.

– Twoja pierwsza ofiara... Masz co świętować!

– Nie, Alan. Nieplanowana ofiara. A dzisiaj nie świętuję, tylko celebruję.

Rozumiesz, więcej w tym powagi i namaszczenia. Co tam w moim mieście słyhać? – zmienił temat Rodion, przybierając pogodniejszy ton, co jego rozmówca przyjął z ulgą.

– Nic się nie zmieniło. Tylko inne nazwiska w raportach.

– Nadal próbujesz wszystkich zapuszkować?

– Nie wszystkich. Widzisz, jak ty poleciałeś, miasto przejął Żoliborz.

– A! Te skurwysyny.

– Nie lubiliście się, co?

- Ja bym ich powyrzynał jak świnie! A szczególnie...
- Wujka?
- O tak! Poznaliście się?
- Nie osobiście, ale to kwestia czasu.
- Oczywiście, Alan. Straszny z niego skurwiel, więc uważaj na siebie.

Berg zamilkł. Tabletki zaczynała działać. Żałował, że ją połknął! Zaskoczyła go nuta troski dająca się wyczuć w głosie Rodiona. Jednocześnie zaintrygował się tym, że były mokotowski Wilk najwyraźniej znał Wujka. Być może osobiście. Może wiedział, jak wygląda, kim jest i gdzie go szukać.

- Spotkałeś go kiedyś?
- Być może. Dlaczego nie przyjedziesz i nie zapytasz mnie w cztery oczy?
- To się nie stanie. Dla twojego dobra lepiej, żebyśmy nie przebywali blisko siebie.

Rodion roześmiał się w głos. Po chwili dodał:

- Jakbyś chciał kiedyś porozmawiać o naszym wspólnym znajomym, to zapraszam! Nie mogę obiecać, że będzie herbata i ciasto, wiesz, nas tutaj prawie na głodzie trzymają. Do widzenia, przyjacielu!

Rozłączył się, pozostawiając Berga z dziwnym samopoczuciem. Ta rozmowa wydawała się całkiem nierealna, abstrakcyjna aż do granic przyzwoitości! Czy naprawdę Vlacic nazwał go „przyjacielem”?! Owszem, wiele ich łączyło, ale były to przede wszystkim nienawiść i seria zarzutów. Komisarz doszedł do wniosku, że powodem tego telefonu i swoistego sentymentu, jakim poczęstował go Rodion, była doskwierająca skazanemu samotność oraz obawa przed utratą zmysłów. Szukał ratunku w powrocie do przeszłości, o której Proca najchętniej by zapominał. Najistotniejszym wydawało się jednak to, że Rodion posiadał informacje. Na ile prawdziwe? Na ile pomocne? Może jedynie blefował, wyczuwając, że nie mają do Wujka żadnego dojścia. Gonitwa za Wujkiem irytowała Berga coraz bardziej. Nie dlatego, że się przeciągała. Polowanie na Wilka również ciągnęło się miesiącami, jednak wtedy komisarz dokładnie wiedział, kogo szuka.

Zawsze był o krok za bossem, wyraźnie czuł, kiedy dystans się zmniejszał, a kiedy Wilk ponownie uciekał. Wujek był jak zjawia, nieokreślony, nienamacalny cel, i błądzenie wokół niego najbardziej działało Procy na nerwy. Tarkowski był znacznie lepszym celem – wyraźnym i znajdującym się na wyciągnięcie ręki. Wystarczyło jedynie zebrać odpowiednie dowody i wyeliminować wszystkie jego koła ratunkowe. I należało to zrobić szybko. Możliwie równie drastycznymi metodami, do jakich uciekał się sam poseł. Szantaż. Bezwzględność. Kłamstwo. Stanowisko Biura wobec tej sprawy wcale nie było pomocne. Brocki tylko czekał na kolejne przekroczenie granicy w działaniu Berga, a sam komisarz uważał, że nie staje się do walki z niedźwiedziem jedynie z gazem pieprzowym w dłoni. Należy wytoczyć środki proporcjonalne do zagrożenia, równie mocne i drastyczne jak te stosowane przez przeciwnika. Cena za ich użycie może być wysoka i z pewnością taką będzie, lecz komisarz nie myślał teraz o konsekwencjach. Zbrodniarza należało ukarać, a potencjalne zagrożenie – zniwelować. Z tą myślą zapadł w niespokojny sen.

Na każdego ucznia przychodzi czas egzaminów. Lata nauki okazują się niewiele warte, jeśli nie zaliczymy ostatecznej próby, nie udowodnimy, że stać nas na użycie wiedzy w praktyce. Jarosław Sobiech przygotował dla syna wyjątkowy egzamin. Zauważył, że ostatnimi miesiącami chłopak zaczął się rozwijać i powoli przejawiać talenty do prowadzenia rodzinnego biznesu. Wiedział jednak, że aby syn zyskał szacunek wśród pracowników, będzie musiał wykazać się jako indywiduum i lider. Tego dnia Marcin wrócił z uczelni późno. Było już po zmroku. Nie mógł się doczekać przygotowanej przez mamę kolacji. Kiszki grały mu marsza. Zaplanował, że później obejrzy jakiś śmieszny film dla relaksu albo poczyta książkę – jakąś fantastykę najlepiej, żeby oderwać się od rzeczywistości. Kiedy jednak zamierzał wejść do domu, z ciemności wyłonił się Masa.

– Marcin! Stary czeka na ciebie w szopie.

– Teraz?!

– No. Chodź, bo już czekają na ciebie od godziny...

Szopa mieściła się na tyłach domu. Był to porządnie postawiony budynek o powierzchni około trzydziestu metrów kwadratowych, przeznaczony do przechowywania drobnych części samochodowych i

przesłuchiwania delikwentów od czasu do czasu. Masa starał się wyglądać pewnie i bezkompromisowo, ale Marcin znał go dobrze; ochroniarz był wyraźnie zakłopotany.

– Słuchaj, Marcinek – powiedział w końcu – postaraj się zachować spokój, dobra? Ja wiem, że ty dobry chłopak jesteś, ale to tylko biznes i jako syn szefa musisz nauczyć się rządzić.

– O co ci chodzi?

– Zobaczysz. Tylko słuchaj ojca, dobra?

Weszli do środka. W pomieszczeniu znajdowało się dwunastu zatrudnianych przez Sobiecha facetów. Wszyscy wyglądający konkretnie, przypakowani w barach od podnoszenia ciężarów, a w nogach od częstego uciekania. Wśród nich stali również dwaj mężczyźni spoza gangu. Tych Marcin poznał kilka dni temu, gdy rozmawiali z jego ojcem. Należeli do Żoliborza. Pomiędzy nimi siedział na krześle nagi człowiek. Nie poruszał się, ale był przytomny. Jego ciało opanowały drgawki. Zakrwawiona twarz utrudniała identyfikację, jednak gdy Marcin przypatrzył mu się dobrze, rozpoznał w nim Komplet. Stał w progu i spojrzał niepewny na Masę. Spomiędzy tłumu naprzód precyzyjnie się Jarosław Sobiech.

– Tata... Co tu się dzieje?

– Marcinek, jedno pytanie – czy ty wiedziałeś, synek, że Komplet robi nas na boku?

– Nie!

– Nie wiedziałeś, że okradał nas z radyjek i opylał je, zatrzymując cały hajs dla siebie?

– Nie, tata, skąd!

– Widzicie! – zwrócił się Sobiech do reszty. – Nie wiedział. Marcin, wiesz, że my ciężko pracujemy i że wiele wysiłku kosztuje mnie zdobycie zaufania wśród szacownej grupy żoliborskiej?

– No, wiem.

– Jeśli chcemy liczyć na ich wsparcie, musimy im udowodnić, że mamy pełną kontrolę nad naszymi sprawami. Takie rzeczy, jakich dopuścił się Komplet, nie mogą pozostać bez reakcji.

– Oczywiście...

– No. My już go równo zrobiliśmy. Teraz musisz go tylko skończyć. – To powiedziawszy, włożył synowi w dłoń pistolet wyposażony w

tłumik. Marcin spojrzał na niego wielkimi oczyma, mówiąc błagalnie szeptem, który i tak był słyszalny dla wszystkich zgromadzonych, bo w pomieszczeniu panowała całkowita cisza.

– Tata, no co ty? Ja?

– Tak, synek. Skończ tego skurwysyna i oficjalnie zawiążemy pakt z Żoliborzem.

Jarosław odsunął się na bok. Marcin przełknął nerwowo ślinę. Wiedział, że ojciec nie żartuje, nie na oczach wszystkich zgromadzonych. Uniósł powoli broń, celując w głowę Komplementa. Wtedy mężczyzna jakby się przebudził i w ostatnim akcie desperacji zapłakał, błagając niewyraźnie przez spuchniętą szczękę:

– Marcin, nie rób tego... Proszę, kurwa... Ja chcę żyć!

Chłopak podszedł do niego bliżej, upewniając się, że nie chybi. Zaciśnął pięść tak mocno na uchwycie, że jego ręka zaczęła się trząść. Stał tak zaledwie kilka sekund, ale każda z nich wydawała mu się wiecznością. Czuł, że kurczy się mu żołądek. Komplement rozplakał się na dobre, był już człowiekiem obdartym z wszelkiej godności. Obróciwszy się nagle w stronę stojącego za nim Masy, Marcin wcisnął mu w rękę broń i szybkim krokiem wyszedł z szopy. Gdy tylko przekroczył próg drzwi, upadł na ziemię i na czworakach zwymiotował. Nie był jeszcze gotowy. Zawiódł ojca. Ośmieszył się na oczach wszystkich pracowników i przedstawicieli grupy żoliborskiej. Podniósł się szybko i chwiejnym krokiem poszedł do domu, gdzie zamknął się w pokoju. Stary Sobiech rozkazał chłopakom „wykończyć skurwysyna”, po czym spokojnie zwrócił się do żoliborskich:

– Nie jest jeszcze gotowy. To przyjdzie mu z czasem. Przekażcie jednak szefowi, że ma moją pełną lojalność.

Zdenerwowany, wrócił do domu, lecz tego wieczoru nie podjął rozmowy z synem. Obawiał się, że w napadzie gniewu mógłby go uderzyć. Marcin z kolei próbował unikać ojca, wiedząc, jak wielki sprawił mu zawód. Będzie musiał to odpracować. Wykazać się na nowo.

„Czasami trudno przetrwać prawdę o rzeczywistości”

– kom. Alan Berg (ps. Proca)

Ponowne ruszenie śledztwa wprawiało Młodego zarówno w przerażenie jak i w stan pełnej determinacji. Całe popołudnie spędził w CBA, organizując swoją pracę od nowa. Tym razem ostrożniej, po cichu. Ludzi, którym do końca nie ufał, unikał jak ognia. Jeśli nie musiał z kimś rozmawiać, trzymał język za zębami.

Koledzy powiedzieliby, że chyba jeszcze nie wydobrzał, nie wrócił do siebie po tym zasugerowanym mu urlopie. On jednak działał na pełnych obrotach. Znacznie lepiej, mądrzej niż ostatnio. Zaraz po spotkaniu z prokuratorem Właszczykiem próbował dodzwonić się do Berga. Miał mu do przekazania dobrą, bądź co bądź, wiadomość, jednak komisarz nie odbierał. Oczywiście nie było go też w domu, kiedy Młody przyjechał doń późnym wieczorem. Początkowa irytacja i złość podkomisarza zaczęły przybierać formę niepokoju. Zachowując spokój i udając naturalność, zawitał do Ewy – jedynej osoby na świecie, z którą Proca dzielił się najgłębszymi obawami. Jednak również ona nie miała pojęcia, gdzie znajduje się jej mąż. Ostatnim razem widzieli się w szpitalu. Zrezygnowany bezowocnymi poszukiwaniami podkomisarz zadzwonił do Chabra upewnić się, że ten siedzi jeszcze z chłopakami w biurze. Powiedział, że przyjedzie do nich za kilkanaście minut i kazał na siebie poczekać.

– Berg ciągle się nie odezwał? – zapytał, wchodząc do pokoju „Szakala”.

– Nie. Nie miał w sumie po co, zawiesili go... – odparł Impuls.

– Wiem, słyszałem. Muszę z nim pilnie porozmawiać, ale oczywiście nie odbiera moich telefonów.

– Znowu między wami dramat?

– Jak zawsze, Impuls – od miłości do złości... Mazur, jeśli by odebrał,

namierzysz go?

– Nie trzeba do niego dzwonić, ma GPS w iphonie.

– Obawiam się, że nie ma go przy sobie. – Wyjął z kieszeni pomiętą kartkę z numerem do nokii. – Ma drugi telefon, stary, bez bajerów.

– Oczywiście, cały Berg – skomentował Chaber. – Tajemnice...

– Namierzanie po numerze trochę zajmie – niepewnie odparł Mazur, patrząc na kolegów z zakłopotaniem.

– Chaber, zadzwoń do niego z zastrzeżonego, nie będzie wiedział, kto dzwoni, to może odbierze.

– Trzymaj go na linii przynajmniej dwie minuty – poinstruował aspirant, kiedy Chaber położył telefon na stole. Wprowadził numer komisarza i przełączył na głośnik. Pokój tonący przez moment w absolutnej ciszy wypełnił się jednostajnym sygnałem łączenia, a następnie głosem Berga.

– Słucham?

– Proca, mamy sprawę.

– Chaber, skąd masz ten numer?

– Nieważne... Mamy problem z Żoliborzem. Bo wiesz, chłopaki mieli dzisiaj rozpoznanie i...

– Jestem zawieszony, teraz ty dowodzisz grupą i nie pierdol, że sobie z tym nie poradzisz. Skąd masz numer?

– Aha, no dobra... A co robisz?

Chaberski zmieszał się i nie bardzo wiedział, jak dalej pociągnąć rozmowę. Dobry oficer, genialny w planowaniu, jednak jego słabą stroną była improwizacja. W tym mistrzem wydawał się Impuls, który postanowił uratować sytuację i wmieszał się w rozmowę:

– Proca, to jest poza kompetencjami Chabra, bo chodzi o koleś, którego nie ma w bębnie. A on bez mapy, to wiesz, jest jak dziecko we mgle... To słuchaj, strzelamy im dzisiaj te foty, a tu nagle pojawia się Gruby, pamiętasz Grubego, co?

No i z nim przyjeżdża taki koleś, krótki, chudy, rudawy, jak dzieciaczek wyglądał, ale z za pasa wystawał mu taki gnat, że większy niż jego łeb... Mazur ukradkiem przywołał do siebie Młodego. Udało mu się zlokalizować rozmówcę w pobliżu klubu „Magnez”. Podkomisarz wiedział doskonale, co za tym idzie – Berg pakuje się w kłopoty. Gestem dłoni zgarnął ze sobą Chabra i razem wyszli z biura,

kiedy komisarz rzucił z głośnika nerwowym już tonem:

– Kurwa, jesteście jak przedszkole. Impuls, skąd ja mam wiedzieć, do cholery, kto to był. Zróbcie jak zawsze, pojeźdźcie za nim jak się nawinie i wyjdzie, kto to. Mam was podstaw uczyć?

– Sorry, szefie. Myśleliśmy, że może z tym na skrót się da. Dobra, to... spokojnego wieczoru!

– Na razie...

Klub „Magnez” działał jak co dzień. Dzień po dniu. Również w niedzielę i święta. Szeroko rozwarło jego drzwi dla wszystkich spragnionych towarzystwa. Zdawałoby się, że nikt nie zauważył tutaj nieobecności Suzzy. Żal i smutek po jej odejściu znajdowały ujście we łzach ronionych na zapleczu, poza widokiem klientów. Pośród tańczących dziewczyn i zapatrzonych na nie mężczyzn, przy bordowo oświetlonym barze, siedział komisarz Berg. Czuł w tym miejscu wyraźną obecność Suzzy. Jakby za chwilę miała do niego podejść i zagadać melodyjnym głosem. Wlepiął oczy w swój kieliszek, lecz od czasu do czasu rozglądał się ukradkiem. Po kilku minutach dostrzegł Ramona – menadżera lokalu, o którym słyszał już niejedną historię z ust byłej informatorki. Ramon nie angażował się emocjonalnie w swoją robotę. Dostawał sówite wynagrodzenie za trzymanie pubu w dobrym stanie i zadowalanie klientów; ci miewali rozmaite wymagania. Wydawał się pochłonięty pracą, która sprawiała wrażenie raczej bytności towarzyskiej niż typowej roboty. Uśmiechał się do gości, zagadywał, opowiadał świńskie żarciki, rozbawiając niektórych do rozpuku. Przechodząc przez lokal, przystawał też obok dziewczyn. Niektóre chwalił, że ostro dziś wyglądają, niektóre odsyłał do szatni, „żeby coś ze sobą zrobiły”.

Proca próbował wyłowić z tłumu Kitkę. Gdyby mógł z nią porozmawiać, przeprowadziłby tę dyskusję znacznie ostrzej niż poprzednio. I przypuszczał, że wystarczyłaby jedna odpowiedź „nie wiem” na któreś z jego pytań, żeby stracił nad sobą panowanie i przekroczył granicę obowiązującego go protokołu postępowania. Jednak Kitki nie było w pobliżu. Pojawił się za to Ramon, który swoim beztroskim zachowaniem w świetle ostatnich wydarzeń wzbudzał

obrzydzenie. Berg zamówił drugą już setkę whisky i wypił ją haustem. Był gotowy przeprowadzić przesłuchanie pierwszego, zamieszanego w morderstwo Suzzy, świadka. Przeszedł przez zaplecze lokalu, które znał jak własną kieszeń, głównie z opowiadań byłej informatorki. Minął pokoje sanitarne i skręcił w prawy korytarz, w którym naszedł się z potężnym mężczyzną. Ten, będący ochroniarzem, zrobił w kierunku komisarza kilka kroków.

– Zgubił się pan? Toalety są po drugiej stronie.

Berg nie zawahał się ani przez moment, szedł równym krokiem w jego stronę i gdy był już wystarczająco blisko, sprzedał mu potężny cios w skroń. Ochroniarz padł na ziemię nieprzytomny, a komisarz wszedł do znajdującego się na końcu korytarza pokoju. Pomieszczenie było niewielkie. Stanowiło biuro, z którego zarządzał Ramon.

– Co jest, kurwa? – rzucił menadżer, zobaczywszy w drzwiach intruza.

Zmieszał się, bo na stole przed nim leżało kilka grubych plików pieniędzy i biała linia kokainy przygotowana do wciągnięcia.

– Przeszkadzam?

– Kim ty, kurwa, jesteś?

Berg podszedł do biurka i usiadł na jego brzegu.

– Centralne Biuro Śledcze. Wydział narkotykowy... Nie krępuj się, Ramon, wciągaj swój stuff.

– O co chodzi? Jestem aresztowany?

– Nie... coś ty. Chcę pogadać.

– Już dzisiaj był od was taki jeden z drugim. Co wiem, to im powiedziałem, czyli w sumie nic.

– Wiesz, w ostatnich tygodniach zamordowano dwie twoje dziewczyny. Nie dziw się, że tak się tobą interesujemy. Iza Kolada. Pamiętasz ją? Spotykała się tu przez jakiś czas z posłem Tarkowskim.

– Nic o tym nie wiem.

– Mhm... A Suzzy? Z kim rozmawiała w noc morderstwa?

– Myślisz, że znam tu wszystkich klientów? Ani tego Tarkowskiego, ani żadnego innego nie odnotowałem.

Zapewniając o swojej niewiedzy, Ramon grzebał ukradkiem pod blatem biurka. Komisarz spostrzegł to w ostatniej chwili i chwycił go za

nadgarstek. Sam sięgnął pod blat i wydobyl spod niego rewolwer.

– Co tam chowasz? Smith & Wesson?! No, no, no... Jesteś fanem westernów, Ramon? Chciałeś tym zastrzelić oficera?

Komisarz zerknął, czy bęben broni jest załadowany. Był. Sięgnął do kieszeni po kajdanki i przykuł jedną z dłoni alfonsa do krzesła, na którym siedział.

– W sumie nie pokazałeś blachy...

– Zaraz ci pokażę taką blachę, że do końca życia zapamiętasz.

Z nagła otworzyły się drzwi. Ochroniarz z podbitym okiem zamierzał właśnie wpaść do środka, jednak zatrzymał się na widok wycelowanego w niego rewolweru.

– Wypad, pajacu... – rzucił doń policjant i mężczyzna wycofał się. Berg nachylił się nad Ramonem, otworzył bęben smitha i wysypał całą jego zawartość na biurko. Pociski obity się o blat z trzaskiem. Oficer podniósł jeden z nich i umieścił z powrotem w komorze, a następnie zakręcił bębniem. Odcinając kurek, nagłym ruchem złapał wolną rękę alfonsa i przycisnął ją do biurka, po czym wycelował w nią rewolwerem. Zaczynało mu szumieć w głowie.

– Zacznijmy od początku. Kogo obsługiwała Suzzy?

Ramon patrzył mu prosto w oczy. Uśmiechał się szyderczo, sądząc, że policjant próbuje go nastraszyć. Tymczasem Berg pociągnął za spust, a na twarzy wystąpił mu niepokojący uśmiech. Na dźwięk przeskakującej komory alfons spróbował wyrwać rękę z uścisku. Jednak komisarz trzymał ją mocno, a resztą ciała blokował krzesło, nie pozostawiając alfonsowi żadnego manewru.

– Z kim rozmawiała Suzzy?

– Pojechało cię?! – Komisarz ponownie pociągnął za spust, a Ramon doszczętnie stracił już rezon.

– Kurwa! Dobra, już dość! Mówię! Nie widziałem, z kim gadała Suzzy, ale Tarkowski zawsze przychodził z takim jednym.

– Z kim?

– Nie wiem! Nie znam go, ale szef czasami z nimi gadał!

– Właściciel klubu? Tadeusz Rafalski?

– Tak! Jego zapytaj.

– Widzisz, jak chcesz, to potrafisz.

Komisarz rozkuł kajdanki i wyszedł z pokoju. W korytarzu wyminął

już trzech ochroniarzy. Ci przyjrzeni mu się uważnie, jednak żaden z nich się nie poruszył. Po chwili „pajac” z podbitym okiem zajrzał do środka biura, upewniając się, że z Ramonem wszystko w porządku.

– Przyjebcie mu konkretnie – zarządził alfons i trzech ruszyło za Bergiem.

Ten, nie spiesząc się wcale, wszedł jeszcze do toalety. Stał nad pisuarem i z ulgą opróżnił pęcherz wypełniony uszlachetnionym kilkoma promilami moczem.

Obejrzał się, usłyszawszy za sobą towarzystwo.

– Trzech na jednego? – zapytał, zapinając rozporek.

Mężczyźni otoczyli go jak stado wilków pozbawioną szans ofiarę. Ruszyli na niego jednocześnie, lecz komisarz skierował mocny prawy prosty tylko ku temu nacierającemu z lewej strony. Napastnik zatoczył się do tyłu, wpadając do otwartej kabiny toalety, i padł, uderzając głową o brzeg sedesu. Prawy napastnik chwycił policjanta od tyłu, a kolejny, z podbitym okiem, złapał go za nogę przygotowaną do kopnięcia.

– Teraz ci przyjebię, skurwielu! – wrzasnął „pajac” rozwścieczony do granic możliwości.

Rzucili go na ziemię i Berg otrzymał pierwszy, potężny cios w przeponę, następny w twarz. W ustach poczuł cierpki, metaliczny smak krwi. Zanim padł kolejny cios, drzwi otworzyły się, uderzając z hukiem o ścianę. Młody i Chaber wycelowali broń w napastników.

– Dalej, zrób mi tę przyjemność, młotku! – warknął Chaberski, wysuwając się naprzód. Z trudem można by spodziewać się po nim podobnej brawury. Jednak wbrew łagodnemu usposobieniu w przypadku zagrożenia zachowywał się tak, jak powinien zachować się każdy dobrze wyszkolony funkcjonariusz – pewnie i konkretnie. Mężczyźni odstąpili od komisarza i wskazując na nieprzytomnego kolegę, który leżał pod toaletą, zapewnili, że działali w samoobronie. Berg podniósł się z ziemi i masując brzuch, zakończył konflikt słowami:

– Szkoda, że już koniec, rozkręcałem się właśnie. Do zobaczenia panowie...

Szedł przodem. Zagadał jeszcze do barmana i poprosił o całą butelkę danielsa. Położył na barze dwie stowy i wyszedł obojętnie.

Tuż za nim podążyli policjanci. Kiedy tylko opuścili wnętrze lokalu, Chaber zaczął krzyczeć:

– Pojebało cię, Proca, konkretnie! Co ty odpierdalasz?! Bez wsparcia, bez broni? Ten wstrząs mózgu totalnie zjebał ci synapsy?!

Komisarz w milczeniu sięgnął po papierosa, otworzył butelkę i pociągnął z gwinta. Starszemu aspirantowi wyraźnie puściły nerwy. Młody nigdy wcześniej nie widział w nim takiej złości. Można by pomyśleć, że podobne zachowanie wobec przełożonego jest pośrednio upraszaniem się o dyscyplinarkę, ewentualnie pstryczek w nos, jednak relacje Chabra z Bergiem nie były wyłącznie służbowe. Prawdopodobnie Chaber pokusiłby się tutaj o użycie słowa „przyjaźń”, mimo że czasami podejrzewał, że byłaby to przyjaźń jednostronna, niesprawiedliwa. Młody nie sądził, że agresywna postawa aspiranta w czymkolwiek teraz pomoże. Położył więc rękę na jego ramieniu i poprosił o pięć minut na rozmowę z komisarzem na osobności. Chaber ruszył do samochodu, rzucając jeszcze pod nosem serię zarzutów i wyzwisk. Berg przysiadł na niewielkim murku obok klubu i wziął jeszcze kilka łyków danielsa. Nie patrzył na Młodego. Wydawał się obojętny i rzeczywiście nie dbał teraz o niczyją opinię. Zdziwił się jednak, kiedy zamiast oskarżeń usłyszał spokojnie wypowiedziane słowa:

– Chaber tego nie zrozumie... Ale ma rację. To było dość nierozsądne.

Wiem, że jesteś wkurwiony...

– Bardziej rozczarowany. Czasami przetrwać prawdę o rzeczywistości.

– Rozmawiałem dzisiaj z Właszczykiem – powiedział Młody, ignorując filozoficzny ton przyjaciela. – Zmienił zdanie. Mam zielone światło.

– Gratulacje... Możesz znowu poudawać, że robisz coś, co ma znaczenie.

Zdecydowanie Berg nie był sobą. Młody poznał go jako idealistę, który wbrew wszechobecnemu bezprawiu, korupcji i grzechowi nadal wierzył w praworządność i dobro ludzkiej natury. Teraz rozmawiał z kimś innym, z kimś, kto się poddał.

– Jednak znaleźli do ciebie drogę... Mówiłem ci, żebyś odpuścił, że

w końcu się do ciebie dobiorą...

– Młody, daj spokój...

– Przepraszam cię za to. Powinienem cię od razu wesprzeć, pomóc. Nie patrz tak na mnie. To takie dziwne, że przyznają się do błędu?

– Dość dziwne.

– Trudno, chyba nauczyłem się tego od ciebie. Chciałem ci powiedzieć, że zaczynamy od nowa. Z pełnym wsparciem prokuratury.

– Czyli jest jeszcze jakaś sprawiedliwość w tym wymiarze?

– Być może. Tym razem zrobimy to wspólnie i będziemy tak napierdalać, że spalimy ten jebany Babilon!

– Młody, kurwa, chyba jesteś ostatnim człowiekiem na ziemi, który dzisiaj ma dla mnie choć trochę miłości...

– Panie komisarzu, uwalił się pan dzisiaj jak świnia!

– Tylko trochę. Czy mi się wydaje, czy ten krawężnik faluje?

– Jak świnia... Chodźmy, zanim Chaber po nas wyjdzie.

– O tak, lepiej nie drażnić bestii... – wyszeptał Berg i wstał, zataczając się lekko. Władował się na tył samochodu i powiedział poważnym tonem: – Starszy aspirancie Chaberski! Dzięki, że mnie, kurwa, uratowałeś. Dobry z ciebie glina.

– Pamiętaj o tym jutro, jak wytrzeźwiejesz! Dobra? Coś ty tam robił?

– Rozmawiałem z alfonsem...

– I coś ci powiedział?

– Tarkowski przychodził z jakimś gościem. Właściciel klubu może nam pomóc.

– Wkopał własnego szefa? Coś ty mu zrobił?

– Zagrałem z nim w ruletkę.

– Jaką ruletkę?!

– Rosyjską...

– Uważaj, Młody, mamy psychopatę na tyłach. Wiesz, co by było, jakbyś go dojechał?

– Miałem wszystko pod kontrolą...

– Ujebałeś się jak szpadel!

– Myślisz? – wtrącił Młody. – Żałuj, że nie widziałeś mnie jeszcze kilka dni temu.

– Nie żałuję – zapewnił Chaber i spojrzał na komisarza już znacznie

łagodniej. – Jedno tak traumatyczne wspomnienie całkiem mi wystarczy.

Berg rozłożył się wygodnie na tyłach. Działanie alkoholu osiągnęło apogeum i komisarz zrelaksowanym głosem wyśpiewał:

– When you walk through the garden, you gotta watch your back...

– Śpiewa... – parsknął Młody, oglądając się do tyłu. Komisarz niemalże leżał na siedzeniu z przymkniętymi oczami. – Słyszałeś kiedykolwiek, żeby śpiewał?

– Przenigdy.

Berg zapatrzył się przez okno. Jego koledzy zdawali się ignorować spektakl odgrywany na ulicy. On jednak widział każdy najmniejszy szczegół. Trzech gości w bramie, którzy negocjowali cenę towaru. Kolejnych dwóch. Schowali się w cieniu bloku i okładali kopniakami delikwenta wiszącego im kasę. Mięśniak z pit bullem podążający szarą ulicą na kolejną nielegalną walkę psów. Dwie dziewczyny siedzące na ławce pod lampą. Rozchyłały nogi, kiedy przejeżdżał drogi samochód. Zakapturzony małolat, rozglądający się nerwowo pod klubem. Jak tylko ktoś wyjdzie na fajkę, szepnie mu słówko o pierwszorzędnym ecstazy. Obserwując, kontynuował recital:

– If you walk with Jesus, He's gonna save your soul. You gotta keep the devilway down in the hole...

– Nie jestem w sumie pewien – zaczął Chaber, zerkając do wstecznego lusterka – czy to przez alko, czy dlatego, że komuś porządnie przypierdolił, tak mu się dobrze zrobiło.

Komisarz podśpiewywał coraz ciszej, aż przysnął. Gdy dojechali na miejsce, z pomocą przyjaciela wysiadł z samochodu i chwiejnym krokiem ruszył do mieszkania.

– Pójdę z nim – powiedział Młody.

– Poczekać na ciebie?

– Nie, myślę, że dopilnuję, żeby się pozbierał do jutra.

Chaberski przytaknął. Ponaglił kolegę, kiwając głową na komisarza, który przeszedł zaledwie kilka kroków, by położyć się na najbliższej ławce. Poczekał jeszcze parę chwil, obserwując jak Młody mocuje się z nieprzytomnym Bergiem i odjechał, gdy zniknęli za drzwiami budynku. Następnego ranka Proca obudził się z okropnym bólem głowy. Pierwszą osobą, o której pomyślał, była Suzzy. Zegar przy

łóżku wskazywał dopiero siódmą rano. Miał jeszcze kilka godzin przed pracą... Nie – przypomniał sobie, że przecież został zawieszony w obowiązkach. Wysiłił pamięć, by przypomnieć sobie, jakim sposobem trafił wczorajszej nocy do domu. Pustka. Wstał z łóżka i przeszedł do kuchni, żeby zaparzyć sobie mocną kawę. Zawrócił jednak w połowie drogi, bo odniósł wrażenie, że nie jest w mieszkaniu sam. Na kanapie w pokoju dziennym spał Młody. Komisarz podrapał się po głowie, próbując przywołać w umyśle wydarzenia wczorajszej nocy. Ostatnim, co pamiętał, było to, że celował z rewolweru w dłoń Ramona.

Młody przebudził się kilka minut później, wyczuwając w powietrzu delikatny aromat kawy. Rozejrzał się przez moment zdezorientowany obcym otoczeniem. Gdy przypomniał sobie, że znajduje się w mieszkaniu Berga, zapach stał się intensywniejszy, nakłaniając podkomisarza do wstania i przywołując go do kuchni. Berg dopieszczał kawę odrobiną zagęszczonego mleka. Wyglądał na wyczerpanego, jakby przebalował trzy ostatnie noce.

– Jak się czujesz? – zapytał Młody, przecierając oczy. Zasłonił usta dłonią, by ukryć ziewnięcie.

Berg postawił dwa kubki kawy na stole i z zastanowieniem odparł:

– Czy wczoraj było jakieś karaoke?

– Recitał raczej. Dałeś ostro w palnik.

– Mhm...

Młody zdał mu dokładną relację z wczorajszych wydarzeń. Ten nie ukrywał zakłopotania, przeprosił i podziękował za pomoc. Najgorzej poczuł się z myślą, że gdyby nie przekazał im wczoraj informacji od Ramona, sam by jej nie pamiętał. Wiedzieli już, że zawitają do Tadeusza Rafalskiego – właściciela klubu „Magnez”, milionera i inwestora, którego wszystkie dochody wydawały się idealnie udokumentowane i rozliczone. A człowiek ten wzbogacał się, mówiąc wprost, na ludzkich słabościach. Potrzebowali jedynie powodu, dobrego pretekstu, żeby najść milionera, najlepiej z zaskoczenia. Dwie martwe pracownice były dobre, ale niewystarczające. Mogli najwyżej, co zresztą zrobił już Feliński, zaprosić go na rozmowę, usłyszeć, że właściciel nie wie zupełnie nic i na tym się skończy. Brak bezpośredniego połączenia z morderstwami sprawiał, że mogli jedynie „mieć go na oku”. Potrzebowali czegoś innego, za co milioner odpowie

osobiście. Dzwonek domofonu zaskoczył ich obu. Komisarz doczłapał do drzwi, próbując się rozbudzić. Nacisnął przycisk na domofonie i zapytał wciąż zaspanym głosem:

– Słucham?

– Dobrze, że cię zastałem! Mam coś.

Berg pospiesznie założył spodnie. Justecki zdążył już wjechać na górę, zapukać do drzwi i westchnąć przeciągle, oczekując ich otwarcia. Podali sobie dłonie na powitanie.

– Wyglądasz jak siedem nieszczęść, Alan.

– Wiesz, jak człowieka podbudować. Przegapiłem twój telefon?

– Nie dzwoniłem. Chciałem pogadać na gorąco.

Do przedpokoju wszedł Młody i jego obecność zgasiła uśmiech na twarzy dziennikarza. Pytająco spojrzął na Berga.

– To właśnie jest Młody.

– A! – Justecki skojarzył go z opowieści Berga. – Ten przyjaciel...

Młody podszedł bliżej i wyciągnął ku niemu dłoń, przedstawiając się z imienia i nazwiska. Dziennikarz odwzajemnił gest silnym uściskiem.

– Wojtek Justecki.

– Ja pana znam. Z telewizji – przyznał dość naiwnie podkomisarz, na co Berg posłał mu ironiczny uśmiech, a mężczyzna odparł:

– Z telewizji? Czyli zna pan wszystkie kłamstwa i oszczerstwa na mój temat. Cudnie.

– Dobra, to zostawmy już te formalności – przerwał im Proca i zaprosił gościa do środka. Nie pytając, zaparzył mu kawę. Gdy wszyscy trzej usiedli przy kuchennym stole, Justecki wyjął z teczki plik papierów i zaczął:

– Poszperałem tu i tam, no i faktycznie, Tarkowski wygląda na kawał łajdaka.

Na pierwszy rzut oka wszystko wygląda czysto, żadnych problemów z prawem, żadnych podejrzanych działań. Ale jak przyjrzeć się co poniekórym przetargom i konkursom, to jakimś cudem znajdują one drogę do Tarkowskiego właśnie. Na przykład... – Przeleciał wzrokiem przez papiery i zatrzymał go na jednym z paragrafów. – W dwa tysiące trzynastym roku ogłoszono przetarg na budowę biurowca w centrum. Budżet wynosił sześć milionów. Wygrała go firma Eko-bud, która z kolei powierzyła realizację firmie Freht i zapłaciła im trzy

miliony. Fantastyczna umowa! Kto był właścicielem Eko-bud? Andrzej Gorat, były pracownik biura poselskiego Tarkowskiego. Dalej mamy jeszcze budowę kompleksu sportowego pod Warszawą, budowa wygląda w porządku, ale konkurs na dyrektora kompleksu wygrała pani Jadwiga Kołodziejczyk. Wykształcenie podstawowe, poprzednia praca – ekspedientka w sklepie spożywczym „Twój koszyk”, do którego Tarkowski zagląda codziennie, bo mieszka tuż obok...

– Panie Justecki... – przerwał dziennikarzowi Młody.

– Wojtek.

– Z całym szacunkiem, Wojtku, ale te wszystkie informacje już mam.

W toku śledztwa ustaliliśmy, że podczas przetargów dochodziło do przekroczenia uprawnień i niedopełnienia obowiązków, przyjmowania i wręczania łapówek, poświadczenia nieprawdy w dokumentach, a nawet wykorzystywania ich podczas ubiegania się o wsparcie finansowe od instytucji dysponujących publicznymi pieniędzmi. Zamieszanych jest w to jeszcze kilku dyrektorów. Powołaliśmy nawet zespół ekspertów, którzy mieli zbadać, czy realizowane przez tych dyrektorów inwestycje w ogóle były potrzebne. Dostaliśmy opinię, że w kilku przypadkach dochodziło do wykonywania fikcyjnych robót albo innych, zupełnie niepotrzebnych, jak na przykład budowa wrót sztormowych pod Gdańskiem. Justecki zamknął teczkę i nachylił się ku Młodemu, opierając ręce o stół.

– Dlaczego, mając taką ilość dokumentów i dowodów, nie wyszliście z oskarżeniem?

– Brakowało jednego, najważniejszego elementu...

– Świadców – dokończył dziennikarz. Agent przytaknął, a Justecki po chwili dodał: – Pan Tomasz założył na zlecenie Tarkowskiego jedną z takich wykonawczych firm-słupów. Tej sprawy nie było w twoich dokumentach...

Zgodził się zeznawać pod oczywistym warunkiem, że nie trafi za kratki.

– Trudno obiecać coś takiego. Pan Tomasz ma nazwisko?

Justecki i Berg spojrzeli na siebie. Wiedzieli już, że czasami potrzebny jest kompromis. Przymknięcie oka na jedną sprawę kosztem załatwienia innej – ważniejszej. Komisarz posłał Młodemu pobłażliwy uśmiech i wyjaśnił:

– Pan Tomasz będzie miał nazwisko, jak przysięgniesz, że zrobisz wszystko, co w twojej mocy, żeby uchronić go od pierdła.

– Berg, wiesz, że nie mam takiej...

– Młody... – Proca pokręcił głową rozczarowany. Pomyślał przez moment, po czym powiedział: – Pamiętasz Mario?

– To co innego, był twoim informatorem, nie powołałbyś go na świadka.

– Nie o to chodzi. Czasami musimy przymknąć oko na pewne sprawy. Dobry strateg wie, które bitwy podejmować, a które sobie odpuścić. Odpowiedz sobie na pytanie, co jest dla ciebie najważniejsze, i idź po to z pełną siłą. Najpierw ugadaj warunki, z kim trzeba. Załóż się, że prokurator podzieli nasze zdanie.

– A sędzia?

– Sędzia prawdopodobnie obejrzy się w tej kwestii na prokuratora. Chociaż to zależy od sędziego, ale jak sprawa ruszy, będziesz musiał przynajmniej spróbować ustawić ugodę dla pana Tomasza. Rozumiesz? To kwestia honoru. Tu nie zasłonisz się procedurami. On pomoże ci usadzić Tarkowskiego, a ty, w zamian, masz zrobić wszystko, żeby nie podzielił jego losu. To nie jest takie skomplikowane.

Młody wziął głęboki oddech. Nie chciał złożyć obietnicy, której nie mógłby dotrzymać. Justecki, widząc jego wahanie, wstał od stołu.

– Nie musisz decydować od razu. Jak będziesz chciał pogadać, Alan ma mój numer...

Berg odprowadził dziennikarza do drzwi. Pożegnał go szeptem:

– Dzięki za to. Chłopak się zdecyduje, moja w tym głowa.

– Nie burz mu na siłę wizji idealnego porządku świata...

– Już ma ją zburzoną. On się nie boi nagiąć prawa, tylko tego, że może nie wywiązać się z umowy. Jesteśmy w kontakcie.

Komisarz wrócił do kuchni. Tam został obrzucony przez Młodego spojrzeniem pełnym wyrzutów.

– Dałeś mu moje akta?

– Nie. Wszystko, co tu dzisiaj odczytał, zdobył sam. To dobry człowiek, a wszystko, co wydaje ci się, że wiesz na jego temat – zaręczam głową, że to kłamstwa. – Usiadł obok przyjaciela i spokojnym tonem dodał: – Weź tego świadka. Wszystko polega

właśnie na tym, żeby pociągać za odpowiednie sznurki, znać odpowiednich ludzi, tworzyć układy...

– To „oni” tak działają.

– Właśnie – kto mieczem wojuje, od miecza ginie. Ty chcesz ruszać z dzidą na czołg? Czasami trzeba nagiąć zasady, grać jak oni. Ty już to wiesz, tylko z jakiegoś powodu się przed tym bronisz.

– Jak będzie już po wszystkim, chcę mieć pewność, że nadal jestem sobą...

– Teraz brzmisz jak Chaber.

– Mądry z niego chłopak.

– Tak, obaj jesteście. Ale walczymy z bestiami w ludzkiej skórze i tutaj mądrość się bardzo przydaje, ale siła jest konieczna. I przebiegłość też. A swoją drogą, myślę, że nigdy nie będzie po wszystkim.

– To po co walczymy?

– Żeby walczyć – odparł od razu jakby bez zastanowienia. Tak naprawdę zastanawiał się już nad tym niezliczoną ilość razy i już wielokrotnie utwierdzał się w swoim przekonaniu. Najgorsze, co mogliby zrobić, to stać beczynnym. Dać przyzwolenie dla przekrętów, okradania społeczeństwa i potem kłamania im w żywe oczy, że nic złego się nie stało.

Umówili się na późniejsze spotkanie w Biurze, by obgadać nową strategię z chłopakami. Młody mógł jedynie liczyć na to, że tym razem komisarz nie udawał chęci współpracy i faktycznie weźmie się w garść. Może tego właśnie potrzebował najbardziej; obaj tego potrzebowali. Misji, określonego wroga, zadania do wykonania, aby nie mieć zbyt wiele czasu na myślenie o swoich ostatnich porażkach. Komisarz Berg wszedł do budynku CBŚP. Wepchnął się do załadowanej po brzegi windy. Nie czuł się na siłach, żeby iść schodami. Podczas wysiłku fizycznego robiło mu się niedobrze. Z tyłu przecisnął się do niego Brocki.

– Co ty tu, kurwa, robisz? – zapytał szeptem przełożony.

– Dzień dobry, panie nadinspektorze. Wie pan, że najczęstszą przyczyną depresji wśród policjantów jest brak pracy?

– Co?

– No, to wpadłem, żeby pierdolca nie dostać. To się nazywa „zespół

szoku pourazowego”. Jak się nie ma stosownego zajęcia, zostaje tylko dziesiąte piętro.

Drzwi otworzyły się na drugim piętrze i komisarz wysiadł, życząc Brockiemu miłego dnia. Ten nie miał zamiaru dyskutować. Choć arogancka postawa podwładnego bardzo działała mu na nerwy, wolał widzieć go żywego niż rozpląszonego na miejskim chodniku. Berg od razu udał się do biura „Szakala”, gdzie czekali już na niego Mazur, Impuls, Chaber i Młody. Gdy wszedł, nikt nie odezwał się słowem. Mazur i Impuls nie widzieli się z nim od czasu wypadku. Pierwszy z nich zdobył się na uprzejme skinienie, Impuls z kolei wstał i ku zaskoczeniu obecnych (a Berga w szczególności) objął go jak syn ojca po długiej nieobecności. Przypomniał sobie widok zdewastowanego taurusa i uderzyło go poczucie cudu, że komisarz zachował życie i zdrowie. Pociągnął nosem, bo wzruszył się prawdziwie, po czym spojrzał mu w oczy.

– Znajdziemy gościa, który to zrobił. Przysięgam, Proca – zapewnił stanowczo.

– Oczywiście, że znajdziemy. Tylko nie rozklejaj się zanadto.

– Sorry, ale takie cuda nie codziennie się zdarzają.

– Teraz emocje na bok – wtrącił Młody. – Musimy wymyślić, jak to najlepiej rozegrać.

Berg przeszedł przez pomieszczenie i usiadł na metalowej szafce służącej przechowywaniu akt. Wyciągnął sobie papierosa i zapalił.

– Niewiele mogę ci teraz pomóc, Młody. Dobrze, że chociaż ciebie odblokowali...

– Masz jakiś pomysł, co możemy zrobić? – włączył się w dyskusję Chaber.

– W sumie to nawet nie wiem, od czego zacząć. Nie mogę ruszyć tam, gdzie skończyłem, bo to był ślepy zaułek. Trzeba to zrobić inaczej. Z innej strony.

Pogadam z Felińskim, może już coś znalazł w sprawie morderstw.

– Nawet jeśli coś wie – wtrącił Impuls – to ci nie powie. Nie zrozum mnie źle, to fajny koleś i dobry glina, ale przysługi traktuje jednostronnie.

– Prawda – potwierdził Mazur, grzebiąc coś w komputerze. – Kiedyś poprosił mnie o wszystko, co mieliśmy na Borysa, tego od Wilka, co

dojechał Żużla; dałem. A jak miesiąc później poprosiłem o wyniki sekcji zwłok takiego jednego, co to go Fela dostał w przydziale, to bardzo grzecznie kazał mi spierdalać.

– Czekaj! – przeciągle przerwał mu Impuls – To ty się tak naszymi aktami porządziłeś? My tu, kurwa, równo wszyscy harujemy, a ty innym naszą paszę rozdajesz za free?

– Wyluzuj, Impuls. Miałem dobre intencje.

– Jebać twoje intencje!

– Możemy to zrobić od strony Żoliborza... – powiedział nagle ze spokojem Berg. Wszyscy jakby zapomnieli na moment o jego obecności, bo ten po swoim zamknął się w swoich myślach i wyłączył na chwilę z rzeczywistości.

– Co masz na myśli? – zapytał Młody.

– Zaczniemy od właściciela klubu – Rafalskiego. Potrzebujemy tylko pretekstu, żeby go podejść i przesłuchać. Wystarczy do tego coś małego.

W „Magnezie” przez cały czas przewijają się działki. Haszysz, koks i ziolo. Część pochodzi od grupy żoliborskiej. Zostajemy więc na naszym polu. Wsadzimy okablowanego człowieka do lokalu. Na prywatnej sesji z tancerką podpuści ją tak, żeby zaproponowała stuff. Jak już towar wyląduje na stole, wejdziemy z czarnymi i zyskamy punkt zaczepienia.

– Kogo okablujemy?

– Mnie i Chabra już widzieli, więc jesteśmy spaleni. Zostaje Mazur i Impuls... – Wszyscy zgodnie orzekli, że Impuls będzie najlepszym człowiekiem to tego zadania. Kilka minut później Chaber zgłosił do prokuratury wniosek o realizację.

Jednostka czarnych czekała na sygnał do wejścia w bocznej przecznicy nieopodal klubu „Magnez”. Trzy volkswageny pomieściły w sobie piętnastu wyszkolonych do zadań specjalnych policjantów. Bliżej miejsca realizacji, naprzeciwko lokalu, zaparkował czarny mercedes sprinter. W jego wnętrzu mieściło się teraz centrum dowodzenia akcją. Berg, Chaber, Młody i Mazur siedzieli na tyłach wozu ze słuchawkami na uszach. Mazur regulował odbiór podsłuchu

noszonego przez Impulsa, który zbliżał się właśnie do „Magnezu”. Ubrał się nad wyraz dobrze, jak na siebie oczywiście. Ten zazwyczaj niedbale noszący się aspirant nie znał innych spodni od wytartych dżinsów ani innej koszulki od t-shirta. Tym razem założył prosto skrojone czarne spodnie i białą koszulę. Na nogach miał jasne, nowe najki. Szedł ulicą pewnym krokiem, trzymając obie ręce w kieszeniach, i mówił półgłosem:

– Mam nadzieję, że dobrze mnie słyszycie, miśki. Powinniśmy częściej robić takie akcje. Człowiek ma przynajmniej okazję, żeby się jakoś odpicować. Dzisiaj pachnę jebanymi dolarami. Ciuchy, alko i dupy na koszt firmy – raj na ziemi. To był genialny pomysł, Proca, najlepszy, jaki w życiu miałeś.

Wszedł do środka i znalazł się w swoim upragnionym raj. Przechodząc przez lokal w kierunku baru, przyglądał się tańczącym dziewczynom. Nie spieszył się, przystawał to tu, to tam. Dawał szansę wszystkim paniom, żeby go zauważyły i rozpoznały jako młodego bogacza, który z pewnością zapłaci za prywatny taniec oraz prawdopodobnie za działkę też. Kiedy w końcu usiadł przy barze i zamówił jeden z najdroższych trunków, nie musiał długo czekać na towarzystwo. Przysiadła się do niego jedna z dziewczyn. Siedziała wyprostowana, co dodatkowo podkreślało jej wysoki wzrost. Zarzuciła długimi, rudymi włosami i przywitała się z uśmiechem:

– Cześć, mogę się przyłączyć?

– Hej! No pewnie. Czego się napijesz? Nie, poczekaj, zgadnę! – Zmierzył ją wzrokiem od szpilek po czubek głowy, po czym ocenił: – Ty jesteś inna. Kobieta z klasą...

– Co za bajerant! – rzucił Mazur, przysłuchując się rozmowie.

– Słuchaj, może się czegoś nauczysz – odparł Chaber. Berg zmarszczył brwi i uciszył ich przeciągłym „ciiii...”. Impuls kontynuował rozmowę.

– Whisky z colą?

– Bardzo trafnie! – przyznała dziewczyna, uśmiechając się szeroko. Zamówił jej drinka i patrząc na nią lekko przymrużonymi oczami, powiedział:

– Za najpiękniejszą kobietę w klubie!

– Tak myślisz?

– Przyjrzałem się kilku twoim koleżankom i znalazłem w nich duży deficyt piękna.

Dziewczyna roześmiała się szczerze, łaskotała ją ego i z coraz większym zaufaniem traktowała nowego klienta. Po kilku minutach skończyli pić i zapytała:

– Tutaj jest trochę tłoczno, może masz ochotę na spotkanie sam na sam?

Zatańczę tylko dla ciebie.

Impuls spuścił głowę, przetarł twarz dłonią i uśmiechnął się nieśmiało.

– Nie chcę żebyś to źle odebrała... Ze mnie szakał w tłumie, ale szczeniak w cztery oczy.

– Jesteś nieśmiały? Nie bój się mnie, nie ugryzę. Chyba żebyś chciał – dodała szeptem. – Możemy się napić jeszcze jednego dla odprężenia.

– No dobrze, choć alko trochę mnie nuży.

– Wiesz co, może znajdę coś innego, co cię rozluźni i nakręci jednocześnie.

Chodź... – Złapała go za rękę i poprowadziła do pokoju dla indywidualnych gości. Mazur kręcił głową z niedowierzaniem. Nie miałby pojęcia, jak rozegrać podobną sytuację, i szczerze podziwiał teraz Impulsa.

– Jak tak dalej pójdzie, to po tej realizacji będziemy mieli wesele.

– Ciii... – powtórzył Berg z irytacją i aspirant pochylił się nad regulatorami.

Tymczasem, Impuls w towarzystwie rudowłosej tancerki usiadł na czerwonej kanapie w prywatnym pomieszczeniu. Dziewczyna przeprosiła za formalności i poprosiła o zapłatę z góry. Aspirant wydobyl z portfela pięć setek. Wręczył pieniądze i podrapał się po głowie zakłopotany.

– Nigdy wcześniej nie miałem prywatnego tańca! Wiesz, ja... może jednak wrócę się po jeszcze jednego szota.

– Nie, zaczekaj! – zawróciła go, gdy próbował zbliżyć się do drzwi. Złapała go delikatnie za rękę, dodając: – Mam coś lepszego... Poczekaaj tutaj.

Wyszła na moment z pokoju tylnymi drzwiami. Oficerowie

przysłuchujący się rozmowie wyteńczyli uwagę. Po chwili dziewczyna wróciła z saszetką białego proszku.

– Czytasz mi w myślach... – powiedział Impuls, zacierając ręce, po czym dodał nieco głośniej: – Śnieżka na stół i zaczynamy imprezę!

– To sygnał – rzucił Proca, a Chaberski przekazał do krótkofalówki wiadomość:

– Wchodzimy, panowie!

– Zrozumiałem – padło z głośnika.

Wozy jednostki taktycznej podjechały pod klub, policjanci weszli do środka głównym i tylnym wejściem. Bez hałasu czy forsowania, sprawnie skierowali się prosto do prywatnych pomieszczeń. Te otwarto jednocześnie, szturmem. Wylegitymowano i spisano klientów, zatrzymano pracowników i przewieziono ich do tymczasowego aresztu przy Rakowieckiej. Berg i Młody przeczekali całą akcję na zewnątrz – nie mieli prawa brać w niej czynnego udziału. Oficjalnie w ogóle ich tam nie było. W lokalu znaleziono niewielką ilość narkotyków – kilkanaście dilerek, których łączna waga nie przekroczyła nawet stu gram. Było to jednak wystarczająco, żeby zamknąć lokal na jakiś czas, przetrzymać jego pracowników i zdobyć pretekst do rozmowy z właścicielem.

„Wrócimy z nakazem”

– st. asp. Kacper Chaberski (ps.Chaber)

Oficjalnymi kanałami Chaber starał się o nakaz aresztowania, a przynajmniej zatrzymania Tadeusza Rafalskiego – właściciela „Magnezu”. Berg nie miał możliwości mieszać się w dochodzenie, a Młody mógł jedynie liczyć na współpracę ze strony pana Rafalskiego i poprosić go o rozmowę w sprawie zmarłej kilka tygodni temu informatorki. Dodatkowo, komisarz Feliński wykazał znaczne zainteresowanie byłym pracodawcą zamordowanej kilka dni temu Zuzanny Ostrowskiej. Wiadomym było, że pan Rafalski, z uwagi na posiadany majątek, jest człowiekiem wpływowym i nienaiwnym. Nie zacznie od tak po prostu współpracować z policją, kopiąc tym samym własny grób. Jedynym wyjściem było osaczenie go – z każdej możliwej strony – i napieranie, aż uzna, że jedyną drogą ratunku jest właśnie współpraca. Oficerowie postanowili więc połączyć siły. Jeszcze tego samego dnia, kiedy przeprowadzono realizację w klubie „Magnez”, Chaber i Impuls przyjechali przed północą do domu Tadeusza Rafalskiego. Poinformowali go o zaistniałej sytuacji. Właściciel, tak jak się spodziewali, okazał całkowite zaskoczenie, a nawet zatroskanie.

– Nie mogę odpowiadać za swoich pracowników, aspirancie Chaberski – tłumaczył się milioner. – Towar, który znaleźliście, był z pewnością ich prywatną sprawą.

– Panie Rafalski, odpowiada pan jednak za to, co dzieje się na terenie pańskiego lokalu, prawda? A zatrudniona przez pana dziewczyna zaproponowała klientowi zakup działki kokainy. Towar leżał już na stole, kiedy weszliśmy.

– W ogóle to na jakiej podstawie weszliście do klubu? I skąd wiecie, że nie był to towar klienta?

– To nie jest teraz istotne, panie Rafalski. Proszę mieć jednak pewność, że potrzebne dowody przedstawimy przed sądem.

– À propos sądu... Macie, panowie, jakiś nakaz zatrzymania czy coś? Bo jeśli nie, to musicie mi wybaczyć, ale jest już dość późno, a ja mam ważne spotkanie z samego rana.

– Rozumiem. Nie chce pan teraz rozmawiać... Wrócimy z nakazem.

– Z pewnością.

Na tym skończył się pierwszy kontakt Tadeusza Rafalskiego z policją. O siódmej rano, kiedy milioner krzątał się jeszcze po domu w szlafroku, do bramy wjazdowej zadzwonili Berg i Młody. Wrota rozsunęły się płynnie. Otworzył im zaspany mężczyzna z kubkiem kawy w dłoni.

– Słucham?

– Dzień dobry, panie Rafalski. Komisarz Alan Berg z Centralnego Biura Śledczego, wydział narkotykowy, a to podkomisarz Julian Sikorski. Możemy zająć panu kilka minut?

– Wiecie, panowie, która godzina?

– Pan płaci uczciwie podatki, a my pracujemy z samego rana.

– Tak. Berg? O ile mi wiadomo, pan jest zawieszony w obowiązkach służbowych.

– Mhm, ale on nie jest – odparł komisarz poważnie, ukrywając zdziwienie poinformowaniem, którym popisał się Rafalski, i wskazał na Młodego. Ten wysunął się krok do przodu i pokazał legitymację.

– Centralne Biuro Antykorupcyjne. Miesiąc temu zamordowano pana byłą pracownicę – Izabelę Koladę. Pracowała również dla nas, jako informator w dochodzeniu o korupcje rządowe. Chciałbym zadać panu kilka pytań.

– Pan wybaczy, ale ja nie zatrudniam dziewczyn osobiście – mój menadżer to robi – tak że jej nie pamiętam. Ale jak ją zamordowano, to już dla mnie nie pracowała, tak?

– Zgadza się, jednak podejrzanym jest klient pańskiego klubu.

– Dobra. Wejdźcie. Tylko nie mam za dużo czasu.

Przekroczyli próg pięknie zaprojektowanego i elegancko wyposażonego domu. Każdy jego kąt krzyczał, że gospodarz jest milionerem. Perskie dywany zdobiły podłogi, na każdej ścianie wisiały unikalne dzieła sztuki, świeże kwiaty wypełniały niefunkcjonalne

fragmenty przestrzeni. W eterze unosiły się słabe dźwięki radia. Gospodarz wprowadził oficerów do środka i przeszedł z nimi do kuchni.

– Kawy?

– Nie, dziękujemy – odparł Młody.

– Nie jadłem jeszcze śniadania, więc jeśli panowie pozwolą...

– Proszę się nami nie przejmować.

Rafalski nie przejmował się. Otworzył lodówkę i zaczął przygotowywać sobie kanapki. Policjanci usiedli przy kuchennej wysepce i Młody podjął rozmowę.

– Ta dziewczyna, Iza Kolada, była ulubioną tancerką posła Tarkowskiego, który dość często wpadał do klubu.

– Z tego, co wiem, zaglądają tam wpływowi ludzie. Dlatego to lokal na poziomie. Chciałem stworzyć takie miejsce odprężenia dla ludzi pracujących ciężko w służbie publicznej...

– Szczytny cel – wtrącił Berg.

– Wiemy, że pani Kolada kontynuowała znajomość z posłem Tarkowskim, kiedy zwolniła się z klubu.

– To czemu nie gadacie o niej z posłem?

– Wszystko w swoim czasie, panie Tadeuszu – zapewnił komisarz.

– Chodzi jeszcze o kogoś. Poseł Tarkowski przychodził do klubu w towarzystwie innego mężczyzny. Podobno pan go zna.

Rafalski lekko parsknął śmiechem.

– Skąd macie takie informacje?

– Od pańskiego menadżera – wprost wypalił Berg, czym zgasił ironiczny uśmiech z twarzy milionera.

– Pamiętam, że Tarkowski z kimś tam przychodził, ale nie znam jego nazwiska. Nie rozmawiałem z nim nigdy. Koleguję się z posłem, ale z tym drugim nie. Przepraszam, panowie, ale jestem już nieco spóźniony i naprawdę nie wiem, jak mógłbym wam jeszcze pomóc. Zaraz żona i syn się obudzą, nie chcę niepotrzebnie niepokoić ich wizytą policji.

– No cóż – zaczął Proca, podnosząc się z krzesła. – W takim razie przepraszamy za najście. I dziękujemy, że w ogóle nas pan ugościł. Gdyby jednak coś się panu przypomniało, cokolwiek, albo potrzebowałyby pan pomocy ze strony policji... Proszę się nie wahać i

zadzwoń. – mówił ściszym głosem.

W spojrzeniu miał pewną dwuznaczność, którą Rafalski, słusznie, odczytał jako zaproszenie do współpracy. Nierzadko otrzymywał podobne propozycje. W końcu jako człowiek o zasobnym portfelu mógł sownie wynagrodzić niejedną przysługę. Berg podał mu do ręki swoją ostatnią wizytówkę, uściśnął mu dłoń i chwilę potem wraz z Młodym wyjechali z posesji milionera. Pięć godzin później pan Tadeusz Rafalski zakończył służbowe spotkanie z dwoma inwestorami, chcącymi przyłączyć się do nowego interesu mającego dostarczyć do ich portfeli kilka dodatkowych milionów. Spotkanie odbywało się w biurowcu w centrum biznesowym Warszawy. Milioner wynajmował w nim dwa pokoje, będące jego biurem przeznaczonym do spotkań bardziej formalnych. Właśnie rozmawiał ze swoją sekretarką, kiedy odwiedził go komisarz Feliński w towarzystwie swojego partnera – Meca.

– Panie Rafalski! – zaczął komisarz. – Feliński, Centralne Biuro Śledcze, wydział kryminalny.

– Znowu? Jezu, już rano odwiedziło mnie dwóch od was.

– Z kryminalnego?

– Nie, z narkotyków...

– To inna sprawa w takim razie. Porozmawiamy na osobności, czy mam mówić przy pani?

– Niech pan gada, czasu nie mam.

– Jak my wszyscy. Prowadzimy sprawę morderstw Izabeli Kolady i Zuzanny Ostrowskiej. Obie pracowały w pańskim klubie, zgadza się?

– Widocznie, skoro pan tak twierdzi... Ja nie znam tych dziewczyn.

– Panie Rafalski, Zuzanna Ostrowska została zamordowana sześć dni temu.

Jej głowę pozostawiono przed naszym biurem, pewnie słyszał pan o tym.

– Coś mi się obilo o uszy.

– Rozumie więc pan, że musimy pana przesłuchać w tej sprawie.

– Jestem aresztowany?

– Nie jest pan aresztowany, jednak zaręczam, że w pańskim interesie będzie podjąć z nami pełną współpracę. Proszę pojechać z nami, musimy zadać panu kilka pytań.

– Co ja mogę wam powiedzieć, skoro ja w ogóle ich nie znałem, a w klubie rzadko bywam?

– Więc odmawia pan współpracy?

– Nie, no, pojedę...

Rafalski pożegnał się z sekretarką i poprosił, żeby zadzwoniła do adwokata, by poinformować go o wszystkim. Feliński zapewnił, że adwokat nie będzie potrzebny, bo to ani zatrzymanie, ani aresztowanie, lecz zwykła formalność i pomoc potencjalnego świadka w dochodzeniu. Milioner pojechał z nimi do Biura. Zamknęli go w pokoju przesłuchań. Czekał pół godziny, zanim Feliński i Mec do niego wrócili. Zadawali szereg pytań, które Rafalskiemu wydawały się nie mieć związku ze sprawą, jednak starał się odpowiadać na wszystkie. Oficerowie rozmawiali z nim zwięźle i rzeczowo, a trwało to godzinę. Po jej upływie znów pozostawiono go samego. Pół godziny później do Biura wpadł adwokat milionera i oświadczył, że bez żadnego nakazu to „mogą się w dupę pocałować” i jego klient nie musi tu siedzieć. Skarcił przy tym klienta za lekkomyślność i wyprowadził go z budynku. Była czwarta po południu, kiedy Rafalski wrócił do domu. Mimo dość wczesnej jeszcze godziny czuł się zmęczony, jakby był środek nocy. Nalał sobie szklankę brandy i rozsiadł się wygodnie w fotelu. Chwilę potem zadzwonił domofon, burząc namiastkę spokoju, jaką milioner zdołał odbudować. Podniósł się z siedzenia niechętnie i pomyślał, że może warto byłoby zatrudnić kogoś na wzór majordomusa, który trzymałby z daleka tych niepożądanych wizytatorów. Spojrzał na monitor domofonu i rozpoznał na nim dwóch oficerów policji. Nacisnął przycisk połączenia:

– Słucham?

– Panie Rafalski, zgodnie z obietnicą przyjechaliśmy z nakazem zatrzymania. Proszę otworzyć bramę.

Wrota wjazdowe rozwarły się i do domu milionera po raz kolejny weszli Chaber i Impuls. Od razu wręczyli mu sądowy nakaz zatrzymania pod zarzutem handlu narkotykami. Przeczytał go wnikliwie, a gdy zobaczył zbliżające się ku niemu kajdanki, sięgnął po kurtkę i powiedział:

– To nie będzie konieczne, panowie, przecież pójdę z wami.

– Takie są procedury – upomniał go Impuls – proszę nie stawiać

oporu.

– Jakiego oporu, kurwa... Tylko sugeruję.

Impuls założył mu bransoletki, przesuwał szczerbinki do granic.

– Trochę ciasno – skarżył się zatrzymany.

– Przecież nie będę pana teraz rozkuwał... Idziemy.

Bez ceregieli wsadzili go do wozu, zawieźli na Rakowiecką i zaprowadzili do pokoju przesłuchań. Tam Rafalski upomniał się o adwokata.

– Już go poinformowaliśmy – zapewnił Chaber. – Ma teraz rozprawę, więc trochę potrwa, zanim przyjedzie. Nie traćmy czasu. Jest pan zatrzymany pod zarzutem handlu narkotykami. Na terenie pańskiego klubu...

– Czy nie mówiłem wam już wczoraj, że ja niczym nie handluję?

– Słuchaj, skurwielu – przerwał mu Impuls, uderzając pięścią w stół.

Zatrzymany aż podskoczył. – My tutaj zadajemy pytania, jasne?! Odpowiadasz grzecznie – jedziemy dalej, a jak nie, zmienimy taktykę.

– Na jaką?

– Siłową, kurwa!

– Słucham? Taki głupi nie jestem... Znam swoje prawa!

Impuls zerwał się z krzesła, uniósł Rafalskiego za koszulę i docisnął go do ściany. Chaber pozostał nieruchomy na swoim miejscu. Jedynie lekko przekręcił głowę, spoglądając ukradkiem na lustro fenickie. Po drugiej stronie lustra stali Berg i Młody. Nieco się wzdrygnęli, widząc postępowanie Impulsa. Nawet komisarz był zaskoczony jego taktyką i pomyślał, że dobrze by było, gdyby milioner nie wystąpił po tym z żadną skargą na aspiranta, który przecież tylko wykonywał swoją robotę; swoją część większego planu.

– Twoje prawa ograniczają się teraz do odpowiadania na jebane pytania – wycedził przez zęby Impuls. – Jasne?!

– Tak...

– Siad! Kurwicy dostają, jak widzę te jebane kołnierzyki handlujące na boku prochami! Wiesz, kurwa, jak to ludziom życie niszczy?!

– Przykro mi, panie komisarzu...

– Aspirancie, kurwa!

– Panie aspirancie... Jakie było pytanie? – zwrócił się ponownie do Chabra.

– Zaczniemy od początku. Został pan zatrzymany pod zarzutem handlu narkotykami. Na terenie pańskiego klubu sprzedawano kokainę, haszysz i marihuanę. Posiadamy również informację, że niektóre z pańskich tancerek świadczyły usługi erotyczne za pieniądze...

– W sensie, że tańce erotyczne – to jest legalne.

– Dawają dupy, kurwa! – wyprostował sprawę Impuls. Chaber nachylił się nad stołem, zbliżając się nieco do zatrzymanego, który próbował masować bolące od ucisku kajdanek nadgarstki, i wyjaśnił:

– Te „tancerki” to prostytutki. prostytutki handlujące dragami. Zamkniemy panu lokal i wtedy zobaczymy, czy nadal będzie pan milionerem.

Rafalski patrzył na niego wielkimi oczami. Przełknął ślinę i cicho wycedził:

– Mam prawo wykonać telefon... Tak...?

Nagłe westchnienie wyrwało się z płuc Impulsa.

– Co ty, kurwa, myślisz, że to jakiś amerykański film? Nie masz żadnego prawa do telefonu! Będiesz gadał z nami, albo przyjebię ci tak, że ci ten kłamliwy jęzor dupą wyjdzie!

– Poczekaj – wtrącił Chaber, kładąc dłoń na ramieniu kolegi w uspakajającym geście.

Rafalski obserwował z uwagą moment napięcia między partnerami. Z wielką ulgą zauważył, że Impuls wyjmując z kieszeni telefon i kładzie go na stole. Zatrzymany wyciągnął ze spodni portfel, a z niego wizytówkę otrzymaną rano od Berga. Mrużąc zmęczone już oczy, wystukał na klawiaturze numer i trzęsącymi się rękoma uniósł aparat do ucha.

– Dobry wieczór, panie komisarzu... – zaczął. – Tak, tak, Tadeusz Rafalski z tej strony. Wspominał pan, że w razie kłopotów mogę do pana zadzwonić, więc pomyślałem, że zadzwonię. Jestem teraz w areszcie... Tak, przy Rakowieckiej właśnie. I przesłuchuje mnie dwóch oficerów. Nie, nie, bardzo mili są, tylko chyba liczą, że mogę im powiedzieć coś więcej, niż faktycznie mogę. Nakaz? Tak, mieli nakaz zatrzymania. Czterdzieści osiem godzin? Kurwa, ja tu tyle nie wytrzymam...

Słucham? Tak? Spróbuj pan? Dobrze. Tak, to poczekam.

– Zadowolony? – zapytał Impuls, zabierając zatrzymanemu telefon.

– Tak, dziękuję bardzo.

– Czy możemy już kontynuować?

Rozmawiali jeszcze kilka minut. W tym czasie, w pokoju obok, Młody zapytał szeptem:

– Wiesz, że on siedzi po uszy w tych dragach?

– No, wiem – przyznał Berg.

– Szkoda go teraz puszczać. Druga okazja...

– Takie szuje jak on nie mogą się powstrzymać. Dalej będzie kręcił interesem. Może z początku to trochę przycichnie, ale po jakimś czasie wszystko wróci do normy.

– Nie pogorszy to sprawy Żoliborza?

– Nie. W naszym interesie jest, żeby „Magnez” działał normalnie jak dotąd.

To dobry rynek zbytu dla żoliborskiej. Najwyżej sprawa trochę się przeciągnie.

Morderstwa to teraz ważniejszy temat.

– Wchodzisz?

– Tak.

Impuls zaczął ponownie krzyczeć na przesłuchiwanego, kiedy do pokoju wszedł komisarz Berg. Aspiranci udawali niezmiernie zaskoczonych nagłym wejściem intruza, jednak okazywali mu pełen szacunek. Posłusznie wyszli z nim z pomieszczenia i już do niego nie wrócili. Na korytarzu pan Włodek opróżniał kosze na śmieci. Komisarz, odczekawszy krótką chwilę, wszedł z powrotem do pokoju. Rozkuł kajdanki i przeprosił za niedogodności.

– Napije się pan herbaty, kawy?

– Kawy, jeśli można...

– Oczywiście. – Komisarz wyjrzał z pokoju i poprosił kogoś o mocną kawę.

Ta została przygotowana nad wyraz szybko i sprawnie dostarczona do pokoju przesłuchań. Rafalski upił łyk z poczuciem ulgi i wdzięczności. Berg patrzył na niego ze współczuciem swoimi dobrymi oczyma i z pełną szczerością w głosie powiedział:

– Panie Tadeuszu, ja z chęcią panu pomogę, ale musi pan ze mną jakoś współpracować.

– Ile pan chce?

– Nie ile, ale co. Interesują mnie informacje.

– A! Pan z „tych”! – Pomyślał przez moment i po chwili dodał: – Pytał pan o tego faceta, który z Tarkowskim przychodził... To panu powiem, co wiem.

I czego nie wiem – też... Mówiłem prawdę, że go nie znam. Nie mam też pamięci do twarzy, ale cały monitoring z klubu przecież macie, to sobie go sprawdzicie. Wiem tylko, że ten gość to od was jest, to znaczy z policji, i że z Tarkowskim robi interesy. Wymiana przysług, wie pan, ale na wysokim poziomie. Alek się chwalił, że gość za niego sobie ręce brudzi. – Komisarz słuchał nadal niewzruszony, lecz w jego głowie rozpętała się burza. Podobne poruszenie panowało za lustrem fenickim, gdzie przysłuchujący się dyskusji oficerowie patrzyli na siebie z niedowierzaniem. Rafalski kontynuował: – Poseł ustawia przetargi, tamten pomaga zakładać lewe firmy budowlane, odwała brudną robotę i osłonę przeciw psom... Policji to znaczy. To tyle, komisarzu, przysięgam...

– A te narkotyki, co w „Magnezie” znaleźli?

– Wie pan, jak jest... Każdy próbuje zarobić, ja tym dziewczynom na ręce nie patrzę, ale dobrze im płacę i raz do roku wysyłam na wakacje do Meksyku.

Opalą się naturalnie, zrelaksują...

– Rozumiem. Dobrze, że pan do mnie zadzwonił...

Drzwi pokoju otworzyły się z trzaskiem. Do środka wpadł adwokat Rafalskiego.

– A wy zawsze, kurwa, po swojemu! – krzyknął na komisarza. – Zero szacunku dla praw obywatela! Powiedział im pan coś?

Milioner zawahał się i zapowietrzył, toteż Berg odpowiedział za niego spokojnym tonem.

– Pan Rafalski współpracował z nami jak przykładowy obywatel.

– W dupę sobie wsadźcie tę współpracę. Proszę się nie martwić, nic, co zostało tu powiedziane bez mojej obecności, nie jest prawomocne.

– Słusznie, panie mecenasie – przyznał Berg, wychodząc z pokoju. Tego dnia nie kontynuowano już przesłuchania. Milioner mógł przesiedzieć resztę swoich czterdziestu ośmiu godzin w areszcie tymczasowym, lecz wolał wpłacić zaproponowaną kaucję i

wymęczony wrócił do domu.

Po zakończeniu przesłuchania policjanci zebrali się w małym gronie na korytarzu. Żaden z nich nie spodziewał się takiego obrotu spraw. Jeśli za morderstwa odpowiadał pomagier Tarkowskiego, oznaczało to, że mieli pośród siebie nie tylko zdrajcę, ale również zabójcę. Rozważyli możliwość, że Rafalski kłamał – rzucił im fałszywy trop, żeby się pogubili, patrzyli nie tam, gdzie trzeba.

Jednak Berg uważał, że ta układanka zaczyna mieć sens.

Feliński wspominał, że morderca wyczyścił możliwe ślady tak, jakby wiedział, czego policja będzie szukała. Dodatkowo cały proces obserwacji komisarza – wykonane zdjęcia, którymi szantażował go poseł – i to, jak potraktowano i zastraszone Młodego, przywoływało na myśl metody działania służb. Laik by tego nie zorganizował, to musiał być ktoś odpowiednio przeszkolony, rozeznany w tematach kryminalnych. Pozostawało jeszcze rozwikłać kwestię wadliwych hamulców w taurusie. Czy za tym również stał ów „policjant”? Jakim człowiekiem musiałby być, żeby pełnić służbę, próbował zabić kolegę po fachu? A może za tymi wszystkimi sprawami stały różne osoby? Policjanci zadawali między sobą wiele pytań. Większość – retorycznych. Ich gadanina wydawała się jedynie podkreślać atmosferę i działała Bergowi na nerwy. Poczuł, jak podnosi mu się ciśnienie i zaczyna tracić panowanie nad sobą. Bez słowa oddalił się korytarzem. Po drodze kopnął stojący pod ścianą niewielki kosz na śmieci. Pojemnik omal nie dotknął sufitu.

– Może powinien jechać do domu? – rzucił niepewnie Feliński, spoglądając na Młodego.

– To właśnie ostatnie, czego teraz potrzebuje.

„Ja już czasami nie mam siły”

– kom. Alan Berg (ps. Proca)

Inspektor Tyszka wypatrzył Berga na korytarzu. Sama postawa komisarza zdradzała mu parszywy nastrój, w jakim się teraz znajdował. Stał sam na korytarzu, obojętny wobec mijającego go tłumy urzędników i policjantów. Otulił się ciasnym uściskiem własnych ramion i nieprzerwanie patrząc przez okno, intensywnie nad czymś dumał. Przełożony wsunął obie dłonie do głębokich kieszeni spodni, po czym podszedł bliżej.

– Widzę, że nie do końca respektujesz warunki zawieszenia.

Z początku odpowiedzią było wyłącznie milczenie. Zastanawiał się, czy Berg w ogóle go usłyszał. Gdy przestawał już oczekiwać jakiegokolwiek reakcji, komisarz otworzył usta.

– Staram się, Filip, ale chłopaki potrzebują czasami dobrej rady. Kierunkowskazu.

– Miej na nich oko, co? Radzą sobie dobrze, ale z Chaberskiego lidera nie będzie. Przez te trzy miesiące, jak cię nie było, robota stała im w miejscu.

– Porządnie uzupełnili kartoteki.

– Tak, ale nikogo nie zamknęli, a statystyki nam lecą.

Berg wywrócił oczami.

– To nie efekt nieporadności, tylko lojalności. Kazałem im czekać.

– Mniejsza z tym! Miałem właśnie do ciebie dzwonić. Brocki chce cię zobaczyć.

Komisarz wyprostował się, biorąc głęboki wdech. Pomyślał, że za kilka minut albo w pełni wróci do swoich obowiązków, albo zostanie zwolniony i prawdopodobnie czeka go wtedy proces karny.

– Alan, dobrze się czujesz? – Pytanie to usłyszał, jakby sam znajdował się pod powierzchnią wody. Spojrzał na inspektora, który

bacznie mu się przyglądając, oczekiwał odpowiedzi. – Jesteś błąd jak kreda. Chcesz usiąść? Co ci powiedział lekarz?

– Wszystko w porządku – zapewnił komisarz tonem tak obojętnym, że Tyszka nie mógł przyjąć jego słów za prawdę. Nie miał jednak szansy kontynuować dyskusji, ponieważ Berg wyminął go i ruszył w stronę biura Brockiego. Szef zaczął bez zbędnych wstępów.

– Przyszły wyniki wariografu. Siadaj.

Usiadł, choć wolałby stać, noga drgała mu nerwowo. Nadinspektor kontynuował:

– Dobrze poszło. To tylko wariograf, ale prokuratorowi na razie tyle wystarczy. – Otworzył szufladę biurka i wyciągnął z niej legitymację oraz broń komisarza: – Szmata, proca. Gratuluję, wracasz do służby. Ale to nie koniec.

Feliński potrzebuje twoich zeznań, powiesz mu, że Ostrowska była twoim informatorem, że pieniądze dawałeś jej za temat, a różniłeś ją później... z miłości.

– Tak właśnie było, mniej więcej...

– Nadepnąłeś komuś na odcisk, Berg. Technicy zbadali twój wóz, hamulce były przecięte.

– Wiem, moja grupa już się temu przygląda.

– Nie możesz być śledczym we własnej sprawie...

– Szefie, z całym szacunkiem dla pana i Biura, ale wiemy, że w całą tę sprawę zamieszany jest ktoś z wewnątrz. Niech mi pan więc powie – komu mogę zaufać?

– Z wewnątrz? Z Biura? Skąd...

– To świeża informacja. I nie powiedziałem, że to ktoś z Biura.

– Nawet jeśli tak jest, nie możemy popadać w paranoję. Michał Chmielewski się tym zajmuje, on czasami współpracuje z Felińskim, dogadują się, więc wszyscy teraz jecie z jednej miski. Ja pierdolę, co to się z tego robi... Miałeś zajmować się Żoliborzem, narkotykami, a teraz jakieś morderstwa, korupcje, zamieszani politycy, służby...

– Jak się śledzi narkotyki, znajduje się diler, szefie. Jak się śledzi pieniądze... nigdy nie wiadomo, gdzie to nas zaprowadzi. Wkrótce będziemy mieli wszystkie odpowiedzi.

– Mam nadzieję. Podziękuj grzecznie prokuratorowi, że już się odpierdolił.

– Tak zrobię.

Zaraz po opuszczeniu biura nadinspektora Brockiego Berg zadzwonił do Właszczyka. Zapytał wprost, dlaczego dał za wygraną, przecież jasne było, że na początku chciał trzymać komisarza na dystans w tej sprawie.

– Wiesz, Berg – zaczął prokurator – kiedy egzorcyzmy nie działają, szatan siedzi cicho, ale kiedy działają, wrzeszczy wniebogłosy. Oni chcieli cię usunąć, a to znaczy, że zaczynają się bać. Sikorskiemu przyda się pomoc. Zapuszczajcie tych skurwysynów.

Prokurator był człowiekiem konkretnym i upartym, ale niezbyt odważnym. Jego pewny siebie ton mógł świadczyć, że miał dosyć. Dostyć przymykania oczu na korupcję, dostyć życia w ciągłym strachu i niepewności o to, czy prawda o przeszłości wyjdzie na jaw. Berg przeczuwał, że motywacja Właszczyka leży gdzie indziej; w czystym relatywizmie. Chciał trzymać z wygranymi i widocznie podejrzewał, że wygraną będzie sprawiedliwość.

– Z monitoringu nic nie będzie – przez telefon zapewnił Mazur. Jego głos zdradzał głębokie rozczarowanie. Za jego plecami siedział jeden z pracowników „Magnezu”, tłusty, a nawet obleśny Ormianin o zaczerwienionych spojówkach.

Wlepiął wzrok w ekran z monitoringiem i przewijał nagranie w przód i w tył, udając, że czegoś szuka.

– Dlaczego?

– Chaber, jak długo, myślisz, trzymają nagrania? Trzy dni. Starsze kasują.

A Tarkowski nie bywa w klubie od tygodni.

Starszy aspirant podziękował za informację i rozłączył się. Miał ochotę cisnąć telefonem o ścianę. Nie mieli nic. Obecny w pokoju Impuls patrzył na niego badawczo. Wyczekiwał wyjaśnień, skąd te nagłe nerwy, lecz Chaber, zamiast wyjaśnić, wyszedł. Dopadało go poczucie bezsilności, które próbował odeprzeć.

Zapukał agresywnie do biura Felińskiego i nie czekając na zaproszenie, wparował do środka.

– Chaberski? Coś nowego?

– U nas nic. Monitoring kasują co trzy dni, więc Tarkowskiego na nim nie zobaczymy.

– Tego drugiego też nie.

– Po śmierci Ostrowskiej miałeś dostęp do ich zapisu. Musiałeś widzieć, z kim wychodziła.

Feliński wstał zza biurka. Puścił płazem pretensjonalny ton starszego aspiranta, rozumiał jego zdenerwowanie. To udzielało się im wszystkim.

– Widziałem – przyznał po chwili, podchodząc do okna, by zaczerpnąć nieco świeżego powietrza. – I nawet powiem ci, co widziałem. Dziewczyna weszła do klubu tylnymi drzwiami. Musiała wyjść na fajkę, bo pod płaszczem była ubrana... wiesz, „służbowo”. Usiadła przy barze i minutę później dosiadł się do niej facet.

Dobrze zbudowany, wysoki, skórzana kurtka, bejsbolówka na głowie. Kamerę mają chujową, ale i tak można było zauważyć, że uśmiechnęła się do niego. On szepnął jej coś do

ucha i uśmiech zniknął. Wyprowadził ją tylnymi drzwiami tak, że ani razu nie pokazał gęby w nagraniu.

– Nikogo ci nie przypominał?

– Wyglądał jak połowa znanych mi policjantów.

– Która to była godzina?

– Wyszli dokładnie o dwudziestej pierwszej dwadzieścia cztery.

– Mówiłeś o tym Procy?

– Nie, zgłupiałeś, czy co?!

– Dlaczego?

– Człowieku, przecież on piętnaście minut przed tym z nią rozmawiał.

Spotkali się, bo była jego informatorem; na tyłach klubu, na parkingu, z którego odjechał o dziewiątej dwadzieścia! Nie wiedziałeś, co?

Słuchaj, Chaberski, ja widzę, że ty jesteś dobry chłopak i zależy ci, żeby to wyjaśnić. Ale uwierz, że mi też zależy. Proca mnie czasami wnerwia, ale to bliski kolega i prędzej zdechnę, niż przeoczę cokolwiek ważnego dla sprawy, rozumiesz?

– Rozumiem. Przepraszam, że tak cię naszedłem. Po prostu...

– Wiem, nie musisz się tłumaczyć.

Feliński poklepał go po ramieniu. Dosłownie i w przenośni. Przynajmniej ten odsłonił przed nim ziarno prawdy. Chaber nie

spodziewałby się usłyszeć od Procy szczegółów o Ostrowskiej. Komisarz nigdy nie wyjawiał mu tożsamości swoich informatorów. A jednak, ten brak otwartości czasami mu doskwierał. Bolał, bo był dla niego świadectwem braku zaufania. Proca siedział u siebie. Sam. Wzrok miał wlepiony w okno. Na stole leżały legitymacja i glock. Chaber zawahał się, czy powinien wejść. Wkurzało go to ciągłe czajnikowanie się z przełożonym. Przecież Proca zwał mu na głowę cały Żoliborz! I to dwukrotnie. To chyba dało Chabrowi jakiś status przywódczy i prawo do wymagania rozmowy! Złapał za klamkę i wszedł do środka.

– Cofnęli zawieszenie, to świetnie – zaczął pewnie i usiadł po przeciwnej stronie biurka.

Komisarz nawet na niego nie spojrzał. Przeniósł tylko wzrok z okna na podłogę i wyglądał, jakby nawet nie próbował szukać słów. Postarzał się i schudł przez kilka ostatnich dni. Nie był sobą a Chaber w końcu rozumiał dlaczego. Wstał, chwycił jedno z krzesel i przeniósł je naokoło biurka, by usiąść tuż przed samym Bergiem. Dopiero wtedy złapali kontakt wzrokowy.

– Pierwszego dnia – zaczął starszy aspirant spokojnym tonem – w którym zacząłem tę robotę, przywitałeś mnie słowami: „ten nie wytrzyma miesiąca”.

Powiedziałeś to do Tyszki, ale na tyle głośno, żebym dobrze cię usłyszał. Pomyślałem wtedy, że jesteś skurwysyn i że będę miał z tobą ciężko. I miałem. Z tobą, Impulsem, nawet Mazur próbował mnie z początku wygryźć. Nie znaliście mnie jednak w ogóle. Ty mnie nie znałeś na tyle, żeby ocenić. Nie wiedziałeś, że trafiłeś na równie upartego skurwysyna, jakim sam jesteś. Postanowiłem już wtedy, że zrobię ci na złość i wytrzymam wszystko, co mi zgotujecie. Wszystkie te wasze głupie testy, docinki... i wytrzymałem. Już pięć lat. Pamiętasz naszą pierwszą sprawę? Grupa ekstazowa? Handlowali dragami, dosypywali prochy dziewczynom na imprezach i porywali dla okupu. Ostatnią porwaną była prostytutka. Rozbiliśmy grupę, ale nie znaleźliśmy dziewczyny. Brocki chciał machnąć na to ręką, bo jej rodzina już od początku powiedziała, że nie zapłaci okupu. Wstydzili się jej tak bardzo, że mogliby skazać ją na śmierć. Mimo że Brocki kazał odpuścić, mimo że rodzina miała ją w dupie, mimo że

porywacze siedzieli już w areszcie – ty się uparłeś! Chciałeś szukać do końca. Nawet jeśli miałbyś znaleźć tylko trupa. Wtedy zrozumiałem, że jednak dobrze trafiłem. Nie do nadętego skurwysyna, a do cholernie uczciwego i upartego oficera. I znaleźliśmy ją. Żywą. Dopiąłeś swego na przekór wszystkim. Proca, ta robota to straszny syf i czasami się nam nie udaje. Po drodze ponosimy porażki. Bywa, że mamy dosyć, ale nigdy, nigdy się, kurwa, nie poddajemy, bo wiemy, po co to robimy, tak? Jak nie my, to kto?

– Chaber... – Odchrząknął i próbował opanować cisnące się do oczu łzy. – Ja już czasami nie mam siły. Nie mówiłem ci, ta dziewczyna...

– Już wiem.

Zdołał jedynie przytaknąć i zaraz potem, wraz z kilkoma łzami, wypłynęła z niego nagła fala emocji. Był to pierwszy raz, kiedy Chaber widział go w podobnym stanie. Każdego można złamać. Nawet Procę. Jednak nie każdy się po tym podniesie, a oni obaj wiedzieli, że po tej rozmowie wrócą do pracy. Do obowiązków. Zawziętego wykonywania zadań.

„Zbiegi okoliczności nie istnieją”

– st. asp. Kacper Chaberski (Chaber)

Wybiła dwudziesta pierwsza. Aspirant Bartek Mazurski zmęczonymi oczami przeglądał zapiski monitoringu z okolic domu komisarza Berga. Szukał momentu, w którym doszło do przecięcia hamulców w taurusie. W noc, w którą incydent miał miejsce, samochód zaparkowany był przed apartamentowcem, w miejscu poza widokiem kamer. Jednak na pobliskich ulicach Mazur odnalazł dziesięć innych. Musiał przejrzeć ściągnięte z nich zapisy z feralnej nocy. Od godziny dwunastej, kiedy Berg zaparkował wóz, aż do ósmej trzydzieści rano, kiedy jechał nim do pracy. Aspirant przeglądał już siódmy zapis monitoringu. Szukał czegokolwiek, co mogło wydać mu się podejrzanym. Dziwnego zachowania, znajomej twarzy. Tym trudniej szukało się tego „czegoś”, nie wiedząc, czym to „coś” ma dokładnie być. Pokój tonął w ciemności. Jedyne źródłem światła był ekran komputera. Spod zamkniętych drzwi szczeliną przeciskał się blask żółtej żarówki. Włał się pewnie do wnętrza, gdy do środka weszła Mira – dziewczyna, z którą aspirant dzielił swoje życie od trzech lat. Jej wejście nie przeszkodziło mu w dalszej pracy.

Oderwał się na sekundę, gdy postawiła obok niego kubek gorącej zielonej herbaty. Uśmiechnął się, dziękując, a ona lekko przytuliła jego głowę. Wtulił się w brzuch dziewczyny. Na poliku poczuł miły dotyk jej atłasowej bluzki.

– Długo jeszcze będziesz siedział? – zapytała tonem pozbawionym pretensji, choć nie lubiła, kiedy przynosił pracę do domu.

– Już niedużo mi zostało.

– Zostaw światło zapalone. – Włączyła stojącą na biurku lampkę. – To cię oczy nie będą bolały.

Siorbnał łyk zielonej herbaty, oglądając zapis z trzeciej czterdzieści

sześć w nocy z kamery obejmującej róg budynku mieszkalnego przy Pejzażowej. Z jednego brzegu kadru do drugiego szybkim krokiem przeszedł mężczyzna. Był średniego wzrostu, szeroki w barach, wydał się Mazurowi jakoś znajomy. Może dlatego, że miał posturę typowego gangstera. Rozglądał się na boki i kiedy spojrzał w kierunku kamery, aspirant zatrzymał nagranie. Powiększył widok twarzy delikwenta. Ten pozostawał nieco niewyraźny, ale wprawione już oko policjanta zdawało się odkodować brakujące piksele obrazu. Był pewien, że widział gdzieś tę twarz i to niedawno. Miał rację. Jeszcze kilka dni temu wprowadzał go do systemu po tym, jak z Impulsem uzupełniali kartoteki, jeżdżąc po mieście i robiąc zdjęcia gangsterskim nowicjuszom. Wklepał dane do systemu i wydrukował profil. Zerwał się. Pospiesznie założył buty.

– Wychodzisz? – zapytała Mira, splatając ręce na piersi.

– Muszę. Zadzwonię później! – Złapał kurtkę i wybiegł na korytarz. Na półpiętrze zawrócił i z powrotem wszedł do mieszkania. Mira już stała w przedpokoju z telefonem w dłoni. W podzięcie pocałował ją w polik, zabrał komórkę i wyszedł, pozostawiając ją w poczuciu bezradności. Nie łudziła się, że to się kiedyś zmieni. Zastanawiała się tylko, kiedy się w końcu do tego przyzwyczai. Mazur przyjechał do Biura. Prawie wszystkie okna w budynku były już ciemne. Jedynie w prawym jego skrzydle paliło się kilka świateł, między innymi w pokoju grupy „Szakał”.

– Znalazłem skurwiela od hamulców! – oznajmił aspirant, wpadając do środka. Zaprezentował wydruk.

– Kto to? – zapytał Impuls i przejął kartkę.

– Jarosław Sobiech, śledziliśmy go w zeszłym tygodniu, pamiętasz? Jak spotkał się z miśkami z Żoliborza i potem pojechał do domu przy Radosnej.

– I co?

– Znalazłem go w zapisie monitoringu przy domu Procy! Zbieg okoliczności?

– Takie zbiegi okoliczności nie istnieją – ocenił Chaber.

– Tylko że nie widać na zapisie, jak grzebie przy wozie.

– Nieważne, jest podejrzaną osobą – w złym miejscu o niewłaściwym czasie.

Chodziło o zamach na oficera policji, za kilka minut będę miał nakaz. Impuls dzwoni do Berga i Feli. Mazur, idziesz ze mną. Komisarz Michał Chmielewski spędzał właśnie miły wieczór w restauracji „La Rouge”. Siedząca naprzeciw niego blondynka o ostrych rysach twarzy była oczarowana wystawnością miejsca, bukietem smaku potraw i galanterią swojego towarzysza. Poznali się zaledwie kilka dni temu w sklepie budowlanym. Od razu wydał się jej czarujący i konkretny. Nie potrzebowała od niego więcej. Czuli się teraz, jakby miała cały świat u swoich stóp. Rozmawiali o wszystkich cudownych miejscach, które podkomisarz odwiedził w życiu, i o wszystkich, które pragnie jeszcze zobaczyć (najlepiej w dobrym towarzystwie). Na ten wieczór plan miał prosty. Opróżnił butelkę wina, pojedą do jej mieszkania, z którego on ulotni się rano, zapewniając kłamliwie, że do niej zadzwoni. W kieszeni zaczął pobrzękiwać mu telefon. Ignorował go z początku, udając, że nic nie odciąga jego uwagi od głębokich oczu dziewczyny, jednak kiedy telefon zawibrował natarczywie już po raz drugi, wyciągnął go z kieszeni i zaskoczony odkrył, że wydzwaniali do niego między innymi Feliński, Berg i sam prokurator Właszczuk. „O tej porze?” – pomyślał zaniepokojony. Przeprosił towarzyszkę i wyszedł do toalety, żeby oddzwonić do prokuratora.

– Podkomisarzu Chmielewski, pół Biura pana szukało! Koledzy odwalili za pana robotę i znaleźli pańskiego „mechanika”. Godzinę temu wydałem im nakaz zatrzymania, nie wiem, czy poczekali na pana z wyjazdem, wątpię...

Komisarz poczuł jak jego tętno gwałtownie wzrosło. Próbował skontaktować się z Bergiem i Felińskim, ale żaden z nich nie odbierał. Kiedy zadzwonił do Biura, dowiedział się, że obydwaj wyjechali już kilkanaście minut temu do domu podejrzanego. Wściekł się nie na żarty. Nie dość, że grzebali w jego dochodzeniu, to jeszcze nie poczekali. Co im zależało?! No, może i zależało, bo w sumie chodziło tu o gościa, który chciał skasować Berga, ale Misiek dobrze zajmował się sprawą. Rozwiązanie jej zajęłoby mu najwyżej kilka dni dłużej. Nie zamierzał zwlekać. Przeprosił dziewczynę za niezręczną sytuację, wyjaśnił pospiesznie, że musi jechać na realizację. Nie okazała zdziwienia ani złości. Była raczej pod wrażeniem. Uznała, że jest bohaterski i ważny, skoro policja nie poradzi sobie bez niego.

Podkomisarz przyrzekł, że zadzwoni, zostawił dziewczynie pieniądze na taryfę i dosłownie wybiegł z restauracji. Na miejsce akcji pojechał z kogutem na dachu, licząc, że kiedy dojedzie na miejsce, nie będzie jeszcze po wszystkim.

Oficerowie niewiele wiedzieli o Jarosławie Sobiechu. Jeszcze kilka dni temu nie figurował nawet w ich kartotekach. Nie uważali, że jest kimś znaczącym w półświatku. Z zaskoczeniem odkryli więc, że dom, w którym mieszkał, przypominał raczej willę milionera Rafalskiego niż mieszkanie czy dom przeciętnego przestępcy. Nie było ważne, jak niewiele wpływu miał na rozgrywanie mafijnych gier. Porwał się na czyn godny surowej kary – próbę zabójstwa oficera. Jakkolwiek mieli ochotę zademonstrować Sobiechowi, z kim zadarł, i wjechać do jego posiadłości, jak to mówili, „na pełnej kurwie”, wielkość oraz układ budynku oraz posiadłości im na to nie pozwalały. Musieli zastosować inną taktykę. Było przed dwunastą. Spodziewali się, że w środku zastaną Jarosława Sobiecha, jego dziewiętnastoletniego syna Marcina i żonę Krystynę. Liczyli się również z tym, że jak każdy szanujący się gangster, Sobiech będzie miał przy sobie broń. Budynek tonął w ciemnościach. Wszystko wskazywało na to, że domownicy położyli się już do łóżek. Uzbrojeni członkowie jednostki taktycznej, ubrani w kamizelki kuloodporne i kominiarki, bezszelestnie podeszli pod drzwi frontowe.

Nieco z tyłu trzymali się oficerowie Berg, Feliński i Sikorski oraz aspiranci Chaberski i Grabowski. Po uprzednim zdezaktywowaniu alarmu przez Mazura cicho otwarto drzwi wytrychami. Gdy weszli do środka, przystąpili do zabezpieczenia terenu, sprawdzając wszystkie pokoje po kolei. Dwunastu mężczyzn, w większości wysokich i ciężkich, poruszało się z zaskakującą lekkością i uwagą tak, że nie widząc ich, trudno byłoby wyczuć ich obecność. Na piętrze znaleźli pokój sypialny, gdzie przebywał Sobiech wraz z żoną. Znalaziono też pokój syna, lecz nie było go w środku. Młody nachylił się nad śpiącym gangsterem i potrząsnął go za ramię.

Sobiech przebudził się przerażony. Jego żona również. Na widok czarnych, uzbrojonych oficerów momentalnie zaczęła płakać. Po

cichu, lecz rzewnymi łzami.

– Gdzie jest pański syn? – zapytał Młody szeptem.

– Nie ma – odparł gangster sparaliżowany strachem. – Spędza noc poza domem.

– Proszę się ubierać. Jest pan zatrzymany pod zarzutem usiłowania popełnienia morderstwa.

– Co? – stęknęła Krystyna, wycierając chusteczką łzy.

– Nie martw się, Krysiu, to tylko nieporozumienie.

– Zobaczymy, panie Sobiech.

Jarosław ubierał się szybko, otoczony pięciorgiem oficerów. Kiedy skończył, Młody skrupował mu ręce opaską uciskową, po czym zaczął sprowadzać schodami na parter. Ściana nad schodami ozdobiona była licznymi fotografiami. Gdyby przyrzeć się im dokładnie, można by dostrzec historię dotychczas krótkiego życia Marcina Sobiecha. Zaczynała się od dnia jego narodzin, poprzez rozpoczęcie nauki w szkole, komunię świętą, naukę jazdy na nartach, aż po najnowsze – osiemnaste urodziny, z okazji których otrzymał od ojca swój pierwszy samochód.

W międzyczasie reszta policjantów przeszukiwała mieszkanie. Proca skończył właśnie oględziny kuchni, w której znalazł kilka dilerok kokainy i pistolet CZ 75B ukryte pod zlewozmywakiem. Skierował się wąskim korytarzem w stronę salonu. Dom był już sprawdzony i wszędzie paliło się światło, jednak komisarz cały czas trzymał dłoń na glocku osadzonym w kaburze. Wyminął niewielki stoliczek z kwiatami, parę obrazów zdobiących ścianę. Zbliżył się do małych drzwi pod schodami, które, jak się domyślił, prowadziły do schowka, piwnicy albo pomieszczenia sanitarnego. Były lekko uchylone. Na wszelki wypadek wyciągnął broń. Kiedy przymierzył się do otwarcia drzwi, rozwarły się nagle, ukazując wymierzoną w niego lufę pistoletu. W sytuacji oczywistego zagrożenia posłużył się bardziej instynktem niż rozsądkiem. Nie było czasu na kalkulację, a sytuacja była dość prosta. Albo to on, albo napastnik wystrzeli pierwszy. Nacisnął spust glocka. Przez ciche jak próżnia powietrze przeszedł nagły huk dwóch jednocześnie oddanych wystrzałów. Młody powalił Sobiecha na ziemię, twarzą do podłogi, w głównym holu.

Rozejrzał się wokół, próbując ustalić źródło hałasu. Podążający za

Bergiem oficer zauważył, jak komisarz zbliżył dłoń do drzwi pod schodami i jak chwilę potem potężna siła pędu pocisku odepchnęła go na przeciwległą ścianę.

– Mamy rannego! – wykrzyknął, podbiegając bliżej. Kilkoro oficerów egzaminujących wcześniej salon również znalazło się w korytarzu. Wycelowali karabiny w ciemny schowek i gdy jeden z nich zapalił światło, zobaczyli leżącego w kałuży krwi dziewiętnastoletniego Marcina Sobiecha.

Chaber kucał już obok komisarza. Zdał sobie sprawę, że kula trafiła w kamizelkę, jednak strzał z tak bliskiej odległości mógł spowodować uszkodzenia ciała. Proca z trudem łapał oddech.

– Spokojnie. Oddychaj spokojnie...

Oficer złapał za kamizelkę, jakby przypominając sobie o jej obecności. Czuł promieniujący od żeber ostry ból. Chaberski szarpnął napę kamizelki i odchylił ją nieco, by ocenić powagę obrażeń. Pocisk nieznacznie wyżłobił powierzchnię.

Nieznośna fala gorąca oblała ciało komisarza. Oddychał płytko i raptownie. Ściągnął więc kominiarkę z twarzy i odrzucił ją na bok. Zobaczył leżące naprzeciw siebie ciało. Twarz chłopaka wyglądała niewinnie, niemalże anielsko, jakby wyrwana z kontekstu otaczającej ją zewsząd krwi. Jego dłoń wciąż pozostawała zaciśnięta na pistolecie. Jeden z oficerów wyrwał broń z martwego ucisku i dołożył dwa palce do szyi. Pokręcił przecząco głową. Wbrew pozorom rany postrzałowe rzadko zabijają człowieka na miejscu. Zazwyczaj śmierć następuje na skutek wykrwawienia. Przy tym konkretnym postrzale traf chciał – a może była to doprowadzona do perfekcji celność komisarza – że kula uderzyła prosto w serce Marcina Sobiecha. Komisarz zdobył się w końcu na głęboki wdech. Mimo bólu, który pojawił się przy tym w jego piersi, oraz protestów Chabra podniósł się z podłogi, by podejść bliżej chłopaka. Oparł się bezradnie o futrynę. Nie mógł uwierzyć w swojego pecha i ogromne szczęście zarazem. Żył. Ale odebrał życie innemu. Z ust do ust przykazywano wiadomość, że chłopak nie żyje. Gdy dotarła ona do Młodego i leżącego na ziemi Jarosława Sobiecha, przez dom przeszedł nagły krzyk zrozpaczonego

ojca. Podkomisarz przygniatał go do podłogi własnym ciałem, uniemożliwiając mu wstanie. Ten okrutny, często pozbawiony skrupułów gangster zalał się teraz potokiem łez.

– Zajebię was, skurwysyny! – krzyczał w kierunku korytarza, z którego padły fatalne strzały. – Kurwa! Przysięgam, zajebię tego, który to zrobił. Mój syn! Marcinek mój!

Chaber zaczął dzwonić po karetkę, podnosząc z ziemi kominiarkę Berga. Gdy się wyprostował, zauważył, że komisarz podąża już w stronę holu.

– Proca, kurwa! – szepnął za nim z naciskiem. – Kominiarka!

Berg nawet się nie obejrzał. Doskonale zdawał sobie sprawę z ryzyka, które podejmował. Wszyscy policjanci podczas realizacji nosili kominiarki właśnie po to, żeby na przykład w razie strzelaniny nie zostać rozpoznanymi przez wroga. Komisarz brał więc na siebie pełną, otwartą odpowiedzialność za to, co zrobił. Może gdyby upłynęło trochę więcej czasu, gdyby trochę ochłonał, postąpiłby inaczej. Jednak nie liczył się teraz z ewentualnymi konsekwencjami. Z otwartą przyłbicą przeszedł do holu, z którego dobiegał płacz zrozpaczonego ojca. Twarz Młodego okryta była kominiarką lecz pod nią, pojawił się ogromny wyraz zaskoczenia i niepokoju, gdy zobaczył zbliżającego się doń przyjaciela. Ten przykucnął z niemałym trudem obok głowy zatrzymanego i powiedział:

– Nie jesteś teraz w pozycji do pogroźek, Sobiech. Zachciało ci się bawić w gangstera – no, to masz. To nie ja zabiłem twojego dzieciaka, a ty. Ty sam.

Nikt nie spodziewał się teraz usłyszeć podobnych słów. Młody oczekiwałby zobaczyć w zachowaniu Berga nieco żalu, współczucia nawet. Nic takiego nie miało jednak miejsca. Gangster wykonał nagłą próbę wyrwania się z uścisku podkomisarza. Podbiegło do niego dwóch kolejnych oficerów, aby go powstrzymać. Mężczyzna gotował się z wściekłości:

– Zajebię cię, skurwielu, słyszysz?! Zapłacisz za to!

Komisarz podniósł się powoli i równie niespiesznie, trzymając się za miejsce postrzału, wyszedł na zewnątrz. W drzwiach omal nie wpadł na Miśka, który w końcu dotarł na miejsce realizacji. Berg nie odezwał się do niego słowem. Wyminął go i z bólem malującym się na twarzy

zaczął ściągać kamizelkę.

– Co się, kurwa, stało? – zapytał wybiegającego za Bergiem Chabra.

– Spóźniłeś się trochę... – odparł starszy aspirant bez dalszych wyjaśnień.

Podkomisarz Chmielewski wszedł do domu Sobiechów. Nie mógł darować sobie, że cała akcja odbyła się bez jego obecności. Wyprowadzony w kajdankach gospodarz zmierzył go wrogim spojrzeniem. Szybko załadowano zatrzymanego do wozu i odwieziono do aresztu tymczasowego. W domu wciąż unosił się zapach krwi i dźwięk rozpachy. Tym razem miał on kobiecy głos. Krystynie Sobiech nie pozwolono na opuszczenie sypialni. Wiedziała jednak o wszystkim, co wydarzyło się na dole, przez komunikujących się krótkofalówkami oficerów, którzy jej pilnowali. Prosiła. Błagała, by pozwolono jej zejść do syna. Na próżno.

Kiedy Berg pozbył się w końcu swojej uszkodzonej kamizelki, podpierając się ręką, przysiadł na schodkach prowadzących do domu. Zapalił papierosa. Pierwsza dawka tytoniu w jego płucach wywołała nagły atak kaszlu. Opanował go, lecz gdy zaciągnął się po raz kolejny, jego ciało zareagowało podobnie. Odrzucił więc papierosa z rozdrażnionym „kurwa” na ustach.

„Najważniejsze, żeby robota była dobrze wykonana”

– podkom. Michał Chmielewski (ps. Misiek)

Prześwietlenie klatki piersiowej wykazało złamanie jednego żebra. Lekarz przepisał komisarzowi silne leki przeciwbólowe, nakazał nosić opaskę elastyczną na piersi i unikać aktywności fizycznej. To ostatnie zalecenie Berg zbył ironicznym uśmiechem. Zdawał sobie sprawę, że złamanie może się pogorszyć, spowodować ucisk na płucach, a nawet fizycznie je naruszyć. Jednak pełne dostosowanie się do uwag doktora oznaczałoby również wycofanie z czynnego udziału w dochodzeniu.

Wrócił do domu nad ranem. Bateria na jego telefonie wskazywała pięć procent, więc podłączył go do prądu. Aparat dzwonił przez całą noc, co chwilę ktoś pytał, co się stało, jak się czuje, czy potrzebuje pomocy, podwózki czy czegoś tam innego. Położył się do łóżka i przespał trzy godziny. Kiedy wstał, była dziewiąta. Telefon zadzwonił po raz kolejny. Był to inspektor Tyszka, który zaproponował mu chociaż tydzień odpoczynku. Komisarz odmówił, a przełożony, słysząc jego zdecydowany ton, nie próbował nalegać. Berg wydawał się doprowadzony do granic cierpliwości tym ciągłym zawracaniem mu głowy. Nie mógł wyłączyć aparatu, bo nigdy nie miał pewności, czy następna rozmowa nie wniesie czegoś ważnego do sprawy. Starszy aspirant Chaberski wszedł właśnie do biura, gdzie zastał już Impulsa, Mazura i Młodego. Automatycznie sięgnął po telefon i zadzwonił do Berga, by się zorientować, jaki jest jego status na dziś. Czy pojawi się w pracy, czy może jednak zdecydował odpuścić na jakiś czas. Komisarz odebrał po kilku sygnałach, gdy Chaber stracił już nadzieję na rozmowę.

- Co jest? – zaczął szef pretensjonalnie.
- Cześć! Jak się czujesz?

– Chaber, mam prośbę.
– Cokolwiek potrzebujesz, Proca.
– Jeśli będziesz miał jakiś temat związany ze sprawą, dzwoń. Cokolwiek innego zachowaj dla siebie. To samo przekaz chłopakom. Dzięki.

Rozłączył się, nie czekając na odpowiedź. Chaber rozejrzał się po kolegach i wyjaśnił:

– Chyba stary Proca wrócił.
– Co masz na myśli? – zapytał Młody, na co Impuls rzucił pełną zawodu „kurwą” i rozwinął myśl:

– Zawsze tak się dzieje, jak jest za bardzo zaangażowany. Zamyka się w pierdolonym pudełku i nikogo nie wpuszcza. Tak było, jak rozpracowywaliśmy Wilka. Wszystko sam, nie zawracać mu dupy...

– Myślałem, że już się z tego wyleczył.
– To choroba nieuleczalna – dodał Chaber. – Wraca, jak sprawy nie idą po jego myśli. Taki temperament.

– Nie możemy sobie teraz na to pozwolić. To też moja sprawa. Temperament to może sobie teraz w buty schować, trzeba się wziąć do roboty. Mazur, ściągnij ten monitoring, na którym mamy Sobiecha, żeby był pod ręką – rzucimy mu go w twarz podczas przesłuchania. Impuls, zorientuj się, co z tymi wczorajszymi pistoletami – pewnie skończyli już analizę; Chaber, trzeba poinformować Sobiechową o procedurach, zaoferować pomoc psychologa...

– To chyba Misiek powinien zrobić. W końcu Sobiech był jego sprawą...

– Na serio myślisz, że Chmielewski, po tym, jak go wczoraj zrobiliśmy, weźmie teraz na siebie najbrudniejszą robotę? Zresztą, ja nie znam człowieka, a wiem, że jak ty pogadasz z Sobiechową, to może wyciągniesz z niej coś, czego użyjemy. Dobra, panowie, do roboty. Dzwońcie z każdą pierdołą. Ja jadę po Berga.

Podziemny parking nieprzerwanie tonął w ciemnościach. Dochodziła dziewiąta rano i właśnie o tej porze poseł Tarkowski zwykł wychodzić z mieszkania. Pewnym krokiem, charakterystycznym dla tak zwanych „ludzi sukcesu”, dochodził do swojego czarnego mercedesa. Grzebiąc w kieszeni marynarki, szukał kluczyków. Marzył, by jak najszybciej odpalić silnik i ogrzać wnętrze samochodu. Pomyślał, że w tym roku

zima przyjdzie do kraju wcześniej i prawdopodobnie będzie bardziej uciążliwa niż w ostatnich latach. Nacisnął przycisk wyłączający samochodowy alarm i usłyszał przebijający się przez mrok głos.

– Musimy pogadać.

– Kurwa! Przestraszyłeś mnie. Możesz się tak nie skradać w ciemnościach?!

– Nie przestraszyłeś się, bo się skradam, tylko dlatego, że masz brudy na sumieniu – odparł szeptem policjant.

– Pozbyłeś się jej? – zapytał poseł jeszcze ciszej, ale mężczyzna zignorował pytanie. Miał własne.

– Rozmawiałeś z prokuratorem ostatnio?

– Jakiś czas temu, a co?

– Odmroził sprawę. Odwiesił Berga.

– O sprawie wiem. Co do Berga, to myślałem, że zajmiesz się tym. Nadal struga bohatera?

– Jest uciążliwy.

Poseł przymrużył oczy. Nie podobała mu się ta niespodziewana wizyta i niepokoił się obawami współnika. Ten zapalił papierosa i kontynuował:

– On nie jest jak Sikorski. Nie wiem, czy odpuści, trzeba go bardziej poszarpać.

– To poszarp – odparł Tarkowski lekko, czym zirytował policjanta, który zawsze brał na siebie brudniejszą robotę i oczekiwałby w zamian większego szacunku.

– Zrobię, co potrzeba, ale musisz przycisnąć prokuratora. Przypomnieć mu, gdzie jego miejsce.

– Dobra, przygotuję dokumenty.

– Wie, że je mamy. Skoro mimo tego nie współpracuje...

– Wypuszczę je do prasy. Zobaczymy.

– I to wszystko?

– A co więcej?

Policjant odrzucił papierosa i bez słowa oddalił się w głąb parkingu. Dzień zapowiadał się dotąd całkiem nieźle, a teraz znowu stres i niepewność. „Nie dają człowiekowi żyć spokojnie!” – pomyślał Tarkowski, uruchomił silnik i podkręcił ogrzewanie.

Komisarz rozpoczął pracę w Policji piętnaście lat temu. Kiedy

uczęszczał do szkoły oficerskiej, już od pierwszego dnia wbijano mu do głowy, że użycie broni palnej ma uzasadnienie tylko, gdy jest działaniem ostatecznym i koniecznym. Z pewnością w tym przypadku nikt nie będzie miał wątpliwości, że spełniono oba warunki. Strzał padł w samoobronie. Wystarczające usprawiedliwienie, a w dodatku sam oficer nie wyszedł z tego bez szwanku. Mimo działania leków przeciwbólowych wciąż odczuwał dyskomfort podczas oddychania. Zdawało mu się jednak, że znacznie większy ból, który mu dokuczał, nie pochodził od ciała.

Męczyła go dusza.

Z kuchennej szuflady wyciągnął małą, drewnianą fajkę. Otworzył drzwiczki zamrażarki, które ustąpiły z trudem, wydając przy tym szereg trzasków i zgrzytów. Z oparów chłodu wydobył torebeczkę z kłębkiem marihuany w środku. Oderwał kawałek zioła i załadował nim wgłębienie fajki. Wyszedł na balkon i zaciągając się po raz pierwszy, przypomniał sobie Suzzy, która podarowała mu to cenione przez niego zioło („medykament”, jak zwykł o nim myśleć). Jego umysł odprężył się, ale przy drugim zaciągnięciu płuca ponownie odmówiły współpracy, serwując mu serię chrząknięć i kaszlu. Poranne powietrze przynosiło nieznaczną ulgę. Chłodziło rozpalone czoło. Słońce chowało się za gęstymi chmurami zwiastującymi deszcz. W powietrzu dało się już odczuć pewien poziom wilgotności, który przyjemnie pieścił nozdrza. Mimo tych kilku czynników uspokajających, komisarz czuł się spięty, jego noga drgała nerwowo. Postanowił pójść na spacer. Wolno przeszedł wokół swojego budynku i przez pobliski park, by kilka minut później wejść do kościoła, w którym nigdy wcześniej nie był. Swego czasu regularnie uczestniczył w niedzielnych nabożeństwach. Wraz z Ewą chodzili do niewielkiej, wzniesionej z czerwonej cegły świątyni, która mieściła się przy Włodarzewskiej nieopodal ich domu. Gdy zaczęło się sypać życie rodzinne komisarza, posypało się również życie duchowe.

Nie mógł zrozumieć, jak dobry Bóg, przed którym ślubowali miłość, mógł pozwolić na rozpad ich związku. A wierzył głęboko, że ów związek otrzymał błogosławieństwo oraz łaskę. To, co niegdyś dodawało sił, teraz wydawało się drwić z ludzkiej niemocy. Rozlane po świecie zło i cierpienie stanowczo zaprzeczały bożemu miłosierdziu i

odbierały wiarę w istnienie dobra. Niegdyś wierzył, że każdy człowiek się z nim rodzi i każdy niesie je w sobie przez życie. Niegdyś wierzył, że wszelkie zło przejawia się jako brak dobra, a nie cecha sama w sobie. Podobne myślenie trzymało go przy zdrowych zmysłach i sprawiało, że do tej pory, jako człowiek o silnym temperamencie, trwał po dobrej stronie barykady. Jednak czym byłaby wiara niepoparta uprzednio wyboistą drogą wątpliwości?

Właśnie teraz, w tym trudnym dla komisarza okresie, nadszedł czas wątpliwości. Paradoksalnie, zamiast szukać ukojenia i wsparcia w modlitwie, kiedy naprawdę mocno ich potrzebował, odwrócił się od Boga i milczał. Milczał uparcie. Tego dnia jednak nogi same podprowadziły go pod świątynię. A że Berg nie wierzył w przypadki, uznał, że może Najwyższy ma mu dzisiaj coś do powiedzenia. Sam miał mu do zarzucenia to i owo. Wnętrze kościoła wiało pustką i grobową ciszą. Komisarz przeszedł do przednich ław i usiadł w jednej z nich. Położył splecione dłonie na oparciu przedniej ławki i lekko pochylił ciało. Gdzie byłeś wczorajszej nocy? Czy widziałeś, co się stało? Czy twoje miłosierne oczy widziały, czego się dopuściłem? Czy wejrzałeś w serce tego dziecka? Widziałeś w nim gniew, żądzę krwi? Czy widziałeś w nim strach i niewinność? Boże. Boże mój. Zabiłem wczoraj człowieka. Czy widziałeś to?

Pozwoliłeś mi zabić wczoraj dziecko. Mogło być inaczej. Dlaczego nie poprowadziłeś kuli bokiem? Obok serca? Dlaczego pozwoliłeś mi wystrzelić? Mogło być inaczej. Boże... Zabiłem człowieka. Syna. Syna dla matki. Syna dla ojca. Kochanego. Kiedy się rodził, płakali łzami szczęścia. Dostał życie. Taki wielki dar. Z twojej łaski. Miałeś dla niego plan. Dałeś mu życie. Dałeś mu szansę, przyszłość... Pozwoliłeś, bym mu je odebrał. Wyśłużyłeś się moimi rękami. Moimi rękami zakończyłeś jego życie. Położyłeś na moich ramionach krzyż. Wielki krzyż. Dlaczego? Czy teraz mnie potępiasz? Czy kiedykolwiek mi wybaczysz? Czy pozwolisz, żebym wybaczył sobie? Dopóki płyną łzy, dopóki chodzą po ziemi ci, którzy go kochali, moja dusza nie odpocznie. Ojczy. Zabiłem wczoraj człowieka.

Ojczy... czy słyszysz mnie?

Wnętrze srebrnej škody fabii z dwa tysiące trzynastego roku pachniało wanilią i liliami. Ten aromat zawsze kojarzył się Młodemu z Basią. Cieszył się, że nie zmieniła starego przyzwyczajenia i uzupełniła odświeżacz właśnie tym zapachem. Ponownie pożyczył od niej samochód. Sam na co dzień poruszał się kolarką. Wystarczało to jego potrzebom, a w razie czego mógł liczyć na użycie wozu operacyjnego. W tym momencie nie podejmował jednak żadnej istotnej akcji, postanowił pojechać do Berga, odplacić mu za pomoc, którą sam otrzymał od niego w zeszłym tygodniu. W przeciwieństwie do Młodego, komisarz przemieszczał się zawsze samochodem. Teraz jego taurus nadawał się jedynie do kasacji, a on sam również nie był w zbyt dobrej kondycji fizycznej. Młody układał sobie w głowie myśli, którymi chciałby się z komisarzem podzielić, ale co można powiedzieć człowiekowi, który odebrał komuś życie?

Podkomisarz wykorzystał okazję, kiedy jeden z lokatorów wracał do domu, i razem z nim wszedł do budynku. Rozczarowany odkrył, że Berga nie ma w mieszkaniu. Dla pewności zapukał kilka razy, wymęczył dzwonek i wielokrotnie sięgnął po telefon. Oczywiście brak odpowiedzi. Na żaden z dwóch numerów. Odganiał natarczywe wyobrażenia o tym, że stało się coś złego, że dopadli komisarza i dokończyli robotę. Usiadł na schodach przed drzwiami i postanowił trochę poczekać – jak ostatnio. Nie trwało to długo. Dwadzieścia minut później Berg wjechał windą na dwunaste piętro.

– Gdzie byłeś? – zapytał Młody z troską w głosie. Komisarz wydawał mu się inny, przygaszony i zrezygnowany. Poruszał się dość wolno, miał podkrążone oczy i wyglądał, jakby ostatniej nocy postarzał się o kilka lat. Włożył klucz do zamka i odparł cicho:

- Na spacerze.
- Nie powinieneś teraz chodzić niepotrzebnie.
- Dlatego wzięłem windę.
- Słyszałeś, że oberwał się magnum?

Proca milczał przez moment. Chyba po raz pierwszy dotarło do niego, że przeżył i można uznać to za cud. Ponowny cud.

- Nie wiedziałem.
- Za kilka minut Chaber i Impuls będą przesłuchiwać Sobiecha.
- Daj znać, jak poszło.

- Daj znać? Bierz klamkę, szmatę i jedziemy tam.
- Chcesz mnie dopuścić blisko Sobiecha? I spodziewasz się jakiego wydarzenia? On zajeździe mnie pierwszy, czy ja jego?
- Berg! Rozumiem, że czujesz się teraz... Nie, nie mogę sobie nawet wyobrazić, jak się teraz czujesz, ale potrzebuję cię w stu procentach! Siedzimy razem w tym gównie. Obaj dużo straciliśmy i nie pozwolę, żebyś się teraz wycofywał, bo gryzie cię sumienie.
- Nie wycofuję się.
- Nie pierdol, dobra? Nie jesteś na zwolnieniu, jest już dziesiąta, a ty szlajasz się po mieście w dresach. To po pierwsze, a po drugie, nie jest to tylko twoje dochodzenie. Wiesz, ilu oficerów nad nim pracuje? Ilu zależy na jego rozwiązaniu, ilu ludzi ryzykuje, żeby nam pomagać? Prokurator położył własną głowę na szafot, dając nam zielone światło! Współpracuj z nami. Weź się w garść i współpracuj.
- Sam nic nie zrobisz... A już na pewno nie w tym stanie.
- Komisarz z trudem przetykał tę gorzką prawdę. Nie polemizował. Poprosił o dziesięć minut na prysznic i chwilę później był już gotowy do wyjścia. Znow się zapomniał, że nie ma samochodu. Przez wiele lat przyzwyczał się do tego komfortu, że wóz zawsze czeka na niego pod domem. Sięgnął po telefon, żeby zamówić taksówkę, i oznajmił, że musi wynająć wóz.
- Wziąłem samochód od Basi, więc na razie chyba nam wystarczy.
- I ty prowadzisz? – zapytał niepewnie.
- Ktoś musi przewozić twoje wygodnicke dupsko.
- Berg rozsiadł się na miejscu pasażera, jednak na wszelki wypadek ostentacyjnym ruchem zapiął pasy. Młody uśmiechnął się lekko. Ulżyło mu, że przekonywanie komisarza nie było trudne. Poszło znacznie łatwiej, niż kiedy byli w odwrotnej sytuacji, a przecież to Berg uchodził za upartego. Był też przy tym mądrzejszy. Na szczęście. W tle pobrzmiwało radio. Na sygnał rozpoczynający wiadomości komisarz podkręcił głośność. Wspomniano o kilku wydarzeniach kulturalnych, politycznych taśmach, o których huczało w mediach od tygodni, a na koniec zostawiono informacyjną perełkę, coś, co ku uciesze redaktorów można było nazwać „skandalem” lub, jeszcze lepiej, „afera”.
- Do naszej redakcji wypłynęły dziś oszałamiające dokumenty –

wypowiadał się naczelny jednej z popularniejszych, lecz pozostawiającej wiele do życzenia w sferze rzetelności, gazety codziennej. – Jest to zbiór akt współpracy SB z tajnym współpracownikiem o pseudonimie „Toga”. Z dokumentów wynika jednoznacznie, jakoby owym współpracownikiem był działający aktywnie prokurator Zbigniew Właszczyk. W chwili obecnej planowane jest rozpoczęcie prac mających potwierdzić autentyczność dokumentów.

– No, to zaczyna się... – skomentował lakonicznie Młody.

– Musiał się z tym liczyć.

– Ale to fałszywka, tak?

– Może być prawda. Właszczyk mówił, że mają na niego coś ze „starych czasów”.

– W takim razie musimy się spieszyć. Jeśli zostanie zawieszony albo odwołany, to może być koniec naszej sprawy.

Chaber wiedział, że nie będzie mile widzianym gościem w domu Sobiechów. Denerwował się gorzej niż przed maturą. Każde zdanie, o którym pomyślał, że mógłby wypowiedzieć do matki zmarłego Marcina, wydawało się absurdalnie głupie i naiwnie brzmiące. Ale będzie musiał coś powiedzieć. Ba! Będzie musiał przejąć inicjatywę tego spotkania, bo domyślał się, że cisza mogłaby być jego największym wrogiem. Nie miał zbyt dużego doświadczenia w podobnych sytuacjach. Zazwyczaj to Proca brał na siebie ten najgorszy element pracy policjanta – rozmowa z tymi „którzy zostali”. Tak ich nazywał przełożony. Jednak Młody wyraził się jasno, obarczając Chaberskiego tym zadaniem. Nikt nie mianował Sikorskiego szefem, a jednak wszyscy członkowie grupy tak go postrzegali. Pod nieobecność Procy to on mógł przejąć stery. Chociażby bez prawnego wsparcia. Słusznie wskazał starszego aspiranta do rozmowy z Krystyną Sobiech. Chaber miał najlepsze z nich wszystkich podejście do ludzi. Był empatyczny i wyrozumiały. Oczywiście do czasu. Niewiele było rzeczy, których nie trawił ponad miarę. Należały do nich: niedopełnianie obowiązków i samowolka służb. Nauczył się przymykać oko na pewne niekonwencjonalne metody, do których czasami uciekał się Proca. Tolerował jednak tylko te podejmowane w słusznej sprawie, ku większemu, ważniejszemu

celowi.

Uruchomił kierunkowskaz przed domem Sobiechów. Brama była zamknięta, a za nią na podjeździe stał bordowy hyundai sonata, rocznik dwa tysiące piętnasty. Wiedział, że nie należy on do gospodarzy. Zadzwoił domofonem przed bramą wjazdową. Domofon pozostawał głuchy, za to brama ruszyła. Gładko i bezdźwięcznie zaczęła się otwierać. Chaber miał właśnie wrzucić pierwszy bieg, kiedy dostrzegł wychodzącego z budynku Michała Chmielewskiego. Wjechał na teren posesji i wyszedł z samochodu na spotkanie oficerowi.

– Cześć, lewy – zaczął podkomisarz, irytując Chabra z samego początku. – Co tu robisz?

– Chciałem pogadać z Sobiechową – wyjaśnił spokojnie, z trudem przełykając niechęć do swojego rozmówcy. – Standardowe procedury.

– Nie umiecie odpuścić, co? Nawet jeśli dochodzenie nie jest wasze.

– Myśleliśmy, że ty nie przyjedziesz. Szczególnie po wczorajszym.

– Tak, teraz powinienem mieć to w dupie. Ale, może wbrew temu, co o mnie myślicie, doprowadzam swoje sprawy do końca. Nawet jeśli przy tym ktoś mnie w chuja robi.

– To nie było nic osobistego – wyjaśnił szczerze Chaber. – Sytuacja była napięta, rozumiesz? Ta sprawa z Procą...

– A tak, oczywiście, że rozumiem. Dotyczy was ona bezpośrednio. Jasne.

Rozumiem i nie gniewam się. Nie za bardzo.

– No, to dobrze.

– Najważniejsze, żeby robota była dobrze wykonana. To co, panie lewy?

Jedziemy na przesłuchanie?

Chaber zawahał się przez moment, walcząc ze swoimi mieszanymi uczuciami. Niechęć do Miśka i jednoczesny szacunek dla jego pracy ścierały się w umyśle aspiranta, nieco wybijając go z rytmu. W końcu przytaknął.

– Tak, jasne, możemy jechać.

Jeszcze raz omiótł wzrokiem dom Sobiechów i wyjechał z posesji,

Śledząc hyundaia.

„Gorzej niż mafia”

– Jarosław Sobiech (ps. Szycha)

Jarosław Sobiech siedział sam w pokoju przesłuchań. Skuty kajdankami czekał na pierwszą rozmowę z policją. Kolejka do zatrzymanego była dość długa. Misiek, Chaber, Fela – wszyscy mieli do niego kilka pytań. Każdy z nich w innej sprawie. Jako że zatrzymanie umotywowane było próbą zabójstwa oficera policji, pierwszeństwo przysługiwało Michałowi Chmielewskiemu. Jednak zostawienie wszystkiego w jego rękach, nie do końca podobało się Chabrowi, który wciąż miał do podkomisarza pretensje o nie wywiązanie się z prostego zadania, jakim było sprzątnięcie butelek po piwach.

– Pozwól mi wejść z tobą – nalegał. – Sobiech ma połączenia z żoliborską, mogę go puścić w tym kierunku.

– Dobra, wejdziemy w ten temat, ale to ja będę gadał.

– Poczekajmy jeszcze na Berga – zaproponował Feliński. – Młody dzwonił, że już jadą.

– Wy nie czekaliście na mnie – rzucił Misiek bez zastanowienia, po czym zwrócił się do Chabra: – Wchodzisz, czy nie?

Starszy aspirant spojrzał na kolegów niepewnie. Ci wzruszyli ramionami bezradnie, więc wszedł za podkomisarzem do pokoju przesłuchań. Feliński, jego partner Mec i Mazur, a chwilę później również inspektor Tyszka, Berg i Młody, stali po drugiej stronie lustra fenickiego, śledząc odbywające się przesłuchanie. Sobiech patrzył na kajdanki swoimi napuchniętymi od łez oczami.

– Dla pewności zapytam: jak się pan nazywa? – zaczął Misiek, siadając naprzeciw zatrzymanego.

– Jarosław Sobiech – odparł cicho zachrypniętym głosem.

– Czy wie pan, dlaczego został zatrzymany?

– A ty nie wiesz?

– My tutaj zadajemy pytania, panie Sobiech... – upomniał zatrzymanego Chaber. Ten wyprostował się, położył otwarte dłonie na stół i odpowiedział, patrząc Miśkowi w oczy.

– Nie mam pojęcia, o co chodzi.

Podkomisarz otworzył leżącą przed nim teczkę, wyciągnął z niej kilka zdjęć ściągniętych z monitoringu przed domem Berga i rozłożył je na stole.

– Czy to pan jest na tych zdjęciach?

– Tak.

– Czy tej nocy to pan przeciął hamulce w fordzie taurusie należącym do oficera policji?

– Tylko tyle na mnie macie? To jest nic. Żaden dowód. Nic nie zrobiłem.

Misiek odetchnął głęboko. Siedział nieco odchylony, spokojny i pewny. Chaberski z kolei kipiał w środku ze złości. Nie mogli pozwolić na to, by Sobiech został zwolniony z braku wystarczających dowodów! Nachylił się nad stołem, patrząc w napuchnięte oczy zatrzymanego.

– To nie jest przypadek, że pojawiłeś się akurat wtedy, akurat tam. Wiemy, że robisz interesy z Wujkiem z Żoliborza. – Otworzył leżącą przed nim teczkę i wyciągnął z niej kolejną fotografię. – To jesteś ty w towarzystwie Nerwusa i Szoguna – dwóch najbliższych współpracowników Wujka.

– Znamy się z chłopakami, ale to nie znaczy, że mamy wspólne interesy.

– Z tym, że Nerwus i Szogun byliby bardzo zainteresowani pozbyciem się tego oficera...

Chaber, nie zwalniając tempa i nie dając Miśkowi sposobności na wtrącenie się, wyciągnął z teczki kolejną fotografię, tym razem z fotoradaru. Na jej widok Sobiech poruszył się nerwowo i przetarł oczy, do których znów zaczęły napływać łzy.

– A to jest twój syn, Marcin, przekraczający prędkość w kradzionym wozie.

– To zostało przecież wyjaśnione... – zaczął Szycha już bardzo zirytowany.

– Facet przyznał przecież, że samochód pożyczył.

- Pożyczył samochód? To pana dobry znajomy?
- Dość bliski – kłamał zatrzymany. – Przecież można pożyczyć samochód!
- Oczywiście, że można! Ale ten pana bliski znajomy, właściciel tego pożyczonego bmw, Henryk Pilski, jest pod ścisłą obserwacją CBA. Jego firma ma ostatnio poważne problemy związane z wyłudzeniami VAT-u i z nielegalnym zatrudnianiem imigrantów. Ciekawych ma pan więc znajomych! Może powinniśmy dalej drążyć te tematy?
- Sobiech wyraźnie tracił rezon. Nie pomagało mu rozbicie emocjonalne, świeży żal po śmierci Marcina. Nie był w stanie kalkulować klarownie, a Chaberski ani myślał odpuścić.
- To jak? Grzebał pan przy tych hamulcach?
- Nie wiedziałem, że to wóz psa.
- Co to znaczy „nie wiedziałeś”? – uniósł się starszy aspirant, na co Misiek spojrzał na niego karcąco. – Nie zjechałeś przecież hamulców w przypadkowym wozie!
- Ja tylko wykonywałem zlecenie.
- Kto ci to zlecił?
- Sobiech spojrzał na Miśka, który wyraźnie zdenerwował się ingerencją Chabra w tok przesłuchania. Złapał go za ramię i odszedł z nim w róg pokoju, mówiąc doń szeptem:
- Miałeś siedzieć cicho, jak nie umiesz wykonywać rozkazów, to spierdalaj.
- Starszy aspirant przymrużył badawczo oczy i wyszedł z pokoju, głośno trzaskając drzwiami. Przeszedł do pokoju obok.
- Co to, kurwa, było? – zapytał Tyszka, gdy Chaber wszedł do środka.
- Nie wiem, co on odpierdala!
- Dobra, dajcie mu pracować – uciszył ich Feliński i wszyscy skupili uwagę na pokoju przesłuchań. Misiek wrócił na miejsce i ponowił rozmowę.
- Dla pewności powtórzę... Czyli przyznaje pan, że w nocy z dwudziestego szóstego na dwudziestego siódmego października, około godziny trzeciej pięćdziesiąt, przeciął pan hamulce w fordzie taurusie, numery WA 5394A, należącym do komisarza Alana Berga?
- Tak.

– Podał twoje nazwisko... – powiedział z niedowierzaniem Młody. Inspektor Tyszka mruknął coś pod nosem i przeszedł po pokoju przesłuchań.

Wywołał z niego komisarza i wściekły zapytał:

– Co ty odpierdalasz, Chmielewski?

– Z całym szacunkiem, inspektorze, ale przeszkadza mi pan w przesłuchaniu...

– To jest przesłuchanie, kurwa? Podałeś mu nazwisko oficera! Po co?

– No chyba nie wierzy pan, że koleś nie wiedział, kogo sprząta.

– Wypierdalaj stąd...

– Nie ma pan nade mną autorytetu, inspektorze. Odpowiadam przed wydziałem zabójstw.

– To idź poskarżyć się szefowi, ale nie wejdiesz już do tego pokoju, gnoju pierdolony... Po moim, kurwa, trupie!

Misiek wyprostował się i już chciał coś odpowiedzieć, ale wziął głęboki wdech i przeszedł za lustro fenickie. Berg patrzył na niego badawczo, lecz bez wyrzutów jak cała reszta. Prawdopodobnie sam przedstawiłby się Sobiechowi, gdyby miał ku temu okazję... W międzyczasie do grupy dołączył Impuls, który rozmawiał teraz z Felińskim. Uważnie przyglądali się jakimś papierom.

– Twoja kolej, lewy – zwrócił się Misiek do Chabra, jednak na przód przecisnął się Fela.

– Teraz ja spróbuję.

Feliński usiadł przed zatrzymanym i wlepił wzrok w otrzymaną od Impulsa kartkę.

– Poszerzy ci się lista zarzutów, Sobiech. Znaleźliśmy w twoim mieszkaniu broń. Broń, z której zabito kilka tygodni temu Izabelę Koladę...

– Nie, kurwa, w to mnie nie wrobiecie, psy jebane...

– Nikt cię w nic nie wrabia, Sobiech. Broń znaleźliśmy pod twoim zlewem kuchennym, razem z niewielką ilością kokainy. CZ 75B o numerze seryjnym A458466, jest niezarejestrowany i idealnie pasuje do łuski, którą znaleźliśmy w miejscu, gdzie zamordowano Iżę Koladę. Masz przejebane...

– Nie zrobiłem tego. Nie zabiłem żadnej dziewczyny, kurwa. A

tamtego psa miałem skasować na zlecenie.

– Czyje?

– Jeśli ci powiem, będę trupem.

– Jeśli nie powiesz, to tak cię ujebiemy, że przez tydzień będziesz sikał na czerwono i nigdy nie wyjdiesz z ciupy.

Sobiech oparł się o krzesło i zawiesił wzrok na lustrze fenickim. Nie wiedział dokładnie, kto za nim stoi, ale domyślał się, że ma tam pewną publiczność. Musiał mieć, skoro rozmawiał już z trzecim oficerem w przeciągu ostatnich dziesięciu minut. Nagle na jego twarzy pojawił się uśmiech. Szczery do bólu uśmiech, który mógł być wywołany zarówno ogarniającą go rozpaczą, jak i prawdziwym rozbawieniem.

– Co cię tak bawi?

– Jesteście pojebani! Gorzej niż mafia, naprawdę! Wymiar sprawiedliwości, kurwa! Psy pierdolone. Jesteś tam, Berg?! No to słuchaj! Wyrok śmierci wymierzył ci jeden z kolegów! Tak jest! Tak jest... kurwa... Zlecenie dostałem od psa z cebosiu.

– Nazwisko.

– Dowiedz się, kto dojechał tę Koladę, to będziesz miał nazwisko.

Sobiech nie był taki głupi, na jakiego wyglądał. Zabezpieczył się mądrze. Jeśli mówił prawdę, że zamach na Berga był zleceniem, i dodatkowo zostaje wrobiony w morderstwo Kolady, policja sama robi wszystko, żeby znaleźć dowody jego niewinności i wykryć prawdziwego zabójcę. Nawet jeśli gangster wiedział dokładnie, kto go najmował, nie przyznając się do zamordowania dziewczyny, stworzył sobie kartę przetargową do współpracy z policją. W pokoju Marcina Sobiecha zaczął osadzać się kurz. Wszystko trwało tak, jak chłopak pozostawił. Otwarte podręczniki, włączony długopis, skarpetki na podłodze... Jego matka siedziała na niezaścielonym łóżku, czule obejmując poduszkę, jakby była ona niemowlęciem, małym Marcinkiem, z którym nie pozwolono się jej pożegnać. Gdzieś w głębi domu odezwał się dzwonek telefonu. Nie poruszyła się. Po kilku chwilach do pokoju wszedł Masa, trzymając w dłoni słuchawkę:

– Mówi, że to pilne – poinformował Krystynę. Po chwili wahania niechętnie przejęła telefon i przyłożyła go do ucha.

– Halo? – powiedziała słabo, lekko drżąc. Mężczyzna po drugiej stronie nie musiał się jej przedstawiać. Doskonale rozpoznała głos

zleceniodawcy, który jeszcze kilka dni temu niepokoił jej męża.

– Powinnaś odwiedzić Jarka. Potrzebuje teraz wsparcia. Nie idzie mu za dobrze. Zrób tylko coś dla mnie. Przypomnij mu, żeby siedział cicho. Jeśli mnie wyda, jeszcze w tym tygodniu straci kolejnego bliskiego członka rodziny.

Zrozumiałaś?

Próbowała odpowiedzieć, ale gniew i żal ścisnęły jej gardło.

– Czy rozumiałaś, co powiedziałem?

– Tak – wydusiła, a rozmówca przerwał połączenie. Serce waliło jej jak oszalałe, a na twarzy wystąpiła trupia bladość. Masa przykucnęła obok kobiety i współczująco zapytał:

– Jedno słowo, a zajmę się wszystkim. Tylko powiedz.

Do jej oczu ponownie napłynęły łzy. Pokręciła przecząco głową.

– Jeszcze nie. Zobaczmy, co będzie dalej. Zawieziesz mnie do Jarka?

– Pewnie. Poczekam w samochodzie.

Gdyby tylko podała mu nazwisko, jedno nazwisko, od którego zaczęły się wszystkie problemy rodziny Sobiechów, Masa załatwiłby go od razu. Przynajmniej mocno w to wierzył. Ale ona się bała. Widział to w jej oczach. Zawsze myślał, że Krystyna jest silną kobietą, odpowiednią dla Jarosława. Tylko ona była w stanie wspierać jego gangsterskie działania i kochać go ze wszystkimi wadami i zaletami, jakie posiadał. Tylko ona potrafiła być jednocześnie czułą matką i twardą żoną dbającą o interesy męża podczas jego nieobecności. Jednak wczoraj straciła syna. Swoje jedyne dziecko. Odebrało jej to siłę. Odebrało odwagę.

Oficerowie badający powiązane ze sobą sprawy morderstw, korupcji i handlu narkotykami wiedzieli, że mają pośród siebie zdrajcę. Do tej pory nie mieli pojęcia gdzie. Czy w CBŚP, czy w stołecznej... Mogli podejrzewać każdego i nikogo zarazem. Teraz sprawa się skonkretyzowała. Chodziło o kogoś z Firmy. Wiadomo, że służby specjalne czy jakiegokolwiek służby publiczne są pełne zgniłych owoców; ludzi o wątplych moralach, gotowych łamać prawo, którego przysięgli bronić; gotowych wyrządzić wiele zła w imię prywatnych interesów. Gdy na scenie pojawiło się zabójstwo czy zlecenie zabójstwa, sprawa wydała się nieprawdopodobna. I niezwykle

niepokojąca. Główny zainteresowany – komisarz Berg – nie dawał poznać po sobie ani strachu, ani specjalnego zaskoczenia. Przyjął zeznanie Sobiecha jak każde inne, jakby nie dotyczyło go to bezpośrednio. Czuł na sobie liczne spojrzenia kolegów. Czekali na jego reakcję i spodziewali się wiele. Wściekłości, niedowierzania, rezygnacji – wszystkiego tego, czego sami teraz doświadczali. Berg nie pokazał po sobie nic. Spokojnie poczekał, aż komisarz Feliński opuści pokój przesłuchań, i poprosił go na stronę.

– Nie wydaje mi się, żeby to on był twoim zabójcą, Fela.

– Mi też nie. Ale ktoś, kto chce go zrobić, odwała kawał dobrej roboty. Na broni nie było żadnych odcisków palców, ale jest pewne, że Koladę zabito właśnie z niej.

– Nadal podejrzewasz, że ona i Ostrowska zginęły z ręki tego samego człowieka?

– Metoda zabójstwa jest całkiem inna, ale jest zbyt wiele zbiegów okoliczności. Daj spokój... Dwie prostytutki związane z tym samym klubem, dwie informatorki. Te zabójstwa są tak czyste... Niemożliwe, żeby zrobił to ktoś, kto nie zna się na rzeczy. Ta osoba wie, jak sprzątać, jak zacierać ślady. Nie przewidział tylko, że znajdziemy miejsce morderstwa. Nie tracił czasu na szukanie łuski.

Technicy jeszcze sprawdzają dom Sobiecha. Jeśli morderca podrzucił tego gnata, może popełnił gdzieś kolejny błąd i znajdziemy jakiegokolwiek ślady. Każdy popełnia błędy... Komisarz przytaknął. Pożegnał się ze współpracownikami i ruszył ku wyjściu. Tam, przy dyżurce, Krystyna Sobiech w towarzystwie wielkiego jak dąb mężczyzny prowadziła zażarty dialog ze strażnikiem. Berg zwolnił kroku. Przez głowę przebiegła mu myśl, że żona aresztowanego może go rozpoznać. Kiedy uświadomił sobie, że nie, gdyż nie było jej przy zdarzeniu, a jej towarzysza również w życiu nie spotkał, podszedł bliżej i usłyszał treść rozmowy.

– Nie rozumiem. Dlaczego nie mogę zobaczyć się z mężem? – pytała kobieta, walcząc ze łzami cisnącymi się do jej oczu.

– Tłumaczę pani, że potrzebna jest zgoda prokuratora na widzenie i trzeba to ustalić wcześniej. Słucha pani, co mówię, czy nie?

Wielki mężczyzna przysunął się do okienka dyżurnego.

– Słuchaj, ty... – zaczął agresywnym tonem. Berg nie pozwolił mu

dokończyć. Podszedł do nich i wtrącił się w rozmowę.

– Pani Krystyna Sobiech?

– Tak – wydukała ostrożnie kobieta. Berg ani się nie przedstawił, ani nie powitał jej zwrotem „dzień dobry”. Uznał, że byłoby to nie na miejscu. Gestem poprosił ją na bok. Również Masa odstąpił od dyżurnego.

– Jeśli chce się pani zobaczyć z mężem, proszę poczekać tu chwilę.

– Starał się patrzeć kobiecie prosto w oczy, choć przychodziło mu to z trudem. Przeniósł wzrok na Masę, dodając z naciskiem: – Cierpliwie. Zobaczę, co da się zrobić.

Odszedł w głąb korytarza i zadzwonił do prokuratora Właszczyka. Ten z początku odmówił tak wczesnemu widzeniu, jednak Berg nie odpuszczał.

– Wiesz, co się wczoraj stało, tak? Rozumiem, że Sobiech jest ubabrany w gównie po szyję, jego żona prawdopodobnie też, ale jednocześnie są... byli rodzicami. I ja im dzieciaka zabiłem. Daj im się zobaczyć. Chociaż przyniesie mi to niewielką ulgę.

– Dobra, daj dyżurnego.

Komisarz przekazał komórkę strażnikowi, który usłyszał zapewnienie, że za kilka minut otrzyma faksem pozwolenie na odwiedzin, a tymczasem niech wpuści Sobiechową do męża. Pięć minut i ani sekundy dłużej. Dyżurny potwierdził, obrzucił Berga gniewnym spojrzeniem i rzucił:

– Tylko żona wchodzi. Pan zostaje – dodał, wskazując na Masę. Ten przyjął rozkaz niechętnie, lecz nie odezwał się słowem. Sobiechowa podziękowała komisarzowi. W jej oczach była szczerza wdzięczność. Weszła do środka i podążyła za jednym ze strażników.

Masa patrzył na niego podejrzliwie. W ogóle był podejrzliwy wobec obcych. Nie wierzył, żeby jakikolwiek pies zrobił dla nich coś bezinteresownie. Gdy Berg otworzył drzwi, żeby opuścić budynek, mężczyzna zapytał:

– Był pan wczoraj przy tym, prawda?

– Tak, byłem przy aresztowaniu.

– Nie, pytam, czy był pan przy tym, jak zastrzelono Marcinka.

– Niestety tak. Przykro mi, że tak się stało.

– To był dobry chłopak, wie pan? Inny niż ojciec...

– Tym bardziej jest mi przykro.

Masa podszedł bliżej komisarza, wprawiając go w duże poczucie dyskomfortu. Zazwyczaj pewny siebie komisarz czuł się teraz maleńki. Nie tylko dlatego, że rozmówca był od niego znacznie większy i silniejszy, z pewnością mógłby znokautować oficera jednym ciosem. Berg czuł się słabszy psychicznie, bo czuł, że mężczyzna próbuje go wyczuć, wybadać, kim jest i jakie są jego motywacje. Podszedł do niego na odległość zaledwie kilku centymetrów i dodał:

– Dziękuję, że to pan załatwił. Ona potrzebuje tej rozmowy. – Wyciągnął dłoń i przedstawił się: – Masa.

– Proca – odparł komisarz, idąc za jego przykładem.

– Czyli zostajemy anonimowi, ale nie do końca.

Patrzył na niego przenikliwie, a Berg nie spuszczał wzroku. Miał wrażenie, że spotkają się jeszcze nieraz; i że właśnie w tym momencie budują między sobą więź pozasłownego porozumienia.

Tydzień temu Maja Właszczyk skończyła dziesięć lat. Z tej okazji wyprawiono jej niewielkie przyjęcie urodzinowe, na którym pojawiła się najbliższa rodzina. Dziadkowie, wujostwo z dwójką swoich dzieci i oczywiście rodzice. Nawet zapracowany ojciec – prokurator okręgowy – znalazł tego dnia czas dla swojej córki i wydawał się poświęcać jej pełną uwagę. Nie dostrzegła, żeby odpływał gdzieś myślami ani żeby odbierał jakieś telefony. Jeśli to robił, to dyskretnie. Dla Mai był to dzień tym szczególniejszy, że zaczęto ją uważać za starszą, za nastolatkę, za na tyle dużą, że pozwalano jej na więcej rzeczy. Dostała swój pierwszy telefon komórkowy i postanowiono, że od dziś może wracać sama ze szkoły do domu. Do tej pory zawsze ktoś po nią przychodził. Nie lubiła tego. Już od dawna obserwowała, jak rówieśnicy opuszczają budynek szkoły tylko we własnym towarzystwie. Nie mogła iść z nimi, musiała czekać to na mamę, to na babcię lub dziadka. Upokarzające... Dystans ze szkoły do domu był dość krótki, ale pokonując go od tygodnia, każdego dnia czuła się samodzielna i prawie dorosła. W czwartek skończyła zajęcia o czternastej. Po wyjściu ze szkoły zawiedziona odkryła, że rozpadał się deszcz. Przez te wszystkie godziny zajęć na dworze świeciło słońce, a teraz nagle pada! Uczniowie rozbiegli się do domów. Również Maja ruszyła w kierunku swojego, kiedy nagle obok niej zatrzymał się

samochód. Kierowca, nachylając się, otworzył drzwi od strony pasażera i powiedział z uśmiechem:

– Cześć, Maju! Jestem kolegą twojego taty. Poprosił, żebym cię dzisiaj podwiózł do domu.

– Ostatnio nikt po mnie nie przychodzi. Wracam sama.

– Ale dzisiaj pada. Nie chcemy, żebyś zmokła.

Maja zbliżyła się do wozu i zapytała, wkładając głowę do środka:

– A skąd pan zna mojego tatę?

– Pracuję w policji – odparł mężczyzna, pokazując odznakę. – Razem z twoim tatą wsadzamy złych ludzi do więzienia.

Dziewczynka pokazała zęby w szerokim uśmiechu i wsiadła do samochodu. Zbliżała się dziesiąta wieczorem. Komisarz nawet nie zauważył, kiedy zrobiło się ciemno. Gdy wyszedł z aresztu, było nieco po południu i od tego czasu nie wrócił jeszcze do domu. Pomyślał, że brak samochodu ma również swoje dobre strony. Może bezkarnie spacerować. Robił to rzadko. Zbyt rzadko. Przemieszczał się praktycznie, samochodem z domu do pracy i z powrotem bądź na nogach, biegając dla utrzymania kondycji. Choć i z tym bieganiem było ostatnio niewesoło. Odzwyczał się. Wystarczyło kilka dni przerwy, by zamieniły się one w tygodnie, a te z kolei – w miesiące. Kiedyś trzymał dyscyplinę. Biegał codziennie minimum pięć kilometrów, lecz tak krótki dystans zarezerwowany był jedynie na dni całkiem przeładowane robotą. Po spotkaniu z Krystyną Sobiech czuł się źle. Wyrzuty sumienia wzrosły. Mógłby przysiąc, że wierzy w prześladowający go od pewnego czasu pech. Każda katastrofa poprzedzała kolejną. Co jeszcze na niego czekało? Jedyłą rzeczą, o której mógłby pomyśleć, była utrata pracy. To wykończyłoby go całkowicie.

A perspektywa zwolnienia wcale nie była abstrakcyjna. Nadinspektor Brocki szczerze nie znosił Berga. Nigdy się z tym nie ukrywał, a ostatnio zachowywał się tak, jakby tylko czekał na odpowiedni moment do wywalenia go za próg. Potrzebował tylko dobrego pretekstu, a o ten z pewnością nie będzie trudno. W służbach wszystko da się załatwić. Łapówkę, której nie przyjął. Pobicie, którego akurat się nie dopuścił. Zaniedbanie, którego nie było. Tak, wszystko dałoby się załatwić. W przypadku Procy może nawet nie musiałby ani

niczego sfignować, ani długo szukać. Powodów do zwolnienia miał masę. Widocznie te, które miał, niewystarczająco mu odpowiadały. Nie zamknęłyby przed komisarzem wszystkich możliwych drzwi. Zazwyczaj w stresowych sytuacjach miał w zwyczaju wsiadać do taurusa i zwyczajnie jechać przez miasto. Gdziekolwiek, przed siebie. Aż wyjechałby daleko poza granice Warszawy. Aż uspokoiłby myśli. Tym razem służył mu do tego spacer. Wędrował długo. Większości pokonanej przez siebie trasy w ogóle nie zarejestrował w pamięci, nie zwracał bowiem uwagi na otoczenie. Po kilku godzinach zdecydował się obrać konkretniejszy kierunek, jakim był „Kwadrat” – niewielki bar na południowej Pradze, w którym spotykali się byli przestępcy, aktywnie działające drobne rzeszemieszki i czasami Berg. Było to jego miejsce. Jego informacyjna nora, w której od czasu do czasu szukał też zapomnienia. Można by powiedzieć, że miejsce to niektórzy postrzegali jak świętą ziemię. Na jej terenie nie odbywały się wojny, nie rozwiązywano konfliktów, nikogo też nie zakuwano w kajdanki. Przynajmniej komisarz tego nie robił, a miał ku temu niejedną okazję.

Siedział przy barze, popijając whisky. Tym razem robił to oszczędnie. Rekreacyjnie. Nie miał zamiaru się upijać, choć bardzo chciał. Czuł, że może być potrzebny. Rozwiązywanie sprawy było w toku, pojawiało się coraz więcej informacji i żadna z nich nie pocieszała. W barze siedziało kilka osób. Co jakiś czas ktoś go opuszczał, kto inny przychodził. Berg usiadł strategicznie przy barze, plecami do wejścia. Mógł dzięki temu ignorować całe towarzystwo i spokojnie spędzać czas sam ze sobą. Jednak nawet odcinając się nieco, nie uchronił się całkiem od ludzi. Chyba nawet do końca tego nie chciał – gdyby tak było, wybrałby miejsce obce, w którym miałby pewność pozostania anonimowym. Liczył, że może mimochodem, całkiem przypadkowo (bądź celowo), ktoś rzuci mu jakąkolwiek „kość” mogącą pomóc w prowadzonym dochodzeniu. Po upływie pół godziny wysoki blondyn położył dłoń na jego ramieniu i bez ceregieli usiadł obok. Komisarz tylko lekko podniósł spojrzenie na przybysza.

– Proca, myślałem, że już tutaj nie przychodzisz!

– Trudno zmienić stare nawyki – odparł Berg, na co Czarny

uśmiechnął się ze zrozumieniem.

– Jak idzie twoja sprawa? Wrona długo posiedzi?

– Zależy, ile mu jeszcze dokleją. Podejrzewam, że często sprawiał sobie bonusy.

– Lepkie rączki, co?

– A ty, Czarny? Potrzebujesz coś?

– Nie. Jeszcze nie. Ale nie martw się. Przyjdzie czas, kiedy się do ciebie zgłoszę. Te chłopaki z Żoliborza zaczynają się panoszyć. Na naszą ulicę już dotarli.

Przyłapałem ostatnio jednego z moich chłopaków z saszetką w ręku...

– I co?

– Jak to co? Po ryju dostał! Wiesz, że ja nienawidzę tego gówna. Prochy to największe zło tego świata! Wszystko wszystkim, Proca, wiesz, jak jest, czasami ciężko wyżyć na legalu; ciebie nie muszę okłamywać, bo ty i tak wiesz więcej niż niejeden tutaj „wtajemniczony” zbir... Ale moi chłopcy są czyści i chcę, żeby tak zostało. Większość z nich to jednak słabe chłopaki z trudnych domów, rozumiesz, oni ciężko odmawiają.

– To mają szczęście, że patrzysz im na ręce.

– Wielkie! Ale Żoliborz też nie ma lekko na rynku.

– Dlaczego?

– Jak to w handlu. Zawsze jest jakaś konkurencja. Najpierw był Wilk, którego im pięknie sprzątnąłeś...

– A teraz?

– Nie wiem. Ale chłopcy mówią, że tam zaczyna się znowu gotować. Kaktus widział w zeszłym tygodniu, jak grupa kolesi z Żoliborza orała asfalt jakimś delikwentem.

– Słyszałem coś o tym – powiedział Berg, przypominając sobie pierwszą po powrocie rozmowę z Felińskim, który opowiadał o incydencie z niemałą fascynacją. Wiedział już, że musiało tu chodzić o mafijne porachunki. Morderstwo tego typu jest pokazówką dla konkurencji albo kogokolwiek, kto zaszedł żoliborskim za skórę. Czarny odetchnął głęboko i dodał:

– Dlatego też trzymam swoich z dala od prochów. Tylko tam, gdzie prochy, dzieją się takie rzeczy. Tylko tam, gdzie prochy, ludzie nie

mają serca. Pomijam już fakt, że każdy gangus chodzi z klamką przy dupie. A ja uważam, że broń nie może być dla wszystkich.

– Tylko dla wybranych? – parsknął komisarz.

– Tylko dla odpowiedzialnych.

– Słusznie. Wypiję za to.

– Ja też.

Przypieczętowali toast łykiem whisky. Czas płynął szybko podczas interesującej rozmowy. Gdy odszedł Czarny, pojawił się ktoś inny, potem następny. I tak komisarz wrócił do domu o piątej nad ranem. Z ogromnym zaskoczeniem dostrzegł siedzącego na schodach swojego budynku prokuratora Właszczyka. To nie mogło zwiastować niczego dobrego. Pomyślał, że chyba powinien przyzwyczać się do widoku wizytatorów czekających na niego pod domem.

– Proca – zaczął prokurator lekko trzęsącym się głosem – czy możemy porozmawiać w jakimś ustronnym miejscu?

– Może w środku?

– Nie, lepiej nie... Masz tutaj piwnicę albo garaż?

Berg wyprostował się, biorąc głębszy oddech. Nie dałby sobie rękę uciąć, że jego mieszkanie jest czyste, wolne od podsłuchów, chociaż... Czyżby prokurator popadał w paranoję, a może jednak miał podstawy do obaw?

Przeprowadził prokuratora przez budynek do podziemnego parkingu. Stał, podpierając ścianę z rękoma w kieszeniach i czekał, aż Właszczyk się odezwie. Ten najpierw rozejrzał się we wszystkich kierunkach i dopiero potem zaczął:

– Muszę umorzyć nasze śledztwo...

Komisarz nic nie odpowiedział. Komunikat, który przed chwilą usłyszał, wydawał się na tyle absurdalny, że wręcz nieprawdopodobny. Splótł więc ręce na piersi i czekał na dalsze wyjaśnienia. Prokurator kontynuował:

– Porwali Maję... Wczoraj. Nie wróciła ze szkoły. O piętnastej dostałem telefon, że jeśli chcę, żeby żyła, mam to skończyć.

– I niby jak masz to zrobić? Przecież dostaliśmy trzy miesiące...

– Nie wiem, ich to nie obchodzi. Mnie to nie obchodzi! Mają moje dziecko.

Chryste! Jak mogło do tego dojść?! Nie wiem, co robić, Proca; nie

mam do kogo z tym pójść.

– Nie chcieli okupu?

– Nie, interesuje ich tylko śledztwo.

– Wiesz, kto zadzwonił?

– Nie mam pojęcia. Powiedział, że mam was trzymać z daleka, jeśli nie, zaczną... wysyłać ją do domu w kawałkach.

– To tylko pogrożki, chcą, żebyś przestał racjonalnie myśleć.

– Jak mam, kurwa, racjonalnie myśleć?! Po tym, co zrobili tej prostytutce...

Jak mam nie traktować ich poważnie?!

– Źle mnie zrozumiałeś. Chodziło mi o to, że nie dasz rady prawomocnie zakończyć teraz sprawy. Ale nadal możesz nam ją utrudnić. Umówisz ze mną spotkanie na dzisiaj rano, na dziewiątą. Wpisz to w kalendarz. Oficjalnie pojawię się na nim, potem zadzwoń do Brockiego i powiedz, że przekroczyłem granice protokołu. Upomnij się o zawieszenie.

– Brocki uwierzy na słowo?

– Nie powinien mieć z tym problemu.

Prokurator przystał na wszystko. Wyciągnął z kieszeni chusteczkę i wydmuchał nos. Nie było to skutkiem przeziębienia, a kolejnej fali smutku doznanej na myśl o Mai, która musi teraz umierać ze strachu. Berg sięgnął po papierosa i poczęstował prokuratora.

– Dzięki. Słyszałeś już o dokumentach na mnie?

– Obiło mi się o uszy.

– To musiało kiedyś wypłynąć. Przeszłość zawsze wraca.

– Co teraz zrobisz?

– Adwokat polecił zaprzeczać i liczyć, że eksperci doszukają się bubli w papierach. Wątpię... Przyznam się. Jeszcze nie teraz, poczekam, aż to wszystko się skończy. A potem powiem, jak było. Wstydzę się tego, Proca. To jedna z nielicznych rzeczy w życiu, jakie zawałem. Donosiłem na kolegów ze studiów, na profesorów... A, co ci będę gadał...

– Nie musisz. To nie moja sprawa. Wszyscy mamy coś na sumieniu i wszyscy kiedyś błędziliśmy. Ale wiesz co?

– Co?

– Kto nigdy nie błędził, ten nie wie, jak to jest się odnaleźć.

Jakkolwiek optymistyczna była to myśl, nie podniosła na duchu żadnego z nich. Nie w tym momencie. Właszczyk mógł myśleć tylko o jednym – o swoim dziecku, które zostało mu brutalnie odebrane, którego nie mógł chronić, mimo że był to jego najważniejszy obowiązek. Ponad wszystko inne, co był zobowiązany załatwić, nadzorować i chronić, to było najbardziej istotne – zapewnić bezpieczeństwo własnemu dziecku. Zawiódł.

– Co zamierzasz zrobić? – zapytał prokurator po chwili. Patrzył na Berga oczami pełnymi nadziei i wyczekiwania.

– Nie musisz wiedzieć. Tak będzie lepiej. Ale pociągnę za jeden sznurek. Za ten, od którego to wszystko się zaczęło.

Komisarz miał plan. I choć wcale ten plan mu się nie podobał, wiedział, że to jedyna opcja. Liczył się z konsekwencjami, które może ponieść za jego realizację – pozbawienie wolności, a w najlepszym przypadku zwolnienie dyscyplinarne. To, co zamierzał zrobić tego poranka, było surowo karane przez prawo i nigdy dotąd nie podejrzewał, że kiedykolwiek posunie się do popełnienia podobnego wykroczenia. Kiedy wróg przekracza granicę, żeby go pokonać, również należy zmienić zasady gry. Nagiać je, a przede wszystkim zgromadzić wokół siebie przyjaciół, a raczej ludzi, którzy mogą podzielać nasze interesy. Komisarz miał kilka elementów układanki, których nie sposób było połączyć bez innych koniecznych elementów – sprawców. Tarkowski był jak eksponat. Zamknięty w gablocie, zabezpieczony z każdej strony. Nietykalny. Niby. Był też tym, który wskazywał palcem, co należy załatwić i wykonać. Potrzebowali jednak dotrzeć do człowieka będącego siłą sprawczą. Mordercą, prawdopodobnie dręczycielem Młodego, zleceniodawcą Sobiecha, cebosiem, który teraz brał udział w porwaniu Mai. Wszystko, czego się dopuścił, robił po to, by pozostać anonimowym i utrzymać Tarkowskiego na wolności. Decyzja była trudna. Mogła kosztować go wiele i nie dawała gwarancji sukcesu. Sam „sukces” w tej kwestii był pojęciem względnym. Koniec końców ktoś skończy zapuszkowany, martwy lub zniszczony. Gdy Właszczyk odjechał, Berg usiadł na ławce przed swoim domem. Uderzyło go poczucie bezwzględnie uciekającego czasu. Ptaki leciały w tylko sobie wiadomym kierunku, ludzie mijali go obojętnie, wiatr przepływał po jego białych polikach.

Gdzieś tam czekała Maja.

Czekała na pomoc bądź śmierć. Niepewna. Przerazona. Teraz ta Bogu ducha winna dziewczynka miała płacić za winy ojca. Zarówno za jego wcześniejszą ignorancję, jak i za obecne zaangażowanie. Nie będziesz lubił tego, co zrobię. Mam nadzieję, że rozumiesz; że wybaczysz. Jesteś tam jeszcze? Czy jeszcze o mnie nie zapomniałeś? Jezu... Jezu, miej to dziecko w opiece. Nie opuszczaj jej... Kilka minut później przy Pejzażowej pojawiła się taksówka. Kierowca podrzucił Berga pod dom Tadeusza Rafalskiego. Była szósta rano, kiedy rodzinę milionera obudził dzwonek domofonu. Mąż kazał żonie zostać w łóżku, a nastoletniemu synowi wrócić do pokoju. Pełen obaw zszedł na parter. Doskonale wiedział, że o tak wczesnej porze przychodzą tylko niemile widziani goście. Na przykład służby, choć te rzadko dzwonią domofonem. Zobaczywszy na monitorze komisarza, poczuł się niedobrze. Wpuścił go do środka:

– Komisarzu... Myślałem, że mamy to już za sobą.

– Też bym tak chciał, panie Rafalski, niestety... Tym razem to ja przychodzę do pana z prośbą o przysługę.

Milioner spojrzał na niego pytająco i ostrożnie powiedział:

– Każda przysługa prędzej czy później musi zostać spłacona.

Berg przytaknął, po czym złożył Rafalskiemu swoją propozycję. Poseł Tarkowski wyszedł z mieszkania o dziewiątej rano. Innego dnia nie przejmowałby się uciekającym czasem, jednak dziś czekało go sporo pracy, kilka spotkań, z czego jedno, najważniejsze, miało go wzbogacić o kilkaset tysięcy złotych. Nieco zasnął tego poranka, nie zdążył nawet wypić porannej kawy, co już zwiastowało, że ów dzień może nie należeć do najlepszych. Nie zdawał sobie jednak sprawy, jak bardzo będzie parszywy. Jego czarny mercedes zaparkowany był na podziemnym parkingu. Tuż obok wozu, za filarem pogrążonym w półmroku, czekał zakapturzony mężczyzna. Wchodząc na teren podziemia, sprawnie unikał kamer. Stał spokojnie w jednym miejscu, oddychał równomiernie, choć denerwował się bardzo. Czekanie zawsze uważał za najtrudniejszą fazę pracy. W końcu, kilka minut po dziewiątej, zauważył swoją ofiarę wchodzącą na parking. Zacisnął okrytą czarną rękawiczką dłoń na umieszczonym za paskiem glocku. Kiedy poseł zatrzasnął za sobą drzwi samochodu, mężczyzna szybko

władował mu się na tylne siedzenie i przystawiając mu lufę do głowy, powiedział:

– Mam do ciebie tylko jedno pytanie, skurwielu...

– Kurwa mać! Berg, pojebało cię?

– Gdzie jest dziewczyna?

– Jaka dziewczyna, kurwa? Zabieraj tego gnata!

– Maja Właszczyk, córka prokuratora! – dodał komisarz, przyciskając broń mocniej do skroni posła.

– Nic o tym nie wiem! Kurwa... Co ci odbiło?!

– Nic ci nie wiadomo o tym, że wczoraj ją porwano i że kazano prokuratorowi zamknąć nasze śledztwa?

– Ja pierdolę... Nie wiem. Weź tego gnata, kurwa, przecież mnie nie zastrzelisz!

– Myślisz? Przecież wiesz, jacy jesteśmy my – psy. Sam się z jednym bujasz.

Z jebanym mordercą.

– Nie wiem, skąd masz takie informacje.

– W takim razie jedziemy na przejażdżkę.

– Nigdzie z tobą nie pojedę!

Posył miał rację – przecież Berg go nie zabije. Ale przełożył rękę przed przednie siedzenie i zacisnął haka na szyi Tarkowskiego, ignorując wzmagający się na skutek naporu ból klatki piersiowej. Tarkowski poczuł ucisk na krtani i z trudem próbował złapać oddech. Stuknął spazmatycznie kilka razy dłonią o kierownicę i Berg rozluźnił haka. Chwilę potem wóz wyjechał na ulicę. Po upływie trzydziestu minut komisarz kazał posłowi skręcić w boczną drogę zjeżdżającą do lasu pod Izabelinem. Prowadził go jeszcze przez kilka chwil, po czym polecił się zatrzymać. Zabrał od niego kluczyki i wsunął broń do kabury.

– Wsiadaj – rozkazał, sam opuszczając pojazd.

Posył siedział nieruchomo, patrząc przed siebie, toteż komisarz otworzył jego drzwi i siłą, łapiąc za kołnierz, wyciągnął go na zewnątrz. Pchnął Tarkowskiego przed siebie i kazał iść. Ten z początku szedł dość spokojnie, nawet pewnie. Nie spodziewał się, żeby spotkała go jakaś faktyczna krzywda ze strony oficera, a nie zamierzał dać się zastraszyć. Układał w głowie plan zemsty, jak

załatwić go najlepiej. Zlecić morderstwo czy skończyć jego karierę. Zwolnił jednak znacznie i zawahał się, kiedy spostrzegł, że zbliżają się do niewielkiej polany między drzewami, gdzie czekali na nich trzej inni mężczyźni. Kojarzył ich twarze, nie był jednak pewien skąd. Dopiero później dotarło do niego, że widywał ich wcześniej w klubie „Magnez”.

– Jest wasz – rzucił Berg i zaczął oddalać się w kierunku powrotnym.

Podejrzewał, że gdyby sam zabrał się za przyciskanie posła, ten do końca nie wzięłby na poważnie jego pogroźek. W końcu Proca był oficerem i Tarkowski wiedział, że nie takim, jak jego współnik-morderca. W dodatku Berg nie odzyskał jeszcze pełni sił. Nie dałby rady przysunąć mu na tyle porządnie, żeby poseł zaczął doceniać życie. Zostawienie sprawy trzem ochroniarzom, którzy nie wiadomo czym zajmowali się po pracy, stawiało sprawę w nieco innym świetle. Tutaj nie dało się przewidzieć efektu przesłuchania. Stojący na czele trójki wielki jak dąb mężczyzna rzucił Tarkowskiemu pod nogi łopatę.

– Zaczynaj kopać, kurwo.

– Berg! Nie wywiniesz się z tego. Przysięgam!

Komisarz odwrócił się do niego i rozkładając ręce na znak kapitulacji, odparł:

– Panie pośle... Mnie tu w ogóle dzisiaj nie ma. Zdaje się, że mam teraz spotkanie z prokuratorem Właszczykiem. Pan przyjechał tu własnym wozem.

Całkiem sam!

Tarkowski zaczął kopać własny grób. Przez lata odzwyczaił się od pracy fizycznej, toteż po kilku minutach machania łopatą jego mięśnie zajęły się płomiennym bólem. Pilnujący go mężczyźni nie dawali za wygraną. Ponaglali i co jakiś czas upewniali się, czy zdecydował się już na rozmowę. Nie był teraz zbyt gadatliwy. Nie odpowiadał na ich zaczepki i ignorował pytania. Po upływie godziny uznali, że dół jest wystarczająco głęboki.

– Wychodź z dołka, padalcu.

– Wy pracujecie dla Rafała... Tadzia Rafalskiego. On wie, co tu robicie?

Wiecie, jakie mam z nim interesy?

– Wasze interesy skończyły się, kiedy podpierdoliłeś nam Izę z „Magnezu”.

Chcesz, żeby ktoś cię teraz uratował? Uratuj się sam. Kto dojechał nasze dziewczyny? – Tarkowski pokręcił przecząco głową. – Kto zabił Suzzy? Kto porwał córkę prokuratora? – Poseł powtórzył ten sam gest, po czym został siłą wyciągnięty z dołka. Najpierw dwóch mężczyzn przytrzymało go, umożliwiając trzeciemu zadawanie ciosów w ciało. Później, kiedy pod bitym ugięły się kolana, wszyscy trzej obłożyli go serią kopniaków. Berg dopalał trzeciego papierosa, opierając się o maskę czarnego mercedesa. Co chwilę zerkał na telefon, żeby sprawdzić godzinę i upewnić się, że nie przegapił żadnego połączenia. W końcu doczekał się dzwonka. Odebrał.

– Ktoś chce z tobą pogadać – usłyszał po drugiej stronie ochroniarza „Magnezu”, a chwilę później zdyszany, słaby głos Tarkowskiego:

– Nie miałem z tym nic wspólnego... Kazałem mu tylko zająć się śledztwami, żebyście się odpiardolili... Nie wiedziałem, że ją porwie.

– Nazwisko.

Tarkowski zmiękł. Podał imię i nazwisko swojego współpracownika z cebosiu. Usłyszawszy je, komisarz odchrząknął nerwowo. Milczał, więc poseł dodał:

– Nigdy bym się na to nie zgodził. Nie pozwoliłbym mu skrzywdzić dziecka... – Odebrano mu telefon i Berg ponownie usłyszał w nim ochroniarza:

– Co z nim zrobić?

Poseł po raz pierwszy od wielu lat poprosił Boga o pomoc. Pomyślał, że jeśli wyjdzie z tego żywy, zmieni swoje życie. Już nigdy nie będzie kradł i oszukiwał, zacznie żyć uczciwie. Ochroniarz rozłączył się i powiedział:

– Twój samochód już na ciebie czeka, szmato. Znasz drogę powrotną...

Słuchaj dobrze i zapamiętaj! Powiesz słowo o tym, co się tu stało, a dojedziemy cię. Dołek już wykopałeś. Będzie gotowy.

Wsiedli do swojego wozu i odjechali, zostawiając go leżącego na leśnej polanie. Chwilę później zatrzymali się przy mercedesie, gdzie czekał na nich komisarz. Zostawił kluczyki w otwartym wozie posła, po czym dołączył do ochroniarzy. Usiadł na tylnym siedzeniu obok największego z nich, którego jeszcze kilka dni temu, gdy spotkali się w „Magnezie”, przeżywał od pajaców. Ochroniarz zmierzył go wzrokiem:

– Naprawdę pojebani ludzie pracują w tej policji.
– Nie masz pojęcia...
– Nie myślałem, że nasze następne spotkanie będzie tak wyglądało.
– Niezbadane są wyroki Boskie.
– Masz teraz duży dług u Rafała.
– Kiedy przyjdzie czas, to na pewno go spłacę.
– Mam nadzieję. Bo jak wychujasz szefa, to zrobimy z tobą to samo, co z tą kurwą.

– Nie będę więc ryzykował.

Ochroniarz pokiwał głową i podał Bergowi dłoń:

– Homer.

– Proca.

– Będę cię miał na oku, Proca.

– Ja ciebie też, Homer. Ja ciebie też.

Inspektor Tyszka zatelefonował, kiedy tylko komisarz przekroczył próg swojego mieszkania.

– Berg, coś ty, kurwa, znowu odpierdolił?! Brocki jest czerwony jak jebany pomidor! Gdzie ty w ogóle jesteś?

– W domu.

– Za dwadzieścia minut jesteś u Brockiego, jasne? Ciągłe cię tłumaczę i to już nic nie daje, bo sam nie wiem, z czego cię tłumaczę! Teraz broń się sam!

– Tak jest, inspektorze – oficjalnie zakończył komisarz. Rozejrzał się po mieszkaniu. Nie zdążył ani zjeść, ani się wykąpać, a przecież nawet nie spał ostatniej nocy. Zdjął przepoconą koszulę. Odrzucił ją na podłogę i włożył czysty t-shirt. Przeszywający ból drążył jego ciało przy każdym unoszeniu ramienia.

Zgodnie z umową, prokurator Właszczczyk zadzwonił z samego rana do nadinspektora. Poinformował go o spotkaniu, które rzekomo odbył z Bergiem. Brocki na samym wejściu obrzucił komisarza serią wyzwisk.

– Nie rozumiem, kuuurwa, jak to jest możliwe. Najpierw wkuuurwiasz się, że cię zawieszam, potem dostajesz szmatę z pooowrotem i taki cyrk odpierdaaasz?

– Nie bardzo wiem, o co chodzi... – odparł spokojnie komisarz.

– Widziałeś się rano z Właszczkiem?

- A! To...
- „A, to”?! Co jest z tobą, kuuurwa?! Grozisz proookuratorowi, że podrzucisz przeciw niemu dooowody?!
- Miałem podejrzenia, że zataił przed nami pewne istotne dla śledztwa informacje.
- Chuj informacje! Przegiąłeś paaałę! Dawaj szmatę! Komisarz oddał legitymację i broń.
- Rooozumiem, że ostatnio przeszedłeś przez jebany saaajgon, ale to już przegięcie. Weź się ogarnij, doprowadź do porządku i módl się, żeby proookurator nie złożył na ciebie doniesienia!

„Jak ktoś próbuje dojechać oficera, to zapłaci za to”

– podkom. Michał Chmielewski (ps. Misiek)

– Gdzie jesteś? – zapytał Berg do słuchawki telefonu. Brzmiał fachowo, jakby ostatnie minuty w biurze Brockiego wcale się nie wydarzyły.

– W drodze na spotkanie z Justeckim – odparł Młody. Wiedział, że ta decyzja zadowoli komisarza.

– A jednak! Dobrze robisz.

– Mam nadzieję, że będzie warto, i że będę w stanie dotrzymać obietnicy.

– To kwestia honoru, Młody. Tak się buduje siłę w naszej branży. Słuchaj, jeśli miałbyś jakieś pytania do Tarkowskiego, to jest duża szansa, że teraz będzie z tobą współpracował.

– Dlaczego?

– Podobno napadli go jacyś gangsterzy. Został pobity i zastraszony, więc spodziewałbym się, że opuści nieco gardę. Spróbuj.

– Dzięki za cynk. Odwiedzę go, ale nie wiem, jak zniosę widok jego ryja po tym wszystkim...

– Bądź delikatny. Człowiek jest po przejściach... – odparł Berg z ironią w głosie, a Młody parsknął do słuchawki, choć brzmiało to trochę, jakby splunął na ziemię z obrzydzeniem.

Biuro grupy „Szakał” tonęło w papierach. Chaber co chwilę donosił z archiwum dodatkowe kartoteki, dodrukowywał kolejne strony. Impuls siedział przed komputerem i uśmiechał się do monitora. Gdy Berg, nieco zaskoczony tym niecodziennym widokiem, wszedł do pokoju, aspirant z chęcią wyjaśnił:

– Założyliśmy fikcyjne konto Marka Kuleszki. Kojarzysz Kulkę?

– Pewnie, że kojarzę, ale jakie konto?

– Na Facebooku!

Berg puścił mu pobłażliwy uśmiech, przez co Impuls spoważniał.

– Nie doceniasz potęgi nowych mediów!

Do pokoju wszedł Chaber. W naręczu niósł ogromny stos dokumentów, który przytaszczył z policyjnego archiwum.

– Wiesz, co tu Impuls wyprawia? – zapytał komisarz, spodziewając się wsparcia ze strony starszego aspiranta.

– Z czym? Z Facebookiem? Tak, to był mój pomysł.

– Twój?!

– Tak. Marek Kuleszka siedzi w pudle. Był jednym z nielicznych bez konta, to mu założyliśmy. Teraz wysyłamy zaproszenia do gości z Żoliborza...

– A ci idioci hurtowo je akceptują – dokończył Impuls.

– To kopalnia wiedzy – zapewnił Chaber, powoli przekonując Berga do słuszności nowej taktyki. – Mamy serię nowych połączeń, miejsc, w których bywają... Aż dziw, że niektóre rzeczy tak jawnie publikują.

– Wiesz, niektórzy z nich to show-offy, lubią pokazówki.

– W końcu się połapią – skwitował Berg.

– Potrzebujemy tylko kilku dni, żeby zajrzeć każdemu na profil.

– Przecież Kulka nie weźmie nas za to do sądu – dodał Impuls uspokajająco.

– Cokolwiek działa, chłopaki.

Komisarz usiadł obok Chabra i podzielił się z nimi informacją o ponownym zawieszeniu. Impuls nie wytrzymał. Złapał kurtkę i wkurzony wyszedł, kłamiąc, że jedzie na rozpoznanie.

– Pojebało ich, naprawdę – ocenił Chaber. – Przecież sprawa powoli posuwa się do przodu, Brocki wie, że bez ciebie to w czarnej dupie znowu będziemy.

– Nie, nie, Chaber... Ma rację. Dużo się ostatnio działo, straciłem nad sobą panowanie. – Złapał kilka teczek z biurka i przekartkował je. Nie były to jednak profile żoliborskich, jak się spodziewał. Dotyczyły starych, nierozwiązanych spraw. – W takim stanie na wiele się wam nie przydam. Co robisz z tymi papierami?

– Jak wypłynęła ta broń, którą znalazłeś u Sobiecha, pomyślałem, że przejrzę stare sprawy, w których brakowało narzędzia zbrodni tego typu...

– Przecież to działka Felińskiego, to jego dowód.

– Widzisz, żeby Fela siedział nad tymi papierami? Nie. Właśnie, on lubi pracować z ludźmi, ciągle szuka świadków. A teraz – zdaje się, po raz setny – zawraca głowę biegłemu, czy oby na pewno wyciągnął z ciała tyle, ile się dało.

Założę się, że gdyby mógł, sam otworzyłby te dziewczyny. Ci goście z krymy...

Dobrze, że my nie bujamy się z ciałami na co dzień.

– Gdzie Mazur?

– W domu Sobiecha. Pracuje z technikami. Szukają śladów włamania i obcych paluchów.

– Widziałeś Miśka?

– Miśka? Wczoraj ulotnił się zaraz po tym głupim przesłuchaniu Sobiecha.

Taki był mocny w gębie, a potem nas unikał. Dzisiaj kręcił się trochę między wydziałami. Czemu pytasz?

– Muszę z nim pogadać. Mówiłeś ostatnio, że wsparcie by się nam przydało.

Dobrze będzie mieć go po naszej stronie.

– Po tym, jak cię wystawił?

– Po tym, jak my jego?

Chaber zamilkł. Wiedział, że z Procą nie wygra. Ten zawsze musi mieć ostatnie zdanie. Nawet jeśli nie do końca zasadne.

Do szyby w drzwiach zapukał Tyszka i kiwnąwszy palcem na Berga, przywołał go do swojego pokoju.

– Powodzenia – rzekł Chaber i Berg ruszył na spotkanie z przełożonym.

– Zawieszony?! Prosisz się o dyscyplinarkę? Co odwaliłeś tym razem?

– Mówisz, jakby ostatnim razem to była moja wina... Groziłem prokuratorowi podrzuceniem dowodów.

– Nieprawda.

– Prawda.

– Alan, kurwa, przecież znam cię nie od dzisiaj... Bywa, że masz pierdolca, ale nie jesteś głupi. Jakbyś miał podrzucić dowody, tobyś to po prostu zrobił, zresztą wątpię... Co się dzieje?

– Filip, jeśli ci powiem, nie będziesz mógł tego zignorować. Ile

zostało ci do emerytury? Trzy miechy? Nie przejmuj się, panuję nad sytuacją.

– Nie graj ze mną w ten sposób, nie potrzebuję twojej ochrony, chcę wiedzieć, co się dzieje.

– Teraz naprawdę potrzebuję, żebyś mi zaufał.

– To ty mi zaufaj. Daj sobie pomóc.

Berg milczał, wlepiając wzrok w podłogę.

– Za trzy miesiące idę na emeryturę. Może być, że w takim układzie już się więcej nie spotkamy. Kto wie... Pozwól, że powiem ci coś na odchodne. Zawsze wiedziałem, że będziesz dobrym gliną, że nie liczą się dla ciebie belki, że olewasz hierarchię służbową, że oddasz zdrowie za prawdę i życie za drugiego człowieka.

Ale wszystko ma swoją granicę i cenę. Nie chcesz mi powiedzieć, co się stało – dobra. Ale czy powiedziałeś o tym komukolwiek ze swojej grupy? Młodemu? Nie. Nikomu. Więc jesteś z tym sam. Nikt cię nie osłania, nikt nie zabezpiecza, bo nikt nie ma pojęcia, w co się wpakowałeś, a ja cię znam i widzę, że coś tam jest. Powiedz mi – skoro nikt inny nie zdaje sobie sprawy z niebezpieczeństwa, jak cię mają obronić przed ciosem w plecy?

– Nie muszą. Dam siebie radę.

– Nie dasz. Zobaczysz, że ktoś cię w końcu udupi. I mnie już tutaj nie będzie, żeby ci pomagać.

– Dzięki, że próbowałeś, inspektorze...

– Alan... Dla mnie już zawsze zostaniesz tym nieśmiałym dzieciakiem, który nie odróżniał koksu od mąki...

– Ha! Myślałem, że zapomniałeś.

– Takich rzeczy się nie zapomina.

– Skoro było ze mną aż tak źle, dlaczego mnie wzięłeś?

– Z dwóch powodów. Po pierwsze, wiedziałem, że da się cię czegoś nauczyć; to zawsze przyjemnie łaskocze ego. Po drugie, byłeś tak naiwny, że ktokolwiek inny wykorzystałby cię i skończyłbyś karierę w cebosiu po kilku tygodniach...

– Czyli zrobiłeś to, bo jesteś egocentrykiem i zrobiło ci się mnie żal...

Wspaniale!

Tyszka uśmiechnął się szczerze na myśl o przeszłości. Nie, żeby przeszłość była tak cudowna – to chyba perspektywa czasu i myśl o

zbliżającej się emeryturze sprawiły, że wiele doświadczeń wspominał z sentymentem. Po chwili otworzył szafkę biurka, wydobyl z niej kilka kartek raportu z zatrzymania Sobiecha i wręczył je komisarzowi.

– A to napisałeś, jakbyś właśnie wczoraj zaczął tu robotę.

– Nie podobał ci się raport?

– Żartujesz? Pisziesz, że szedłeś korytarzem, otworzyłeś drzwi do schowka, w ciemności zauważyłeś ludzką postać i oddałeś strzał...

– Co jest nie tak?

– Nie mów mi, że nie widziałeś celującego w ciebie gnata...

– To wszystko działo się bardzo szybko, Filip. Nie jestem pewien, co widziałem.

– Kurwa, Alan! Rozumiem, że jest ci trudno o tym myśleć, to był młody chłopak... Ale ten dzieciak chciał cię zabić! Prawdopodobnie zrobiłby to, gdyby nie kamizelka! Napisz, że zauważyłeś broń, dlatego uniosłeś swoją. On pierwszy oddał strzał, twój był reakcją odruchową.

– Dla mnie te strzały padły jednocześnie, nie wiem...

– Chłopaki podali, że słyszeli dwa strzały, jeden po drugim.

Komisarz poprawił się na krześle. Rzeczywiście niewiele pamiętał z tego wydarzenia, omamiła go nieco dawka adrenaliny. Spróbował odrzucić od siebie myśl, że może jednak to on pierwszy oddał strzał.

– Nie napisałeś o pogroźkach ze strony Sobiecha.

– Nie myślał, co mówił. Zabiłem mu syna, był w szoku.

– Nieważne! Ważne jest to, że groził oficerowi policji!

– To mam zapisać też to, co mu odpowiedziałem?

– Nie, tego nie pisz.

Berg doskonale rozumiał, czego oczekiwał inspektor od tego raportu – jasnego, rzeczowego opisu sytuacji świadczącego o tym, że postrzelony oficer od początku do końca działał rozsądnie. W tym momencie raport nie działał na jego korzyść i komisarz mógł mieć pewność, że zlecenie gruntownej poprawki uratuje mu skórę. Zabrał kartki i nagromadzone wyrzuty sumienia z powrotem do swojego biura. Nie udał się prosto do niego. Po drodze zapukał do cudzych drzwi. Do drzwi Michała Chmielewskiego. Wszedł do środka z lekkim uśmiechem na twarzy i siadając bezwiednie na biurku podkomisarza, powiedział:

– Dasz wiarę, że znowu mnie zawiesili?

– Za co?

– Nieważne... – Machnął ręką Berg. – Brocki robi z muchy słonia.

W każdym razie, Misiek, przyszedłem, żeby zaproponować ci piwo po pracy.

– Mi? A to ciekawe... Mało masz kolegów?

Komisarz przymrużył oczy i uśmiechnął się do siebie.

– Widzisz, ty i ja mamy coś, czego moje chłopaki nie mają.

– Co takiego?

– Iskrę lidera. Rozumiesz? Ty wiesz, jak to jest brać byka za rogi, pierdolnąć nim o ścianę i przyjąć porażkę na klatę, jeśli bydlak okaże się silniejszy. Mam rację?

– Chyba masz. A ten, no... Młody! Słyszałem, że dobry agent. Trochę się tu panoszył z „Szakalem”, jak zapijałeś żale po informatorce.

Serce Berga przeszył cierń. Miał ochotę poderwać się i przyłożyć Miśkowi za brak współczucia oraz swoistą arogancję. Opanował się jednak. Wlepił wzrok w podłogę i spokojnym, nawet smutnym tonem przyznał:

– Młody to dobry chłopak. Ma coś w sobie. Potencjał. Ale jest jeszcze niedoświadczony. Jakiś czas temu pracował nad poważną sprawą. Dotyczyła wpływowych ludzi, którzy w porę zorientowali się, co jest na rzeczy. Wiesz, co zrobili, żeby go uciszyć?

– Co?

Chmielewski wyglądał na bardzo zainteresowanego tematem. Odchylił się na krześle i czekał na odpowiedź. Berg spojrzał mu w oczy i nie odrywając wzroku ani na sekundę, jednym tchem powiedział:

– Jeden z nich w nocy wywiózł go do lasu. Kazał kopać własny grób.

Zastraszył chłopaka tak, że złamał go psychicznie do granic możliwości. – Przerwał i odetchnął głęboko, szukając w sobie ciepłości i spokoju. Misiek słuchał uważnie i po dłuższej chwili milczenia skomentował:

– Bydlak...

– Wiesz co, Misiek? Przysiągłem sobie, że znajdę skurwysyna i odpłacę mu za Młodego.

– Zasłużył. Mam nadzieję, że ci się uda. Tylko zrób coś dla mnie,

Berg. Jak już staniesz z nim oko w oko, upewnij się, że masz klamkę w pogotowiu.

– Ha! To byłby teraz problem.

– No właśnie.

– Misiek! Mam wrażenie, że zaczęliśmy nie najlepiej, a teraz sprawa hamulców w moim taurusie jest w twoich rękach, więc pomyślałem, że warto się zrehabilitować. Pogadamy o sprawie, wyżalę się trochę...

– Nie masz mi za złe, że wsypałem cię Sobiechowi?

– I tak by się dowiedział, o ile nie wiedział wcześniej... A nawet jeśli nie, to daj spokój! Jeszcze się uczysz. Wiesz, co ja odwałem, jak zacząłem tę robotę?!

– Co?

– Jak pójdziesz na piwo, to się dowiesz!

– Dobra, ale trochę mi jeszcze zejdzie. Tak do dwudziestej trzydzieści. Gra?

– Gra – odparł z satysfakcjonującym uśmiechem Berg i wyszedł z pokoju, po czym zacisnął obie pięści aż do bólu.

Było już po zmroku. Komisarz kończył nanosić poprawki do raportu, co sprawiało mu wiele trudności. Emocjonalnych i logistycznych. Wypalił przy tym prawie pół paczki papierosów. „Jeszcze kilka podobnych raportów i skończę w grobie z nowotworem” – pomyślał.

Od klawiatury oderwał go na chwilę pukający do drzwi Chaber.

– Zawiesili cię, ale robić każą?

– To chyba część mojej kary.

Starszy aspirant pokiwał głową ze zrozumieniem i po chwili powiedział zmęczonym tonem:

– Słuchaj, nie mogę tu już wysiedzieć. Wezmę ze sobą pudło tych papierów i dokończę w domu.

– Dobra. To daj znać, jak coś znajdziesz.

– A odbierzesz telefon? – zapytał przekornie.

– Odbiorę...

– A! Zaraz może przyjechać Młody po kilka papierów. Zostawiłem mu je na biurku. Nawiasem mówiąc, chcesz uruchomić alarm przeciwpożarowy?

– Wyjąłem baterie z czujnika.

– Trochę tu siwo...

Wyszedł, pozostawiając Berga w dymie wyrzutów sumienia. Komisarz wstał do okna. Może faktycznie nie zdał sobie sprawy z ilości nagromadzonego dymu. Nie zwrócił nawet uwagi na to, że przestał reagować nań kaszlem. Czujnik zdezaktywował jeszcze przed współpracą zagraniczną. Wtedy zaczął więcej palić. Otworzył okno i do środka wpadł szum samochodowych silników wymieszany z potokiem ludzkich głosów. Wieczór jak każdy inny, choć dla Berga był jednym z tych dziwnych, kiedy rzeczywistość wydaje się odległa, jakby umieszczona za szybą, nierealna. Uważał podobne samopoczucie za reakcję obronną umysłu, który, zawałony nadmiarem wrażeń, procesuje zebrany materiał i odcina się od jakichkolwiek dodatkowych bodźców. Paradoksalnie, w tych momentach świat wydaje się poukładany, na swój sposób piękny i możliwy do ogarnięcia. W takim świecie można by żyć aż do jego skończenia, bo wszystko, co się w nim znajduje, wydaje się pozbawione wpływu na naszą wolę. Taki świat po prostu jest. Nie w nas. Obok. Pół godziny po wyjściu Chabra komisarz zauważył zbliżającego się korytarzem Miśka, założył więc kurtkę i wyszedł mu naprzeciw.

– Byłeś kiedyś tu na rogu? – zapytał życzliwie.

– Tak, dobry klimat.

Kiedy schodzili schodami, naszedł na nich Młody. Berg podał mu rękę w przelocie. Zwolnił tylko, ale nie zatrzymał się.

– Idę z Miśkiem do „Baileys”! Widzimy się jutro? A! Chaber zostawił ci jakieś papiery na biurku...

Młody podziękował za informacje i przystanął, patrząc zaskoczony, jak Berg wychodzi z budynku w towarzystwie Chmielewskiego. „Idę z Miśkiem...”? Komisarz ewidentnie dał mu tą formą do zrozumienia, że nie będzie mile widziany, dołączając do ich towarzystwa. Cóż, nic na siłę. Ruszył na górę do biura „Szakala” i tam rozejrzał się za potrzebnymi dokumentami. Nie było jeszcze późno, ledwie wybiła dziewiąta, ale Chaber zdawał się już walczyć ze snem. Znużyły go liczne raporty i sprawozdania. Strona po stronie odkrywał nowe, a wydawałoby się te same sytuacje. Ktoś znalazł ciało, wyglądało tak i tak, dziura po kuli, śledztwo, brak narzędzia zbrodni, brak świadków, ślepy zaułek, sprawa nierozwojowa, umorzenie... Nikt nie zapłacił za te zbrodnie i prawdopodobnie już nie zapłaci. Starszy aspirant skupiał

uwagę na metodach zabójstwa, a szczególnie na broni, którą się posłużono. Nie miał pewności, czy nawet jeśli trafi na podobną broń, przyniesie to jakiegokolwiek wskazówki dla sprawy, którą się zajmowali. Głęboko wierzył jednak we frazes „przypadki nie istnieją”. A może po prostu wierzył w cuda.

Zaparzył sobie trzecią już tego dnia kawę i z gorącym kubkiem w dłoni stanął nad rozłożonymi wszędzie papierami. Próbował nabrać innej perspektywy, skakał wzrokiem od papieru do papieru, od zdjęcia do zdjęcia. Szukał strzału w głowę kalibrem 9mm. Samobójstwa czy pozorowane samobójstwa mógł od razu schować z powrotem do teczek. Strzały między oczy również. Interesowały go wyłącznie zabójstwa w stylu egzekucji. Nie w potylicę (te też odłożył na bok). Ofiara musiała klęczeć, więc strzał oddano nieco z góry. Morderca lubił pastwić się nad ofiarami. Poniżać je, podkreślać ich bezbronność i nieuchronność śmierci. Zresztą, kiedy strzelał pod kątem, mógł odnaleźć i zabrać pocisk, co przy strzale na wprost byłoby niemożliwe. Szukanie pocisku w lesie byłoby gorsze niż szukanie wiatru w polu. Ekipa Felińskiego coś o tym wiedziała. Upił ostrożnie pierwszy łyk i zatrzymał wzrok na jednej z fotografii. Konkretnie na dziurze w głowie ofiary. Przyjrzał się jej dokładniej, sprawdził numer sprawy zapisany na odwrocie i odszukał odpowiadające mu akta.

Egzekucja.

9mm.

Zabójstwa dokonano w lesie...

Podmiot badający sprawę – Komenda Miejska Policji w Gdańsku.

Funkcjonariusz prowadzący – kom. Gustaw Hynek.

Coś zaczęło mu się przypominać. Podeszedł do komputera i wpisał w wyszukiwarkę nazwisko gdańskiego komisarza. Pojawiło się kilka krótkich notek z lokalnych gazet. Otworzył pierwszą z nich. „Dziennik Bałtycki”. Rok dwutysięczny. Policja poszukuje zaginionego komisarza policji, Gustawa Hynka.

Artykuły powiązane. Ciało komisarza odnalezione. Morze wyrzuciło

na brzegmartwego policjanta. Zamordowany?

Samobójstwo?

Strzelił sobie w głowę i wpadł do morza?

Współpracownik Hynka opowiada o depresji partnera.

Po śmierci komisarza Gustawa Hynka jego podopieczny, aspirant Michał Chmielewski, doprowadza sprawę do końca. Podejrzany o zabójstwo dwudziestujeden kobiet Krystian S. skazany na dożywocie. Nie przyznaje się do winy.

„Przypadki nie istnieją” – pomyślał Chaberski. Wykonał niemały wysiłek, żeby odsunąć na bok wszelkie uprzedzenia, jakie żywił w stosunku do Chmielewskiego. Spojrzał na fakty obiektywnie i uznał, że jeśli w pobliżu jednego człowieka dochodzi do trzech zgonów, trzech morderstw w użyciu broni tego samego kalibru, to sprawom należy się przynajmniej bliższe przyjrzenie się. A żeby to uczynić, należy zatrzymać podejrzanego, a przede wszystkim zadać mu kilka istotnych pytań. Przerzucił resztę papierów z miejsca na miejsce w poszukiwaniu telefonu. Zadzwoił do Berga, ale ten nie odebrał. Wybrał więc numer Młodego. Podkomisarz wychodził właśnie z Biura, kiedy poczuł wibrację w kieszeni.

– Chaber, znalazłem te zestawienia, dzięki, że je naszykowałeś...

– Jest tam Proca?

– Już nie. Wyszedł na piwo. Nie uwierzysz z kim! Z Miśkiem! I jeszcze do tego dał mi do zrozumienia, żebym...

– Miśka trzeba zatrzymać. To może być nasz morderca.

– Skąd takie wnioski?

– Wszystko wyjaśnię na miejscu, już do was jadę, tylko nie zostawiaj go samego z Bergiem!

Młody pędem ruszył schodami. W tym samym czasie Proca i Misiek dopijali pierwsze piwo, które dość szybko im poszło. Od kilku minut komisarz narzekał na „górkę”, że nie widzą, jaki jest dobry, nie doceniają, tylko czepiają się każdego nagięcia protokołu i od razu dają zawieszenie!

– Sam powiedz: co byś zrobił na moim miejscu? Poszedłem do prokuratora i jak do człowieka mówię, żeby współpracował, że wiem, że krył dupę temu chujowi Tarkowskiemu, że brał w łapę... On mi na to: „gdzie masz dowody?” No to palnąłem, że jak będę chciał, to

dowody się znajdują. Przesadziłem?

– Nie sądzę. Można to uznać za policyjną prowokację.

– No, właśnie nie można! Bo oficjalnie Właszczyk jest czysty jak łąza! Nic na niego nie mamy, więc jakie prawo do prowokacji? W ogóle, on to wziął za pogrózkę i ze skargą do Brockiego! Ten też dobry, zamiast pomyśleć sam, to robi, co mu każą! Mówię ci, Misiek, to Biuro, całe służby pierdolone, to tylko układy i układziki... Ale dosyć mojego narzekania. Jak tam twoja... albo raczej moja sprawa idzie, hm? Wskórałeś coś wczoraj? Chaber mówił, że wcześniej wychodziłeś, coś wypłynęło? Jakies dowody obciążające Sobiecha?

– Niestety nie. Ale wierz mi, że ta sprawa to dla mnie priorytet. Jak ktoś próbuje dojechać oficera, to zapłaci za to. Zobaczysz...

– Na pewno!

– A wczoraj to do mamy pojechałem. Biedaczka mieszka sama za miastem.

Stare gospodarstwo, wieś wokoło.

– Tam się wychowałeś?

– Tak, ojciec zmarł prawie dziesięć lat temu i gospodarstwo upadło. Mama próbuje chociaż dom utrzymać w jednym kawałku, ale to niełatwe w jej wieku.

– Dobry z ciebie chłopak, Misiek...

– Staram się – odparł podkomisarz z uśmiechem.

Podziw i obrzydzenie kołatały się teraz w sercu Berga. Siedział obok człowieka będącego mistrzem ułudy, wzorowego policjanta, który tak naprawdę miał więcej na sumieniu niż niejeden poważny przestępca. Misiek wydawał się rozluźniony, z opuszczoną gardą, i podjął temat dalej:

– Czyli Tarkowski znowu się wywinie? Jak nie korupcyjnemu, to nam.

– Nie. Widzisz, może i ma prokuratora w garści, ale to nie wystarczy, żeby się wywinąć. Trzeba mieć jeszcze jaja, żeby ciągnąć coś takiego latami.

– Nie rozumiem.

– Złamał się. Tarkowski przyznał się do postawianych mu zarzutów.

– Jak to? Tobie się przyznał?

– Nie mogę wchodzić w szczegóły. Rozumiesz, śledztwo utajnione i te sprawy... Ale tak, Tarkowski się poddał. Przyznał się do korupcji,

matactw i zaskakująco też do paru innych rzeczy.

– Jak co?

– Nakłanianie do morderstwa.

Dotąd zrelaksowany wyraz twarzy Chmielewskiego uległ diametralnej zmianie. Podkomisarz wyprostował się i nieco odchylił do tyłu, lecz szybko powrócił do uprzedniej roli pewnego siebie oficera.

– Naprawdę?! Poseł zamieszany w morderstwo – czyli to gruba sprawa. Nie boisz się brnąć w to dalej?

– A powinienem?

– A nie? Przecież o mało cię nie zabili.

– Myślałem, że sądzisz, że to Sobiech za to odpowiada. Jeśli tak było, a on siedzi w pudle, to chyba jestem bezpieczny i zaryzykuję to dalsze drążenie.

Atmosfera między nimi wyraźnie zgęstniała. Berg stopniowo podnosił zasłonę pozorów. Powoli wykladał karty na stół i bacznie obserwował rozmówcę, który starał się ignorować jego natarczywe spojrzenie.

– Jest więcej – ciągnął dalej Proca, gdy Misiek utopił wzrok w szklance piwa. – Tarkowski przyznał, że miał bliskiego współpracownika. Człowieka od brudnej roboty – policjanta, czym potwierdził zeznania Sobiecha. Próbuje zwalić na niego całą winę za te morderstwa. Kolada, Ostrowska, zlecenie na mnie, zastraszanie Sikorskiego, Sobiecha (bo taka jest teraz jego linia obrony – że został zastraszony) – wszystko pójdzie na konto tego jednego człowieka.

Oczywistym było już dla Chmielewskiego, że Berg go bada. Nie miał jednak pewności, ile komisarz wie i jakie ma na to dowody. Podjął więc tę swoistą grę w podchody.

– Podał ci nazwisko tego policjanta?

– Podał.

– Rozumiem, że skoro nie dokonujesz aresztowania, to znaczy, że nie masz wystarczająco obciążających dowodów na tego człowieka. To będzie słowo skorumpowanego posła przeciwko słowu psamordercy.

– Bardziej kundla.

– Co?

– Na bycie psem to trzeba zapracować, zasłużyć. Jak na gwiazdki na pagonach.

Misiek parsknął śmiechem. Nerwowa reakcja obronna była tym, na co czekał Berg. To samo wydarzyło się podczas ich wspólnego strzelania, kiedy Chaberski uderzył w drażliwy temat nierozwiązanego dochodzenia w sprawie domniemanego samobójstwa. Ciągnął dalej, by drażnić i złamać rozmówcę.

– To skundlony skurwysyn, który ani nie zasługuje na szacunek wśród psów, ani nie dorobił się szacunku po tej drugiej stronie prawa. Tarkowski jest gotowy ratować własną dupę i dać nam kundla na tacy. Co byś zrobił na miejscu kundla?

Mi się wydaje, że przyznanie się do winy byłoby najlepszą opcją i pewnie prawnik doradzi to samo.

– Igrasz z ogniem, Proca. Gość, który zajebał już kilka osób, nie zawaha się zrobić tego ponownie. Nie wiesz, ile ma jeszcze na sumieniu.

– Wydaje mi się, że kundel tak naprawdę jest tchórzem. Potrafi zabić słabszych od siebie. Kobiety na przykład. Krzywdzi dzieci. Na mnie wysłał

Sobiecha, nie zaryzykował bezpośredniej konfrontacji.

– Jesteś bardzo pewny siebie.

Głosy gości pijących w barze wydały się głośniejsze. Wyraźnie zadźwięczały szklanki, a gromki śmiech irytował hucznością. Proca milczał i z grobową powagą sięgnął po swoje piwo. Irytował rozmówcę, który nienawidził nieprzewidywalności. Pobudzony, tracący grunt pod nogami Chmielewski cofnął odruchowo dłoń za plecy. Opanował się i zamiast sięgnąć po glocka, podrapał się w bok. Berg nie zareagował również i na to, choć obserwował Miśka uważnie i zdawał sobie sprawę z umiejscowienia broni za jego pasem. Przeniósł wzrok powoli z „nerwowej” dłoni na oczy rozmówcy i stwierdził obojętnym tonem:

– Nie zapytałeś o to nazwisko.

Znowu nerwowy uśmiech. Misiek próbował rozważać różne warianty. Przyznać się, uciekać, zastrzelić komisarza przy świadkach, a może grać głupiego aż do końca? Nienawidził przegrywać! Berg wyraźnie triumfował i jeszcze pastwił się nad swoją ofiarą. Misiek zakończyłby tę rozmowę z przyjemnością. Zakończyłby ją jednym celnym strzałem. Już kiedyś tak zrobił. Pozbył się wścibskiego partnera, który nie mógł

zadowolić się jednym schwytanym mordercą – drażył i drażył, aż dochodzenie przekroczyło barierę bezpieczeństwa Chmielewskiego. Wtedy wystarczył jeden strzał prosto w głowę. Zabrał martwego komisarza do portu, załadował na swoją niewielką łódź i wypłynął z ciałem kilka kilometrów od brzegu. Potem dobrze wyszorował łódkę, pozbył się swojego ubrania, a gdy ciało martwego policjanta znalazło swoją drogę na brzeg, przyznał, że partner był ostatnio przybity, nawet depresyjny. Z chęcią powtórzyłby teraz podobną historię. Jednak okoliczności były inne. Wokół świadkowie. I Młody, który napatoczył się niespodziewanie i wie, że poszli razem, że akurat tutaj. Zastrzelenie Berga byłoby strzałem we własną stopę. Straciłby wszelkie opcje obrony. Opanował się, lecz nie zmieniało to faktu, że powoli puszczały mu nerwy.

– A powiedziałaś mi, jak on się nazywa? To są przecież „tajne sprawy”.

– Naprawdę muszę stawiać kropkę nad „i”? Jesteśmy tu sami. Nikt inny nie słyszy.

– Po co mamy tę rozmowę, Berg? Przecież nikogo nie aresztujesz. Nie możesz, nie masz za co. O tym, że jesteś zawieszony w obowiązkach służbowych, już nie wspomnę.

– Nie chcę nikogo aresztować. Jeszcze nie teraz. Jest jeszcze jedna mała sprawa, którą muszę załatwić.

– A! Mała sprawa.

– Ma dziesięć lat i jej śmierć bardzo skomplikuje sytuację. Wiesz, jak w mediach i w pudle wyglądają mordercy prostytutek, a jak mordercy dzieci...

Przetrzymywanie dziecka już na nic się nie przyda. Właśczyk nic nie może. Nie będzie cię krył ani on, ani Tarkowski. Zostałeś sam z ogromnym bagażem zarzutów. Tarkowski wysługiwał się tobą jak pionkiem. Nie byliście partnerami w biznesie, on wykorzystywał twoje wpływy i umiejętności, póki mógł, a przy nożu na gardle od razu cię wystawił. Bądź mądry, Misiek. Rozegraj to teraz tak, jak trzeba.

– Nie masz żadnych dowodów, Proca. A mi jakoś do pierdła nie po drodze.

– Dowody to kwestia godzin. Na razie mam zeznania.

– Oficjalne? A może raczej wymuszone? Naprawdę myślisz, że

Tarkowski będzie zeznawał? Nie tylko ty masz na niego haki.

– Ujebię was obu. Będziecie w sąsiednich celach. Pytanie tylko, który z was będzie miał tam gorzej i który dłużej posiedzi.

– Czego oczekujesz?

– Współpracy – odparł Proca bez chwili zastanowienia. Nie mógł liczyć na nic innego. Konfrontacja była ostatnią opcją, na jaką miał ochotę. Misiek był nie tylko młodszy i w lepszej kondycji fizycznej, ale przede wszystkim miał przy sobie broń. Póki siedzieli w miejscu publicznym, raczej jej nie użyje. Choć nigdy nie wiadomo, czego można się spodziewać po człowieku tak wypaczonym emocjonalnie, jakim był podkomisarz Chmielewski.

Proca liczył przede wszystkim na zapewnienie bezpieczeństwa Mai Właszczyk. Teraz, kiedy porywacz wiedział, że patrzy się mu na ręce, nie zdecyduje się na kolejne morderstwo.

Kiedy Młody stanął przed wejściem do „Baileys”, przez duże witrynowe okno zauważył Berga i Chmielewskiego siedzących przy barze. Komisarz dał właśnie znak barmanowi i zamówił kolejne piwo. Nic nie wskazywało na niebezpieczeństwo, wręcz przeciwnie. Wyglądali jak para zwyczajnych kumpli relaksujących się dobrą rozmową po dniu pracy. Gdy tak się im przyglądał, dotarło do niego w końcu, że skoro Misiek jest tym, którego szukają, to jest też tym, który doprowadził jego samego na skraj załamania psychicznego. To był on. Ten sam pozbawiony skrupułów mężczyzna w kominiarce, który w blasku bladego księżyca wywiózł Młodego do lasu. Jego oddech był oddechem śmierci, a głos brzmiał mocno jak grudy ziemi uderzające w wieko trumny. Pistolet przyłożony do potylicy był glockiem zapisanym w policyjnym rejestrze broni, a skrywający się za kominiarką posłaniec śmierci – tylko człowiekiem, pracownikiem CBS-u. Człowiek ten ślubował stać na straży prawa, chronić obywateli państwa nawet z narażeniem własnego życia, obiecywał strzec honoru, godności i dobrego imienia służby. A kim się stał? Kłamcą. Mordercą. Zwykłym przestępcą. Poprawka!

Wyjątkowym przestępcą, bo przecież jako funkcjonariusz publiczny powinien wzbudzać zaufanie i nigdy go nie nadwyręzać! Wilk w

owczej skórze. Takiemu nie należał się żaden szacunek, nie powinien mieć on żadnych praw. Tymczasem Młody domyślał się, jak to będzie wyglądać. W najlepszym wypadku – sprawny proces i kilkuletni wyrok. Chociaż o wiele bardziej prawdopodobnym była wyboista droga procesowa wypełniona milionami kłamstw, uchylaniem się od odpowiedzialności, a to wszystko zakończyć się może niewspółmiernym do przewinienia wyrokiem.

Już miał wejść do środka, ale zawahał się. Proca wyraźnie dał mu wcześniej do zrozumienia, żeby im nie przeszkadzać, jednocześnie otwarcie przyznał, że wychodzą razem i gdzie będą się znajdować. W razie gdyby coś poszło nie tak, gdyby Procy coś się stało, Młody wiedziałby, że to Misiek był ostatnią osobą, z jaką przebywał komisarz, co automatycznie rzuciłoby cień podejrzania na Chmielewskiego. Proca miał plan. Siedział tam z Miśkiem nie bez powodu. Podkomisarz zdecydował się poczekać i obserwować sytuację z dystansu. Dziesięć minut później dołączył do niego Chaber, a po nim podjechał również radiowóz oraz Feliński w towarzystwie Meca. Ciszę, która zapanowała między rozmówcami w barze, przerwał błysk niebiesko-czerwonych świateł za oknem.

– Pora podjąć decyzję – ponaglił Chmielewskiego Proca. Ten dopił swoje piwo, odetchnął głęboko, po czym wstał powoli.

– Mam nadzieję, że twoi koledzy mają jakiś świstek, bo bez tego nie pojedę.

„Świstek” pojawił się przed nosem zatrzymanego w chwili, gdy tylko opuścili wnętrze baru. Prokurator nie zastanawiał się ani sekundy, gdy zadzwonił do niego Chaberski. Wystawił nakaz zatrzymania i w progu wręczył go policjantowi. Przeszukany i rozbrojony Chmielewski posłusznie wsiadł do radiowozu i czekał.

– Jedziemy tam, gdzie nas zaprowadzi – nakazał Proca ku zaskoczeniu reszty. Nie mieli pojęcia o czekającej na ratunek Mai. Załadowali się do samochodów i ruszyli za radiowozem.

„Teraz to już tylko Bóg może jej pomóc”

– podkom. Julian Sikorski (ps. Młody)

Podróż trwała trochę ponad pół godziny. Wyjechali z Warszawy i obrali drogę na Truskaw. Poczucie uciekającego czasu udzieliło się wszystkim. Kiedy w grę wchodziło porwanie dziecka, sprawa musiała przybrać nieco inny obrót – odnalezienie małej było priorytetem. Wszystko inne schodziło na dalszy plan, włącznie z karą, którą każdy z nich pragnął akonto wymierzyć Chmielewskiemu. Musieli zapewnić mu względne poczucie bezpieczeństwa, obustronnej współpracy, w zamian za wskazanie lokalizacji Mai. Kiedy Proca wtajemniczył kolegów w sprawę porwania, w samochodzie Chabra zapanowała grobowa cisza. Wiedzieli, ile teraz od nich zależy i jak wysoka jest stawka. Nie było już miejsca na błędy i przeoczenia, a niefortunnie los dziecka leżał teraz w rękach skorumpowanego oficera.

– Pamiętasz, Proca, jak opowiadałem ci o sprawie gwałciciela-mordercy, którą prowadził Misiek? – zaczął tłumaczyć Chaber, odkrywając przed przyjaciółmi swoje znaleziska i podejrzenia. – Dwadzieścia jeden ciał dziewczyn. Zgwałcone, brutalnie pobite... Śmierć na skutek licznych obrażeń, w tym rany klute i poderżnięte gardła. Ale jedna z dziewczyn była inna. Zginęła od strzału w głowę.

– I nigdy się do niej nie przyznał, tak?

– Do samego końca twierdził, że ta jedna to nie jego ofiara, mimo że leżała w tym samym zbiorowym grobie z resztą dziewczyn. Sąd mu nie uwierzył. Ale nigdy nie znaleziono broni, z której ją zabito. I tu niespodzianka!

– Pasuje do naszej „czeszki”?

– Ten sam kaliber, ten sam styl egzekucji. I jest więcej. Sprawę tamtej dziewczyny prowadził komisarz Gustaw Hynek. Zginął w dzień rozwiązania sprawy, a raczej... w dzień aresztowania tego skazanego

później Kosiarza. Morze wyrzuciło jego ciało na brzeg. Miał dziurę w głowie. Kaliber też ten sam.

Chmielewski opowiadał gazetom, że Hynek miał depresję. Wskazywał na samobójstwo. Ale jaki glina popełnia samobójstwo w dzień zamknięcia sprawy?

W dzień złapania mordercy?!

– Czyli Chmielewski zabił tamtą dziewczynę, którą zakopał w grobie seryjnego mordercy; zabił swojego partnera, bo może ten się czegoś domyślał, a teraz Koladę i Suzzy?

– Sobiech ma alibi. Jak zginęła Kolada, był w Niemczech – potwierdzono to dzisiaj. W domu Sobiechów nie znaleziono obcych odcisków palców. Żadnych śladów, że ktoś mógł podrzucić broń. Niby! Nikt przecież nie zwrócił uwagi na odciski Miśka, bo jako oficer miał prawo tam być. Nikt się nie przejął, że jego paluchy były wszędzie.

– Nie wiem, czy to wystarczy przed sądem, Chaber. To raczej poszlaki... – zrezygnowanym tonem powiedział Młody, masując sobie czoło. Spojrzał na Berga w nadziei, że dołoży do tego lepsze dowody:

– A ty skąd wiedziałeś, że to on?

– Ptaszek mi wyćwierkał...

– Ptaszek nie zezna przed sądem, co?

– Nie martwiłbym się teraz o to. Może zezna, może nie. Będzie trzeba też pojechać do Gdańska, przyjrzeć się tamtej sprawie.

– Podobno znaleźli wtedy łuskę i pocisk. Porównamy, zobaczymy – dodał Chaberski, nie tracąc nadziei.

– Czeka nas jeszcze masa roboty, ale ważne, że mamy na niego cokolwiek.

Wystarczająco, żeby trochę posiedział, to da nam czas na dołożenie dowodów. Najważniejsze jest teraz odnalezienie Mai. Świtało. Nad bajorem otoczonym gęstym lasem unosiła się jesienna mgła. Jechali powoli leśną drogą, aż radiowóz zatrzymał się nieopodal szerokiej polany. Zamknięty w radiowozie Chmielewski wskazał na połacie trawy i dodał: „w krzakach obok jest łopata”.

Gdy tylko przedarli się przez niskie zarośla, jeden z mundurowych wygrzebał z nich stary, zardzewiały szpadel, a Proca wypatrył świeży nasyp kilkanaście metrów obok. Kopanie zajęło funkcjonariuszowi kilka minut, w końcu uderzył łopatą w coś, co z pewnością nie było

skrzynią. Odrzucił narzędzie, a reszta, idąc w jego ślady, zaczęła odgarniać grudy rękoma. Po chwili spod czarnej ziemi zaczęła wyłaniać się materia. Brudna, naciągnięta na nabrzmiałe ciało skóra.

– Jezu Chryste... – wyszeptał jeden z policjantów, powstrzymując odruch wymiotny. Kolejny nie wytrzymał, odbiegł kilka kroków na bok i zwrócił treść pokarmową żołądka.

– Stop! – zatrzymał ich Feliński. – Nie kopcie dalej, bo mi dowody zrabiecie.

Mec, dzwoń po technika, biegłego, prokuratora i fotografa!

Nachylił się nad znaleziskiem i ocenił:

– Nie martw się, Proca... To nie jest nasza mała. Ta napuchnięta jak balon zgniłka ma ze dwa tygodnie. – Berg przykucnął obok, przysłaniając nozdrza rękawem kurtki. Z trudem znosił unoszący się w powietrzu zapach zgnilizny, lecz uparcie przyglądał się ofierze. – Brudna jak cholera, ale już widzę, że uduszona...

– To Kitka.

– Kto?

– Dziewczyna z „Magnezu”. Rozmawiałem z nią raz. Przyjaźniła się z Koladą.

– Tutaj! – krzyknął jeden z policjantów stojący przy kępie pobliskich krzaków, do których zwymiotował kilka sekund wcześniej. Biegiem znalazł się przy nim kolega z łopata i zaczął kopać. Po chwili, spod czarnych, mokrych od wilgoci grudek ziemi zaczęły odslaniać się kości. Obok nich wyłonił się skrawek grubej, czarnej folii. Mundurowy złapał ją oburącz i pociągnął mocno. Ziemia uniosła się nieco, a rozwinięta folia ukazała kolejne szczątki.

– Dość – rozkazał Feliński. Nic już nie kopujemy, nic nie ruszajcie. Czekamy na techników. Skurwysyn! – syknął przez zęby Feliński. – To wszystko jakaś stara robota. Zbiorowy grób! Oceniając po ciałach na oko, ma jakieś trzy lata najwyżej.

Będzie roboty w chuj! Pojeb skończony!

– Jej tutaj nie ma... – spuentował Berg. – Kurwa!

Oficerowie załamali ręce. Nie mieli pojęcia, gdzie szukać córki prokuratora, a Misiek zagrał z nimi bezwzględnie. Proca poprosił o klucze od radiowozu i ruszył w jego stronę, gdzie siedział uśmiechnięty szyderczo Chmielewski. Zaczął coś mówić, ale komisarz

nie zwracał na nic uwagi. Otworzył drzwi, złapał go za ramię i brutalnie wyciągnął z wozu. Skuty kajdankami podkomisarz nie miał zbyt wiele możliwości do obrony. Padł na mokrą ziemię i bezbrinnie przyjmował serię ciosów od komisarza, a ten nie patyczkował się ze swoją ofiarą. Dał upust wszystkim swoim frustracjom, okładając go gdzie popadnie. Atak przerwano dopiero, gdy Feliński, któremu nie brakowało ani masy, ani siły, z pomocą Chabra odciągnął go od leżącego.

– Uspokój się, Proca! – warknął Feliński stanowczo. – Nieprzytomny albo martwy już nic nam nie powie!

Komisarz wyrwał się z uścisku kolegów i ciężko oddychając, odszedł kilka kroków na bok. Feliński obrzucił Chmielewskiego wiązką wyzwisk i przykucnął obok.

– Co to ma być?

– Prezent pożegnalny.

– To wszystko twoja robota? – zapytał Berg, dochodząc ponownie bliżej.

– Niestety nie. Rok temu dostałem cynk, że znaleziono tu ciało.

Przyjechałem, zobaczyłem, uznałem, że za dużo roboty, i zostawiłem tak, jak było. No, to teraz tobie, Fela, zostawię to w spadku i bujaj się z tymi trupami przez lata. Kto wie, może jak je chociaż zidentyfikujesz, to premię dostaniesz...

– A Kitka? Dziewczyna z „Magnezu”?

– Też nie moja. Przywiozłem ją tutaj, ale nie ja ją zabiłem. Ale zapytajcie o nią Tarkowskiego. Może coś wam powie.

– Gdzie jest Maja?! – warknął na niego Berg, gdy z pomocą mundurowych Chmielewski podniósł się z ziemi.

– Kurwa, trzymajcie tego wariata z dala ode mnie.

Berg ponownie ruszył ku niemu, ale na drodze stanął mu Feliński. Nie uchroniło to jednak zatrzymanego, bo tym razem otrzymał potężny cios w podbrzusze od Młodego. Piekący ból zgiął Chmielewskiego w pół, jednak nie rozwiązał mu ust.

– Możemy już jechać na dołek? – wycedził przez zęby, gdy w końcu doszedł do siebie. Mundurowy dosłownie wrzucił go do radiowozu i mocno zatrasnął za nim drzwi.

Nie mieli pojęcia, ile ciał znajdowało się pod ziemią, ale spodziewali się, że sporo. Berg stanął na skraju polany i wyciągnął paczkę

papierosów z kieszeni. Nie obrócił się, gdy radiowóz odjechał. Zaciągnął się nerwowo i zamyślił. Nie przeszkadzano mu. Młody i Chaber czekali przy samochodzie, dając mu wypalić w spokoju. Feliński poganiał techników przez telefon, a Mec powoli i uważnie obchodził całą polanę, otaczając ją policyjną taśmą, którą wyciągnął z bagażnika. Zarówno on, jak i Chaberski wydawali się teraz najbardziej opanowanymi funkcjonariuszami. Ten drugi rozmawiał właśnie przez telefon z Mazurem, który miał mu przeczytać życiorys Michała Chmielewskiego. Starszy aspirant ustawił go na głośnomówiący tak, żeby również Proca mógł usłyszeć treść rozmowy. Mazurski kichnął do mikrofonu, po czym przetarł nos i kontynuował.

– No, to tak, Chmielewski urodził się w Sochaczewie trzeciego września tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego pierwszego roku. Ojciec, Henryk Chmielewski, mechanik samochodowy. Matka, Danuta Chmielewska, z domu Troszczyńska. Po śmierci męża w dwa tysiące siódmym roku przejęła ich wspólne gospodarstwo. W dwutysięcznym roku Chmielewski zaczął edukację w Wyższej Szkole Policyjnej w Szczytnie, ale pierwszą służbę podjął w Gdańsku...

Głos Mazura brzmiał nadal jednostajnie, lecz dla Berga jakby rozmył się w niebycie. Nie docierało już do niego żadne słowo po tym, jak usłyszał informację o matce.

– Adres tego gospodarstwa, Mazur – powiedział głośno, podchodząc nagle do Chaberskiego. Zaskoczony Młody również poderwał się, wyrzuciwszy w połowie spalonego papierosa. Z głośnika padł dokładny adres.

– Pojadę tam z Młodym – rzucił Berg, wyciągając rękę po kluczyki Chaberskiego. – Miej tu oko na wszystko – dodał, a aspirant przytaknął pewnie.

Wyjeżdżając z lasu, minęli się z kilkoma wozami. Młody wprowadził adres w nawigację i po chwili rzucił spokojnym głosem, w którym dała się wyczuć nuta rozczarowania.

– Chmielewski wygląda jak wzorowy oficer.

– W przeciwieństwie do mnie.

– To na pewno! Zawieszony dwa razy w przeciągu tygodnia... Czyli

co, jak chcesz być dobrym psem, musisz być złym psem?

– Mniej więcej. Na papierze wszystko wygląda inaczej. Pozory.

Chmielewski był wczoraj u matki. Dobry, pomocny syn. Co, jeśli przywiózł do niej porwane dziecko?

Młody niechętnie podążył tym tropem myślowym. Kiedy pada hasło „matka”, każdy z nas automatycznie widzi przed oczami własną rodzicielkę i tak też było w tym przypadku. Przed oczami podkomisarza stała kochająca i troskliwa Ela Sikorska, która jednak w sytuacjach konfliktowych zawsze stawiała po stronie męża. Kochała swoje dzieci całym sercem, jednak zarówno dla niej, jak i dla jej małżonka – Edwarda, najważniejszym było, by wychować ich na dobrych, mądrych ludzi, nawet jeśli ceną była nieczęsta w jej przypadku surowość. Musiała być łagodniejsza od męża, który w szczególności syna wychowywał twardą, nieustępliwą ręką. Julian Sikorski nie wyobrażał sobie jednak, by jakakolwiek matka mogła nie potępić syna za podobne zbrodnie, jakich dopuścił się Chmielewski.

– Czasami matki współpracują ze swoimi dziećmi – rzucił Proca, jakby czytając w myślach Młodego – więc bądź uważny.

– Berg, chodzisz jeszcze do kościoła?

– Czasami, a co?

– Bo teraz to już tylko Bóg może jej pomóc... Więc jeśli się modlisz, to chyba ostatnia szansa.

– Jeżeli ta dziewczyna umrze, Młody, to więcej się do Boga nie odezwę.

Przysięgam.

– Niekoniecznie o taką modlitwę mi chodziło.

Upłynęło czterdzieści minut, zanim dotarli do wsi Plecewice. Komisarz powoli wjechał na teren gospodarstwa, które wyglądało jak relikw z poprzedniego wieku. Wszędzie stały stare maszyny i narzędzia. Nieużywane od lat, zarośnięte trawą, pożerane przez rdzę. Stojący pośrodku dom był niewielki, ale zgrabny i miał w sobie ten swoisty czar wiejskiego życia. Ktokolwiek wychowywał się tutaj podczas rozkwitu gospodarstwa, był szczęściarzem. Spędzał godziny na dworze, gonił kury, łapał żaby z pobliskiego stawu, biegał po polu i lesie.

Zaparkowali tuż przed drzwiami. Nie musieli nawet pukać, bo od razu

je otwarto. Wydawać by się mogło, że gospodyni przesiadywała przy oknie, wypatrując odwiedzin gości, a konkretnie – ukochanego syna. Gdy komisarz ją zobaczył, stojącą w kolorowym, kwiecistym fartuchu na ganku, przypomniał sobie własną babcię. Kobieta ta bowiem była już w podeszłym wieku. Patrzyła na nich podejrzliwie, ale z wyrazem życzliwości na twarzy.

– Dzień dobry! – zaczął Młody i przedstawił siebie oraz Berga.

– Pan z cebosiu, tak? – zapytała, mierząc komisarza wzrokiem. Gdyby nie powaga sytuacji, pewnie rozbawiłby ich jej specyficzny sposób mówienia, zapewne podłapany od syna. – Mój Michaś też tam pracuje, może się znacie?

– Tak, proszę pani, znamy się. Niestety Michał został zatrzymany tej nocy.

– Zatrzymany? Jak to?

– Czy możemy wejść i porozmawiać?

– Tak, proszę, proszę...

Wprowadziła ich do środka i zaraz postawiła żeliwny czajnik na palniku. Jej naturalne, życzliwe zachowanie nie wzbudzało podejrzeń, a raczej przynosiło niejako ulgę. Stała przed nimi kobieta oszukana. Jej troskliwość wykorzystano, a miłość zbezczeszczone.

– To musi być jakieś nieporozumienie. Michałek zawsze powtarza, że w policji pracują też nieszczerzy ludzie... Pewnie ktoś go wrabia. – Oficerowie milczeli. Kobieta przyglądała się Bergowi. – Pan nie jest taki; ma bardzo dobre oczy. Spokojne...

– Czy możemy rozejrzeć się po domu? – zapytał speszony. Nie zawstydził się, ponieważ usłyszał pod swoim adresem komplement, ale dlatego, że wypowiedziała go matka, której syna godzinę temu obił tak, że ten jeszcze przez tydzień będzie odczuwał tego skutki. Kobieta machnęła na nich ręką, mówiąc:

– Proszę, róbcie, co musicie. Napijcie się herbaty?

– Nie, dziękujemy! – zapewnił Młody, przechodząc z pokoju do pokoju. – Nie chcemy sprawiać kłopotów...

Komisarz sprawdził piętro, Młody – parter. Dom wydawał się czysty. Żadnego śladu Mai. Pani Chmielewska wydawała się nieco ignorować problem, udawać, że wcale go nie ma. Czy naprawdę mogła z góry założyć, że wszelkie zarzuty przeciwko jej synowi są niesłuszne i

zakończą się oddaleniem? Być może właśnie tak wychowywała Michała. Zawsze przymykając oko, zawsze mówiąc sobie: „to nie szkodzi”, wiecznie go tłumacząc i wierząc, że wzrasta obok niej chodzący ideał. A może po prostu się okłamywała. Nie chciała ani nic dostrzegać, ani o niczym wiedzieć. Efekt tego był taki, że nawet nie zapytała, o co oskarżono jej syna. Ani przez chwilę nie okazała zmartwienia. Wrócili do kuchni i tam kontynuowali rozmowę.

– Kiedy ostatnio widziała się pani z Michałem?

– Dwa dni temu. W czwartek przyjechał po południu. Ucieszyłam się, bo rzadko przyjeżdża w tygodniu, raczej w weekendy. Wiedząc panowie, on bardzo ciężko pracuje! Zrobiłam mu naleśniki, zjadł, wypił kawę i pojechał. A w zeszłym tygodniu też mnie odwiedził i sam mi całe drewno już na zimę porąbał! Taki dobry chłopak... Potem znowu wieczorem raz zajrzał, bardzo późno już było. Ja myślę, że coś go gryzie ostatnio. Tak często wraca do domu, do starej matki... Komfortu szuka. Oparcia jakiegoś.

– O czym ostatnio rozmawialiście?

– O niczym szczególnym. W moim wieku i w sytuacji, jak rzadko kto odwiedza, to każda rozmowa sprawia przyjemność. Narzekał, że samochód mu się psuje i będzie naprawiał. Mój mąż był mechanikiem, to pełno w warsztacie pozostawało narzędzi. Już dawno miałam się ich pozbyć, ale jakoś ciężko mi to przychodzi. Michaś zabrał kilka kluczy hydraulicznych. Mówię mu: co się będziesz męczył, jedź do mechanika, naprawi ci, co trzeba. Michaś nigdy nie miał drygu do samochodów...

– Tu jest warsztat? – zapytał komisarz.

– Tak, za domem.

– Możemy rzucić okiem?

Pani Chmielewska wyjęła pęk kluczy z kuchennej szafki i zaprowadziła ich do warsztatu. Był to niski, klockowaty budynek wzniesiony z niedbale położonych szarych cegieł.

– Trochę wstyd was tam wpuszczać, bo bałagan straszny. – Młody pomógł kobiecie odchylić ciężkie, zardzewiałe w zawiasach drzwi. Zaskrzypiały nieprzyjemnie. Powietrze pachniało cierpko, przesycone wonią starych, metalowych narzędzi i kurzu. Ich oczom ukazały się stosy większych i mniejszych gratów porozrzucanych niedbale po

półkach. Pośrodku stała zniszczona Warszawa M20.

– Ostania praca mojego Henia. Chciał ją naprawić, żeby znowu pojechała, ale nie zdążył, biedaczek. A Michaś nigdy nie miał drygu do samochodów; nie tak, jak jego tata, więc nie umiał dokończyć...

Rozejrzeli się dokładnie po pomieszczeniu. Berg zajrzał przez szyby do wnętrza wozu. Spróbował unieść bagażnik. Był zamknięty.

– Ma pani klucze?

– Gdzieś tutaj... – powiedziała po chwili zastanowienia i przeszukała kilka małych szufladek. Odnalazła klucze, zbliżyła się do bagażnika, lecz Berg wyciągnął rękę po pęczek i poprosił, żeby się odsunęła. Nie miał pewności, co znajdą w środku. Z trudem opanowywał napięcie. Zamek bagażnika ustąpił opornie, kłapa odskoczyła z trzaskiem kilka centymetrów ku górze. Komisarz nabrał w płuca powietrza i wstrzymując oddech uniósł kłapę bagażnika. Pusto. Odetchnął z krótkotrwałym poczuciem ulgi. Położył się na ziemi, zaglądając pod zawieszenie.

– Mąż tutaj naprawiał wozy?

– Tak, tutaj – odpowiedziała kobieta z głosem pełnym sentymentu. Berg spróbował pchnąć samochód, lecz ten nie drgnął. Otworzył skrzypiące drzwi warszawki i poluzował ręczny. Razem z Młodym wytoczyli auto z warsztatu.

W podłodze znajdował się kanał naprawczy. Ku zaskoczeniu wszystkich z panią Chmielewską włącznie, wyposażony był w drewnianą kłapę zamkniętą na kłódkę.

– Rozpierzdol ten zamek... – rozkazał Młodemu. Podkomisarz sięgnął po leżący na blacie młotek i kilkakrotnie uderzył w kłódkę. Ta roztrzaskała się na części.

Powoli unieśli kłapę. Na dnie kanału leżała zwinięta w kłębek Maja Właszczuk. Pani Chmielewska wezwała imię Najświętszej Panienki, a oficerowie stali przez chwilę jak wbici w ziemię. W powietrzu unosił się smród potu, moczu i strachu. Komisarz przypatrywał się wątlemu ciału dziewczynki i gdy do jego uszu dotarł dźwięk cichego kwilenia, zeskoczył do dołka i wziął ją w ramiona. Maja spojrzała na niego półprzytomnymi oczami. Drżała jak jesienny liść. Berg odgarnął poklejone kosmyki z jej niewinnej twarzyczki i przytulił czule. Nie za mocno. Jej ciało wydało mu się słabe, kruche niczym porcelana. Usta

miała spękane, mrużyła oczy odzwyczajone od światła dnia. Rozpoznała go, mimo że była skrajnie wycieńczona. Wiedziała, że może mu zaufać, że jest już bezpieczna. Ale nawet jeśli byłoby inaczej – czy miałyby siłę, żeby się obronić? Młody zadzwonił po karetkę i poinformował Właszczyków, że ich córka jest cała i zdrowa. Co za ulga! Jakby ponownie otrzymali utracone życie. Utracony sens. Kiedy przechodzili z warsztatu do domu, uwagę komisarza przykuł stos porąbanego drewna ułożony kilkanaście metrów dalej. Przekazał Młodemu dziewczynkę i podszedł do wbitej w kłoc drewna siekiery. Przykucnął obok i przyjrzał się jej uważnie. Wyglądała na czystą, lecz czy taką była naprawdę, wykaże dopiero analiza laboratoryjna. Wstał i rozejrzał się wokoło. Obszedł ułożoną z pali górkę i to, co zobaczył za nią, ścisnęło go za gardło. Purpurowa plama rozciągała się pośród traw. Krew pozlepiła żdźbła. Walczące o życie kończyny ofiary rozkopały zieleń, wytłoczyły rowki w ziemi. „Więc to stało się tutaj...” – pomyślał komisarz. „Pod drzwiami rodzinnego domu, gdzie uczono go miłości i współczucia...”. Przywołał w myślach postać Sussy. Nie uśmiechała się jak zazwyczaj. Była przerażona. Błagała o życie. Walczyła do samego końca, nie poddając się, mimo że napastnik był znacznie większy, znacznie silniejszy.

Przycisnął ją do lodowatej ziemi. Pozbawił ją resztek godności, ponieważ brutalnie, odebrał jej wszystko, co miała. Ciało, siłę, życie. Ciche „przepraszam” uniosło się ponad pobliskim sitowiem. Upłynęło kilka minut, zanim komisarz poczuł się na siłach, aby wstać z kolan. Nic już nie będzie jak dawniej. Tym razem za bardzo się pomylił. Niewinna osoba przypląciła to życiem. To, że dziesięcioletnia Maja wciąż żyła, było niewątpliwym cudem. Cudem, który zdawał się ocalić jego samego. Wrócił do domu Danuty Chmielewskiej. Młody rozmawiał przez telefon z policją, a kobieta schodziła właśnie z piętra z puszystym kocem w dłoniach.

– Niech ją pan przykryje – powiedziała do komisarza, a sama zaparzyła herbatę. Dziewczynka leżała na kanapie w pozycji embrionalnej. Okrył ją dokładnie i nagle poczuł dotyk chudej, zimnej dłoni na swoim przedramieniu.

Patrzyła na niego zmęczonymi, błagającymi o bezpieczeństwo oczami. Usiadł więc obok. Do czasu przyjazdu ambulansu nie puścił

jej drobnej ręki. W duchu podziękował Bogu za życie Mai, a tym samym również za własne. Odnalazł ją. Żywą.

„Nic za darmo”

– nadinsp. Waldemar Brocki

Nie upłynęły jeszcze trzy tygodnie, odkąd Berg wrócił do kraju. Przez ten krótki czas wydarzyło się tak wiele spraw przynoszących napięcie i stres, że czuł się całkiem wypalony. A przecież, z pewnego punktu widzenia, był to dopiero początek drogi prowadzącej do sprawiedliwości. Jak zawsze – złapanie sprawcy otwierało wrota procesu sądowego, który nie zawsze kończył sprawę tak, jakby tego chciała policja. Szczególnie gdy na ławie oskarżonych sadzano polityków, pracowników służb czy osoby związane z wcześniej wymienionymi.

Tak. Ostatnie trzy tygodnie kosztowały komisarza mnóstwo zdrowia fizycznego i psychicznego. Lecz nie tylko on oberwał w tym czasie od rzeczywistości. Jego żona, która już niebawem miała nosić status „byłej”, ledwo radziła sobie ze stresem. Odbijało się to negatywnie na jej pracy. Nie miała cierpliwości do klientów kawiarni, toteż menadżer zaproponował jej „chwilowe wycofanie się z pierwszego planu”. Określił to bardzo zgrabnie i z chęcią przystała na jego propozycję. Nie chciała jednak całkiem odcinać się od pracy, musiała zajmować myśli czymś innym niż problemy związane z mężem. Na domiar złego nikomu z pracowników nie mogła wygadać się ze swoich rozterek. Kwestie związane z zawodem Alana zawsze pozostawały tylko i wyłącznie między nimi.

W duchu dziękowała Bogu za Basię. Przynajmniej do niej mogła zadzwonić, porozmawiać. Ona rozumiała jak nikt inny. Ewa z radością przyjęła informację o jej zejściu się z Młodym, choć doskonale wiedziała, jak trudna droga ich jeszcze czeka. Nie powiedziała tego na głos. Basia promieniała szczęściem, jakże więc miałyby czelność burzyć podobny entuzjazm. Zresztą, każdy przypadek jest inny. Młody

jest inny. Może im się powiedzie. Napełniła wannę wodą. Wsypała do niej dwie łyżki soli do kąpieli z dodatkiem suszonych płatków róży. Rzadko pozwalała sobie na taki relaks. Zazwyczaj brała jedynie poranny prysznic. Tego wieczoru czuła się jednak wyjątkowo zmęczona.

Niemalże wszystko, co związane było z jej mężem, przyprawiało ją ostatnio o mdłości. Kochała go, lecz ilość stresu, którą serwował im obojgu, już dawno przekroczyła granicę tolerancji. Zanurzyła się powoli w gorącej wodzie, biorąc przy tym głębszy wdech. Ciało szybko przyzwyczało się do wyższej temperatury i kilka chwil później woda wydawała się letnia. Dlaczego nie włączyła muzyki? W powietrzu wisiła dokuczliwa cisza. Czy kiedykolwiek zdoła do niej przywyknąć? Zbłąkane krople spływały z kranu i w nierównomiernych odstępach wpadały do wypełnionej wanny. Łowiła dłonią strzępki ususzonych płatków. Nic już nie zostało z ich piękna. Kolor wyblakł, kształt odszedł w niepamięć. Po ich niegdysiejszym uroku pozostał jedynie zapach, który teraz subtelnie unosił się nad powierzchnią wody. Gdy rozerwała już wszystkie większe płatki, przeniosła dłonie na brzuch. Opuszkami palców gładziła okolice pępka, a potem łono, w którym ponad rok temu rozwijało się dziecko. Teraz łono pozostało puste, lecz nie zrodziło owocu. Nigdy tak naprawdę nie pojęła, co się wydarzyło. Umysł wiedział od początku – poroniła. Dziecko zmarło, choć nigdy przecież nie rozpoczęło życia. Ciało matki nigdy jednak nie zrozumiało. Pozostawione w niedokończonym procesie tworzenia czuło się zabłąkane, oszukane. Zaczęła się zastanawiać, czy to się kiedykolwiek zmieni.

Czy jeszcze kiedyś wyda na świat dziecko? W przeszłości sądziła, że mogłaby tylko z Alanem, ale teraz... Miał zniknąć z jej życia. Tylko w pewnym sensie, bo przecież nigdy nie zniknie w pełni. Było to niemożliwe. Czy powinna mu powiedzieć, że w międzyczasie pojawił się ktoś jeszcze? Nie. Pomyślałby, że to „ten drugi” jest winien, że zostawia go dla innego. A przecież tak nie było. Nie wiedziała nawet, czy to, co budowało się między nią a menadżerem jej kawiarni, będzie czymś poważnym i trwałym. Opanowało ją poczucie błogości.

Pragnęła pozostać w nim jak najdłużej, więc delikatnie osuszyła ciało ręcznikiem. Do jej uszu dobiegł dźwięk telefonu. Przeszła do sypialni, pozostawiając za sobą mokre ślady stóp. Spodziewała się, że to dzwoni „ten drugi”, który tak naprawdę nie miał jeszcze prawa do podobnego statusu. Nie był dla niej nawet w połowie tak ważny jak Alan. Od kilku dni codziennie dzwonił wieczorem, żeby zwyczajnie życzyć jej „dobrej nocy i pięknych snów”. Tymczasem na wyświetlaczu pojawiło się imię jej męża.

Odebrała pełna obaw, jednak jego głos, już od pierwszego słowa, wydawał się tak miękki i spokojny, że wszelkie napięcie zeszło z niej jednakowo szybko, jak się pojawiło.

– Cześć, jesteś w domu? Mógłbym podjechać na chwilę za jakieś piętnaście minut?

Zdziwiła się, bo nie miał w zwyczaju zapowiadać wizyt, bądź co bądź, we własnym domu.

– Tak, oczywiście.

– To do zobaczenia.

– Pa.

Kilkanaście minut później pod domem zaparkował samochód. Otworzyła, nie czekając na dzwonek. Zaprosiła męża do środka, lecz ten wskazał na taksówkę.

– Poprosiłem, żeby poczekał... Ewa, chciałem ci tylko powiedzieć, że jest mi przykro. Wiem, przez co musiałaś przejść, i przepraszam. I... dziękuję, że przez te wszystkie lata byłaś przy mnie, wspierałaś, doprowadzałaś do pionu. – Uśmiechnął się smutno, przypominając sobie liczne sytuacje, w których, gdyby nie ona, skończyłby w trumnie albo – w lepszym przypadku – pod mostem. Zaplotła ręce na piersiach i opanowała napływające do oczu łzy. „Jezu! Kiedy w końcu nauczę się panować nad emocjami?!” – pomyślała.

– Jak się czujesz?

– Dobrze. Miałem naprawdę dużo szczęścia.

– Więcej niż rozumu chyba. Jechałeś na cyku?

– Nie... Nie, Ewa, to nie była moja wina. A ta sprawa, którą z Młodym prowadziliśmy, jest już na finiszu. Kosmetyka została, więc... już koniec.

Nie mogła się powstrzymać. Przekroczyła próg i przytuliła się do

niego. Spodziewał się po niej prędzej oziębłości niż współczucia. Spojrzała mu prosto w oczy i pewnym tonem odparła:

– To się nigdy nie kończy. Wiesz o tym.

Przytaknęła bez słowa i na odchodne dodała:

– Dzwon, jakbyś czegoś potrzebowała.

– Pewnie. Dbaj o siebie, dobrze? – Nie mogła wymyślić nic lepszego do powiedzenia. Wiedziała doskonale, że akurat w dbaniu o samego siebie Alan nie był najlepszy. A jednak, powiedziała to. Zwykły obserwator pomyślałby, że to nic wielkiego, ot, zwykła grzeczność, może nawet troska. Lecz nie o to tutaj chodziło.

Między Ewą i Alanem wiele rzeczy nie działało, jedna natomiast zawsze była doprowadzona do perfekcji. Szczerość. Mogła przekazać mu wiele innych myśli, które zaprzętały jej głowę, wybrała jednak to, co niejako „należało” wyrazić. Ich relacja uległa już zmianie. Przestali być małżeństwem. On przestał należeć do niej. Ona nie była już jego. Stali się dwojgiem obcych ludzi, którzy niegdyś mieli jeden wspólny świat. Dostrzegł jej nienaturalne skrępowanie i na tym wolał zakończyć rozmowę. Przeszedł kilka metrów w kierunku taksówki, lecz przypomniał sobie o czymś i obracając się ku Ewie, zapytał:

– Nie zostawiłem w domu różańca?

– Co?

– Ostatnio jak byłem... u ciebie, czy nie zostawiłem różańca?

– Nie. W każdym razie żadnego nie znalazłam.

Przytaknęła rozczarowany, po czym wrócił do samochodu. W mieszkaniu od razu położył się do łóżka. Spodziewał się, że zaśnie twardym, spokojnym snem, na który niewątpliwie zasłużył. Jednak wiele spraw nie dawało mu spokoju. Po raz wtóry obrócił się z boku na bok i spojrzał na otaczającą go ciemność. Lekkie światło wpadało z ulicy do mieszkania, ukazując kanty mebli i załamania ścian. Pomyślał, że będzie musiał szybko znaleźć sobie zajęcie, coś, co odwiedzie jego myśli od śmierci Suzzy, Marcina Sobiecha i innych, którzy odeszli. I od tych, którzy zostali. Sami. Zaraz po odnalezieniu Mai, prokurator Właszczyk wystosował sprostowanie tłumaczące, że skarga na Berga była umówioną prowokacją mającą chronić życie dziewczynki. Nadinspektor Brocki przyjął tę informację z nieukrywanym oburzeniem. Mówiąc wprost, jego ego zostało mocno

poturbowane, spodziewałby się bowiem, że w tak specyficznej sytuacji powinien być przynajmniej wtajemniczony w plan działania. Pomyślał, że pomijając dobre intencje, którymi kierowali się Berg i Własczyk, zrobili z niego idiotę! Nie cofnął więc zawieszenia od razu i kazał czekać na swój osobisty, „miłosierny” gest uniewinniający komisarza. Tymczasem Berg niespecjalnie przejmował się sprawą. Rozważał alternatywny plan na najbliższą przyszłość.

Ponieważ Brocki z trudem znosił widok komisarza w ostatnim czasie, ten unikał wizyt w Biurze. Zależało mu jednak na porządnym dopracowaniu szczegółów związanych z zatrzymaniem Tarkowskiego i Chmielewskiego. Tym pierwszym zajmował się Młody (z pomocą Justeckiego i odnalezionego nowego świadka w sprawie ustawiania przetargów oraz konkursów). O tę sprawę mogli być spokojni i pewni, że zakończy się sprawiedliwym wyrokiem skazującym. Kilka dni po zatrzymaniu Chmielewskiego i odnalezieniu ciał w zbiorowym grobie w lesie pod Truskawem, zaczęły pojawiać się wyniki pierwszych sekcji zwłok. Bez żadnych wątpliwości odciski palców na szyi Kitki należały do posta Tarkowskiego. Gdyby znaleźli ją kilka dni później, naskórek zdążyłby się rozłożyć i dowody szlag by trafił. Szczęście w nieszczęściu. Morderstwo znacznie pogorszyło sytuację posta. Dodatkowo, przypisany mu psycholog okazał się człowiekiem prawym i nieprzekupnym, orzekł więc o pełnej poczytalności sprawcy, zamykając mu tym samym drogę do psychiatryka, a otwierając na oścież perspektywę więzienia. Reszta ciał nie była tak prosta do rozgryzienia. Identyfikowano je powoli. Każda z odnalezionych piętnastu ofiar okazywała się figurować w aktach zeszłorocznej sprawy Wilka. Członkowie gangu, którzy stali się niewygodni, niegodni zaufania, bądź niekompetentni. Wykrycie sprawcy było niemożliwe, bo z ofiar pozostały jedynie kości. Jednak na folii okalającej ich szczątki, w kilku miejscach odnaleziono odciski palców Mariusza Rogalskiego, pseudonim Mario.

Dowiedziawszy się o tym, Berg z marszu stwierdził, że to nie on był sprawcą, a co najwyżej – sprzątaczem. Feliński uwierzył na słowo, choć bardziej korzystne byłoby dla niego przypisanie tych morderstw

Mariuszowi. Sprawa trafiła do szuflady śledztw „nierozwiązanych”. Kwestia wymierzenia odpowiedniej kary dla Michała Chmielewskiego wydawała się najtrudniejszym zadaniem. Nie przyznawał się do winy, mimo że na terenie posesji jego matki odnaleziono ślady krwi należącej do Zuzanny Ostrowskiej oraz narzędzie zbrodni w postaci starej siekiery, która niestety została starannie oczyszczona z odcisków palców. Dodatkowo, Jarosław Sobiech przyznał się do utrzymywania regularnego kontaktu z komisarzem Chmielewskim i przyjęciem od niego zlecenia na „skasowanie Berga osobiście, bez mieszania w to osób trzecich”. Wniósł nawet oskarżenie wobec niego o włamanie do domu i podrzucenie broni, z której zastrzelono Izabelę Koladę oraz dwudziestoletnią mieszkankę Gdańska (co potwierdzono analizą balistyczną opartą o odnalezione dwie łuski i jeden pocisk). Można by pomyśleć, że poszlaki i dowody są wystarczające do przeprowadzenia sprawnego procesu skazującego. I całkiem możliwe, że takim właśnie by był. Dla Berga jednak, prywatnie, najważniejszym było, żeby Chmielewskiemu udowodnić zamordowanie Sussy. Bartek Mazurski, jako jedyny policjant z grupy operacyjnej „Szakał”, przesiadywał tego dnia w Biurze. Cała reszta umówiła spotkanie w mieszkaniu Berga. Wśród nich był również Młody. Główny temat dyskusji – Jarosław Sobiech. Impuls siedział pochylony nad stołem. Przysłuchiwał się uważnie kolegom, a w dłoniach obracał telefon, jakby uparcie oczekiwał, że zaraz zadzwoni. Chaber odczytywał na głos całą treść zeznań aresztowanego, który twierdził, że od kilku lat pozostawał w kontakcie z Michałem Chmielewskim. Oficer, korzystając z licznych doświadczeń i policyjnych narzędzi, pomagał określać wolne od kamer miejsca w mieście. W tych Sobiech organizował kradzieże samochodów i włamania. Jakże był wściekły, gdy dowiedział się, że wytropiono go jako niedoszłego zabójcę komisarza właśnie przy użyciu zapisu z miejskich kamer!

Nagły dźwięk telefonu i poderwanie się Impulsa przerwały lekturę zeznań. Przeszedł z rozmową do pomieszczenia obok i chwilę potem wyszedł, oznajmiając, że będzie nowy świadek. Okazało się, że zatelefonował do niego Feliński z długo wyczekiwaną przez aspiranta informacją. Podpuszczona kilka tygodni temu przez Impulsa tancerka „Magnezu” nazywała się Aleksandra Domagała. Gdy dowiedziała się,

że chłopak, któremu zaproponowała kokainę, był podstawionym policjantem, oburzyła się i rozzłościła. Żadna kobieta nie lubi, gdy robi się z niej idiotką! Nie była nią, wręcz przeciwnie. Zdawała sobie sprawę z tego, jak działa system. Jeśli wiedziała cokolwiek, co mogło być wartościowe dla policji, należało trzymać to w tajemnicy aż do czasu, gdy zaproponują układ. Impuls, choć może nie wyglądał na najinteligentniejszego człowieka na ziemi, znał się na kobietach. Postanowił wykorzystać z pozoru kiepską dla siebie sytuację. Odwiedził dziewczynę w areszcie. Szczerze przeprosił, zapewnił, że nie było to nic osobistego, że miał na celu coś ważniejszego. Tak przed nią czarował i nawijał, że w kilkanaście minut z „chują” awansował na bohatera. Obiecał jej pomoc. Pozostawiając temat otwartym, dał dziewczynie nieco czasu do namysłu. Nie chciał, żeby nabrała wrażenia, że bez jej wsparcia są w czarnej dupie z morderstwem Suzzy. Choć po części – faktycznie byli. Podczas spotkania w mieszkaniu Berga Feliński zadzwonił do Impulsa z informacją od aresztowanej.

– Dziewczyna chce z tobą mówić. Twierdzi, że ma coś o Suzzy.

Aspirant przyjechał do więzienia najszybciej, jak mógł, jednak gdy wszedł do pokoju, w którym już na niego czekała, wyglądał na spokojnego, a nawet obojętnego. Ola stwierdziła, że w dzień morderstwa widziała, jak Suzzy opuszczała klub w towarzystwie pewnego mężczyzny. Usłyszawszy to, Impuls uniósł do góry brwi i sięgnął do plecaka. Oczywiście nie mógł uwierzyć jej na słowo. Siedzący obok Feliński podejrzewał nawet, że dziewczyna będzie próbowała wykupić się z aresztu kłamstwami. Aspirant rozłożył przed nią kilka fotografii. Na każdej twarz innego mężczyzny. Wszystkich wydobyli z monitoringu „Magnezu”, dzięki czemu mogła rozpoznać każdego. Wśród nich – komisarz Chmielewski, którego wskazała bez chwili zastanowienia.

– Jest pani pewna? – zapytał Feliński.

– W stu procentach.

– Zezna to pani przed sądem?

– A pomożecie mi? – zwróciła się z tym pytaniem, patrząc konkretnie na Impulsa. Ten nachylił się ku niej i miękki głosem obiecał:

– Masz moje słowo.

Impuls miał zamiar dotrzymać obietnicy, a prokurator Właszczyk również zapewnił o swoim wsparciu dla świadka, który pomoże im usadzić Chmielewskiego. W CBS-u – praca jak zwykle. Trochę wrzało, ale umiarkowanie. Tyszka zadzwonił do Berga z samego rana, prosząc, żeby dzisiaj dotarł do Biura. Komisarz domyślał się powodu – oddadzą mu blachę i każą dokończyć sprawę Żoliborza. Zanim jednak podjął rozmowę z Brockim, chciał skonsultować się z inspektorem Tyszką, a raczej – podzielić się przemyśleniami. Komisarz mówił otwarcie, ile nerwów i zdrowia kosztowały go ostatnie tygodnie pracy. Przyznał, że potrzebuje zmian, i zaproponował dogodnie dla siebie rozwiązanie. Tyszka nie popierał jego propozycji.

– Rozumiem, dlaczego się na to decydujesz, ale uważam, że robisz błąd.

Przy okazji... Odwiedził mnie wczoraj Sikorski. Pytał, czy propozycja z zeszłego roku jest jeszcze aktualna.

– O pracy w „Szakalu”? – Tyszka przytaknął. – I co mu powiedziałaś?

– Że najpierw pogadam z tobą.

Berg zamyślił się. Inspektor uszanował jego rozważania chwilą ciszy. Komisarz spiął usta i w końcu zapytał:

– Masz długopis?

Właściwie dla siebie, już od progu przejął inicjatywę w dyskusji z nadinspektorem Brockim, który de facto nie znosił podobnego zachowania. Za każdym razem, kiedy się widzieli, utwierdzał się w przekonaniu, że nigdy nie znajdą wspólnego języka i nigdy nie będzie ich stać na podniesienie relacji ponad status tolerancji. W miarę postępowania wyводу komisarza, przełożony stawał się jednak coraz bardziej spokojny, a nawet zadowolony z przebiegu spotkania. Przejrzał otrzymane od Berga dokumenty z rosnącą satysfakcją, po czym zapytał:

– To ile będzie mnie kosztowała ta przyjemność? Bo przecież nic za darmo...

– Odręczny przypis na końcu.

Inspektor przekartkował dokument, przeczytał dopisek i dodał:

– Zgoda.

Epilog

Od śmierci Marcina Sobiecha upłynął miesiąc. Alan Berg myślał o nim każdego dnia i wiedział, że prawdopodobnie zostanie tak już do końca. Nie można bowiem odebrać komuś życia i zachować przy tym własnego w stanie nienaruszonym. Sukcesywnie odzyskiwał pełne zdrowie po postrzale w klatkę piersiową. Czuł się dobrze, zniknęły duszności i ucisk w torsie. Kiedy lekarz stwierdził, że żebra zaczęły się zrastać i wszystko wygląda w porządku, Berg poczuł, że pora poprawić nieco utraconą kondycję. Z samego rana wydobyl z dna kartonowego pudła parę asicsów, włożył dresowe spodnie i wyszedł, zabierając ze sobą niewielką teczkę z dokumentami. Na rozgrzewkę przebiegł dwa i pół kilometra dzielące jego mieszkanie od apartamentowca Młodego. Wszedł do budynku, mijając się z sąsiadem podążającym do pracy. Zadzwoił do drzwi. Usłyszał za nimi zbliżające się kroki, potem otwieranie górnego zamka. Gdy skrzydło zostało otwarte, na twarzy komisarza wystąpiło trudne do ukrycia zaskoczenie.

– Dzień dobry – przywitał kobietę, próbując brzmieć neutralnie. Nie widział jej nigdy wcześniej. Uległ pokusie oceniania i krytykowania przyjaciela w duchu. Jedno musiał mu przyznać, miał przedni gust do kobiet. – Zastałem Mło... Juliana?

– Zależy, kto pyta – odparła pretensjonalnie, przybierając jakby obronną postawę.

– Przyjaciel.

– A pan przyjaciel ma imię?

Berg uśmiechnął się, maskując przy tym irytację.

– Alan.

Teraz dziewczyna się uśmiechnęła. Ale szczerze i szeroko.

– Alan Berg! No, wchodź! – zaprosiła, odsuwając się od drzwi. Nie

zarumieniła się, nie wycofała. Nadal pewna siebie, podała mu rękę i przedstawiła się:

– Ania Sikorska. Rozmawialiśmy kiedyś przez telefon.

– Siostra! – Ulżyło mu. Jednak niczego nie przeoczył. Młody i Basia nadal byli razem. Anna wyraźnie ucieszyła się z tego osobistego poznania. Rozmawiali ze sobą tylko raz, rok temu, kiedy Młody przechodził przez narkotykowy odwyk.

Mieszkała wtedy w Holandii i choć robiła wszystko, co mogła, żeby przyjechać do brata, nie miała możliwości. Nigdy sobie tego nie darowała, a jednocześnie nie znajdowała wystarczająco słów wdzięczności za pomoc, którą wtenczas okazał jej bratu komisarz. Bezwstydnie przyjrzała mu się od stóp po czubek głowy. Był nieco spocony i kiedy zdał sobie z tego sprawę, wyraźnie się zawstydził. Przeczesał dłonią wilgotne włosy i wyjaśnił:

– Chciałem mu tylko podrzucić dokumenty...

– Berg! – Młody pojawił się w drugim końcu korytarza, owinięty w ręcznik.

Skończył właśnie poranny prysznic przed pracą. – Wejdz do środka! Widzę, że poznałeś już Ankę... Dotarła w końcu, siostra marnotrawna! Zaraz do was dołączę.

– No, wchodź – ponagliła Ania i chwilę potem podała mu szklankę wody.

Podziękował i usiadł przy kuchennym stole.

– Czyli już dwa razy uratowałeś mojego brata...

– On spłaca te długi regularnie.

Uśmiechnęła się i usiadła obok z filiżanką kawy. Powoli zaczął dostrzegać w niej podobieństwo do brata. Te same oczy, ta sama maniera w głosie, nieco arogancka postawa.

– Dawno przyjechałaś?

– Zaledwie wczoraj. Ale trochę zostanę... Zrezygnowałam z pracy, tej samej, która nie pozwoliła mi przyjechać w zeszłym roku, kiedy byłam potrzebna tutaj.

– A czym się zajmujesz?

– Jestem psychologiem, ale w Holandii pracowałam u dealera samochodowego jako hostessa. Nie było warto... Ale trzeba z czegoś żyć.

Młody wszedł do kuchni, sięgnął po przygotowaną wcześniej dla niego kawę i usiadł.

– Widzę, że znowu biegasz!

– Najwyższy czas odzyskać formę. Przyniosłem ci umowę.

Szeroki uśmiech wstąpił na twarz Młodego, lecz zniwelował go wymuszonym odchrząknięciem. Z powagą przejął kopertę i równie poważnie odparł:

– Mam jeszcze trochę czasu, więc mogę przeczytać ją teraz.

– Jak chcesz. Jeśli podpiszesz, sam zabiorę ją do Brockiego.

– Dobra. Dziesięć minut?

– Idź już, podkomisarzu! – wyprosiła go siostra. Zabrał dokumenty, kawę i przeszedł do salonu, w którym zapoznał się z treścią umowy o pracę w CBŚP.

Wrócił po kilku minutach. Ania i Berg wyglądali na bardzo zajętych rozmową. Zgadali się, że komisarz spędził niedawno trzy miesiące w Amsterdamie, w którym i ona mieszkała. Dzielili się wrażeniami i jak każdy, kto przeszedł przez niderlandzką przygodę, chwalili i jednocześnie narzekali na Holendrów.

– I co? Podpisane? – zapytał Berg.

– Jedna rzecz mnie zastanawia – odparł podkomisarz, siadając na krześle.

Odszukał odpowiedni akapit i przeczytał na głos: – Zatrudniony zobowiązuje się do wykonywania wszystkich zadań wynikających z objętego stanowiska. Podejmuje się kierownictwa nad grupą dochodzeniową identyfikowaną kryptonimem „Szakał”... Przecież to twoja grupa. Nie rozumiem.

– Rozumiesz, rozumiesz.

– Co ty mówisz, Berg? Co ty robisz? – Komisarz odpowiedział uśmiechem, splótł dłonie i nachylił się ku Młodemu.

– Już wystarczająco narobiłem się w Firmie. Pora na zmiany, przyjacielu.

– Nie pierdol, dobra?! Nie tak się umawialiśmy...

– W ogóle się nie umawialiśmy. I pilnij języka przy siostrze. Posłuchaj mnie dobrze, będę szczery. Znasz moje metody, wiesz, że czasami przekraczałem pewne bariery. W przyrodzie nic nie ginie.

Brocki kolekcjonuje na mnie haki. Nie mam zamiaru czekać, aż zacznie je z siebie wypluwać i zwolni mnie dyscyplinarnie, bez emerytury. Trzeba wiedzieć, kiedy odejść, żeby nie skończyć z palcem w... no, wiecie.

– Czyli co? Odchodzisz...

– Z Firmy – tak. Jeden warunek – „Szakał” trafia do ciebie. Nikomu innemu ich nie zostawię. Nie darowałiby mi. To jak? Coś do pisania?

Ania podeszła do kuchennego blatu i wyjęła z szuflady niebieski długopis.

Podąła go bratu, zachęcając:

– Julio, nie wahaj się! Od razu kierownicze stanowisko dostajesz... – Puściła przy tym oko do komisarza. Młody westchnął, kręcąc głową z niedowierzaniem.

Złożył podpis na końcu dokumentu.

– Zaczynasz z początkiem grudnia.

– A ty? Co będziesz robił?

– Trafiła mi się jedna fucha. Ale to jeszcze niepewne. Dam ci znać, jak wypali. Muszę się zbierać. Z powrotem do domu, a potem do Biura. To przejdzie płynnie. Ja odchodzę trzydziestego listopada. „Szakał” przejdzie z rąk do rąk.

– Co z Żoliborzem?

– Przez sprawę z „Magnezem” zaczęli się wycofywać. Przycichli, kilka osób jakby wyparowało. Brocki nie jest szczęśliwy. Chyba przejmiesz grupę razem ze sprawą.

– Odejdiesz, nie zamykając jej?

– Postaram się, oczywiście, ale jeśli mam być szczery... Nastaw się na zbiory zaraz na początku pracy. – Wstał od stołu i zwrócił się do Ani. – Miło było cię poznać.

– Ciebie też, Alan.

– Odprowadzę cię... – Młody podążył za Bergiem ze spuszczoną głową.

Miał mieszane uczucia. Otworzył przyjacielowi drzwi. – Jesteś pewien, że chcesz odejść?

– Po prostu przyszedł czas na zmiany.

– Jakoś trudno mi sobie wyobrazić, że będziesz zajmował się czymś innym.

– Mówią, że z tego towarzystwa nigdy się nie wychodzi. Chyba że w plastikowym worku...

– Nie mów tak.

– Nie martw się, bracie – dodał komisarz, unosząc dłoń gotową do uścisku.

Gdy Młody ją chwycił, Proca objął go serdecznie i poklepał po plecach. „Przyszedł czas na zmiany” – powtórzył w myśli za przyjacielem przyszły lider „Szakala”. Spojrzał Bergowi w oczy i nieśmiało zapewnił:

– Cokolwiek się stanie, chyba najważniejsze, żeby do końca pozostać po właściwej stronie.

– A która to strona? Nasza? – zapytał retorycznie komisarz z gorzkim uśmiechem. – Do zobaczenia.

Młody jedynie przytaknął w odpowiedzi. Próbował przetrwać pytanie komisarza. Nigdy nie przypuszczał, że usłyszy od kogokolwiek podobne słowa. Szczególnie z ust Alana Berga. Powoli, w zamyśleniu, zamknął za sobą drzwi.

Rzeczywiście przyszedł czas na zmiany. Nie był tylko pewien, czy będą one dobre.

PATRONAT MEDIALNY



VERA EIKON
DARMOWE E-BOOKI NA

WWW.VERAEIKON.COM.PL Pobierz za darmo pierwszą część
„Między prawami”



Pobierz zbiór wywiadów z funkcjonariuszami służb.